

ZESZYT DWUNASTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1967

Z E S Z Y T

D W U N A S T Y

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1967

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 145

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

Z ZAGADNIEŃ WSPÓŁPRACY POLSKO-UKRAIŃSKIEJ W LATACH 1919-20*

Współpraca polsko-ukraińska w latach 1919-1920 nie doczekała się jeszcze swego historyka. Istniejące opracowania bądź to obejmują tylko jeden fragment zagadnienia — choćby tak ważny jak sojusz Piłsudskiego z Petlurą w kwietniu 1920 roku¹ — bądź też poruszają całokształt tematu na marginesie szerszej problematyki². W większości wypadków zarówno historycy polscy jak ukraińscy posługują się pewnymi utartymi pojęciami, chciałoby się powiedzieć szablonami. Polacy podkreślają slogan „za naszą wolność i waszą” i zaprzeczają jakoby istniała chęć podporządkowania sobie Ukrainy i jej wyeksploatowania. Wśród przyczyn niepowodzenia wyprawy kijowskiej widzą głównie apatię ludności ukraińskiej. Ukraińcy ze swej strony dostrzegają tylko ciemne strony sojuszu z Polską i przypisują Warszawie pobudki imperialistyczne i chęć zawładnięcia Ukrainą pod płaszczykiem współpracy z Kijowem. Z małymi wyjątkami, element polemiczny jest silniejszy niż chęć szukania prawdy historycznej i pokazania możliwie pełnego obrazu.

* Artykuł ten stanowi rozwinięcie odczytu o współpracy polsko-ukraińskiej w 1920 r., wygłoszonego na zaproszenie Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Ameryce, w Fundacji Kościuszkowskiej, w Nowym Jorku 17 marca 1967 r.

1. S. P. Szeluchin, *Warszawskij dohowir miż Poliakamy i S. Petliuroju 21 kwitnia 1920 roku* (Prah, 1926); T. Kutrzeba, *Wyprawa kijowska 1920 roku* (Warszawa, 1937).

2. Tytus Komarnicki, *Rebirth of the Polish Republic* (Londyn, 1957); Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski 1864-1954* (3 tomy, Paryż, Londyn, 1953-1960); Piotr Wandycz, *France and her Eastern Allies 1919-1925* (Minneapolis, 1962); John S. Reshetar, *The Ukrainian Revolution 1917-1920* (Princeton, 1952).

Niniejszy artykuł nie pretenduje do wyczerpania tak trudnego i skomplikowanego tematu jak współpraca polsko-ukraińska w pierwszych dwóch latach niepodległości. Celem jego jest jedynie próba postawienia samego zagadnienia na płaszczyźnie naukowej i wysunięcie pewnych wniosków. Autor ma nadzieję, że jego drobny przyczynek zwróci uwagę na potrzebę dogłębnego przestudiowania wszystkich aspektów, które są tu jedynie po krótkce naszkicowane. Niezależnie bowiem od sympatii i antypatii, od których niżej podpisany też nie jest wolny, w interesie nauki i współżycia dwóch sąsiednich narodów leży dokładne zapoznanie się ze stosunkami między Polską i Ukrainą w ciągu tego ważnego okresu.

Z chwilą odradzania się Rzeczypospolitej po pierwszej wojnie światowej istniała już na terytorium Ukrainy naddnieprzańskiej ukraińska Republika Ludowa pod władzą dyktatoratu. Przy rządzie jej akredytowane było przedstawicielstwo polskiej Rady Regencyjnej. Na terenie Galicji Wschodniej — termin ten używany podówczas będzie używany również w tym artykule — ogłoszona została 1 listopada 1918 roku Zachodnioukraińska Republika. Rozgorzały walki między Polakami a Ukraińcami we Lwowie i innych częściach kraju. W styczniu 1919 proklamowano unię między obu republikami, ale, jak słusznie zauważa ukraiński historyk, „unia ta była bardziej nominalna niż rzeczywista”. Było to w pełni zrozumiałe, gdyż interesy Ukrainy i Galicji nie były całkowicie zbieżne. W Galicji Wschodniej wszelkie wysiłki koncentrowano na walce z Polską; groźba rosyjska stała na dalszym planie. Dla Kijowa, walczącego z najazdem bolszewickim, Rosja stanowiła główne niebezpieczeństwo. Polacy byli potencjalnymi sprzymierzeńcami przeciw Sowietaom i poważne grupy polskie współpracowały z Ukraińcami w Kijowie popierając ich dążenia niepodległościowe. Nic więc dziwnego, że Kijów nie zerwał nigdy oficjalnie z Polską i nie wypowiedział jej wojny o Galicję. Istniał wprawdzie faktyczny front polsko-ukraiński na Wołyniu, ale nie odgrywał on wielkiej roli w ogólnej strategii wojsk Ukraińskiej Republiki Ludowej.

Jak zapatrywano się na zagadnienie ukraińskie w Polsce na przełomie lat 1918-1919? Przywódcy kierunków politycznych i gros społeczeństwa wykazywało małe zainteresowanie Ukrainą i skupiało swą uwagę na Lwowie i Galicji. Walkę z Ukraińcami galicyjskimi traktowano jako wynik intryg austriacko-niemieckich; pretensje do Lwowa odrzucano z oburzeniem.

Poglądy polskie nie były jednak całkowicie jednolite i koła

3. Reshetar, *The Ukrainian Revolution*, s. 230.

nacjonalistyczne oskarżały Naczelnika Państwa o chęć kompromisów kosztem polskich interesów w Galicji. Na posiedzeniu Tymczasowej Komisji Rządzącej we Lwowie 19 stycznia 1919 r., gen. Józef Leśniewski stwierdzał, że „Piłsudski podkreśla niebezpieczeństwo ze wschodu, wobec którego walkę w Galicji wschodniej uważa za niepotrzebną⁴”. Witos w swych pamiętnikach pisze, że Piłsudski w rozmowie z nim i Kędziorem nazywał Galicję Wschodnią „ziemią ruską” i odmawiał ześrodkowania wysiłków wojennych w tym kierunku⁵. Rataj pisze, że „zaprzeczyc trudno, iż Piłsudski i jego otoczenie z końcem 1918 i z początkiem 1919 r., skłonni byli raczej zrezygnować, z punktu widzenia doktryny politycznej, jeśli nie ze Lwowa, to w każdym razie z części Wschodniej Małopolski⁶”. Istniejące dokumenty istotnie wskazują, że Piłsudski nie traktował sprawy galicyjskiej w oderwaniu od całokształtu polityki wschodniej. W dyrektywach, danych gen. Roji 16 listopada, stwierdzał „nieokreśloność politycznej instrukcji... Brzmi ona, że my nie przesadzamy obecnie wcale, jak ostatecznie się ułoży rozgraniczenie między Rusią a Polską, nie możemy jednak dopuścić, aby nas wyrzynano i rabowano⁷”. W dwóch instrukcjach dla Michała Sokolnickiego, z 27 listopada i 18-19 grudnia, Naczelnik Państwa pisał, że na razie nie można wysuwać rozwiązań politycznych dla Galicji Wschodniej i należy zacząć od okupacji wojskowej. Jeśli chodzi o granice to Lwów i Drohobycz stanowią minimum polskich żądań. W drugiej instrukcji, Piłsudski kładł nacisk na współpracę z niepodległą Ukrainą⁸.

Jak wynika z powyższego Piłsudski wcześniej wiązał zagadnienie galicyjskie z ogólnoukraińskim. Nie żądając bezwarunkowo przedwojennej granicy Galicji Wschodniej, nie rezygnował ze Lwowa i poważnej połaci kraju.

Pewną elastyczność Piłsudskiego wobec sprawy galicyjskiej podzielali przywódcy PPS i lewicowi Piłsudczycy. Jeszcze w Manifeście Lubelskim, Ignacy Daszyński nawoływał Polaków i Ukraińców do pokojowego załatwienia sporów dopóki nie zostaną one rozstrzygnięte przez kompetentne czynniki reprezentujące

4. *Akta Adjutantury Generalnej Naczelnego Dowództwa*, t. 51, nr 361; Instytut im. Józefa Piłsudskiego, Nowy Jork. Dalej cytowane w skrócie *AGND*.

5. Wincenty Witos, *Moje wspomnienia* (3 tomy, Paryż, 1964-1965), II, 234.

6. Maciej Rataj, *Pamiętniki 1918-1927* (Warszawa, 1965), s. 47-48.

7. Józef Piłsudski, *Pisma zbiorowe* (10 tomów, Warszawa, 1937-1938), V, 23.

8. *Archiwum Michała Mościckiego*, nr 211-212, Instytut im. Józefa Piłsudskiego, Nowy Jork.

oba narody⁹. Indywidualni liderzy PPS usiłowali zapobiec rozlewowi krwi w Przemyślu. W przemówieniach posłów socjalistycznych w sejmie występowały akcenty ugodowe; nie stawiali oni też spraw granicznych jako tabu niepodlegającego dyskusji¹⁰. Z drugiej strony, zgodnie z przedstawicielami innych partii, protestowali w sejmie przeciw pogłoskom jakoby Polska mogła uznać granicę na Sanie¹¹. Tygodnik *Rząd i Wojsko*, redagowany podówczas przez Andrzeja Struga, przy współpracy Tadeusza Hołówki, Adama Skwarczyńskiego i Wincentego Rzymowskiego, reprezentował zbliżone stanowisko. Propagując program federacyjny na wschodzie, *Rząd i Wojsko* konsekwentnie popierał niepodległość Ukrainy i dawał wyraz przekonaniu, że ustępstwa terytorialne w Galicji Wschodniej mogą być konieczne dla usunięcia rozdzźwięków między Warszawą a Kijowem. Tygodnik przestrzegał, że brak jakichkolwiek koncesji ze strony polskiej może kiedyś doprowadzić do tego, że Polska utraci i Lwów i zagłębie naftowe. Walki w Galicji muszą być zakończone ustanowieniem kompromisowej granicy, która pozostawi mniej więcej równą ilość Ukraińców po stronie polskiej co Polaków po ukraińskiej¹².

Z początkiem stycznia 1919 roku podjęto pierwsze konkretne wymiany poglądów z Ukraińcami. Leon Wasilewski nawiązał w Paryżu kontakt z Sydorenką i donosił do Warszawy, że należy oczekiwać przybycia tam posła ukraińskiego Karpińskiego, który poruszy sprawę rozejmu na Wołyniu i w Galicji¹³. Z Kijowa nadeszło poufne oświadczenie Polskiej Centrali Demokratycznej na Ukrainie, zawierające trzy główne dezyderaty. Primo, Ukraina powinna być niepodległa; secundo, należy dążyć do załagodzenia sporów i uzgodnienia sąsiedzkich interesów przed rozpoczęciem konferencji pokojowej w Paryżu; tertio, gdyby niepodległość Ukrainy nie została zrealizowana, nie należy przesuwac zbyt na wschód granicy polskiej. Punkt drugi, w rozumieniu autorów oświadczenia, oznaczał zaprzestanie walk, uzyskanie koncesji dla Polski na Podlasiu, Galicji Wschodniej i Chełmszczyźnie, a wreszcie zagwarantowanie praw mniejszości polskiej na Ukrainie¹⁴.

9. Kazimierz W. Kumaniecki, *Odbudowa państwowości polskiej: najważniejsze dokumenty* (Warszawa, Kraków, 1924), s. 130-133.

10. Patrz Sejm Ustawodawczy, *Sprawozdanie stenograficzne*, kwiecień 1919.

11. Patrz *ibid.*, debata 5 marca 1919.

12. Zwłaszcza artykuły: „Niepodległa Ukraina”, 16. II. 1919; „Linie wytyczne polityki narodowej”, 9. II., „Wojna z Rosją czy wojna z Ukrainą”, 20. IV. 1919. Porównaj późniejsze artykuły z 27 lipca i 9 i 23 listopada 1919.

13. Sprawozdania Wasilewskiego z 8, 9 i 10. I. 1919, *AGND*, t. 2, nr 154.

14. Tekst z 10. I. 1919, *ibid.*, t. 15, nr 253.

W połowie stycznia rozpoczęły się pierwsze rozmowy między przybyłymi do Warszawy J. Wołoszynowskim i posłem Prokopowiczem z Aleksandrem Więckowskim, Jodko-Narkiewiczem i Stanisławem Wojciechowskim. Piłsudski przyjął wysłanników ukraińskich na audiencji 18 stycznia. Treść rozmów nie jest dokładnie znana, widać jednak z listu, który Wołoszynowski wysłał na odjeźdnym do Naczelnika Państwa, że osiągnięto ogólne porozumienie. Wołoszynowski pisał między innymi: „Do Kijowa powracamy z przeświadczeniem o przychylności ze strony Pana Naczelnika do inicjatywy porozumienia, z ujawnioną przychylnością do tej sprawy wpływowych ugrupowań demokratycznych; na koniec z oświadczeniem ze strony p. Jodki, iż rząd polski, zarówno jak rząd ukraiński pragnie porozumienia i gotów jest przyjąć misję ukraińską... do układów o rozejm”. Wołoszynowski i Prokopowicz wysłali jednocześnie depezę do ukraińskiego ministerstwa spraw zagranicznych, stwierdzając, że: „Inicjatywa porozumienia została przyjęta przychylnie przez polskie sfery rządowe i koła miarodajne¹⁵”.

Pertraktacje zapoczątkowane w Warszawie nie dały jednak pozytywnych wyników. Zacięte walki w Galicji i antypolskie nastroje na Ukrainie uniemożliwiły próbę porozumienia. Poselstwo polskie donosiło z Kijowa, że odroczone wysłanie misji do Polski. Mówi się nawet o formalnym wypowiedzeniu wojny. Raport wyrażał nadzieję, że sytuacja może się zmienić wobec stale zwiększającego się zagrożenia ze strony bolszewickiej. Poselstwo liczyło też na presję Ententy i na wysiłki samego Prokopowicza, popierającego ideę zbliżenia z Polską¹⁶.

Bieg wypadków od lutego do kwietnia 1919 roku grał na niekorzyść Ukrainy. Z początkiem lutego armia czerwona zajęła Kijów i rząd ukraiński rozpoczął swą wędrówkę, która miała się zakończyć schronieniem pod skrzydła Polski. Na północnowschodnim froncie nastąpiły pierwsze starcia między armią polską i bolszewikami; Piłsudski rozpoczął przygotowywania do wyprawy wileńskiej. Sprawa ukraińska pozornie zesła na drugi plan. Ale nie kwestia Galicji Wschodniej. Sprawa Lwowa i Galicji stanowiły przedmiot debat w sejmie i ataków na Piłsudskiego za rzekome zaniedbywanie pomocy. W słynnej dyskusji 3 marca 1919 roku między wysłannikami Piłsudskiego a członkami Komitetu Narodowego w Paryżu, S. Kozicki i W. Bartoszewicz wyrazili obawy, że koncepcje federacyjne lewicy i piłsudczyków odnoszące

15. Wołoszynowski do Piłsudskiego, 23. I. 1919, *ibid.*, t. 15, nr 255.

16. Raport B. Kutylowskiego z 27. I. 1919, *ibid.*, t. 15, nr 299.

się do Litwy i Białorusi mogą odbić się fatalnie na sprawie Galicji Wschodniej i spowodować jej utratę¹⁷.

Nie ulega wątpliwości, że istniał związek między planami federacyjnymi na północy a zagadnieniem ukraińskim na południu. Komentując wileńską odezwę Piłsudskiego, *Rząd i Wojsko* podkreślał jej zastosowanie nie tylko do Litwy ale i do Kijowa¹⁸. W debatach sejmowych posłowie PPS i Wyzwolenia przypominali sprawę niepodległej Ukrainy. Wszystko jednak rozbijało się o Galicję Wschodnią.

Poselstwo polskie na Ukrainie, które po upadku Kijowa przeniosło się do Odessy, donosiło o ugodowości nowego ministra spraw zagranicznych K. Maciejewicza. Ale zwracało ono też uwagę na bezsilność rządu wobec „rozpętanych namiętności” kół galicyjskich i wojskowych¹⁹. Poseł Kutylowski usiłował znów naciskać przez czynniki francuskie w sprawie zawieszenia broni, ale nie osiągał rezultatu. Zawieszenie broni w Galicji Wschodniej na warunkach stawianych przez Polaków było nie do osiągnięcia. Strona polska oświadczała, że nie można wyodrębnić frontu galicyjskiego z całości zagadnień związanych z frontem bolszewickim i żądała pewnych gwarancji wojskowych. Choć Polacy nadużywali tego argumentu, nie był on jednak pozbawiony podstaw²⁰. Rozumiał to też Petlura, dążący ze swej strony do rozejmu i uzyskania polskiego poparcia przeciw bolszewikom²¹.

Warszawie pozostawała jedyna droga: zajęcie Galicji po Zbrucz z jednoczesną próbą bezpośredniego porozumienia z Ukraińską Republiką Ludową Petlury. Piłsudski pisał 8 kwietnia do Paderewskiego, że „spór nasz z Rusinami nie da się załatwić inaczej niż z bronią w rękę²²”. Po uwolnieniu Wilna, Naczelnik Państwa rozpoczął przygotowania do ofensywy w Galicji. W połowie maja wojska polskie przeszły do natarcia na froncie galicyjskim; nieomal jednocześnie, 20 maja, rozpoczęły się rozmowy delegatów Naczelnego Dowództwa z przedstawicielami Dowódz-

17. Protokół posiedzenia Komitetu Narodowego: *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich* (Warszawa, 1962), II, 155-156.

18. Artykuł A. Skwarczyńskiego, „Polska a Ukraina”, 25. V. 1919.

19. Sprawozdanie Kutylowskiego dla MSZ, 28. II. - 3. III. 1919, *Dokumenty i materiały*, II, 129-133.

20. Lenin pisał głównodowodzącemu Armii Czerwonej Vacietisowi 22. IV. 1919 r., że wejście do Galicji i Bukowiny może być konieczne celem nawiązania kontaktu z komunistami węgierskimi. Patrz *The Trotsky Papers*, edited by Jan M. Meijer (London, The Hague, Paris, 1964), I, 374-375.

21. Henryk Jabłoński, „Z dziejów genezy sojuszu Piłsudski-Petlura”, *Zeszyty Naukowe Wojskowej Akademii Politycznej*, seria historyczna, nr 5/21 (1961), s. 54.

22. Piłsudski do Paderewskiego, 8. IV. 1919, *AGND*, t. 55, nr 611.

stwa wojsk Ukraińskiej Republiki Ludowej. Rozmowy, toczone się w kwaterze gen. Józefa Hallera w Lublinie, wykazały ponowną chęć ze strony Ukraińców do zaprzestania wszelkich działań na froncie wołyńskim i nawiązania współpracy przeciw bolszewikom. Pułkownicy ukraińscy Antonczuk i Lewczuk podkreślali niemożność walki na dwóch frontach i wyrażali gotowość do ustępstw terytorialnych. Sprawę galicyjską traktowali jako zagadnienie drugorzędne²³. Pięć dni później polityczny przedstawiciel dyrektoriatu, Borys Kurdynowskyj podpisywał w Warszawie układ z premierem i ministrem spraw zagranicznych, Ignacym Paderewskim.

Układ Paderewskiego z Kurdynowskim, do niedawna mało znany historykom (nie wspomina o nim ani Pobóg-Malinowski ani Komarnicki) składał się z ośmiu artykułów²⁴. Pierwszy stwierdzał, iż rząd ukraiński, nie będąc upoważniony do decydowania o losie Galicji Wschodniej, oświadcza, że rezygnuje z wszelkich praw do tej prowincji. Artykuł drugi uznawał polskie prawa do części Wołynia na zachód od Styru. Według artykułu trzeciego Polska zobowiązywała się uznać prawo Ukrainy do niepodległości — pod warunkiem utworzenia rządu ukraińskiego uznanego przez rząd polski — oraz dostarczyć pomocy wojskowej. Termin pozostawiania wojsk polskich na Ukrainie tak jak i wojsk ukraińskich w Polsce miał być określony osobnym porozumieniem. Artykuł czwarty dotyczył współpracy wojskowej i uznawał naczelne dowództwo polskie nad wspólnymi operacjami. Rząd ukraiński, według artykułu piątego, zobowiązywał się nie podejmować żadnych kroków dyplomatycznych bez uprzedniego porozumienia z Polską. Artykuły szósty i siódmy mówiły o ochronie praw i własności Polaków na Ukrainie i Ukraińców w Polsce. Artykuł ósmy przewidywał podpisanie konwencji wojskowej regulującej wzajemną pomoc w wypadku zagrożenia granic jednego z partnerów.

Umowa powyższa, będąca pierwowzorem późniejszego układu Piłsudskiego z Petlurą, stanowiła balon próbny. Jej szanse wejścia w życie były znikome. W dwa dni po jej podpisaniu przedstawiciele armii galicyjskiej zwrócili się do Hallera z propozycją zawie-

23. Raport z posiedzenia, *ibid.*, t. 26, nr 848. Kutrzeba pisze, że pod koniec maja Piłsudski nakazał nawiązanie bezpośredniego kontaktu z Petlurą i Zagłoba-Mazurkiewicz przedarł się na Ukrainę i przywiózł odpowiedź od Petlury. Nie jest powiedziane czy miało to miejsce przed czy po rozmowach w Lublinie.

24. Tekst w tłumaczeniu angielskim w *Dokumentach i materiałach do historii stosunków polsko-radzieckich*, II, 259-260. Tekst franeuski, oryginalny, w *AGND*, t. 16, nr 899-900 i w Archiwum Paderewskiego w Warszawie.

szenia broni. W odpowiedzi Haller zażądał kapitulacji²⁵. Walki trwały nadal, uniemożliwiając jakiekolwiek porozumienie.

Pod koniec maja konferencja pokojowa w Paryżu zażądała zaprzestania polskiej ofensywy w Galicji i zagroziła sankcjami w razie odmowy. W przeciągu miesiąca jednak, wielkie mocarstwa zmieniły swe stanowisko i 25 czerwca upoważniły Polskę do zajęcia całego terytorium aż po Zbrucz. Polski marsz na wschód — jak pisał później gen. Szandruk — przyspieszył podpisanie rozejmu polsko-ukraińskiego²⁶; nie pozwolił jednak na realizację układu Paderewski-Kurdynowskyj. Umowa taka była nie do przyjęcia dla Ukraińców galicyjskich i budziła też poważne zastrzeżenia wśród innych kół ukraińskich.

Rozejm pomiędzy polskim dowództwem a wojskami Petlury podpisano 16 czerwca 1919 r. Dowództwo galicyjskie nie było nim związane i rozpoczęło letnią kontrofensywę pod komendą gen. Grekowa. Akcja ta przyniosła pewne sukcesy i przeszkodziła ratyfikacji zawieszenia broni z Petlurą. W sierpniu przyszły zwycięstwa polskie i wznowiono rozmowy. W tym też momencie przybyła do Warszawy delegacja ukraińska wioząca odręczny list Petlury do Piłsudskiego²⁷.

Prezes dyrektoriatu i główny ataman nawiązał w swym piśmie do historii, podkreślając że rozbrat między obu narodami przyczynił się do ich upadku. Obecnie Ukraina, walcząc z inwazją bolszewicką, broni demokracji i twórczości państwowej i zwraca się do przedstawiciela tych idei w Polsce, Józefa Piłsudskiego. Walka ta wymaga wspólnego wysiłku i Petlura proponował nawiązanie współpracy. Pierwszym krokiem w tym kierunku, jego zdaniem, byłoby uwolnienie przez Polskę jeńców ukraińskich i ich powrót, „odpowiednio uzbrojonych”, na Ukrainę.

Delegacja Petlury w skład której wchodził prezes Pyłpczuk b. minister komunikacji, W. Tulupa dyrektor departamentu politycznego ministerstwa spraw zagranicznych i płk. Lypnycki, była upoważniona do nawiązania stosunków z Polską i rozmów o współpracy przeciw bolszewikom. MSZ uważało, że *desintéressement* delegatów w sprawie Galicji i części Wołynia, oraz podkreślana przez nich chęć dobrego traktowania ludności polskiej, stanowiły argumenty przemawiające za podtrzymaniem rokowań. Polska starała się jednak uniknąć uznania Ukrainy, choć reflekto-

25. Raport Hallera z 27. V. 1919, *AGND*, t. 16, nr 462.

26. Pavlo Shandruk, *Arms of Valor* (New York, 1959), s. 87.

27. Pełny tekst w tłumaczeniu polskim wraz z moim komentarzem w 8-mym numerze *Zeszytów Historycznych*, s. 182-183. Oryginał ukraiński w *AGND*, t. 26, nr 4380.

wała „na ewentualne wyzyskanie ich (Ukraińców) jako siły antybolszewickiej dla prędszego zlikwidowania wojny”. Tak przynajmniej brzmiała interpretacja MSZ przesłana posłowi Zamoyskiemu do Paryża, choć być może że sformułowanie to było umyślnie przeznaczone na użytek Ententy²⁸.

List Petlury nosił datę 8 sierpnia, a rozmowy toczyły się w połowie miesiąca. Dwa tygodnie później bolszewicy wycofywali się z Kijowa, lecz zajmujący go Ukraińcy nie mogli utrzymać miasta. Wyparły ich siłą wojska generała Denikina, walczące pod hasłem *jedimoi niedielimoi Rossii*. Nowe niebezpieczeństwo zawisło nad niepodległą Ukrainą. Drogi Petlury i przywódców galicyjskich, gotowych na współpracę z Denikinem, rozchodziły się coraz bardziej.

Mocarstwa Ententy, zainteresowane w postępach Denikina, nalegały, aby Polska skłoniła Petlurę do zajęcia przynajmniej neutralnego stanowiska wobec Armii Ochotniczej — *dans l'intérêt supérieure de l'action générale contre le Bolchevisme*²⁹. Oczywiście polityka taka nie leżała w interesie Warszawy. Polska podpisała zawieszenie broni z Ukrainą Ludową 1 września i obserwowała bacznie rozwój sytuacji³⁰. W długim memoriale datowanym 25 września Roman Knoll przedstawił następującą analizę: Petlura boryka się z trudnościami stwarzanymi przez czynniki galicyjskie pod wodzą Petruszewycza, który ma za sobą większość wojska i inteligencji. Misja, która przywiozła list Petlury została zdezwuowana i następna ma mieć w swym gronie przedstawicieli Galicji Wschodniej. Ukraińcy galicyjscy propagują sojusz z Rosją. W tych warunkach Knoll radził, aby wstrzymać przyjazd nowej misji ukraińskiej by nie dopuścić do zerwania układów. Polska winna zaproponować infiltrację wojskową na terytorium zajęte przez Petlurę, pod pretekstem pomocy przeciw bolszewikom, a w razie odmowy zacząć okupację Ukrainy, pozorując to jakoś przed Aliantami. W razie tej drugiej alternatywy, Knoll sugerował wyodrębnienie administracyjne Ukrainy i prowadzenie polityki zbliżenia. Wreszcie doradzał ogłoszenie amnestii dla Ukraińców galicyjskich i zapoczątkowanie liberalnego kursu w Galicji Wschodniej. Swoje memoriał kończył słowami: „Tylko jak najaktywniejsza polityka na Ukrainie umożliwi zlikwidowanie południowo-wschodniego frontu przed zimą i uzyskanie linii de-

28. MSZ do Zamoyskiego, 16. VIII. 1919, *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, II, 330.

29. Démarche Clémenceau via francuska misja wojskowa z 2. IX. 1919, *AGND*, t. 57, nr 1479.

30. Umowa z 1. IX. 1919 w aktach II Oddziału, *AGND*, t. 111.

markacyjnej między Rosjanami z jednej strony, nami zaś, ewentualnie łącznie z naszymi klientami z drugiej³¹”.

Tak aktywna polityka nie była możliwa, zarówno przez wzgląd na Ententę jak i na polskie czynniki opozycyjne. Już uprzednio rząd polski starał się uspokoić Paryż, zapewniając, że rozmowy z przedstawicielami Petlury miały na celu jedynie koordynację działań przeciw bolszewikom i uzyskanie rezygnacji ukraińskiej z Galicji Wschodniej. Polska nie uznała oficjalnie Ukrainy i nie zawarła z nią żadnych paktów³².

Pomimo tych oficjalnych zapewnień, nie ulega wątpliwości, że w Warszawie wzrastało zainteresowanie Petlurą. Raport oficera łącznikowego stwierdzał życzliwe nastroje wobec Polski tak ze strony Głównego Atamana jak i prawych Socjał-Rewolucjonistów³³. Wewnętrzny komunikat informacyjny Naczelnego Dowództwa — sekcja spraw wschodnich — podawał, że można „po raz pierwszy stwierdzić rzeczywistą zmianę kursu polityki prawie całego rządu ukraińskiego względem Polski, na który zgodzili się nawet Ukraińcy galicyjscy”. Równocześnie jednak, komunikat, komentując rozmowy w sprawie przedłużenia rozejmu (podpisanego 20 października) dodawał, że „jedynie ciężka konieczność a nie szczerą chęć zgody sprowadza obecnie misję ukraińską do Warszawy³⁴”.

Postępujące sukcesy Denikina i jego marsz w kierunku Moskwy stanowiły poważną groźbę nie tylko dla Ukrainy ale i dla Polski. Jakkolwiek Piłsudski nie wierzył w zwycięstwo Białych, nie chciał w żaden sposób ułatwiać im zadania. Na froncie polsko-bolszewickim nastąpił prawie zupełny zastój w działaniach: POW na Ukrainie otrzymało instrukcje by nie pomagać Denikinowi. Rozpoczęły się tajne rozmowy wysłannika Piłsudskiego, kpt. Boernerera z Julianem Marchlewskim w Mikaszewiczach. Naczelnik Państwa polecił Boernerowi przekazać via Marchlewski oświadczenie dla Lenina, że wspomaganie Denikina nie jest polską racją stanu, a w sprawie Ukrainy stwierdził lapidarnie: „Naczelnik Państwa żąda nieatakowania Petlury”. Odpowiedź sowiecka w tej sprawie zawierała długie wyjaśnienie, że „z przedstawicielami Petlury są prowadzone pertraktacje”, że „delegacja Petlury... postawiła tak śmiesznie wygórowane żądania, że niemożliwe było dojście do porozumienia”, i tp. Wyjaśniając, że

31. Memoriał z 25. IX. 1919, *ibid.*, t. 20, 1601.

32. Instrukcje dla Zamoyskiego z 16 i 23. VIII. 1919, *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*. II. 330-332.

33. Raport oficera łącznikowego z 8. X. 1919, akta II Oddziału, AGND, t. 111.

34. Komunikat z 9. X. 1919, *ibid.*

chodzi tu o sprawy graniczne i dostęp do Czarnego morza, nota bolszewicka kończyła się słowami: „Uważamy, że Petlura dzisiejszy nie może być obiektem pertraktacji między Rządem polskim a Rządem sowieckim”. Odpowiedź Piłsudskiego brzmiała równie stanowczo: „Czy z Petlurą są prowadzone pertraktacje, czy nie, to dla Naczelnika Państwa jest zupełnie obojętne”. Równie obojętne są żądania Petlury i stanowisko Sowietów. Piłsudski w „pertraktacje jakiegokolwiek w sprawie Petlury wchodzić nie będzie. Jedynie mając na względzie interesy polskie oświadcza, że absolutnie nie zgodzi się na to, aby Petlurę bito i przeto zaczepionego będzie bronić siłą³⁵”.

W umyśle Piłsudskiego powstawał wyraźny plan działania. Licząc na klęskę Denikina, Naczelnik Państwa pragnął zapobiec ponownemu opanowaniu Ukrainy przez bolszewików. Ukraina miała być domeną Petlury. Dlatego też kardynalnym warunkiem jakichkolwiek rozmów z bolszewikami było uznanie z ich strony Petlury i pozostawienie go w spokoju. Rozmowy mikaszewickie pokazały, że Moskwa nie przyjmie takiego warunku jak też i pozostałych też Piłsudskiego. Naczelnikowi Państwa pozostawała jako jedyna droga do realizacji swych celów politycznych na wschodzie zwycięska kampania przeciw Sowietom.

Z początkiem grudnia 1919 roku armia czerwona ponownie zajęła Ukrainę. Szesnastego grudnia krasnoarmiejcy wkroczyli do Kijowa. Rząd dyrektoriatu z premierem Izakiem Mazepą na czele schronił się do Chmielnika. Armia Pawłenki rozpoczęła swój słynny „pochód zimowy”, przebijając się przez oddziały bolszewickie. Nieomal jednocześnie, 2 grudnia, misja dyplomatyczna Petlury, pod przewodnictwem nowego ministra spraw zagranicznych A. Liwickiego, złożyła w Warszawie deklarację w sprawie zawarcia traktatu politycznego i konwencji wojskowej z Polską. Deklaracja głosiła, że granice z Polską przebiegają wzdłuż Zbrucza i północnozachodniej części Wołynia. Status polityczny Galicji Wschodniej będzie ustalony przez Polskę w porozumieniu z lokalnymi Ukraińcami. Prawa narodowo-kulturalne przysługujące obywatelom narodowości polskiej na Ukrainie będą również przyznane Ukraińcom w granicach Rzeczypospolitej. Kwestia rolna na Ukrainie będzie ostatecznie rozwiązana przez konstytuantę; na razie położenie prawne ziemian zostanie uregulowane na podstawie umowy polsko-ukraińskiej. Polsce będzie przyznane prawo tranzytu oraz inne świadczenia gospodarcze, na podstawie wzajemności. Ze swej strony Ukraińska Republika Ludowa żąda uznania niepodległego państwa ukraińskiego, rozstrzygnięcia losu

35. Kutrzeba, *Wyprawa kijowska*, s. 26-30.

Ukraińców aresztowanych, internowanych lub więzionych w Polsce, oraz udzielenie Ukrainie pomocy w materiale wojskowym. Deklaracja kończyła się stwierdzeniem, iż „oba narody utworzą we wspólnej łączności potężną, niezwyciężoną siłę, która będzie podstawą ładu i spokoju na wschodzie Europy oraz przyczyni się do świetnego rozkwitu kultury obu narodów³⁶”.

Oświadczenie misji ukraińskiej zostało zdezawuowane przez jej członków z Galicji, ale Petlura w nocy z 11 grudnia stwierdził, że uważa ją za wiążącą³⁷. Strona polska również przeszła do porządku nad protestami galicyjskimi i już 4 grudnia zakończyła przewożenie przez front oddziałów ukraińskich i przegrupowywanie ich na terytorium polskim³⁸. Wszystko to odbywało się w jak największej tajemnicy, tak ze względu na Ententę jak i na polską pravicę, zwłaszcza Narodową Demokrację, która przeciwstawiała się ostro wschodniej polityce Piłsudskiego.

Rząd i Wojsko starał się urabiać opinię publiczną. Wobec decyzji Konferencji Pokojowej przyznającej Polsce jedynie mandat nad Galicją Wschodnią, *Rząd i Wojsko* zaatakował politykę Dmowskiego. Oto skutki opierania się na Entencie, pisał Tadeusz Święcicki; oto skutki polityki ukraińskiej Dmowskiego, wtórował Skwarczyński. Publicyści *Rządu i Wojska* podkreślali, że jedynie w oparciu o Petlurę i wolne państwo ukraińskie będzie można wyprowadzić Polskę z impasu galicyjskiego³⁹.

Petlura schronił się na terytorium Polski 5 grudnia a z początkiem stycznia odbył poufne rozmowy w Warszawie. Piłsudski nie wypowiedział się jeszcze oficjalnie jakie zamierza zająć stanowisko w sprawie ukraińskiej. Niezależnie od czynników wewnętrznych, które utrudniały wydanie takiego oświadczenia, na plan pierwszy wysunęło się wówczas zagadnienie pokoju z bolszewikami. Wprawdzie sprawa Ukrainy musiała siłą rzeczy zająć ważne miejsce w dyskusji nad warunkami pokoju, ale nie mogła ona być tak postawiona, aby z góry określała polskie nastawienie wobec Rosji i pokoju. Naczelnik Państwa wyjaśniał swój pogląd

36. Tekst deklaracji 2. XII 1919, *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, II, 461-463.

37. Polskie tłumaczenie w teczce „Referaty i raporty informacyjne MSZ 1920-21”, *Depozyt Ciechanowskiego*, Hoover Institution, Stanford, California.

38. Raport kpt. Potockiego do Wieniawy-Długoszowskiego z 4. XII. 1919, *AGND*, t. 5, 1828a. Porównaj artykuł Pawła Szandruka, „Organizacja wojska ukraińskiego na Podolu z początkiem r. 1920 i wyprawa na Mohylów”, *Bellona*, XXIX (1928), s. 202-218.

39. Tadeusz Święcicki, „Wobec decyzji wersalskiej w sprawie Galicji”, 7. XII; A. Skwarczyński, „Sprawa Galicji a Roman Dmowski”, 14. XII; „Czy statut Wschodniej Galicji jest do przyjęcia?”, 21. XII. 1919.

Wasilewskiemu w liście pisanym 31 grudnia 1919 r. Stwierdzał, iż trzeba zagwarantować możliwość poruszenia kwestii ukraińskiej i pomożenia we właściwym momencie Petlurze. W ewentualnych rozmowach pokojowych z bolszewikami Piłsudski pragnął przeciwstawić Petlurę komunistycznemu rządowi Rakowskiego i zażądać, aby Ukraińcom dana była możliwość swobodnego wypowiedzenia się⁴⁰.

Sprawa ukraińska stanowiła też jeden z przedmiotów tajnych rozmów między Piłsudskim a przedstawicielami anty-Sowieckiej Rosji, Sawinkowem i Czajkowskim, którzy przybyli do Warszawy w drugiej połowie stycznia 1920 roku. Piłsudski proponował sojusz wszystkich narodów byłego imperium rosyjskiego z Polską i demokratyczną Rosją i dawał do zrozumienia, że niepodległość Ukrainy musi być uznana. Przedstawiciele Białych, którym Sawinkow referował propozycje Piłsudskiego, uważali je za niemożliwe do przyjęcia⁴¹. Bilateralny sojusz Polski z Ukrainą Petlury wydawał się w tych warunkach jedynym rozwiązaniem.

Rokowania polsko-ukraińskie nie były pozbawione trudności. Petlura nie rozporządzał środkami, które pozwalałyby mu negocjować z Polską jak równy z równym. Powodowało to podejrzliwość i obawę przed zbyt wielkimi naciskami ze strony polskiej. W memoriale z 22 stycznia Główny Ataman i jego minister spraw zagranicznych złożyli Piłsudskiemu listę skarg na odnoszenie się polskich władz i wojska do urzędów i oddziałów ukraińskich. Wyliczając nadużycia i wykroczenia, Petlura i Liwickyj wyrażali wiarę, że istnieje druga, rycerska Polska, którą reprezentuje w pierwszym rządzie Piłsudski, i z którą należy współpracować. Nota ukraińska przypominała wspólnotę interesów obu krajów wobec Rosji i określała deklarację z 2 grudnia jako pierwszy fundament przyjaznych stosunków. Petlura i Liwickyj prosili, aby oddziały polskie zajęły Kamieniec Podolski, nie dopuszczając tam Denikina; dodając, iż nie wątpią, że wojsko to będzie sojusznikiem a nie okupantem Ukrainy⁴².

Jak widać istniały poważne trudności i nieoficjalny przedstawiciel Białej Rosji w Warszawie, Kutiepow, donosił o ochłodze-

40. Leon Wasilewski, *Józef Piłsudski jakim go znałem* (Warszawa, 1935), s. 219-220.

41. Patrz sprawozdanie Sawinkowa dla Wrangla z lipca 1920, Public Record Office, Londyn, nr F.O. 371/3915. Porównaj Karol Wędziagolski, „Sawinkow”, *Nowyj Żurnal*, nr 71 i 72; notatka o misji Wędziagolskiego z 26. II. 1920 w Archiwum Giersa, t. 81, w Hoover Institution i Sergiej P. Mielgunow, *N. W. Czajkowski w годы гражданской войны* (Paris, 1929) s. 194-196.

42. Petlura, *Statti, lysty, dokumenty* (New York, 1956), s. 244-254.

niu się polsko-ukraińskiego „miesiąca miodowego”⁴³. Tarcia były prawie nieuniknione. Ze strony polskiej istniały wciąż duże różnice w poglądach na sprawę ukraińską. Brak było pozytywnego programu. W związku z kursującymi pogłoskami o przygotowaniach wojennych do marszu na Kijów, prasa endecka wyrażała obawy i protesty. PPS, stojąc na gruncie niepodległości Ukrainy, popierała równocześnie pokojowe rozwiązanie konfliktu z bolszewikami. Socjaliści nie potrafili odpowiedzieć na pytanie jak można uzyskać niepodległość Ukrainy bez stoczenia uprzednio zwycięskiej kampanii z armią czerwoną. Rząd zachowywał daleko idącą rezerwę w swych wypowiedziach. Referując warunki pokoju, wśród których zasada dezaneksji obszarów sprzed 1772 roku zajmowała kardynalne miejsce, premier Skulski zapewniał komisję spraw zagranicznych (2 i 23 lutego), że nie podpisano żadnego porozumienia z Ukrainą, które by wiązało ręce Polski. Na tajnym posiedzeniu gabinetu, 8 marca, sprawa niepodległej Ukrainy stała już na porządku dziennym. Referując o tym komisji spraw zagranicznych w drugiej połowie marca, Skulski i Patek spotkali się z ostrą krytyką ze strony prawicy. Sprawa ukraińska stawała się jednym z najdrażliwszych punktów polskiej polityki zagranicznej.

Od 27 marca — data wysłania polskiej propozycji rozpoczęcia konferencji pokojowej w Borysowie — do 7 kwietnia (data ostatniej noty) odbywała się wymiana depesz między Warszawą a Moskwą. Piłsudski nie wierzył, by Rosja zgodziła się na polskie warunki i kontynuował przygotowania do ofensywy. W ciągu marca rozpoczęła się koncentracja na froncie wschodnim i już 1 marca tajny komunikat frontu wołyńskiego stwierdzał, że w planach Naczelnego Dowództwa Ukraina ma stać się barierą między Polską i Rosją⁴⁴. Równocześnie rozpoczynały się poważne pertraktacje z Liwickim.

Nierówność partnerów w tych pertraktacjach była oczywista i Petlura pisał swemu premierowi, że będzie musiał zapłacić wysoką cenę za sojusz z Polską⁴⁵. W liście pisanym pod koniec marca do ministra wojny Salskiego, Główny Ataman wyjaśniał, że będąc realistą nie może powodować się urazami wynikającymi z przeszłych zatargów z Polską. Sojusz, jego zdaniem, stanowił konieczny etap w dalszej ewolucji sprawy ukraińskiej. Komentując z goryczą moskalofilski kierunek na Ukrainie i potępiając Ukraińców

43. Kutiepow do Sazonowa, 29. I. 1920, *Archiwum Giersa*, t. 81, Hoover Institution.

44. *AGND*, t. 7, nr 2797.

45. Isaak Mazepa, *Ukraina w ohni i buri rewolucji 1917-1921* (3 tomy, Praha, 1929), III, 11.

galicyjskich za ich krótkowzroczność, Petlura podkreślał swą wiarę w dobrą wolę Piłsudskiego. Naczelnik Państwa i jego zwolennicy, którzy popierają wolną Ukrainę — pisał on — też muszą zwalczać przeciwników wewnątrz własnego kraju⁴⁶. Petlura podchodził do współpracy z Polską z otwartymi oczyma i w jednym z listów do premiera Mazepy pisał, że połączyłby się nawet z diabłem jeśli by to miało ocalić niepodległość Ukrainy⁴⁷.

Czy ze strony polskiej istniały rzeczywiście tendencje do wykorzystania słabości partnera celem narzucenia mu ciężkich warunków? Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że tak ze względu na opozycję wewnętrzną jak i na ryzyko związane z polityką pro-ukraińską, rząd nie mógł robić zbyt wielkich ustępstw. Piłsudski starał się jednak w miarę możliwości, zadowolić Ukraińców i powściągnąć zbyt wygórowane polskie żądania.

Główny negocjator ukraiński, minister Liwickij otrzymał zarys polskiego projektu sojuszu około 4 kwietnia z żądaniem odpowiedzi do 7-go. Zwrócił się więc do Piłsudskiego wyrażając zastrzeżenia wobec takiej presji i podnosząc szereg obaw co do sformułowań polskich. Marszałek polecił, aby uwzględniono niektóre zastrzeżenia ukraińskie. Zwłaszcza sprawy graniczne powodowały zgrzyty i Ukraińcy starali się, by przenieść postanowienia dotyczące granic z umowy politycznej do konwencji wojskowej. Polski sztab protestował. Wreszcie 15 kwietnia Ukraińcy otrzymali projekt umowy; rozpoczęła się druga faza rokowań. Polski projekt przewidywał: uznanie *de facto* rządu Petlury; rozgraniczenie zgodne z poprzednio czynionymi deklaracjami — a więc ukraińska rezygnacja z Galicji Wschodniej i części Wołynia — ewakuacja wojsk polskich z Ukrainy w chwili uzgodnionej przez obie strony; zobowiązanie ze strony Petlury, że do sześciu miesięcy będzie zwołana konstytuanta, której przekaze on władzę; zobowiązanie, iż Ukraina nie zawrze żadnych umów skierowanych przeciw Polsce ani nie podpisze pokoju z Rosją bez uprzedniego konsultowania Warszawy; równość praw narodowych i kulturalnych dla Polaków na Ukrainie i Ukraińców w Polsce; wreszcie stwierdzenie, że konwencja wojskowa i umowy gospodarcze, które będą podpisane później, stanowić będą integralną część paktu⁴⁸.

Po rozpatrzeniu projektu nastąpiły dalsze przetargi, w wyniku których Polacy zgodzili się na drobne ustępstwa terytorialne oraz zmienili punkt o umowach międzynarodowych w tym sensie, że

46. List z 31. III. 1920, Petlura, *Statti, lysty, dokumenty*, s. 263-264.

47. Mazepa, *Ukraina w ogniu*, III, 20

48. Projekt z 15 kwietnia 1920, *AGND*, t. 12, nr 3148; porównaj nr 3124.

stał się on obowiązujący nie tylko dla Ukrainy lecz i dla Polski. Zmieniono też brzmienie innych artykułów, tak że tekst układu sojuszniczego, podpisany 21 kwietnia 1920 roku przez Liwickiego i Jana Dąbskiego, odbiegał poważnie od pierwotnego projektu. Polska uznała rząd Petlury bez zastrzeżeń i nie narzuciła mu obowiązku przekazania swej władzy konstytuancie. Niektórzy pisarze ukraińscy widzieli w tym sformułowaniu chęć uznawania jedynie oddanego Polsce rządu Petlury a nie Ukrainy, ale wydaje się, że ostateczna forma artykułu była zwycięstwem negocjatorów ukraińskich a nie polskich. Klauzula o ewakuacji wojska polskiego z Ukrainy została usunięta z tekstu umowy politycznej i przeniesiona do konwencji wojskowej, podpisanej trzy dni później. Brzmienie pozostałych artykułów nie odbiegało w zasadzie od deklaracji ukraińskiej z 2 grudnia 1919 roku⁴⁹. Znalazły się tam punkt o kwestii rolnej i inne artykuły wzmiankowane już uprzednio.

Konwencja wojskowa podpisana 24 kwietnia przez mjr. Walerego Sławka i kpt. W. Jędrzejewicza oraz gen. Sinklera i ppłk. Didkowskiego zawierała następujące główne postanowienia: oba wojska mają działać jako armie sprzymierzone pod naczelnym dowództwem polskim (w operacjach na terenach prawobrzeżnej Ukrainy); na terytorium uwolnionym od wroga rząd ukraiński organizuje swój zarząd i administrację, z tym że Polska rezerwuje sobie prawo kontroli nad systemem komunikacyjnym; zdobycz wojenna, z wyjątkiem pociągów pancernych wziętych w boju, stanowi własność Ukrainy; Polska zobowiązuje się dostarczyć broń i zaopatrzenie dla 3 dywizji ukraińskich — Ukraina ma dostarczać żywność dla armii działających na Ukrainie. Polska ewakuacja Ukrainy ma się rozpocząć na wniosek jednej ze stron a jej wykonanie ustalą oba sojusznicze sztaby. Konwencja traktowana była jako tymczasowa do chwili podpisania stałego porozumienia wojskowego; przewidywała ona też zawarcie umów, gospodarczo-finansowej i kolejowej⁵⁰.

Umowy gospodarcze nie zostały nigdy podpisane, ale z przedwstępnych rokowań widać, że strona polska chciała otrzymać zapłatę za pomoc i ciągnąć pewne korzyści z naturalnych bogactw Ukrainy. W jednym z raportów o przebiegu rozmów podawano, że „kardynalnym warunkiem zawarcia umowy gospodarczej jest udzielenie przez Ukrainę koncesji na eksploataowanie trzech ko-

49. Tekst polski w *Dokumentach i materiałach do historii stosunków polsko-radzieckich*, II, 745-747; tłumaczenie angielskie z tekstu ukraińskiego u Reshetara, *The Ukrainian Revolution*, s. 301-302.

50. Tekst konwencji wojskowej u Kutrzeby, s. 83-85 i w *Dokumentach i materiałach do historii stosunków polsko-radzieckich*, II, 749-753.

palń rudy żelaznej i manganowej w rejonie krzyworskim⁵¹”. Była też mowa o uzyskaniu wolnych zon w portach czarnomorskich i ustaleniu wysokości świadczeń w naturze z tytułu polskich kosztów w związku z ekwipowaniem armii ukraińskiej. Ukraińcy opierali się tym żądaniom i gen. Sosnkowski donosił Piłsudskiemu, że rokowania postępują bardzo powoli. Stwierdzał, że przeoczono dogodny moment jakim było podpisanie umowy politycznej i proponował wywarcie presji na Ukraińców⁵². W odpowiedzi na zastrzeżenia ze strony Naczelnika Państwa, który obawiał się, że polskie żądania idą zbyt daleko, Sosnkowski pisał: „Nie chodzi mi bynajmniej o doraźne wyeksploatowanie, czy też zrabowanie Ukrainy, natomiast chodzi mi istotnie o niezwłoczne zabezpieczenie sobie możliwości tej eksploatacji na przyszłość przez natychmiastowe zawarcie odnośnych koncepcji⁵³”.

Jak widać z powyższego Warszawa była bardziej zainteresowana możliwościami wykorzystania bogactw Ukrainy, niż — jak to się często zarzuca — interesami obszarników polskich na kresach. Komentarz sztabu do umowy polsko-ukraińskiej stawiał kropki nad „i” mówiąc, iż „Polskie władzy wojskowe winny wpaść w podwładne im wojska tę zasadę, że nie jest ich zadaniem... rewindykowanie praw właścicieli polskich⁵⁴”.

Dookoła sojuszu polsko-ukraińskiego osnuło się szereg legend. Rosyjskie koła Białych powtarzały plotki, jakoby alians przewidywał polską okupację Ukrainy przez dwadzieścia pięć lat⁵⁵. Propaganda bolszewicka szermowała sloganem o groźbie nowego poddaństwa dla chłopu ukraińskiego. Piłsudski nie miał zamiaru ani okupować Ukrainy przez lata, ani występować w obronie polskich latyfundi. Korzyści płynące z sojuszu z Petlurą rozpatrywano na całkiem innej płaszczyźnie. Poza bieżącymi względami ściśle wojskowej natury — polski plan strategiczny przewidywał przekazanie frontu południowego armii ukraińskiej i ześrodkowanie sił na skróconym w ten sposób froncie północnym — Naczelnik Państwa uważał, że sojusz pozwoli na uniezależnienie polityki wschodniej od „kaprysów Ententy”, usunie niebezpieczeństwo bolszewickiej i imperialistycznej Rosji, wreszcie pozwoli ciągnąć korzyści gospodarcze z bogactw Ukrainy⁵⁶. Podobnie widziano

51. Raport z 27. V. 1920, *AGND*, t. 26, nr 4331.

52. Sosnkowski do Piłsudskiego, 12. V. 1920, *ibid.*, t. 8, nr 3698.

53. Sosnkowski do Piłsudskiego, 14. V. 1920, *ibid.*, t. 9, nr 4329. Porównaj *Niepodległość*, VII (1962), s. 113.

54. Komentarz z 12. V. 1920, *AGND*, t. 23, nr 3699.

55. Kutiepow do Sazonowa, 30. IV. 1920, *Archiwum Giersa*, t. 81.

56. Piłsudski do Sosnkowskiego, 29. IV. 1920, *Niepodległość*, VII (1962), s. 98.

sprawy w MSZ i retrospektywny raport ze stycznia 1921 roku stwierdzał, że „W razie utrzymania się Petlury na Ukrainie, Polska miała zapewnione korzyści ekonomiczne, a także niewątpliwy wpływ ogólny na ukształtowanie się stosunków na prawobrzeżnej Ukrainie⁵⁷”.

O narzuceniu Ukrainie statusu satelity nie mogło być mowy. Nawet w tak wyjątkowo korzystnym momencie jak wiosna 1920 roku strona polska szła na kompromisy. Początkowo domagano się by trzech przedstawicieli mniejszości polskiej na Ukrainie weszło do rządu. Ostatecznie zgodzono się na jednego i na jednego podsekretarza stanu. Zostali nimi, szczerze oddani sprawie niepodległej Ukrainy, St. Stempowski (minister rolnictwa a później zdrowia) i H. Józewski.

Układ polsko-ukraiński nie wynikał z chęci ujarzmienia Ukrainy, ale nie był też jakąś altruistyczną umową, z której Polska nie miała uzyskać żadnych korzyści. Jak większość umów międzynarodowych był on wypadkową wspólnych interesów. Strona słabsza płaciła koncesjami za uzyskaną pomoc i poparcie. Nie mniej nie uniknięto surowej krytyki sojuszu. Narodowa Demokracja była mu z gruntu przeciwna. Ukraińcy galicyjscy wraz z częścią naddnieprzańskich protestowali. Kwestionowano prawo Petlury do zawarcia tego typu umowy. Premier Mazepa stwierdzał, że sojusz „w formie układu warszawskiego nie dawał podstaw dla zjednoczenia ukraińskich sił narodowych⁵⁸”. Pakt Piłsudski-Petlura, jak to Piłsudski słusznie zauważył, był „eksperymentem”, który, jak się okazało, nie odpowiadał formom myślenia tak Ukraińców jak i Polaków. Krytyka tego eksperymentu zwiększyła się wobec niepowodzenia wyprawy kijowskiej; powstaje jednak pytanie czy niepowodzenie to było logicznym następstwem samego sojuszu?

Niepełne dwie dywizje Petlury szły wraz z armią polską na Kijów. Efektywna pomoc ukraińska była jednak niewątpliwie znacznie większa. Trocki przyznawał w liście do Komitetu Centralnego, że „*U petliurowcow prawidłowa krepkaja czistowojennaja organizacja w tyłu bolejš silnaja czem sowieckaja włast⁵⁹*”. Front południowowschodni był zmuszony do użycia 4 dywizji do walki z ukraińskimi partyzantami. Przejście dwóch dobrze uzbrojonych brygad galicyjskich na polską stronę również osłabiło opór sowiecki. Trocki piorunował przeciw „bandytom”, któ-

57. Referat o Ukrainie z 18. I. 1921, *Depozyt Ciechanowskiego*.

58. Mazepa, *Ukraina w ogniu i buri*, III, 32.

59. Z 11. V. 1920, *Archiwum Trockiego*, Dok. 516, Harvard, Houghton Library.

rzy „przyśpieszyli pochód polskich oddziałów⁶⁰”. Ukraińska ludność Żytomierza, Kijowa, Winnicy życzliwie witała nadciągające wojska.

Autorzy polscy krytykują apatię ludności ukraińskiej i brak czynu zbrojnego w odpowiedzi na apel Petlury. Niewątpliwie zaciąg ochotniczy dał skromne rezultaty a mobilizacja nie została ogłoszona. Ile w tym było winy ukraińskiej a ile polskiej trudno stwierdzić. Odezwy Piłsudskiego i Petlury do narodu ukraińskiego nie zawierały haseł społecznych a więc dawały pożywkę propagandzie wroga o zakusach ze strony „polskich panów”. Ludność Ukrainy która od 1917 roku tyle razy zmieniała okupantów i oswobodzicieli była niewątpliwie zmęczona i nieufna. Kilka tygodni podczas których Polacy zajmowali Kijów i część Ukrainy nie wystarczyło do przełamania oporów i rozbudzenia entuzjazmu wśród mas.

Były też błędy po stronie polskiej. Obiecana pomoc dla trzech a następnie sześciu dywizji ukraińskich nie przychodziła na czas. Mazepa podejrzewał, że Polacy nie chcieli, by armia osiągnęła sześć pełnych dywizji; Kutrzeba przyznawał, że dostawy szły „za powoli⁶¹”. Powstawały niesnaski i tarcia. Szef sztabu armii ukraińskiej przedstawił sztabowi polskiemu długą listę wykroczeń ze strony władz administracyjno-wojskowych — głównie na niższym szczeblu — jak: zabieranie zdobyczy wojennej, słabe zaopatrywanie, zakazy mobilizacyjne i internowanie oddziałów galicyjskich⁶². Piłsudski pisał z irytacją o grabiących wojskach i pytał jak ma je prowadzić na obszary objęte propolskimi powstaniami. W praktyce Wódz Naczelny nie zawsze interweniował, gdy chodziło na przykład o wywożenie taboru kolejowego do Polski. Dwutorowość polityki polskiej, wynikająca z różnic w podejściu do sprawy Ukrainy, nie mogła być zachętą dla Petlury i jego ludzi. Kierownik okręgu podolskiego Straży Kresowej meldował do Belwederu o postawie lokalnych władz administracyjnych, których stanowisko było dalekie „od popierania programu ukraińskiego rządu⁶³”. Raport ten nie stanowił z pewnością wyjątku.

Oddziały Petlury wypełniały swój żołnierski obowiązek tak

60. Artykuł Trockiego „W czadu i chmielu”, 13. V. 1920, Troekij, *Kak woorużalas rewoliucija* (3 tomy, Moskwa, 1924), II/2, s. 138.

61. Mazepa, *W ohni i buri*, III, 42 przypis; Kutrzeba, *Wyprawa kijowska*, s. 82.

62. Pismo z 24. VII. 1920, *Akta Ukraińskiej Misji Wojskowej*, t. I, nr 5, Instytut im. Józefa Piłsudskiego, Nowy Jork.

63. Pismo z 23. VII. 1920, *AGND*, t. 82, nr 4387.

podczas ofensywy jak i w czasie odwrotu spod Kijowa. Z chwilą cofnięcia się na terytorium Galicji Wschodniej pojawiły się oczywiście nowe trudności. Pod koniec maja napływały meldunki o antypolskich nastrojach w jednostkach Pawłenki. W lipcu Petlura rozpoczął pertraktacje z przedstawicielami sztabu W.P. w sprawie werbunku Ukraińców galicyjskich do swej armii. Dnia 14 lipca wystosował on obszerny list do Piłsudskiego, proponując wzmocnienie sojuszu przez wykorzystanie elementu galicyjskiego, który pozostawiony na uboczu mógłby jedynie jątrzyć stosunki polsko-ukraińskie. Trzy dni później wysłał następne pismo, w którym analizując sytuację doradzał amnestię dla Ukraińców w Galicji, swobodny werbunek i powołanie ich do współudziału w życiu kraju. Radził rozpoczęcie rozmów między rządem polskim a czynnikami politycznymi w Galicji dla osiągnięcia pełnego porozumienia i ofiarowywał swe usługi dla ułatwienia takiego porozumienia⁶⁴.

Rozwijająca się sytuacja wojenna nie pozwoliła na rozpracowanie propozycji Petlury. Sądząc z apelu do miejscowej ludności o wstępowaniu do armii Ukraińskiej Republiki Ludowej można wnosić, że Petlura otrzymał placet na werbunek w Galicji⁶⁵. Miejscowe władze wojskowe sabotowały jednak tę akcję i MSWojsk. było zmuszone wydać instrukcję, aby nie przeciwdziałano werbunkowi zbyt aktywnie⁶⁶. Ostateczna decyzja miała zapaść na posiedzeniu Rady Obrony Państwa, ale wobec grozy położenia na froncie, zagadnienie ukraińskie w Galicji zeszło na drugi plan. Zaistniała możliwość zawieszenia broni między Polską a Rosją i Petlura, zaniepokojony brakiem wiadomości z Warszawy, prosił Sławka aby uprzedzono go w wypadku gdy Polacy pozostawią go własnemu losowi⁶⁷.

Ramy niniejszego artykułu są zbyt wąskie, aby objąć ostatnią fazę stosunków polsko-ukraińskich w okresie przed i po bitwie warszawskiej. Dramat, który się wówczas rozegrał winien stanowić temat osobnej rozprawy. Przypomnijmy tu tylko główne zagadnienia.

Zdecydowany opór większości społeczeństwa przeciw dalszej

64. List z 17. VII. 1920, ogłoszony przez autora w polskim przekładzie w 8-ym numerze *Zeszytów Historycznych*, s. 184-186. Oryginał ukraiński w *AGND*, t. 26, nr 4380. List z 14. VII. 1920 u Petlury, *Statti i lysty*, s. 266-269. Porównać z meldunkami z 15. VII. 1920 i rozmową telegraficzną Świtalskiego ze Sławkiem *AGND*, t. 26, nr 4381 i t. 9, nr 4208.

65. Kumaniecki, *Odbudowa państwowości polskiej*, s. 313.

66. Pismo Ministerstwa Spraw Wojskowych z sierpnia 1920 r., *AGND*, t. 26, nr 4529.

67. Raport Sławka z 28. VII. 1920, *ibid.*, t. 26, 4374.

wojnie z Rosją o Ukrainę i realizację programu wschodniego uniemożliwił Piłsudskiemu kontynuację polityki ukraińskiej. Bolszewicy dali wyraźnie do zrozumienia, że na odcinku ukraińskim nie pójdą na żadne kompromisy. Uznanie Ukrainy Sowieckiej i zerwanie z Petlurą było ceną za którą można było osiągnąć pokój. Piłsudski był bezsilny. Rada Obrony Państwa godziła się tylko na gesty, jak przesłanie Cziczerinowi noty ministra Liwickiego zapytującej gdzie delegacja ukraińska może się spotkać z bolszewikami. W odpowiedzi Cziczerin oświadczył Sapieżę, że nie zna p. Liwickiego i że istnieje tylko jeden rząd ukraiński w Kijowie. Przewodniczący delegacji sowieckiej w Rydze z miejsca zaszachował Polaków, wysuwając kwestię Galicji Wschodniej, którą był gotów wycofać w zamian za polską rezygnację z popierania Petlury. Instrukcje dla delegacji polskiej przewidywały wprowadzenie uznania Sowieckiej Ukrainy w późniejszym stadium rokowań, ale Dąbski uznał od razu ukraińskie pełnomocnictwa delegatów bolszewickich. Był to poważny cios dla Ukraińców, ale polityka Dąbskiego miała, ogólnie biorąc, poparcie rządu i najbardziej wpływowych partii. Społeczeństwo, jak to świetnie sformułował Stanisław Mackiewicz, „za bitwę sierpniową dziękowało Bogu, za wyprawę kijowską złorzeczyło Piłsudskiemu⁶⁸”. Naczelne dowództwo i rzeczoznawcy wojskowi w Rydze mogli robić tylko połowiczne wysiłki celem ratowania Petlury. Tak więc osiągnięto przesunięcie daty rozejmu, aby zabezpieczyć armię ukraińską od zniszczenia, a później opóźniono ewakuację na froncie południowym, by zwiększyć szanse militarne Petlurówców. Gdy w listopadzie 1920 roku wojska ukraińskie rozpoczęły samodzielną ofensywę, za cichą zgodą i pomocą Piłsudskiego, i ofensywa się załamała, oddziały ukraińskie musiano rozbroić i internować. Były to ciężkie momenty dla Piłsudskiego; gorycz ze strony ukraińskiej była zrozumiała. Tylko nieliczni Polacy, jak Tadeusz Hołówko, pisali otwarcie, że „zdradziliśmy Petlurę w Rydze⁶⁹”.

Z perspektywy historii sprawa nie jest może tak prosta. Petlura jak i inni przywódcy ukraińscy zdawali sobie sprawę z jak wielkimi trudnościami Piłsudski zdołał przeprowadzić swój program wschodni i podpisać sojusz z Ukrainą. Jedynie pełne zwycięstwo mogło pozwolić na wprowadzenie w życie zasad paktu warszawskiego. Mimo wszelkich pozorów Polska w jesieni 1920 roku nie była zwycięzcą, który może dyktować pokój. Do pełnego

68. Stanisław Mackiewicz, *Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.* (Londyn, 1941), 3.134.

69. Tadeusz Hołówko, „Skutki pokoju w Rydze”, *Przymierze* 28. XI. 1920.

zwycięstwa trzeba było iść poprzez nowe kampanie, którym zawsze towarzyszy ryzyko, i społeczeństwo polskie nie było na to gotowe. Pokój ryski był kompromisem między stanowiskiem społeczeństwa w Polsce a rządem sowieckim. Był on jednocześnie klęską całej koncepcji wschodniej Piłsudskiego i pogrzebaniem nadziei na współpracę wolnej Polski z wolną Ukrainą.

Piotr WANDYCZ

LUDOWE WOJSKO POLSKIE (DOK.)

C z ę ś ć II

I-sza Armia Polska w ZSSR nie brała udziału w akcji, pozostając w odwodach Białoruskiego frontu. Jedynie jej artyleria wzięła udział w przełamaniu obrony niemieckiej na rzekach: Bug (rej. Dorohusk) i Turwia (rej. Dolsk). Nie będę opisywał tych działań, a zainteresowanych odsyłam do prac omawiających udział Czerwonej Armii w II wojnie światowej. Między innymi: *Historia sztuki wojennej*, redaktor prof. dr nauk wojskowych P. A. Rotmistrow, gł. marsz. wojsk panc.; tłum. MON, Warszawa, 1965.

Wspomnę jedynie, że w działaniach wzięła udział cała artyleria Armii w składzie: 1 Br. art.; 5 Br.a.c., 8 p. haub., 4 p.a. ppanc., 1 p.moźdz.; 1, 2 i 3 pal.; 5 dywiz. pomiarowy. W sumie 260 dział pod dowództwem gen. bryg. Aleks. Modzelewskiego. W czasie trwania tej akcji wspierającej 69 armię sowiecką, i trwającej od dnia 18. VII. do 21. VII. 44., „artylerzyści jako pierwsi spośród żołnierzy polskich wkraczają na ziemię ojczyzną”. Co oznacza, że przekraczają Bug.

Powstanie Ludowego Wojska Polskiego oznaczało rozbudowę i, co za tym idzie, zmiany organizacyjne.

Manifest wydany przez PKWN głosił:

„Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego za naczelne swe zadania uważa zwiększenie udziału narodu polskiego w walce o zmiążdżenie Niemiec hitlerowskich”.

Ludowe Wojsko Polskie miało powstać z połączenia armii polskiej z ZSSR z krajową Armią Ludową, wzmocnionych mobilizacją na terenach stopniowo uwalnianych z okupacji niemieckiej. Kalkulacyjne cyfry wynosiły: dla armii z ZSSR — 110 tysięcy; możliwości mobilizacyjne (roczniki: 1924, 23, 22, 21) kalku-

lowano na 136 tysięcy. Dalsze 50 tysięcy miało przybyć z terenów rosyjskich.

Całość sił projektowano na 300 tysięcy. Miały tworzyć odrębny polski front (grupę armii) w składzie trzech armii, każda z pięciu dywizji piechoty i korpusu pancernego. Armie miały posiadać jako swoje odwody: po pięć brygad artylerii, brygadę saperów, brygadę zaporową, dywizję artylerii plot., brygadę pancerną, pułk ciężkich czołgów, łączność, służby etc. Na główne elementy odwodu dowódcy frontu miały składać się: dwie dywizje artylerii i korpus lotniczy o składzie trzech dywizji (myśliwska, bombowa i szturmowa).

Całość, łącznie z formacjami zapasowymi, tyłowymi i tp., zamykała się cyfrą 285 tys. ludzi.

Podstawą rozbudowy była dyrektywa Naczelnego Dowództwa Armii Sowieckiej z 13. VIII. 1944 roku.

W celu przeprowadzenia nakazanego rozwinięcia polskich sił zbrojnych, dowodzenia nimi i zaopatrywania, powstały następujące instytucje:

- Sztab Główny WP, (pułk. M. Spychalski);
- Szefostwo Mobilizacji i Formowania WP, (gen. bryg. B. Połturzycki);
- Szefostwo Zaopatrzenia WP, (gen. bryg. J. Iszczenko);
- Główny Zarząd Polityczno-Wychowawczy, (pierwszy szef — p.o. płk. W. Grosz; obecnie — gen. dyw. Wojciech Jaruzelski).

Powstało również Dowództwo Lotnictwa WP, formowane na kadrze sowieckiej 6-ej armii lotniczej. Prócz korpusu lotniczego, dysponowało ono lotniczą „dywizją mieszaną” o składzie (istniejących przy armii w ZSSR) pułków myśliwskiego i bombowego, wzmocnionych 611 pułkiem szturmowym sowieckim, przemianowanym później na 3 plsz.

Następne rozkazy N.D. sowieckiego zwiększyły ogólną cyfrę stanu osobowego do 302,445 żołnierzy. Wywołane to zostało koniecznością wyposażenia WP w szereg formacji nie przewidzianych w pierwotnym etacie, a koniecznych do sprawnego prowadzenia walki. Między innymi: lotnictwo korygowania ognia art.; balony zaporowe; kompanie obs. meldunkowe; dywizjony pomiarowe art.

Już wkrótce okazało się, że plan był zbyt ambitny i nie ma widoków na jego zrealizowanie; zwłaszcza w tak krótkim czasie, jak tego wymagały rosyjskie rozkazy — dwuarmijny front do dnia 15 listopada 1944 roku, uzupełniony następnie trzecią armią.

Łatwo można zrozumieć, że budowa LWP odbywała się w jak najbardziej niesprzyjających warunkach. Kraj wyniszczony,

zrujnowana gospodarka, nieistniejąca administracja, budowana od podstaw z ludzi bez doświadczenia w jej zakresie. W takich warunkach, wyposażenie i zaopatrzenie WP było całkowicie zależne od ZSSR, a kalkulacja zasobów ludzkich okazała się zbyt wysoka. Ilości oficerów w ogóle, a broni specjalnych i sztabowców w szczególności, nie pozwalały na budowę szeregu formacji bez obawy całkowitego zrusyfikowania, jak miało to miejsce z lotnictwem. W obliczu konieczności musiano zrezygnować z polskiego frontu i trzeciej armii. W dalszych działaniach wzięły udział 1-sza i 2-ga armie w ramach sowieckich frontów. Mimo że wojnę zakończono nominalnym stanem czternastu dywizji piechoty i wielu innych wielkich jednostek, nie powrócono już do próby formowania własnego frontu.

Czytelnika obznajmionego z organizacyjnymi zasadami Zachodu, winna uderzyć niska cyfra trzystu tysięcy ludzi obejmująca tak wielką maszynę wojenną jak projektowany front (grupa armii) o trzech armiach ze składem piętnastu dywizji, nie mówiąc o innych jednostkach. Wynika to, w pierwszym rzędzie z oszczędnych etatów wojsk pozafrontowych. W czerwonej armii (i w LWP) jedna dywizja odpowiadała 22.000 ogólnej liczby żołnierzy (przy stanie dyw. piech.: 11.416 ludzi). W armii Stanów Zjednoczonych odpowiednie liczby wynosiły 60.000 na 14.253, a w brytyjskiej na dywizję wypadało 50.000 (dane według F. O. Mische: *Atomic Weapons and Armies*). Niemcy zadawali się 23.000 (nie licząc wojsk okupacyjnych i zwalczających ruchy partyzanckie).

Dywizja rosyjskiego typu była zorganizowana do samodzielnego wykonywania zadań minimalnych, na przykład obrony biernego odcinka frontu. Przy wzrastającej aktywności jest uzupełniana środkami walki ze szczębla armii i frontu. Otrzymuje wsparcie w postaci pułków, brygad, a nawet dywizji artylerii; batalionów i brygad saperskich i tp. Jednak ilość czołgów, a zwłaszcza samolotów pola walki wypadających na kilometr, czy milę frontu, była mniejsza niż na zachodnich teatrach działań.

Organiczna artyleria dywizji nie ustępowała wiele na sile amerykańskiej. Salwa dział i moździerzy do ognia pośredniego wynosiła 1.226,3 kg. w porównaniu z 1.461,0 dywizji Stanów Zjednoczonych. Przewaga kalibrów była po stronie amerykańskiej, co ma duże znaczenie.

Jeżeli nazwiemy dywizję sowieckiego typu, przy jej 267 samochodach — „niedomotoryzowaną” — co będzie słuszne, dywizję amerykańską należy określić jako „przemotoryzowaną” — 1.440 pojazdów, w dużej części specjalnych, lub zapewniających lepsze warunki egzystencji żołnierza, tworzyło kolumnę blisko

200 kilometrową. Rozwinięcie do walki wymagało 8-10 godzin. 20-kilometrowa kolumna dywizji sowieckiej potrzebowała połowę tego czasu. Dzielne zaopatrzenie dywizji amerykańskiej wynosiło 600-800 ton. Sowiecki odpowiednik — około 200 ton. Podkreślić należy, że skład olbrzymiego taboru amerykańskiej dywizji nie dawał możliwości jednorazowego podjęcia całości. Nie było typu „zmotoryzowanej dywizji”. Wiele czynników składało się na owe różnice organizacyjne. Że wymienię tutaj olbrzymie bogactwo gospodarcze i przemysłowe możliwości Stanów, różnicę w podejściu do materiału ludzkiego i wpływająca konieczność troski o dobrobyt amerykańskiego żołnierza.

Sumując, możemy przyjąć, że sowiecka dywizja pozostała w tyle pod względem technicznego wyposażenia i szybkości operacyjnej. Z braku środków przewozowych, sowiecka (czy polska) piechota dochodziła na pole bitwy w stanie większego zmęczenia. W zamian zachowała ona szereg zalet „pieszej” dywizji piechoty. Mianowicie: mniej skomplikowane dowodzenie, elastyczność i szybkość taktyczną (tak!), niezależność od głównej sieci drogowej i (ekonomia siły ludzkiej) lepszy stosunek walczących do wspierających, a w ogólności: siły żywej do sprzętu.

Korpusy pancerne (jak korpus pancerny LWP) odpowiadały pojęciu brytyjskiej, lub amerykańskiej dywizji pancernej. Posiadały trzy brygady pancerne i brygadę zmotoryzowanej piechoty. Stan broni pancernej wynosił 210 czołgów T-34 i 63 działa pancerne. Wydaje się, że korpus LWP nie posiadał (w przeciwieństwie do korpusów sowieckich) pułku czołgów ciężkich — 21 czołgów typu IS, 46-tonowych ze 122 mm. działem. LWP posiadało pułki tego typu jako samodzielne. Sowieckie korpusy zmechanizowane, odpowiadające pojęciu niemieckich dywizji grenadierów pancernych, nie miały zastosowania w LWP. Brygady czołgów były formacjami wsparcia piechoty i pokrywały się przeznaczeniem z brytyjskimi *tank brigades*.

Ludowe lotnictwo podlegało Najwyższemu Dowódcy WP przez Dowódcę Polskiego Lotnictwa Wojskowego. Podlegały mu: 1-szy Mieszany Korpus Lotniczy, 4-ta Mieszana Dywizja Lotnicza i 14-ty pułk lotniczy zwiadowczo-korygujący — z jednostek bojowych. Podlegały także Dowódcy PLW formacje wspierające a mianowicie: Wojska Lotnicze Zaplecza i 7-ma Baza Lotnicza. Oczywiście szkoły, zakłady etc.

1-szy Korpus składał się z trzech dywizji: 1-ej bombowców, 2-ej lotnictwa szturmowego i 3-ej myśliwców. Dywizje po trzy pułki. Pułki: bombowe a 20 samolotów w dwu eskadrach; szturmowe a 40 w trzech eskadrach i myśliwskie a 32 w trzech eskadrach. 4-ta Mieszana Dywizja Lotnicza posiadała trzy pułki:

1-szy myśliwski „Warszawa”, 2-gi nocnych bombowców „Kraków” i szturmowy.

Na jednostki „Zaplecza” składały się pułki lotnictwa sanitarnego i transportowego, pułki łączności oraz mniejsze oddziały tego typu; dalej: jednostki budowy, maskowania i obrony lotnisk. Oddziały obsługi podlegały 7-ej Bazie Lotniczej.

Operacyjnie lotnictwo podlegało dowódcom sowieckim. Korpus oficerski lotnictwa był najbardziej zruszczony. Procent oficerów sowieckich dochodził w nim do 95%.

W czasie, kiedy artyleria 1-ej Armii (już nie w ZSSR, ale LWP) wspierała działania 69-ej armii sowieckiej na Bugu, reszta armii pozostawała w odwodzie 1-ego Frontu Białoruskiego w rejonie Rudowice, Nowy Dwór, Wierniezno. Były to: 1, 2 i 3-cia dywizje piechoty, 1-sza brygada pancerna, 1-sza brygada saperów i inne formacje. Po przełamaniu niemieckiej obrony na Bugu, 1-sza Armia, otrzymując z powrotem swoją artylerię, posuwała się w drugim rzucie frontu. 27 lipca osiągnęła rejon Wola Osińska, Dęby, Józefów, st. Klementowice na zachód od Lublina. Tego samego dnia rozkazem Frontu zostaje Armia wprowadzona do pierwszego rzutu operacyjnego z zadaniem przejęcia odcinka Dęblin-Puławy i zorganizowania obrony Wisły. Pas obrony wynosił 25 kilometrów był obsadzony w pierwszym rzucie przez 1-ą i 2-gą dywizję. Armia wypełniła lukę między 8. armią gw. (na prawo) i 69. armią (na lewo), które obsadzały Wisłę mając przyczółki na jej lewym brzegu.

Dowodził armią gen. Berling (od 22. VII. z-ca nacz. dow. WP.); zastępcą dow. armii do spraw liniowych był gen. Świerczewski, do spraw politycznych — ppłk. Ochab. Armia jako całość nie była jeszcze gotowa. Część jednostek, między innymi: 4-ta dywizja i duża część armijnej artylerii rozciągnięta w tył aż po rejon Kiwerc, kończyła formowanie i szkolenie. Również w tyle pozostała brygada pancerna. Będące na miejscu trzy dywizje piechoty i rozporządzalna artyleria dawały nasilenie obrony: 0.72 batalionu piechoty i 23.7 dział i moździerzy na 1 kilometr frontu (liczone działa 45, 76 i 122 mm., 82 i 120 mm. moździerze). Do działań obronnych nasycenie odcinka było silne, zwłaszcza za szeroką przeszkodą wodną — Wisłą. Do forsowania Wisły i działań zaczepnych, siły były wyraźnie niewystarczające, zwłaszcza na nieprzyjaciela mającego czas na zorganizowanie obrony.

W dniu 29. VII. przeprowadził dowódca Armii rozpoznanie swego odcinka Wisły. Wynikiem rozpoznania była ocena obrony niemieckiej jako słabej. Zdaje się, że ta ocena nieprzyjaciela (mylna) wpłynęła na zmianę zadania Armii.

Nie jest jasne źródło rozkazu nakazującego forsowanie Wisły.

Niektórzy autorzy twierdzą, że rozkaz forsowania wydał d-ca Frontu Rokossowski. Miał on na celu odciążenie nacisku niemieckiego na sąsiadujące armie sowieckie. Inne opracowania przypisują autorstwo rozkazu dowódcy Armii, gen. Berlingowi. Ostatnie przypuszczenie zdaje się potwierdzać okoliczność ustnego, a nie pisemnego, rozkazu wydanego przez Berlinga podwładnym dowódcom. Również rozkaz przerywający dalszą akcję forsowania został wydany przez dowódcę Armii i uzupełniony meldunkiem do dowódcy frontu o fakcie dokonanym.

Forsowanie Wisły, dokonane w krótkim czasie, zastało jednostki w trakcie przygotowań do nakazanej poprzednio obrony. Brak dostatecznej ilości przeprawowego sprzętu (częściowo łódki rybackie), brak zapasów amunicji (rozkazy poprzedzające mówią o 1-ej j.o. na stanowiskach) — uniemożliwiły skuteczne przeprowadzenie zadania. Dodać trzeba brak wyszkolenia jednostek w forsowaniu wodnych przeszkód i brak doświadczenia bojowego Armii jako całości. Żołnierz nie ostrzelany, sztaby wszystkich szczebli nie zgrane.

W wyniku, zdołano zdobyć parę małych przyczółków o sile jednej-dwu kompanii. Wysiłki przeprowadzenia dalszych sił i łączenia grup w większe przedmościa nie zostały uwieńczone powodzeniem. Rozkaz powrotu na wschodni brzeg zakończył działanie. Straty wyniosły ponad tysiąc zabitych i rannych.

Dowódca Armii zdecydował podjąć dalsze działania zaczepne po planowym przygotowaniu. Miało uderzenie nastąpić dnia 8 sierpnia. Działanie nie doszło do skutku — dnia 6 sierpnia otrzymała Armia rozkaz przejścia do rejonu Łaskarzew-Garwolin dla przejęcia północnego odcinka warecko-magnuszewskiego przyczółka (8. armia gw.) zagrożonego silnymi przeciwuderzeniami Niemców.

Już w końcu lipca, wojska 1-go Frontu Białoruskiego zdobyły przyczółek na zachodnim brzegu Wisły w rejonie Magnuszewa. Był on drugim co do wielkości po przyczółku pod Baranowem zdobyty przez I-szy Front Ukraiński. Toteż Niemcy starali się przyczółek zlikwidować. Główny wysiłek przeciwnatarć szedł na południowe skrzydło broniącej przyczółka sowieckiej 8. armii gwardii, która została zmuszona do przegrupowania się na te skrzydło. Na miejsce jej oddziałów północnego skrzydła weszła 1-sza Armia LWP.

Od 9 sierpnia bierze udział 1-sza Armia w obronie przyczółka. Zgrupowana w rejonie początkowym: Garwolin-Łaskarzew, rozwija artylerię i stopniowo przesuwają jednostki na zachodni brzeg rzeki. Jako pierwsza, przepławia się na tratwach 3-cia dywizja. Utrzymuje linię obrony, a nawet uzyskuje lokalne pogołę-

bień przyczółka. Za nią przechodzi dywizja 2-ga, a kolejno brygada kawalerii. 1-sza dywizja obsadza linię wschodniego brzegu Wisły do czasu odwołania jej na odcinek praski.

Wojska saperskie Armii z powodzeniem utrzymują połączenia obu brzegów. Początkowo przeprawa odbywała się wyłącznie przy pomocy pontonów i promów. Dnia 12. VIII. rozpoczęto budowę 6-ciotonowego mostu, szerokości 4,1 m. Kierownictwo budowy spoczęło w ręku d-cy 1-szej brygady Inż.-Saperskiej, pułk. Bronisława Lubańskiego. Most o długości 894 metry, częściowo na podporach stałych (pale), a częściowo na podporach pływających. O północy dnia 15. VIII. pierwsze oddziały przeszły most.

W okresie obrony przyczółka warecko-magnuszewskiego 1-sza brygada pancerna im. Bohaterów Westerplatte walczy w ramach rosyjskiej 8-ej armii na południowym odcinku. Jej działania mają na celu powstrzymanie posuwania się nieprzyjaciela, któremu udało się przełamanie w rejonie Studzianek. Do działania wkracza dnia 9-go i w miarę przeprawiania się wchodzi kolejnymi kompaniami do walki. Wraca pod rozkazy 1-szej Armii od dnia 16. VII.

Zgodnie z otrzymanymi rozkazami, 1-sza Armia wycofuje się z przyczółka do dnia 13 września i przegrupowuje się na kierunek warszawski, gdzie już walczy 1-sza dywizja.

Sumując działania Armii w obronie przyczółka, należy stwierdzić, że wykonała ona nakazane zadanie. Jej zadaniem było bronienie nakazanego odcinka i niedopuszczenie do jego zlikwidowania. Nie uwieńczone większym powodzeniem, próby rozszerzenia perymetru były objawem słusznej decyzji obrony ruchowej działaniami zaczepnymi.

W ramach obrony przyczółka występuje po raz pierwszy Ludowe Lotnictwo, a mianowicie Mieszana Dywizja Lotnicza.

Jeżeli ludowe wojsko lądowe, a w szczególności jego wyszkolenie i sposób dowodzenia nim winny wywołać uzasadnioną krytykę, niewspółmiernie większą spotka Ludowe Lotnictwo. Już określenie go jako „polskie” wydaje się wielce ryzykowne. Wiadomo, że w lotnictwie rola oficera jest wiele szersza niż w armii czy marynarce. Nie tylko dowodzenie, ale i wykonawcza praca bojowa spoczywa w dużej mierze na nich. Nazywanie „polskim” lotnictwa w którym 95% (niektórzy autorzy podają 97%) oficerów było sowieckich zdaje się nieuzasadnione. Prócz formacji bojowych, szereg oddziałów naziemnych było całkowicie rosyjskich, „przeniesionych” do WP. Ścisłym określeniem Ludowego Lotnictwa Polskiego będzie: sowieckie formacje lotnicze, w których służyli częściowo Polacy. Wyposażenie w sprzęt nie odpowiadało potrzebom wywołanym koniecznością zwalczania niemiec-

kiego lotnictwa. Niewątpliwy zapal młodych polskich lotników napotykał przeszkody takie jak: graty — zwane bojowymi samolotami, brak dostatecznej łączności radiowej i wiele innych. Omówię skład i uzbrojenie Mieszanej Dywizji Lotniczej która weszła do walki na przyczółku warecko-magnuszewskim¹.

Na lotniska w rejonie Żelechowa przybyły w dniu 19. VIII. lotnicze pułki oddane do dyspozycji 1-ej Armii. Mianowicie: 1-szy pułk myśliwski „Warszawa”, 2-gi pułk nocnych bombowców „Kraków” i odkomenderowany do polskiego lotnictwa 611-ty pułk szturmowy sowiecki (w niedługim czasie, uzupełniony kilkunastu polskimi strzelcami pokładowymi, przemianowany na 3-ci pułk lotnictwa szturmowego Lud. Lotn. Polskiego).

Konieczności pola walki spowodowały rozkaz gen. Berlinga łączący pułki w jednostkę nazwaną 1-szą dywizją lotniczą. Dowódcą został płk. pil. Józef Smaga, szefem sztabu płk. pil. Aleksander Romeyko — obaj z lotnictwa sowieckiego. Sztab tworzyli oficerowie z oddziału lotniczego sztabu 1-ej armii. Prócz trzech pułków w skład dywizji weszły: kompania łączności i klucz samolotów łącznikowych, poczta polowa. Obsługę materiałowo-techniczną zapewniały 693-ci i 833-ci bataliony obsługi lotnisk (sowieckie). Operacyjnie podlegały one dowództwu dywizji, organizacyjnie wchodziły w skład organów zaopatrzenia sowieckiej 16-ej armii lotniczej.

W dniu wejścia do akcji pułki liczyły na uzbrojeniu: 1-szy pułk: 39 samolotów typu Jak-1; 2-gi pułk: 32 typu Po-2; 611-ty: 32 typu Il-2.

Charakterystyka sprzętu:

Myśliwce Jak-1 o silniku M-105 mocy 1100 KM, uzbrojenie: działko 20 mm. i 2 nkm-y 12,7 mm. Udźwig bomb: 150 kg., lub pociski rakietowe. Szybkość max. 536 km/h.

W tym czasie (połowa 1944 r.) inne państwa wojujące posiadały jako normalne uzbrojenie eskadr myśliwskich:

Niemcy: Messerschmitt, Me-109 G, silnik Daimler Benz DB 605, moc 1550 KM, uzbrojenie: 1 działko 20 mm. i 4 km.; szybkość max. 685 km/h. Focke-Wulf Fw-190, silnik Daimler Benz 603, moc 1500 KM (?), uzbrojenie: 2 działka 30 mm. i 4 km., lub 4 działka 20 mm. i 2 km. szybkość max. 747 km/h.

Brytania: Supermarine „Spitfire”, MK. IX, silnik Rolls Royce Merlin 61, moc 1565 KM., uzbrojenie: 2 działka 20 mm. i 4 km., szybkość max. 650 km/h. (podane jedynie te typy przykładowo, jako przeciętne).

1. Dane czerpię z pracy Izydora Kolińskiego: *Ludowe Lotnictwo Polskie*, MON. 1965, tegoż autora: *Działania bojowe I Dywizji Lotniczej*, WPH. 3/1962; oraz Bohdana Arcta: *Samoloty świata*, MON. 1959.

Szturmowe IŁ-2, wersja 1943 roku dwumiejscowa, silnik M-38, moc 1300 KM, uzbrojenie: 2 działka 20 mm. i 2 km. (w skrzydłach) i 1 nkm. 12,7 strzelca, udźwig bomb: 600 kg. (wersja specjalna: 2 działka 37 mm. i 8 pocisków raketowych); szybkość max. 448 km/h.

Lotnictwo szturmowe nie miało odpowiednika w lotnictwach innych państw walczących. Najbliższe typem wykonywanych zadań (zwalczanie wojsk naziemnych):

Niemcy: Junkers Ju-87, „Stuka”, wersja D., silnik Junkers Jumo 211, moc 1300 KM, uzbrojenie: 2 działka 20 mm. i 2 km., udźwig bomb: 1800 kg., szybkość max. 408 km/h.

Junkers Ju-88, wersja Ju-88 A-1, 2 silniki Junkers Jumo 211 po 1300 KM, uzbrojenie 4 km, udźwig bomb 2500 kg., szybkość max. 472 km/h.

Brytania: De Havilland DH-98 „Mosquito”, wersja FB Mk. VI, bombowo-myśliwski, 2 silniki Rolls Royce Merlin 21 po 1480 KM., uzbrojenie: 4 działka 20 mm. i 4 km., udźwig bomb: 900 kg. szybkość max. 600 km/h.

Bombowe nocne Po-2 o silniku M-11 mocy 120 KM., uzbrojenie: 1 km., udźwig bomb: 200 kg. (max. 300 kg.), szybkość max. 150 km/h.

Podobnego typu samolotów nie używano w lotnictwach innych państw wojujących w charakterze samolotu bojowego. Da się on porównać z polskim całkowicie w 1939 roku przestarzałym, ale będącym na uzbrojeniu eskadr — RXIII D. Jego charakterystyka: silnik 220 KM, uzbrojenie 1 km., szybkość max. 160 km/h. Samolot uznany już przed wojną za nie nadający się do działań bojowych. Rok 1939 potwierdził całkowicie jego niezdatność, mimo że był używany do taktycznego rozpoznania pola walki (bez zapuszczania się nad teren nieprzyjaciela). Użycie w 1944 roku (!) podobnych samolotów jako bombowce, chociażby nocne, przekracza normalne kategorie myślenia lotniczego. Brak proporcji w ryzykowaniu cennego personelu latającego i tak kosztownego w ilości roboto-godzin sprzętu i (z tak wielkim ryzykiem dokonanego) bombardowania 200 kilogramami bomb. Tradycyjne od czasów monarchii szafowanie materiałem ludzkim, nawet tak cennym i trudnym do wyszkolenia, jak personel latający.

Kroniki zawzięcie milczą na ten temat, ale wydaje się, że wyposażenie omawianych jednostek w radiowy sprzęt pokładowy było ubogie. Uzgodnione z wojskami ziemnymi znaki porozumiewawcze polegały na manewrowaniu samolotem, raketach, seriach smugowych pocisków, płachtach rozpoznawczych i tp. Jest pewne, że istniała łączność radiowa naziemna Dywizji z 1-szą Armią i sowiecką 16-tą armią lotniczą.

W dniu wejścia do składu 1-ej Armii, dowódcami pułków byli: 1-ego — ppłk. Iwan Tałdykin, 2-ego — kpt. Siemion Worobiov, 611-ego — ppłk. Iwan Mironow.

Jak powiedziałem, pułki zajęły lotniska operacyjne w dniu 19 sierpnia. Nocni bombardowcy kończyli jeszcze szkolenie i w operacjach chwilowo nie mieli brać udziału. Pozostałe dwa pułki szykowały się do zadań. Trwały przygotowania cztery dni. Złożyły się na nie prace sztabów, obsługa i kontrola sprzętu, oraz orientacyjne loty załóg.

Orientacyjne loty polegały na szczegółowym zapoznaniu się z terenem, przez porównanie go z mapą, w promieniu 50 kilometrów od lotniska i bardziej ogólnym w promieniu 150 kilometrów. „Oprócz szczegółowego przestudiowania tego terenu, oblatywano go w promieniu do 14 km od lotniska”. „Dobra znajomość mapy i terenu była warunkiem dopuszczenia do wykonywania zadań bojowych” — pisze historyk Ludowego Lotnictwa mgr. Koliński. A dalej „Tylko kilku pilotów dywizji znało te tereny ze swoich lotów przedwojennych. Pozostali zetknęli się z dorzeczem środkowej Wisły po raz pierwszy, toteż musieli dołożyć wiele wysiłku, aby w krótkim czasie zidentyfikować charakterystyczne punkty terenowe z mapą w powietrzu”.

Do diabła — myśli były obserwator — czy normalnym przeznaczeniem załóg jest latanie w granicach rodzinnego powiatu? Podobna „konieczność” świadczyłaby o tak niskim i prymitywnym szkoleniu sowieckich załóg, że skłonny jestem przypisać sposoby i cele tych lotów orientacyjnych pomyłce autora, wynikłej z braku fachowej wiedzy.

Celem wprowadzenia do działań bojowych młodych pilotów 1-ego pułku z 16-ej armii lotniczej odkomenderowano 10 pilotów sowieckiego 233 pułku myśl. „Mińsk” z dowódcą płk. Krawcem i szefem sztabu ppłk. Mylnikowem.

Pierwszy lot bojowy nastąpił dnia 23 sierpnia. Na rozpoznanie obrony nieprzyjaciela na przyczółku, poleciały dwa szturmowe Iły w osłonie sześciu Jaków. Iły prowadził chorąży Mironienko. Jaki pilotowali: d-ca 1-go myśliwskiego ppłk Tałdykin, kpt. Matwiejew, ppor. Gabis, chor. Chromy i dwu pilotów 233 pułku.

„Młode ludowe Lotnictwo Polskie wkroczyło do działań, rozpoczęło swój pełen chwały szlak bojowy. Dla upamiętnienia tego historycznego wydarzenia dzień 23 sierpnia obchodzony jest od 1950 roku jako święto Lotnictwa Polskiego”.

Ten historyczny dzień nastąpił po pięcioletnich walkach polskich lotników.

Po bitwie o Wielką Brytanię, po bombardowaniach Rzeszy,

po walkach w Afryce. W czasie tego „historycznego” rozpoznania, polskie załogi wspierały z półwyspu włoskiego konającą Warszawę. Rozpoznanie sowieckich lotników w którym wzięło udział dwóch Polaków usuwa tamte wysiłki w cień.

Praca Dywizji na korzyść 1-ej Armii na warecko-maguszewskim przyczółku trwała od 23 sierpnia do 2 września, dni dziesięć. Wszystkie dni były lotne i codziennie leciały załogi na zadania. Mówi się o atakowaniu i niszczeniu baterii polowych i kolejowej, zniszczonych wozach konnych, stratach zadanych jednostkom wojskowym. Równie cenne miały być wiadomości z lotniczego rozpoznania. Obfite wyniki pracy obu pułków zdają się wskazywać na brak dostatecznego wykorzystania ich możliwości. W odpowiednim paragrafie swej pracy, mgr. Koliński przeprowadza kalkulację możliwości pułków dla wykazania jaką potęgą była dywizja. W zapale liczy stan dziennej gotowości maszyn na sto procent, 2, 3, a nawet 5 lotów dziennie (lub na noc) na załogę i tp. Weźmy, jednak, skromniejszą, możliwą przeciętnie, kalkulację. Więc: 2/3 maszyn gotowych do lotu i jeden bojowy lot na załogę dziennie. Na dziesięć dni daje obliczenie 100 samolotów myśliwskich i sto szturmowców. W rzeczywistości myśliwcy wykonali 42 loty, a pułk szturmowy 24. Zamiast możliwych dwustu, wykonano sześćdziesiąt cztery. Dlaczego? Czy zawiodły sztaby, czy w praktyce bojowej tylko część załóg mogła być użyta, czy stan sprzętu był tak zły? W odpowiedź, że większego wsparcia lotniczego 1-sza Armia nie potrzebowała, trudno jest uwierzyć.

Zatrzymałem się dłużej na fragmencie działań Dywizji Lotniczej. Zrobiłem to celowo. Lotnictwo Czerwonej Armii, mimo imponującej ilości, nie dało takiego wkładu w całość wojennego wysiłku jakiego należało się po nim spodziewać. Stało do końca wojny o wiele poniżej od lotnictw innych państw wojujących. Przyczyn, zapewne, było wiele. Z nich jedną z głównych, było traktowanie lotnictwa jako dodatku do armii lądowej. Szkolenie personelu nie odbywało się dokładnie i eskadry otrzymywały ludzi, którzy doszkalali się w praktyce bojowej. Odbijało się to tak na sprzęcie, jak i na rezultatach pracy. Wreszcie, jak wskazywałem powyżej, sprzęt sowiecki był pośledni. Używanie jako bombowca takiego Po-2 w 1944 roku trudne jest do wiary.

Ludowe lotnictwo Polskie poniosło smutne konsekwencje zależności od lotnictwa sowieckiego. Marne szkolenie, złe maszyny, prymitywne sposoby myślenia. Wierzę, że wielu z początkujących w 1944 roku lotników Ludowego lotnictwa, jest obecnie wybitnymi w swoim zawodzie. Inaczej było w tamte sierpniowe dni.

Równie niezdrowe były polityczne ambicje nagłej rozbudowy polskiego lotnictwa. Lotnictwo, dobre lotnictwo, buduje się la-

tami. Czy nie lepiej było zacząć od paru eskadr, korzystając dla potrzeb armii z usług sowieckiego lotnictwa? Stworzono lotnictwo o czterech dywizjach, o którym każdy wie, że było polskie tylko z nazwy. Na spolszczenie musiało czekać długie lata wojenne.

Uważam za obowiązek podanie tych kilku uwag. Może, choć odrobinę, przyczynią się do ustawienia zagadnienia w odpowiedniej proporcji historycznej.

Tymczasem wróćmy do 1-ej Armii. Pozostawała ona na przyczółku warecko-magnuszewskim do dnia 12 września. Rozkazy Frontu skierowały ją na odcinek warszawski. Już przedtem, bo w nocy z dnia 1 na 2 września odeszła na zdobywanie Pragi 1-sza dywizja. Zaczynał się dla Ludowej armii okres powiązany ściśle z powstaniem w Warszawie.

Wojskowym powodem przesunięcia 1-ej Armii była sytuacja prawego skrzydła 1-ego Frontu Białoruskiego. Niemiecki przyczółek w widłach Wisły i Bugu-Narwi musiał być zlikwidowany przed podjęciem dalszych działań przekroczenia Wisły i ofensywy w kierunku na Odrę. W związku z tą decyzją przesunięcia z południa na północne skrzydło Frontu są całkowicie zrozumiałe. Niemiecki przyczółek obejmował swoim południowym skrajem prawobrzeżne przedmieście Warszawy — Pragę. Skierowanie na ten właśnie odcinek polskiej armii miało posmak pięknego gestu Rosjan w stosunku do Polaków: pozostawienie im honoru odbicia własnej stolicy. Ten piękny gest krył w sobie inny element polityczny — możliwość zlikwidowania „prołondyńskiego” ośrodka warszawskiego rękami wojska Ludowego. Jakikolwiek były pobudki władz sowieckich, ich decyzja użycia 1-ej Armii na kierunku Pragi, wydaje się, z ich punktu widzenia, słuszną.

Natomiast, całkiem mgliście przedstawia się kwestia kto taką decyzję podjął. Naczelnym Dowódcą Ludowego Wojska Polskiego, ówczesny generał, Michał Rola-Żymierski, na posiedzeniu PKWN dnia 15 września oświadczył: „13 września wyjechałem do marszałka Rokossowskiego. Omówiłem tam cały szereg spraw m.in. sprawę rzucenia I Armii na Warszawę...”. Nie mógł Żymierski „omawiać” tego zagadnienia, co najwyżej mógł być poinformowany o zapadłej decyzji, bo jak wiemy, I-a Armia została skierowana na odcinek praski w przeddzień 12 września. Przyпускаjąc, że decyzja wyszła od władz sowieckich (sugerowana w czasie „arbitrażowych” wizyt członków PKWN u Stalina). Wydaje się wątpliwe, by dowódca 1-ego Frontu Białoruskiego powziął taką decyzję bez rozkazów z góry².

2. Patrz: Edward Puacz: Powstanie Warszawskie w Protokółach PKWN, *Zeszyty Historyczne*, Zeszyt Dziesiąty, Instytut Literacki, Paryż.

Wpływowi Żymierskiego na decyzję wydaje się także przeczyć fakt, że już w nocy z 1 na 2 września, rozkazem Frontu, 1-sza dywizja została wycofana z 1-ej Armii i w ramach 125 KA 47 Armii sowieckiej działała na kierunku praskim. Prawdopodobnie władze ludowe dowiadywały się o zapadłych decyzjach po fakcie, a konferencje Żymierskiego z Rokossowskim były formą kurtuazji bez wpływu na wypadki.

1-sza Dywizja piechoty, po przejściu pod komendę generała N. Gusiewa dowódcy 47-ej Armii sowieckiej, otrzymała zadanie przełamania obrony niemieckiej na południe-wschód od Pragi, wyjścia na Wisłę i uchwycenia mostów. Działała jako kierunkowa dywizja 125 korpusu gen. Kuźmina. Prawym sąsiadem była sowiecka 76 dywizja, lewym — 175. Ogólny kierunek natarcia dywizji był: Międzylesie-szosa Zielona-Wawer-Praga-brzeg Wisły. W nocy z 8 na 9 września zajęła dywizja pozycje wyjściowe. Natarcie ruszyło rankiem dnia 10 września. Dowodził gen. Wojciech Bewziuk (dowódca artylerii dywizji pod Lenino). Nie wiem jakim Polakiem, lub w jakim stopniu Polakiem, był gen. Bewziuk. To pewne, że jako dowódca był stworzony z dobrej gliny. W ciągu kilku pierwszych godzin rozbija dywizja niemiecki 70 pułk piechoty i zdobywa na stanowiskach ogniowych działa 173 pułku artylerii. W drugim dniu natarcia dywizja podeszła pod Kawęczyn i Grochów. Natarcie szło w nocy by 12-ego osiągnąć punkt szczytowy bitwy o Pragę. W tym dniu, nadając tempo skrzydłowym dywizjom, Dywizja zajmuje Kawęczyn, Antoninów, Elsnerów, stację kolejową Utrata i przenika w głąb Grochowa. Wieczorem wychodzi przeciwuderzenie niemieckiej 19 dywizji pancernej, na wysuniętą w przód Dywizję. Prawie cała artyleria dywizyjna prowadzi przeciwczołgowy ogień na wprost. Uderzenie załamuje się, Niemcy rozpoczynają walki opóźniające w celu zyskania na czasie do wysadzenia mostów.

Wieczorem, dnia następnego, 13-go, dywizja przekracza kolejowy nasyp na południe od stacji Praga i osiąga praski port rzeczny. Sąsiedzi nacierają na Saską Kępę, względnie osiągają Targówek. W wyniku niepowodzenia w walkach o Pragę redukują Niemcy przyczółek do linii Annopol — kolano Narwi pod Zegrzem.

W nadziei uchwycenia mostów nie naruszonych, zdobywa się Dywizja na następny wysiłek i prowadzi natarcie w nocy na 14 września. Nad ranem tego dnia otrzymuje wsparcie czołowych oddziałów nadciągającej I-ej Armii, a mianowicie 1-ej Brygady pancernej i 13-go pułku artylerii przeciwpancernej. Mimo szalonego wysiłku, główny cel taktyczny Dywizji — mosty — nie został osiągnięty. Niemcy wysadzili mosty, tak kolejowy pod Cytadelą, jak i Kierbedzia. Jednak walki Dywizji (i jej sąsiadów)

doprowadziły do skurczenia nieprzyjacielskiego przyczółka, a zajęcie brzegu Wisły na praskim odcinku tworzyły warunki do forsowania rzeki i dania pomocy Warszawie.

Do walki o Warszawę wkraczała I-sza Armia wzmocniona 4-tą dywizją piechoty ściągniętą z rejonu Lublina.

Naczelne Dowództwo w rozkazie nr 25 z dnia 15 września nakazywało: „jednostkom WP walczącym o Warszawę wyteżyc wszystkie siły dla wyzwolenia Warszawy”. Jednocześnie powtórzało za odezwą PKWN:

„Dopiero teraz zaistniał właściwy moment do powstania w mieście. Gdyby powstanie wybuchło teraz w porozumieniu z Dowództwem Armii Czerwonej i Wojska Polskiego, mogłoby ocalić mosty, przyczynić się do szybkiego wyzwolenia całej Warszawy, ocalić życie setek tysięcy ludzi”.

„Szef sztabu I Frontu Białoruskiego gen. M. Malinin już 11 września rozkazał by 8. armia gwardii do świtu 12 września złuzowała I armię WP, która do 13 września miała ześrodkować się w rejonie Garwolina”.

Wszystkie mosty oddano do dyspozycji Armii ściągającej z przyczółka wareckiego i w nakazanym terminie Armia osiągnęła Garwolin. Zadaniem Armii miało być zdobycie Pragi. Zadanie stało się nieaktualne wskutek wcześniejszego zajęcia Pragi. Zmienione zadanie I-ej Armii nakazywało wyjście na Wisłę w rejonie Pelcowizna — Zbytki i przygotowanie forsowania dla zdobycia przyczółków na lewym brzegu. Jednocześnie 70 armia (sowiecka) miała nacierać na Legionowo, a 47 A. forsować Wisłę między Jabłonką i Pelcowizną w celu utworzenia przyczółków w rejonie: Kiepin, Łomianki, Młociny.

Zwracam uwagę, że Armia miała zadanie „przygotowania forsowania”. Jednak gen. Berling zdecydował forsowanie „z marszu”. „Decyzja natychmiastowego forsowania Wisły, wywołana dążeniem do jak najszybszego okazania pomocy walczącej Warszawie, prowadziła do improwizowanego działania”. Zdaje się, że Berling, wobec spodziewanych mniej pomyślnych decyzji politycznych, chciał postawić swoje władze przed faktem dokonany połączenia się z powstańcami stolicy. Decyzja okazała się błędna. Lewy brzeg rzeki posiadał silną, zorganizowaną obronę niemiecką, środki przeprawowe były zbyt szczupłe, zapasy amunicji artyleryjskiej nie wystarczające.

Do głównego forsowania wyznaczona została 3-cia dywizja na odcinku Saska Kępa, Czerniaków. Za nią miała się przeprawiać dywizja 1-sza. Forsowanie pomocnicze na kierunku Żoliborza prowadziła 2-ga dywizja.

„Na sukces można było liczyć jedynie wówczas, gdyby system obrony niemieckiej na lewym brzegu Wisły okazał się słaby i niepełny, w rękach

powstańców znajdowały się większe odcinki wybrzeża, zaś dowództwo powstania, mimo niewątpliwie ciężkiej sytuacji taktycznej poszczególnych rejonów obrony, współdziałało z forsującymi Wisłę". „W dniach walki o Pragę grupa korpusna von dem Bacha przyspieszyła działania mające na celu uchwycenie całego brzegu Wisły w rejonie Warszawy. ... Oddziały niemieckie uzyskały całkowitą kontrolę ogniewą nad lustrem Wisły”.

Historycy krajowi twierdzą, że forsujące oddziały nie otrzymały spodziewanego współdziałania ze strony powstańców. W wytycznych dla pułkownika Chruściela z dnia 12 września, gen. Bórkomorowski miał powtarzać swoją sierpniową instrukcję:

„...w wypadku wycofania się Niemców z Warszawy, w wyniku szerokiego radzieckiego manewru okrążającego, należy obsadzić miasto i, pozostawiając wolne trasy przelotowe, umocnić się w opionowanych rejonach. Natomiast w wypadku walk o Warszawę miano wziąć w nich udział częścią sił, resztą utrzymując zajmowane rejon. Rozkaz ten ponownie przypomniął o nieuznawaniu istnienia Wojska Polskiego (Ludowego Wojska Polskiego — przyp. T. N.)”.

„Koła lewicowe w Warszawie natomiast podkreślały decydującą rolę, jaką ma dla losów stolicy nawiązanie współdziałania z Armią Radziecką i Wojskiem Polskim”.

„17 września (w imieniu Połączonych Sił Zbrojnych AL, PAL, KB) płk Skokowski (PAL) i mjr Małcki (AL) przedstawili gen. Chruścielowi propozycję dalszego działania, polegające na skupieniu głównego wysiłku nad Wisłą, kosztem nawet oddania części miasta na zachód od ul. Marszałkowskiej. Propozycja ta nie została przyjęta”.

W nocy z 15 na 16 września ruszyła na przeprawę 3-cia dywizja z zadaniem utworzenia przyczółka na Czerniakowie. Akcja była wspierana przez lotnictwo sowieckie i 1-szą dywizję mieszaną o czym pomówimy oddzielnie.

Na Czerniaków przeprowadziły się dwa bataliony 9-go pułku piechoty, które nawiązały współpracę z powstańczą załogą. Niemiecki ogień zaporowy odciął te bataliony od prawego brzegu rzeki. Dla odciążenia Czerniakowa próbowano następnej nocy (17-18) przeprowadzić na kierunku Żoliborza. Przeprowadzona kompania 6-go pułku zaległa pod wałem wiślanym.

Dalej na północ niemiecki przyczółek w widłach Bugo-Narwi zagrażał skrzydłu 1-ej Armii zmuszając ją do ubezpieczania się częścią sił od tego kierunku.

„W tym czasie w bronionych przez powstańców rejonach Warszawy — Śródmieście północne i południowy Mokotów, a częściowo także na Żoliborzu — panował spokój. Komenda Główna AK wyczekiwała na wynik walk I armii WP o sforsowanie Wisły i przygotowywała się do jego politycznego wykorzystania”.

Gen. Berling decyduje przesunąć rejon forsowania na odcinek między mostem Poniatowskiego i Średnicowym. Oddziały po przeprawieniu się miały uderzać na południe i atakować od tyłu nieprzyjaciela walczącego z przyczółkiem czerniakowskim. Zgromadzono wszystkie resztki środków przeprawowych. 19 września po południu nastąpił początek operacji. Rezultat był gorszy od operacji czerniakowskiej. Pierwsze poszły bataliony 8-go pułku. Czołowemu udało się zaskoczyć nieprzyjaciela. Następny poniósł na przeprawie ciężkie straty. W ogniu zaporowym Niemców dalsze forsowanie okazało się niemożliwe i musiało być przerwane. Oba przeprawione bataliony odcięte i atakowane z obu skrzydeł zostały w dniu następnym (20. IX.) całkowicie zniszczone.

Jednoczesną próbę wzmocnienia przyczółka czerniakowskiego — również spotkało niepowodzenie. Nie udały się próby opanowania Kępy Goławskiej i Kępy Czerniakowskiej. Na samym Czerniakowie obrońcy tracili coraz więcej terenu. W nocy z 19 na 20 dowódca powstańczej załogi nakazał wycofywanie na Mokotów rannych i pozbawionych amunicji. Resztki załogi i batalionów 9-go pułku prowadziły dalej rozpaczliwą walkę.

Pewne powodzenie osiągnął 6-ty pułk w rejonie Potoku. W nocy 18/19 zdobył przyczółek i usadowił się na nim dwoma batalionami.

„Walka na tym przyczółku toczyła się w niewielkiej odległości od powstańców, którzy jednak, mimo nawiązania z nimi łączności, zachowali się biernie”. Mimo pierwotnego powodzenia obrona Potoku uległa dnia 21. IX.

W związku z niepowodzeniem sforsowania Wisły także i innych armii Frontu, otrzymała 1-sza Armia rozkaz (22. IX.) do przejścia do obrony na odcinku Pelcowizna-Karczew. Z lewego brzegu zdołano wyewakuować jedynie resztki przeprawionych batalionów wraz z grupkami powstańców.

Dalsza pomoc powstaniu mogła się wyrazić jedynie w ogniu artyleryjskim i zrzutach lotniczych.

Rzecz jasna, powyższy przebieg wypadków podają za krajowymi historykami. Ocenę słuszności ich stanowiska pozostawiam czytelnikom.

W działaniach forsowania Wisły wsparcie lotnicze zapewniała Armii sowiecka 16 armia lotnicza, a w szczególności 1-sza mieszana dywizja lotnictwa ludowego. Aż do końca wojny będzie 1-sza dywizja dzieliła losy Armii.

Działania na kierunku praskim rozpoczyna 2-gi pułk nocnych bombowców wieczorem dnia 11 września bombardowaniem nieprzyjaciela w rejonie Nowego Bródna. Następnej nocy, wspólnie z sowiecką 9-tą dywizją nocnych bombowców, rozpoczyna pułk

zrzuty dla powstańców. Tej nocy rzucono na rejony zajmowane przez powstańców zawiadomienia o mających nastąpić zrzutach. Zrzuty właściwe nastąpiły w nocy z 13. IX.

W miarę angażowania 1-ej Armii w walkach o przyczółki, do akcji wchodziły pozostałe pułki dywizji. Nasilenie lotów wzrasta, przy czym największy ciężar dźwigają nocni bombowcy. W okresach: 13-19. IX. i 23-28. IX. załogi pułku pracują co noc. W nocy z 14. na 15. IX. 23 załogi wykonały 125 lotów. W okresie od 23. do 29. września wykonały pułki dywizji: myśliwcy — 216 lotów; nocni bombowcy — 1510 lotów i szturmowcy — 253 loty. W tym okresie zrzucano, 23,2 ton bomb i wystrzelono 107.863 sztuk amunicji pokładowej.

Wśród strat zadanych nieprzyjacielowi miały być: 13 baterii polowych, 2 baterie przeciwlotnicze, 244 samochody, 2 baterie moździerzy, skład paliwa i wiele innych obiektów.

Zrzucano dla powstańców (2-gi pułk łącznie z sowiecką 9-tą dywizją) między 13 września i 1 października:

13 ton żywności, 1 działko 45 mm., 505 PTR (ppanc.), 156 moździerzy, 1.478 pistoletów masz., 1.189 kb., pociski, granaty, miny i ponad 3 miliony amunicji do kb. i pistoletów. Prócz tego: machorkę, papierosy, lekarstwa, sprzęt łączności.

Zrzuty miały być dokonywane z wysokości do 100 metrów i spadały do rejonów zajmowanych przez Polaków.

Jeżeli podane cyfry są ścisłe, wysiłek dywizji był imponujący.

Jednocześnie były niedociągnięcia i to niespotykane w lotnictwie. W noc z 15 na 16 września 2-gi pułk nie wykonał zadania w nakazywanym czasie z braku paliwa. Była to dopiero czwarta noc akcji pułku. Front ustalił się na Wiśle od tygodni; linie zaopatrzenia winny były być ustabilizowane. Na całym świecie jednostki lotnicze mają, prócz pełnych zbiorników, kilka (zależnie od organizacji i szczebla — 5-6) napełnień „na kołach”. Ponieważ obsługa i zaopatrzenie Dywizji wykonywały organy sowieckiej 16 armii lotniczej, ani Polacy, ani dowództwo Dywizji nie ponosi winy. Winą winniśmy obciążyć sowiecki system zaopatrzenia.

Jak powiedziałem, rozkazem z dnia 22 września próby forswania Wisły przez I AWP zostały przerwane i od dnia 23. IX. przechodzi Armia do obrony. Odcinek od Pelcowizny po Karczew wynosił 29 kilometrów. Pierwszą linię obsadzili: 2-ga dywizja na prawym i 4-ta na lewym skrzydle. 1-sza i 3-cia dywizje, oraz brygada kawalerii stanowiły drugą linię.

Główny wysiłek obrony, a zarazem ograniczone działania zaczepne, skupiały się na skrzydle prawym zagrożonym przez południowy skraj niemieckiego przyczółka w widłach Bugu i Narwi.

Dla zlikwidowania zagrożenia 1-sza armia wspólnie z 47 armią sowiecką rozpoczęła w dniu 10 października działania zaczepne w kierunku Jabłonny i Legionowa. Po długich walkach, w obliczu coraz bardziej wzrastającego oporu, dywizje posuwały się naprzód. 28 października padła Jabłonna. Jednocześnie oddziały 47 armii przeszły szosę Jabłonna — Legionowo. Opór 4-go korpusu SS tak stężał, że dalsze natarcie musiano przerwać. Armia przechodzi ponownie do obrony, teraz na linii Jabłonna-Karczew. Podejście dalsze działania zaczepne dopiero w styczniowej ofensywie 1945 roku.

W opisanych działaniach generał Berling nie dowodził Armią. W dniu 4 października z rozkazu naczelnego dowództwa objął 1-szą Armię jej dotychczasowy szef sztabu gen. bryg. Władysław Korczyc. Przekazuje ją generałowi dyw. Stanisławowi Popławskiemu w dniu 19 grudnia tego roku.

Od 12 stycznia 1945 roku ruszyły natarcia frontów rosyjskich. Kolejno wchodziły do akcji zaczepnej: 1 Ukraiński, 3 Białoruski, 1 i 2 Białoruski, wreszcie 4 Ukraiński. Obrona niemiecka została przełamana. Nastąpił pościg.

1-szy Front Białoruski uderzał w pasie około 270 kilometrów (od Dębe na Bugu-Narwi po Józefów nad Wisłą). Operacja Frontu (tak zwana warszawska) zasadzała się na działaniach silnych skrzydeł mających uchwycić w kleszcze obronę rejonu Warszawy. W tym celu z przyczółka magnuszewsko-puławskiego ruszyła 61 armia wsparta 1-szą i 2-gą armiami pancernymi w kierunku na Sochaczew. Na północ od Warszawy, 47 armia forsuje Wisłę i wychodząc na puszcę Kampinoską, kieruje się na Błonie. 16 stycznia wychodzi 47 armia na linię Sady-Janówek. Tegoż dnia południowe skrzydło frontu zdobywa Górę Kalwarię i podchodzi pod Sochaczew.

Wobec powodzenia operacji rusza naprzód centrum ugrupowania Frontu, czyli I AWP mająca zadanie zdobycia Warszawy.

Swoje zadanie rozwiązał dowódca Armii również przez podwójne oskrzydlenie. Z rejonu Góry Kalwarii (świeżo zdobytej przez 61 armię) rusza główne uderzenie w składzie 1, 3 i 4-ej dywizji oraz brygady pancernej z zadaniem natarcia na Warszawę od południa. Pomocnicze natarcie wykonuje 2-ga dywizja wsparta 3-cią brygadą haubic. Forsuje ona Wisłę pod Jabłonną i uderza na miasto od północy. 6-ta dywizja z brygadą kawalerii i rozpoznawczym batalionem armii — wiąże nieprzyjaciela od czoła na całym froncie armii od Jabłonny po Górę Kalwarię.

16 stycznia forsuje Wisłę 2-ga dywizja (Kępa Kiełpińska) i rozwija natarcie wzdłuż Wisły. Również, na zachód od Karczewa przechodzi rzekę 1-sza brygada kawalerii.

W nocy, siły główne przechodzą Wisłę pod Górą Kalwarią, a 6-ta dywizja w rejonie Bielán, Siekierék i Wilanowa. Od rana idzie natarcie na stolicę. 2-ga i 6-ta dywizje walczą w mieście. W ciągu dnia Warszawa była oczyszczona od Niemców.

C z ę ś ć III

19 stycznia odbyła się w Warszawie defilada. Brały w niej udział 1-sza i 2-ga dywizje piechoty. Wyobrażam sobie że scena musiała być makabryczna tak dla uczestników, jak i widzów. Pogorzeliska, popioły, osmolone ruiny. Smętne resztki mieszkańców żyjących życiem jaskiniowców. Poczucie zupełnej zależności od ZSSR. Nie, defilada nie mogła być pogodnym zdarzeniem.

Musimy znowu omówić szereg zmian organizacyjnych zaszłych w rozwoju LWP. W operacji warszawskiej 1-sza AWP występowała w stanie powiększonym. W skład jej wchodziły: dywizje: pięć piechoty (1, 2, 3, 4 i 6-ta), artylerii przeciwlotniczej, lotnicza; brygady: pancerna, kawalerii, pięć artylerii, dwie saperów; samodzielne pułki: ciężkich czołgów i artylerii pancernej; oraz szereg oddziałów broni i służb.

28 stycznia zakończy formowanie 2-ga Armia WP. Jej skład stanowią (według zestawienia z 5 kwietnia 45): dywizje: pięć piechoty (5, 7, 8, 9 i 10); przeciwlotnicza (3-cia); brygady: dwie artylerii i jedna saperów etc.

Do składu 2-ej armii należy zaliczyć przydzielone z naczelnego dowództwa: Korpus pancerny, 2-gą dywizję artylerii i 1-szą brygadę moździerzy.

Korpus pancerny składał się z brygady zmotoryzowanej piechoty i trzech brygad pancernych (Nry: 2, 3, 4), artylerii etc. Przy korpusie występowała 16-ta brygada czołgów w składzie 5-go pułku ciężkich czołgów i 28 pułku artylerii samochodowej.

Rozkazem z dnia 10 października zostało powołane do życia Dowództwo Lotnictwa WP. W skład Wojsk Lotniczych wchodzi 1-szy Korpus Lotniczy mieszany (dywizje: szturmowa, myśliwska i bombowa), 4-ta dywizja mieszana (dawna 1-sza), pułki: 12-ty sanitarny, 13-ty transportowy i 17-ty łącznikowy etc.

Dowódcą lotnictwa mianowano gen. dyw. Teodora Połynina, byłego dowódcę 6-ej sowieckiej armii lotniczej, która stanowiła kadrę powstającego Dowództwa Lotnictwa WP. Pilot myśliwski, gen. Połynin „odznaczył się w walkach o wolność ludu hiszpań-

skiego przeciwko faszyzmowi oraz w walkach z Japończykami nad jeziorem Chasan; za wykazaną odwagę otrzymał wówczas tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Od chwili napaści Niemiec hitlerowskich na Związek Radziecki brał udział w walkach, dowodząc jednostkami lotniczymi”.

Jego zastępcą do spraw politycznych został gen. bryg. Andrej Wywołokin, a do spraw wyszkolenia bojowego — gen. bryg. Kuźma Dmitiew. Szefem sztabu był gen. bryg. Konstanty Tielnow, z zastępcą do spraw politycznych — płk. Wasylem Ustiuszanin i głównym inżynierem gen. bryg. Włodzimierzem Koblikowem.

Dowódcą 1-go korpusu lotniczego został gen. bryg. Agałcow z zastępcą do spraw politycznych — płk. gw. Dubrowiczem i szefem sztabu — płk. gw. Drzemaszkiewiczem. 1-szą dywizję bombową objął „Bohater Związku Radzieckiego” ppłk. Martynow z zast. do spraw polit. Bogatowem. 2-gą dywizją szturmową dowodził płk. Drzemaszwili z szefem sztabu ppłk. Mierzelikinem i starszym inżynierem mjr. Nazarenko. 3-cią dywizję myśliwską objął płk. Chłusowicz z zastępcą do spraw polit. ppłk. Kunderowem.

W końcu 1944 roku powstaje Szkoła Lotnicza WP. Jej komendantem jest gen. bryg. Józef Smaga, jego zastępcą do spraw polit. mjr. Sysojew, szefem sztabu ppłk. Naganow i dyrektorem oddziału szkolenia — ppłk. Dymitr Złotoustow.

Etat szkoły pozwalał na szkolenie: w personelu latającym: 240 pilotów, 60 nawigatorów, 30 strzelców-radiotelegrafistów i 30 strzelców pokładowych. Obsługi ziemnej: 250 mechaników samolotowych, 100 rusznikarzy, 100 mechaników silnikowych, 90 majstrów uzbrojenia, 20 mechaników sprzętu pokładowego, 20 radiomechaników, 20 elektromechaników i 50 innych specjalności.

Wracam do działań operacyjnych.

Nie było dane 1-ej armii pozostawanie zbyt długo w stolicy. W dniu tamtej smutnej defilady, elementy armii rozpoczęły dalszy marsz w kierunku Odry. Szły w drugim rzucie 1-go Frontu Białoruskiego. Działający na prawym brzegu Wisły 2-gi front Białoruski uderzał w kierunku Elbląga z zadaniem odcięcia nieprzyjaciela pozostającego w Prusach Wschodnich. Rozbieżne kierunki działań stworzyły lukę między obu Frontami. Zadaniem Armii, postępującej za prawoskrzydłową sowiecką armią 47-ą, było ubezpieczyć styk między tą armią a lewoskrzydłową 70-ą armią 2-go Frontu.

W tym celu dowódca Armii wydzielił zgrupowanie ubezpieczające w składzie 3 i 6 dywizji które idąc wzdłuż Wisły wiązało luźne skrzydła obu Frontów zajmując kolejne pozycje obronne na

wysokości: Wyszogrodu, Płocka, Włocławka, wreszcie na północ od Bydgoszczy. Reszta Armii, jako zgrupowanie marszowe, posuwała się po trasie: Sochaczew-Gostynin-Brześć Kujawski, by w dniach 24 i 25 stycznia wesprzeć 47 armię sowiecką w zdobywaniu Bydgoszczy. W tym czasie, skrajna, 70 armia ze składu 2-go Frontu Białoruskiego podeszła pod Toruń zamykając tym dotychczasową lukę. Powyższa operacja 1-ej Armii nosi oficjalną nazwę: Marsz — manewr I AWP.

Po osiągnięciu Bydgoszczy, stanęło przed 1-szą Armią nowe zadanie — przełamanie obrony *Pommernstellung*, czyli Wału Pomorskiego. Wał Pomorski wchodził w skład systemu umocnień dawnej granicy hitlerowskiej Rzeszy. Pomyślany początkowo jako osłona ewentualnej koncentracji, budowany od 1934 roku, zmienił swoje przeznaczenie i rozbudowany w 1944 roku, miał teraz służyć do bezpośredniej obrony Rzeszy.

Muszę w tym miejscu wtrącić uwagę techniczną. Akcja wkrocza na ziemie „odzyskane”. W omawianym okresie czasu geograficzne nazwy tego obszaru były niemieckie. Autorzy krajowi posługują się wyłącznie (lub prawie wyłącznie) nazwami obecnymi, polskimi. Nie mam zastrzeżeń co do słuszności ich stanowiska. Ponieważ jednak, autorzy opracowań cudzoziemskich (zwłaszcza niemieckich) posługują się nazwami dawnymi, konfrontacja opracowań staje się utrudnioną. Dla ułatwienia czytelnikom postaram się o umieszczanie niemieckich nazw w nawiasie za polskimi.

W ostatnich dniach stycznia 1945 roku ogólna sytuacja na północnej części 1-go Frontu Białoruskiego wyglądała, w ogólnych zarysach, następująco.

Natarcie głównych sił Frontu w kierunku na Poznań-Berlin rozwijało się pomyślnie. 25 stycznia 62-tysięczny garnizon Poznania został odcięty. Front dochodzi do Odry i do 3 lutego opanowuje przyczółki pod Kostrzyniem (Küstrin) i Frankfurtem a.O. Droga na Berlin stoi otwarta, ale prawe skrzydło Frontu pozostaje zagrożone. Taka sytuacja jest wywołana przez wolniejsze posuwanie się 2-go Frontu Białoruskiego (na skrzydle prawym) uwikłanego w ciężkie walki na Pomorzu w kierunku północnym w celu odcięcia nieprzyjaciela broniącego się w Prusach Wschodnich. 1-szy Front Białoruski, zanim mógł posuwać się na kierunku berlińskim, zmuszony był do zlikwidowania nieprzyjaciela wiszącego nad jego prawym skrzydłem. Tym nieprzyjacielem była obrona Wału Pomorskiego.

W wykonaniu, prawe skrzydło 47 armii działającej na Piłę (Schneidemühl) zostało przedłużone przez 1-szą armię WP działającą na Złotów (Flatow), Jastrowie (Jastrow), Szczecinek (Neustettin). W działaniu współpracowała Armia z 3 armią ude-

rzeniową (kierunek: Kamień, Debrzno (Pr. Friedland) i 2 korpusem kawalerii gwardii (kierunek: Bydgoszcz, Szczecinek).

30 stycznia pod Sępólnem i Więcborkiem, przekracza Armia dawną granicę polsko-niemiecką. Rankiem, następnego dnia odbywa się pierwsza walka o Wał Pomorski — 11 pułk piechoty wypiera Niemców ze Złotowa (Flatow). Podejście do rzeki Gwdy (Küddow) oznacza styczność z pozycją przednią (przesłaniania) Wału. Walka toczy się na odcinku: Jastrowie-Podgaje. Biorą w niej udział: 1-sza i 6-ta dywizje i Br. Kawalerii. Walka jest zacięta a trudności powiększają się przez brak wsparcia artylerii i broni pancernej. „... duże tempo marszu i ciężkie warunki atmosferyczne (zawieje, zasy pył na drogach) zdeorganizowały dowództwo i zaopatrzenie w paliwo”. Ostatecznie, pas przesłaniania został zdobyty do dnia 3 lutego.

W tym czasie, 4. DP. obeszła Jastrowie od południa i nawiązała styczność z pozycją główną w rejonie m. Szwecja. Próba przełamania z marszu nie osiągnęła powodzenia. Od 4 lutego stanęła Armia w obliczu pozycji głównej, mając w pierwszym rzucie 4-ą i 6-ą, a w drugim 1-ą i 3-ą dywizję, oraz Br. Kaw. 2-ga dywizja, przekazawszy garnizon Warszawy jednostkom 2-ej AWP, maszerowała do bitwy.

Pas natarcia Armii wynosił 15 kilometrów i ciągnął się od m. Nadarzyce po m. Szwecja. Na odcinku tym Niemcy dysponowali 35-ma żelbetowymi schronami.

Po długich i ciężkich walkach, udało się 11 pp z 4-ej dywizji przebić pozycję. Stało się to w rejonie jeziora Dobre, w terenie mniej ufortyfikowanym, bo silnie zabagnionym. W wyłom weszła 4-a, a następnie 1-a i 3-a, wreszcie 2-a dywizje. Przełamanie miało głębokość 12 kilometrów. Manewr przez wyłom pozwolił z kolei wymanewrować najsilniejszy punkt obrony — Nadarzyce. Wykorzystując powodzenie, zgrupowanie 1-ej i 2-ej dywizji wspartych artylerią i czołgami, zdobyło po walkach Mirosławiec (Märkisch Friedland) dnia 10 lutego. Tegoż dnia, 4-a dywizja wsparła lewoskrzydłową armię 47-ą, przecinając szosę Wałcz (Deutsch Krone) — Mirosławiec i odcinając odwrót obronie Wałcza.

Zgrupowanie spod Mirosławca uderzyło w dniach 11 i 12 w kierunku północnym. Po dojściu do następnej, ryglowej pozycji niemieckiej, zgrupowanie i cała armia stanęły i przeszły do czasowej obrony która trwała do 28 lutego.

Sowieckie naczelne dowództwo uznało pomorską operację za ukończoną. Likwidację niemieckiej grupy armii „Wisła” miał dokończyć 2-gi Białoruski, gdy 1-szy Front Białoruski zwróci swój wysiłek na zasadnicze zadanie — operację berlińską.

Kalkulacje okazały się mylne, Niemcy trzymali się twardo. Mimo utracenia głównych umocnień Wału Pomorskiego, mimo wbitego głęboko w ugrupowanie niemieckie klina 1-go Białoruskiego, który sięgał na zachód aż po przyczółki na Odrze — Grupa armii „Wisła” nie zamierzała opuszczać Pomorza.

Likwidacyjne natarcie 2-go Frontu Białoruskiego, wychodzące z rejonu Bydgoszcz-Grudziądz, miało uderzać na Gdańsk, Gdynię i na kierunku Szczecina. W rzeczywistości utknęło na linii: Gniew (nad Wisłą), Czersk, Chojnice. Próby odciążenia, podjęte przez wojska prawego skrzydła 1-go Białoruskiego, spotkały silne przeciwnatarcia niemieckie wychodzące z rejonu Stargardu które osadziły je na miejscu.

W tej sytuacji, a także spotkawszy opór na Śląsku, naczelne dowództwo sowieckie decyduje odłożenie operacji berlińskiej do czasu zabezpieczenia skrzydeł. Do operacji na Pomorzu użyto prócz 2-go Frontu Białoruskiego, elementy prawego skrzydła 1-go. Plan działania przewidywał uderzenie wojsk 1-go i 2-go na kierunku Kołobrzeg (Kolberg) i Koszalin (Köslin). Wykonanie operacji przecinało ugrupowanie niemieckie i dawało wyjście na morze. W dalszym ciągu operacji zgrupowanie 2-go Frontu miało zwrócić się w kierunku wschodnim uderzając na Gdynię, Gdańsk. Wojska 1-go Frontu idąc przez Kamień Pomorski (Kammin), wychodziły na Zalew Szczeciński, dolną Odrę.

I AWP idąc, z 2 korpusem kawalerii gwardii, na styku obu Frontów, uderzała z rejonu Nadarzyc w ogólnym kierunku na Białogard (Belgard). (Prócz I AWP w operacji brały udział związki z odwodu Naczelnego Dowództwa WP, a mianowicie: 2-ga dywizja artylerii i 1-a samodzielna brygada moździerzy. Współdziałały one z armiami sowieckimi).

Zgrupowanie 2-go Frontu Białoruskiego, którego uderzenie rozpoczęło się 24 lutego, uzyskało powodzenie na kierunku Sępólno-Bobolice (Bublitz). W dniu 3 marca wyszło na Bałtyk na północ od Koszalina (Köslin). Ubezpieczając się od zachodu, przez Darłów (Rügenwalde) uderzyło w kierunku wschodnim.

Działania zaczepne 1-go Frontu Białoruskiego zaczęły się w dniu 1 marca w kierunku na Trzebiatów (Treptow), Kołobrzeg (Kolberg), Białogard (Belgard). Rano, dnia 4 marca elementy pancerne osiągnęły brzeg morski.

W ramach operacji, I AWP uderzyła 1 marca na pozycję ryglową Wału Pomorskiego przez Borujsko, Żabin. Po złamaniu oporu ruszyła 3 marca do pościgu opanowując w dniu 4-go Złocieniec i Drawsko (Dramburg). Działania Armii doprowadziły do zamknięcia okrążenia gros sił 10 korpusu SS w rejonie Świdwina (Schievelbein) (zlikwidowane do dnia 7-go).

Rezultatem operacji było całkowite rozbitcie grupy armii „Wisła”. 10 marca broniły się jedynie cztery luźne zgrupowania. Były to: Gdynia-Gdańsk, Kołobrzeg, Trzebiatów i Dąbie Szczecińskie (Altdamm). Likwidacja Kołobrzegu została powierzona 1-ej armii. Akcja planowana jako „oczyszczenie Kołobrzegu od nieprzyjaciela” natrafiła na mocny opór miasta przekształconego w twierdzę. Do akcji weszły kolejno 6-ta, 3-a i 4-a dywizje oraz 4-ty pułk ciężkich czołgów. Ostateczne opanowanie Kołobrzegu nastąpiło dopiero 18 marca.

Od dnia 19 marca przechodzi Armia do obrony wybrzeża morskiego od Kołobrzegu w kierunku zachodnim po Zalew Szczeciński i wschodnie brzegi rzeki Dziwny włącznie. W tym czasie, po 7 kwietnia włącznie, trwa intensywne szkolenie oraz akcja nadania „okręgom tym czysto polskiego charakteru”. Przygotowywano „teren dla mających tu przybyć Polaków”, uruchamiano wszystkie nadające się do eksploatacji przedsiębiorstwa, włączono oddziały do kampanii siewnej.

W innych rejonach Pomorza walki toczyły się dłużej. W działaniach o Dąbie Szczecińskie, trwających do 20. III., brały udział 2 dywizja artylerii i 1 brygada moździerzy.

Gdynię zdobyto 28 marca przy udziale 1-ej brygady pancernej im. Bohaterów Westerplatte. Opór na Kępie Oksywskiej trwał po 4 kwietnia i przeniósł się na Hel. Trwał do 9 maja.

Gdańsk skapitulował 30 marca. Najdłuższy opór stawiało Westerplatte. W walkach o Gdańsk również brały udział elementy 1-ej brygady pancerniej.

Walki o Pomorze kosztowały 1 Armię ponad 20 tysięcy krwawych strat.

W tym czasie osiągnęła gotowość bojową 2-ga Armia WP gen. Świerczewskiego. Pozostawała w odwodzie dowódcy 1-go Frontu Białoruskiego w rejonie Gorzowa Wielkopolskiego (Landsberg). Od dnia 20 marca, wraz z 2-gą dyw. artylerii i 1-szym korpusem pancernym, przechodzi Armia do dyspozycji 1-go Frontu Ukraińskiego. Po pierwotnym zgrupowaniu się w rejonie Wrocławia, przechodzi w początkach kwietnia w rejon Bolesławca (Bunzlau).

Nadszedł czas decydującej operacji — berlińskiej. Obie armie WP miały w niej udział. 1 AWP w składzie 1-go Frontu Białoruskiego, marszałka Żukowa, w składzie pomocniczego natarcia osłaniającego siły główne od północy. 2 AWP w pomocniczym natarciu 1-go Frontu Ukraińskiego osłaniającego go od południa. Dowódcą Frontu jest marszałek Koniew, 2 AWP — gen. Świerczewski. W skład armii wchodzi pięć dywizji piechoty (5, 7, 8,

9 i 10). Podporządkowane armii były: 1-szy korpus pancerny i 2-ga dywizja artylerii.

Zgrupowanie 1-ej AWP powiększyło się o podporządkowany jej 1-szy mieszany korpus lotniczy.

Łączny stan bojowy obu armii wynosił do 200 tysięcy żołnierzy, 3.100 dział i moździerzy, 500 czołgów i dział pancernych i 320 samolotów.

1-szy Front Białoruski uderzał głównymi siłami z przyczółka Kostrzyń w kierunku na Berlin, oskrzydłając miasto od północy i północnego zachodu. Osłaniając działania główne, 1 AWP forsowała Odrę z przedmościa rejonu Gozdowic (na połowie drogi między Dębno (Neudamm) i Wrzecień (Wriezen). Po sforsowaniu umocnień Odry i Starej Odry, rozwijała natarcie na zachód i w jedenastym dniu operacji wychodziła na Łabę.

Siły główne 1-go Frontu Ukraińskiego forsowały na północ od Żegania Nysę Łużycką i przez Spremberg wychodziły na Łabę i Drezno. Część wspierała 1-szy Front Białoruski w zdobyciu Berlina.

2 AWP po sforsowaniu Nisy Łużyckiej na wysokości Rothenburga, posuwała się po linii Rothenburg-Welka-Drezno. Jej lewe, południowe skrzydło przedłużała 52 armia sowiecka.

16 kwietnia ruszył do ofensywy 1-szy Front Białoruski. Po 1/2-godzinym przygotowaniu artyleryjskim ruszyła do akcji 1 AWP. 1-sza dywizja forsowała rzekę. 3-cia i 2-ga dywizje wykorzystały przyczółek sąsiedniej 47 armii wspierane w drugim rzucie przez 4-tą dywizję i brygadę kawalerii. Tego dnia wieczorem, mimo silnego oporu przeciwnika, zdołano połączyć oba uderzenia i stworzyć przyczółek. W rejonie Gozdowa stanął most pontonowy.

17-go wchodzi do walki na prawym skrzydle dywizja 6-ta. 18-go wychodzi armia na następny pas obrony — Starej Odry. Wykorzystując wysunięcie do przodu 47 armii, gen. Popławski związa uderzeniem z rejonu Wrzecień (Wriezen) 4-ej i 3-ej dywizji, obronę Starej Odry. 20 kwietnia Armia rozpoczyna pościg. 23. IV. forsuje Armia kanał Hohenzollernów. 24. IV. zajmuje linię obronną: Bernöwe, Oranienburg, kanał Ruppiner, Kremmen, Tietzow i Nauen. Prawe skrzydło Armii zwrócone jest na północ, lewe na zachód. Prawy sąsiad — 61 armia — przedłuża obronę wzdłuż kanału Finow. Zatrzymanie armii zostało spowodowane ruchami nieprzyjaciela mającymi na celu odsiecz Berlina.

25. IV. uderza na oddziały Armii armijna grupa Steinera z przyczółka Germensdorf na kanale Ruppiner. Walki toczą się do 29 kwietnia w którym Steiner zostaje ostatecznie wyparty na północny brzeg kanału.

W tym czasie toczą się już walki we właściwym Berlinie. Biorą w nich udział: 1-sza dywizja Kościuszki, 2-ga brygada haubic, 1-sza brygada moździerzy i 6-ty batalion pontonowo-mostowy.

W walkach w mieście 1-sza dywizja wspierała sowiecki 12 korpus pancerny gwardii i była pułkami przydzielona do brygad pancernych. Ich wspólnym zadaniem było ostateczne odcięcie dwu ostatnich ośrodków niemieckiej obrony. Mianowicie rejonu: kancelarii Rzeszy — południe Tiergarten i rejonu: Reichportfeld — zachodni brzeg Haveli między Spandau i Weinsee.

Dywizja wkroczyła do ciężkiej walki o miasto dnia 30 kwietnia. 2 maja po południu garnizon berliński skapitulował.

Reszta 1 Armii wznowiła działania zaczepne już dnia 26 kwietnia. Cekał ją szereg walk o kolejne przeszkody wodne z Havelą włącznie. Po ich złamaniu, w dniu 3 maja osiągnęła Armia Łabę pod Wulkau. Pierwszym na jej brzegu był 14-ty pułk piechoty 6-tej dywizji.

Również 16 kwietnia rozpoczął ofensywę 1-szy Front Ukraiński, a z nim 2 AWP. Przygotowanie artyleryjskie poprzedziło forsowanie Nysy. Plan gen. Świerczewskiego polegał na uderzeniu silnym lewym skrzydłem przy wiązaniu nieprzyjaciela na reszcie pasa działania. Na 4 kilometrowym odcinku: Rothenburg-Nieder Neudorf nacierały 8-ma i 9-ta dywizje wsparte prawie całą artylerią i mając w drugim rzucie dywizję 5-tą oraz korpus pancerny. Na reszcie pasa działania Armii 7-ma i 10-ta dywizje prowadziły działania wiążące.

(7-mą dywizją dowodził długoletni dowódca 4-go strzelców konnych — pułk. Mikołaj Prus-Więckowski. O jego tajemniczych początkach w służbie polskiej patrz: pamiętniki gen. St. Kopańskiego: *Moja służba w wojsku polskim 1917-1939*; Veritas 1965).

W wyniku trzydniowych walk, 2 AWP i jej lewy sąsiad 52 armia wbiły się w obronę niemiecką na głębokość 25 do 30 kilometrów. Armia mogła przejść do pościgu poprzedzana przez 1-szy korpus pancerny. Jednak bezpieczeństwo wiszących skrzydeł pozostawiało wiele do życzenia. Rzucona na kierunek Odernitz 8-ma dywizja, wraz z elementami korpusu pancernego i innymi formacjami, zlikwidowała w dniu 19 kwietnia zagrożenie. W dniu tym 9-ta dywizja osiągnęła Szprewę pod Klix, a 5-ta pod Neudorf. Elementy korpusu pancernego wyszły na autostradę Drezno-Budiszyn pod Prischwitz. 7-ma dywizja walczyła w rejonie Riettschen z obroną nieprzyjaciela zepchniętego na północ przez środek ugrupowania Armii. Wreszcie 10-ta dywizja sforsowała Nysę i w walce spychając nieprzyjaciela wolno posuwała się na zachód.

Widząc powodzenie 2 AWP na kierunku Drezna, na którym

Niemcy stawiali słaby opór, marszałek Koniew nakazuje przejąć osłonę przed skrzydłowym działaniem dywizji feldmarszałka Schörnera pod Odernitz 52 armii. 2 AWP ma wykorzystywać na Drezno.

21. IV. oddziały rozpoznawcze pancernego korpusu podchodziły do wschodnich przedmieść Drezna. Sąsiad lewy — 7-my korpus zmechanizowany gwardii — zdobył Budziszyn. Główne siły Armii stały na linii: Kamenz-Lichtenberg-Radeberg. Ale prawe sprzydło Armii (dywizje 7-ma i 10-ta) wyszły dopiero na Szprewę. Między zgrupowaniami powstała luka 50 kilometrowa.

Mimo beznadziejności położenia — Niemcy walczyli zaciekle. Znowu wykorzystują rozciągnięcie się ugrupowania rosyjsko-polskiego. Od północy idzie uderzenie od Reichswaldu przez rzekę Schwarzer Schöp (Wilhelmsfeld), zdobywa Klitten, Gutttau, Tauer. Nazajutrz, 22 kwietnia, osiąga Förstgen. Zgrupowanie południowe (Odernitz) spotyka opór w rejonie Niesky. Obchodzi od zachodu i łączy ze zgrupowaniem północnym. „Siły główne 2 armii zostały odcięte od sił działających na wschód od Schwarzer Schöps”.

Położenie gmatwało się. Niemcy nie zdołali odtworzyć obrony na linii Nysy Łużyckiej. Osiągnęli jednak duże miejscowe sukcesy. Zgrupowanie 1-go Frontu Ukraińskiego, a z nim 2 AWP, zmuszone zostało do wstrzymania natarcia na Drezno i do przewlekłych, ze zmiennym szczęściem prowadzonych, walk pod Budziszynem. Końcowym rezultatem było zatrzymanie się Armii na linii obronnej. Taki rozkaz wydał dowódca Armii 30 kwietnia. Linia obrony (tym razem skierowana na południe) przebiegała: Zescha, Luppédubrau, Droben, z 5-tą i 8-mą dywizjami w pierwszej i 9-tą (która przebiła się z drezdeńskiego kierunku) w drugiej linii. Dywizje 7-ma i 10-ta likwidowały kryzys nad Schwarzer Schöps i do dnia 3 maja osiągnęły linię Milkell Neudorf (nad Szprewą), Tauer. Próba niemieckiej 4-tej armii pancerniej zlikwidowania południowego okrążenia Berlina — została unicestwiona. Od Zescha po Förstgen trwał jednolity front sowiecko-polski zwrócony na południe.

Jeszcze trwały walki w Berlinie, kiedy Naczelne Dowództwo sowieckie wydawało rozkazy do nowej operacji zwanej „praską”. Celem było zajęcie zachodniej Czechosłowacji i rozbięcie reszty grup armii „Austria” (dawna Południe) i „Środek”.

Powody przeprowadzenia operacji były dwojakie. Dowództwo grupy armii Środek „... nie chciało się poddać wojskom radzieckim, lecz zamierzało w walkach wycofać się na zachód i kapitulować przed Amerykanami”. Drugim powodem był „... zamiar dowództwa sojuszników zachodnich przesunięcia wojsk amerykań-

skich w głąb Czechosłowacji do linii Łaby i Wełtawy, wyrażony w piśmie generała Eisenhowera z 4 maja do dowództwa radzieckiego, oraz wybuch powstania w Pradze...". (Jak dziwnie, w tym naświetleniu, wyglądają rozkazy Eisenhowera nakazujące 3-ciej armii amerykańskiej zatrzymanie się przed Pragą, zaszczyt zajęcia której należy się wschodniemu sojusznikowi. Jak słuszne, z amerykańskiego punktu widzenia, były przekleństwa miotane na głowy przełożonych: Eisenhowera i Bradley'a przez dowódcę 3-ej armii gen. George S. Patton jur.).

Opinia Pattona streszcza się w słowach: „*On the sixth it was definitely established that we were not to pass beyond the stop line running through Pilsen for greater distances than required by security reconnaissance — up to about five miles. I was very much chagrined, because I felt, and I still feel, that we should have gone on to the Moldau River and, if the Russians didn't like it, let them go to hell*”.

Operacja przewidywała zbieżne działanie trzech Frontów. 1-szy Ukraiński z kierunku Drezna na południe; 4-ty Ukraiński od wschodu na Ostrawę, Ołumuniec, Pardubice; 2-go Ukraiński z rejonu Bratysławy na Brno.

2 AWP w środku ugrupowania 1-go Ukraińskiego, rozwinęła się na linii ogólnej Kamenz-Klitten. Od linii Pirno (wył.) do Ebersbach (wył.) posuwała się wschodnim brzegiem Łaby na Mielnik, Pragę.

Natarcie Armii planowano na dzień 7 maja. Siły główne Frontu ruszyły o dzień wcześniej. 7 maja Niemcy byli już w odwrocie i gen. Świerczewski zamiast planowanego natarcia, zarządził pościg. W walce z opóźniającymi posuwanie tylnymi strażami przeciwnika, Armia posuwała się na południe. 8 maja wieczorem elementy pancerne osiągały Bad Schandau i most na Łabie.

„W myśl postanowień aktu kapitulacji wojska niemieckie winny były w dniu 8 maja o godz. 23.00 czasu środkowoeuropejskiego zaprzestać walk i zatrzymać się na osiągniętych rubieżach. Wbrew tym postanowieniom wojska grupy armii „Środek” na rozkaz feldmarszałka Schörnera kontynuowały odwrót. W tych warunkach 1, 4 i 2 Front Ukraiński nie zaprzestały pościgu i w dniu 9 maja rozwijały działania, aby zmusić wroga do złożenia broni”.

Dla 2-ej armii pościg i działania wojenne zakończyły się w dniu 10 maja o godzinie 10.00. Nakazał je dowódca Armii na rozkaz dowódcy 1-go Frontu Białoruskiego. Tego ranka oddział rozpoznawczy 16-ej brygady pancernej osiągnął północne przedmieścia Pragi.

Straty 2-ej Armii wyniosły za czas operacji 22.490 żołnierzy, w tym 4.189 zabitych.

Straty 1-ej Armii w operacji berlińskiej wynosiły: 10.074 żołnierzy, w tym 2.279 zabitych.

Działania bojowe Ludowego Wojska Polskiego dobiegły końca.

Stany Ludowego Wojska w maju 1945 roku wynosiły ponad 330.000 ludzi. Prócz dwóch armii w dyspozycji naczelnego dowództwa był szereg jednostek specjalnych, zapasowych i w trakcie formowania i organizacji. Wśród ostatnich cztery nowe dywizje piechoty (Nry: 11-14).

Dla dopełnienia obrazu Ludowego Wojska Polskiego pozostaje opis, chociaż z konieczności pobieżny, jego pokojowej organizacji. Nie są to ostatnie dane, ale sprzed trzech lat¹.

Trzy kluczowe stanowiska w siłach zbrojnych zajmują:

- minister: marszałek Polski Marian Spychalski (inż. arch.),
- szef Głównego Zarządu Politycznego: gen. dyw. J. Urbanowicz,
- szef Sztabu Generalnego: gen. broni Jerzy Bordziłowski (ze służby sowieckiej).

Państwo dzieli się pod względem wojskowym na trzy okręgi: Warszawski — obejmujący wschodnią część kraju; Pomorski — północno-zachodni, siedziba dowództwa Bydgoszcz i Śląski — południowo-zachodni, siedziba dowództwa Wrocław.

Ludowe wojsko dzieli się na: 1) armię lądową, 2) lotnictwo, 3) marynarkę wojenną, 4) wojska obrony przeciwlotniczej i 5) wojska bezpieczeństwa wewnętrznego. Całość (łącznie z wojskami ochrony pogranicza i korpusem bezpieczeństwa) obliczana jest na około 272.000 plus 45.000 Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Ochrony Pogranicza (w obu brygady pancerne).

Obowiązek służby wojskowej trwa od 20 do 50 roku życia. Czas trwania służby czynnej wynosi w armii dwa lata, w wojskach bezpieczeństwa wewnętrznego — 27 miesięcy, w lotnictwie, marynarce i wojskach obrony przeciwlotniczej — 3 lata.

Armia ma składać się z 14 dywizji, a mianowicie z 4 pancernych, 9 zmotoryzowanych i 1 powietrzno-desantowej. Czołgów 3.000.

Od oficerów wymaga się znajomości języka rosyjskiego.

Organizacja, uzbrojenie, wyposażenie, szkolenie, taktyka i doktryna wojenna — są całkowicie rosyjskie.

1. Dane bazuje na: *The Statesman's Year-Book 1966-7*, London, Macmillan & Co Ltd. Szereg innych danych czerpię z prasy i publikacji.

Lotnictwo posiada około 1.000 samolotów operacyjnych i 50.000 ludzi. Dzieli się na: trzy korpusy obrony powietrznej, dywizję bombową i dywizję współpracy z marynarką. Prócz tego istnieje szereg jednostek transportowych, śmigłowców (helikopterów) i szkolnych.

Korpusy obrony powietrznej wchodzą w skład Wojsk Obrony Powietrznej Kraju. Dowódcą jest gen. dyw. pil. Czesław Mankiewicz, szefem sztabu — gen. bryg. nawig. Jan Stamieszkin.

Korpusy i dywizja lotnictwa morskiego (dwupułkowa) latały w roku 1963 na myśliwskich samolotach MiG-15, -17 i -19, budowanych w kraju.

Trzypułkowa dywizja bombowa używała dwusilnikowych odrzutowców IL-28.

Sprzęt jest stale modernizowany. W 1964 roku, Główny Inspektor Lotnictwa powiedział: „Nasz sprzęt lotniczy ulega systematycznej modernizacji. Wystarczy wskazać, że w lotnictwie myśliwskim od 1945 roku piloci już 11-krotnie zmieniali typy maszyn bojowych. Ten proces trwa w dalszym ciągu”.

Głównym Inspektorem Lotnictwa jest od 1963 roku gen. dyw. pil. Jan Raczkowski, szefem sztabu Inspektoratu Lotnictwa — gen. bryg. nawig. Władysław Jagiełło.

Marynarka wojenna posiada (1963 r.) 3 niszczyciele, 7 okrętów podwodnych, 12 dużych i 10 przybrzeżnych trałowców (czy stawiaczy min?), 17 patrolowców, 40 ścigaczy torpedowych, około 30 jednostek desantowych i siedem okrętów pomocniczych.

Personel marynarki wynosi około 20.000 ludzi.

Obsada personalna nie jest mi znana.

W szkolnictwie, przygotowujące do szczebla oficerskiego, istnieją:

- korpusy kadetów (małoletni);
- oficerskie szkoły (uczniowie zachowali tytuł podchorążego);
- Wojskowe Akademie Techniczna i Medyczna;
- Wyższa Szkoła Marynarki Wojennej;

Studia wyższe:

- Akademia Sztabu Generalnego im. Generała Broni Karola Świerczewskiego;
- Wojskowa Akademia Polityczna im. Feliksa Dzierżyńskiego;

(wojskowe akademie: techniczna i medyczna prawdopodobnie zaliczane są do studiów wyższych, chociaż słuchacze ich są w stopniach podchorążych).

Istnieje tytuł naukowy doktora nauk wojskowych. Nie należy utożsamiać go z tytułem oficera dyplomowanego, nadawanym po skończeniu akademii. Zdaje mi się, że o tytuł doktora nauk wojskowych mogą ubiegać się zarówno wojskowi, jak cywilni.

Szkic dobiegł końca. Nie jest kompletny. Historia wojenna LWP opowiedziana jest, z konieczności, w wielkim skrócie. Dane o pokojowym rozwoju ze zrozumiałych powodów — więcej niż szczupłe. W całości — tylko i jedynie: próba historycznego zarysu.

Tadeusz NOWACKI

Wellington, N.Z., 30. XII. 1966.

RETINGER W POLSCE W 1944 R.

Mój list w *Kulturze* (Nr 5/223), na temat pobytu dra Retingera w Polsce w 1944 r., spowodował pewne poruszenie pomimo, że znaczna większość faktów w nim przytoczonych została już dość dawno opublikowana. Poruszenie to świadczyło o aktualności problemu, a jednocześnie było dowodem, że ludzie których to interesuje, nie są zorientowani w wypadkach i sensie całej ekspedycji.

Listy opublikowane na ten temat na łamach *Kultury*, a szczególnie list p. Eugeniusza Witta (Nr 9/227), mego kolegi z czasów wojennych, zobowiązały mnie w pewnym sensie do dokładnego zbadania okoliczności misji dra Retingera. Przemawiało też za tym osobiste przekonanie, że historycy i pamiętnikarze przebywający na Zachodzie niesłusznie przemilczają sprawę drażliwą z naszej niedalekiej historii.

Wyniki moich dociekań nie są bynajmniej kompletnym obrazem całej sprawy i dopóki dokumenty brytyjskie oraz dokumenty polskiego wywiadu i kontrwywiadu pozostają niedostępne nie mogą być kompletne. Również moje opracowanie nie pokrywa działalności masonerii, z którą prawdopodobnie dr Retinger był związany.

Badania moje nie były łatwe. Złożyło się na to wiele przyczyn. Misja Retingera była problemem kontrowersyjnym i z tego powodu wiele spraw załatwiano ustnie, skutkiem czego ilość dokumentów była niewielka. Później niektóre z tych dokumentów usunięto i najprawdopodobniej zniszczono, gdyż nie odnaleziono ich ani w Londynie, ani też najprawdopodobniej w Warszawie,

bo autorzy krajowi zapewne by je wykorzystali. Mój list w *Kulturze* odstraszył niektórych świadków historii, a inni uważają w dalszym ciągu sprawę misji dra Retingera za drażliwą i odmawiają udzielenia informacji, chociaż wiadomo, że sporo na ten temat wiedzą. Do jakiego stopnia temat ten jest uważany za drażliwy świadczą pełne niedomówień wypowiedzi niektórych pamiętnikarzy, jak np. Raczyński, Korboński, Pragier, czy Zaremba. Inni pamiętnikarze wolą wcale na ten temat nie pisać.

W tej sytuacji pragnę złożyć podziękowania osobom, które udzieliły pisemnych informacji, a w szczególności gen. drowi Marianowi Kukielowi i płk. dypl. Januszowi Bokszczaninowi. Jednocześnie pragnę podziękować następującym instytucjom za udostępnienie dokumentów: Studium Polski Podziemnej i Instytut Historyczny im. Generała Sikorskiego, jak również Bibliotece Polskiej w Londynie za wypożyczenie publikacji, z którymi musiałem się zapoznać.



Życie dra Retingera było tak urozmaicone a jego działalność tak kontrowersyjna, iż zasługuje on na obszerną biografię. Niniejsze opracowanie poświęcone jest pobytowi Retingera w Polsce w 1944 r. Natomiast całość jego życia jest potraktowana jako podłoże. Dane biograficzne pochodzą z drugiej ręki i nie były one przedmiotem moich studiów.

Pod koniec swego życia Retinger kompletował materiały do pamiętników i pozostawił po sobie 592 strony maszynopisu notatek spisanych po angielsku. Te „Notes” znajdują się obecnie w posiadaniu p. Jana Pomiana, który był ostatnim współpracownikiem Retingera. Starałem się uzyskać dostęp do tych „Notes”, ale bez skutku. Z konieczności więc opieram się na szkicu biograficznym pióra Denis de Rougemont z 1961 r. pt. *Tribute to a Great European J. H. Retinger*. Poza tym szkicem *Tribute* zawiera przedmowę księcia Bernarda holenderskiego, wspomnienia K. A. Jeleńskiego, Feliksa Topolskiego i Pietro Quaroni, oraz cztery listy, które ukazały się w *Times*’ie po śmierci dra Retingera, a między innymi list gen. Sir Colin Gubbins’a.

Istnieje nieporozumienie na temat pisowni nazwiska Retingera. Jedni piszą je przez jedno, a inni przez dwa t. Pod tym względem miarodajna jest książka o Conradzie, którą Retinger podpisał używając jednego t. Również nie jest jasne jak brzmiał pseudonim Retingera, Salamander, czy też Salamandra. W doku-

mentach i relacjach spotyka się zarówno jedną jak i drugą formę. Poniżej będę się posługiwał formą Salamandra.

Londyn, marzec 1967 r.

P.S. Maszynopis tego opracowania czytali dr J. A. Betley i J. Ciechanowski B.Sc. (Econ.). Pragnę podziękować im za pożyteczne komentarze, a jednocześnie pragnę podkreślić, że wszystkie opinie wyrażone w tym opracowaniu, jak również omyłki i niedociągnięcia są moje własne.

1. *Snobizm*

Józef Hieronim Retinger urodził się w Krakowie w 1880 r. Często spotyka się twierdzenie, iż był on pochodzenia żydowskiego. Nie jest to chyba słuszne (Mackiewicz str. 105), należy raczej sądzić, że rodzina Retingerów była pochodzenia niemieckiego. Ojciec Retingera, adwokat krakowski, zmarł, gdy chłopiec miał zaledwie cztery lata. Wychowaniem jego zajął się hrabia Władysław Zamoyski, który mieszkał stale w Paryżu. Retinger był głęboko religijny i miał zamiar wstąpić do katolickiego seminarium.

W roku 1906 hr. Zamoyski zabrał młodzieńca do Paryża, gdzie w 1908 r. Retinger uzyskał na Sorbonie doktorat z literatury. W tym czasie obracał się w świecie snobistycznym. Cyprian i Misia Godebscy, André Gide, Arnold Bennett, Manuel de Falla, Maurice Ravel, Marquise de Castellane, Lord Charles Beresford itd. należeli do jego bliskich znajomych. W 1909 r. poznał Józefa Conrada, który za młodu uczęszczał do tego samego gimnazjum w Krakowie. Przyjaźń ta przetrwała wiele prób. W 1911 roku przenosi się Retinger do Londynu, zapisuje się na London School of Economics i żeni się z Polką z ziemiańskiej rodziny z rosyjskiego zaboru.

Wojna zastaje Retingera w Krakowie, jednak szybko wydosłaje się on do Anglii i rozpoczyna działalność polityczną. Poznaje Premiera Asquith'a i redaktora „Times'a” Lorda Northcliffe, bywa w salonach Lady Cunard i cieszy się względami wielu wpływowych dam (*Tribute*, str. 28). Kursuje często między Londynem i Paryżem, gdzie utrzymuje swoje przedwojenne znajomości.

W 1916 r., wspólnie z księciem Sykstusem Bourbon-Parma i Boni de Castellane i z cichą aprobatą premierów Asquith'a i Clémenceau, bierze udział w pertraktacjach w sprawie zawarcia

niezależnego pokoju z Austrią. Składa w tej sprawie wizytę generałowi jezuitów hrabiemu Ledóchowskiemu.

Z bliżej niewyjaśnionych powodów w październiku 1917 r. Retinger popada w niełaskę, musi wyjechać z Francji i nie ma prawa przybywania we wszystkich krajach alianckich. Pośpiesznie wyjeżdża do Hiszpanii. Znosi tam niedostatek, bo jego konto we Francji zostaje zamrożone. Porzucają go wszyscy przyjaciele i znajomi, z wyjątkiem Conrada, który wspiera go finansowo. Zbigniew Grabowski (str. 122) notuje pod datą 15 grudnia 1939 r.: — „to chyba Conrad zaprotegował go do wywiadu brytyjskiego w czasie pierwszej wojny?”.

Tak kończy się okres snobistyczny i zaczyna się okres o zabarwieniu socjalistycznym.

2. Związki Zawodowe

Retinger decyduje się przedostać się do Stanów Zjednoczonych, gdzie w tym czasie przebywała dama jego serca (*Tribute*, str. 31). W czasie podróży z Hiszpanii na Kubę poznaje rewolucjonistę meksykańskiego imieniem Luis Negreto Morones. Po kilkumiesięcznym pobycie w Havanie udaje się Retinger do Meksyku (był to już rok 1919), gdzie współpracuje z rewolucjonistami.

Jednym z kłopotów Retingera w tym okresie było to, że nie posiadał dokumentów osobistych, które skonfiskowano mu gdy opuszczał Francję. Przy pomocy przyjaciół meksykańskich dostał się jednak do Washingtonu, gdzie za wstawiennictwem Feliksa Frankfurtera otrzymał polski paszport. Jakiś czas mieszkał Retinger w Stanach Zjednoczonych. Odbił też krótką podróż do Polski, o której zresztą nie ma nic do powiedzenia w swoich „Notes” (*Tribute*, str. 33). Autorzy *Tribute* pełni są zachwyty nad polskim patriotyzmem Retingera, jednakże nie wziął on udziału w szczytowych polskich przeżyciach i dokonaniach patriotycznych w latach 1917-1920, a K. A. Jeleński pisze (*Tribute*, str. 5), że występował on przeciwko tworzeniu polskich formacji wojskowych we Francji.

Wiosną 1920 r. rewolucjoniści opanowali władzę w Meksyku, a jeden z przywódców, Alvaro Obregon, który został prezydentem, wezwał Retingera na swego doradcę. Rewolucja zwalczała wpływy Stanów Zjednoczonych i Kościoła katolickiego w Meksyku. W 1923 r. prezydentem został inny rewolucjonista, Plutarcho Calles. Retinger służył również jako doradca, z przerwami

aż do końca rządów rewolucyjnych w 1934 r., kiedy Calles i Morones zostali wygnani z Meksyku.

Od czasu do czasu Retinger przyjeżdżał do Polski. Między innymi w 1923 r. był w Polsce jako przedstawiciel Międzynarodowej Federacji Związków Zawodowych i pertraktował z gen. Sikorskim, jako premierem, w sprawie niewszczywania działań wojennych przeciwko Rosji. Od tego czasu datuje się ich zażyłość (*Tribute*, str. 36).

W 1924 r. organizuje Retinger pierwszy kongres Południowo-Amerykańskich związków zawodowych, na którym przeprowadza rezolucję w sprawie pomocy finansowej polskim związkom zawodowym „uciskanym przez dyktaturę Piłsudskiego”, jak pisze Denis de Rougemont (str. 35). Akcja Retingera na terenie związków zawodowych zostaje uwieńczona tym, że na międzynarodowym kongresie w 1941 r. reprezentuje on dwa kraje, Polskę i Meksyk.

W 1924 r., wspólnie z labourzystowskim posłem do Izby Gmin E. D. Morel, układa Retinger projekt założenia tajnego międzynarodowego porozumienia związków zawodowych. Kres tym zamiarom kładzie śmierć Morel'a. W międzyczasie Retinger żeni się z jego córką. Utrzymuje on bliskie kontakty z Labour Party i zawiera przyjaźń z Sir Stafford Cripps'em.

W tym czasie nie wiadomo z czego Retinger żyje, ale powodzi mu się coraz gorzej. Po jego wizytach w Polsce nadchodzą do konsulatu polskiego w Londynie reklamacje w sprawie niezapłaconych rachunków. Zbigniew Grabowski notuje w swym pamiętniku (str. 122): „przed wojną odwiedzałem go parę razy na Rupert Street, w nędznym mieszkanku. Bieda tam była wielka”.

Okres pokojowy nie służył Retingerowi. Próbował znowu pisać, tak jak przed pierwszą wojną światową, ale szło mu ciężko (Feliks Topolski, str. 15). „Wybuch wojny nareszcie podniósł (*hoisted*) go z tego okresu politycznego amatorstwa (*bohemianism*) do środowisk, gdzie historię nie tylko się przygotowuje, ale faktycznie ją się tworzy”, jak pisze Denis de Rougemont (str. 36). A Zbigniew Grabowski (str. 122) notuje 15 grudnia 1939 r.:

—Teraz Retinger został re-aktywowany ponownie w wywiadzie brytyjskim i jest *persona grata* przy Sikorskim. Sikorski ufa mu jako znawcy Anglii. Zabawne jest to, że do niedawna Retinger nie miał prawa wstępu do ambasady w Londynie, dzisiaj się to skończyło i przyjechał z Paryża z gładem Sikorskiego. Retinger to presje brytyjskie, a Litauer to pogranicze chyba wywiadu — pytanie tylko jakiego i ilu?”

3. *Persona Grata*

W czasie upadku Francji w czerwcu 1940 r. Retinger przywozi gen. Sikorskiego samolotem do Anglii. W swoich „Notes” zapisał on, że gen. Sikorski zdecydował odznaczyć go orderem *Virtuti Militari* (*Tribute*, str. 36). Zwracałem się w tej sprawie do gen. Kukiela, który stwierdził, że nigdy o tym gen. Sikorski wobec niego nie wspominał.

Pisano już dużo na temat polsko-sowieckiego układu z 1941 roku. Tu warto zanotować jak tę sprawę przedstawia Denis de Rougemont (str. 37) na podstawie „Notes” Retingera:

„W początku czerwca 1941 r. Sir Stafford Cripps powrócił z Moskwy, ażeby przekonać Rząd, że Hitler zaatakuje Z.S.S.R. lada chwila. Polacy byli pierwsi i jedyni, którzy to zrozumieli. Retinger natychmiast przygotował oświadczenie dla Edena, sugerujące, że należy szybko podpisać porozumienie pomiędzy Polską i Z.S.S.R. ... Polska nie powinna być przeszkodą w prowadzeniu wspólnej wojny przeciwko Hitlerowi. ... 23 czerwca Sikorski przemawiał przez radio proponując Rosjanom natychmiastowe pertraktacje. Kilka dni później Foreign Office przesłało pilną wiadomość Retingerowi informując go, że Stalin wyraził zgodę. Pertraktacje prowadził Sikorski i Retinger z polskiej strony, a ambasador Majski ze strony Z.S.S.R. przy stałej współpracy Eden’a. Sir Stafford Cripps pertraktował bezpośrednio ze Stalinem, kiedy powstawały trudności (*deadlock*).” [Tłum. Z. S.]

Pod datą 23 sierpnia 1941 r. Grabowski (str. 126) notuje:

„Słyszę, że po naszej stronie układ ten przygotowywano ‘na kolanie’ — dokładnie na kolanach Retingera i Litauera. Radea prawny MSZ, Kulski, mówił mi na ten temat gorzkie i niepokojące rzeczy. Retinger i Litauer są jednak agentami — na to ma rady. Nacisk ich na pewno nie był i nie jest nigdy wskazany”.

Jednym z bardziej głośniejszych przeciwników układu lipcowego był Stanisław Cat-Mackiewicz. W. A. Zbyszewski (str. 50) pisze, że o mały włos Anglicy nie internowali Mackiewicza, „a starał się o to Retinger”.

Retinger nie był w najlepszych stosunkach z Kościołem katolickim. Ks. Warszawski (str. 83) pisze, iż zarzuty o „absolutnym milczeniu” Papieża i „włoskości” Piusa XII, jak również nawoływanie do utworzenia „kościół narodowego” w czasie ostatniej wojny pochodziły z polskiego środowiska londyńskiego, i dodaje: „Wiadomo zaś, że jedną z czołowych postaci tego środowiska był był sekretarz Callesa, Józef Retinger”.

Za czasów gen. Sikorskiego oficjalnie dr Retinger zajmował — stanowisko sekretarza gabinetu Rady Ministrów. Z wyjątkiem

okresu, kiedy był polskim chargé d'affaires w ZSSR* (W tym okresie Retinger poznał gen. Andersa).

Grabowski (str. 125) zapisuje 2 lutego 1941 r.:

„Jeżeli w takim bałaganie odprawia się urzędowanie i decyduje o ważnych rzeczach (a „kochany Recio” na pewno walczy ten bałagan wspomaga), to niczemu dziwić się nie można. Coraz zabawniej i coraz smutniej wygląda ten zespół polski”.

Opowiadano mi, że Retinger nie nadawał się do pracy systematycznej, do żadnego urzędowania, ranki przesypiał, a w nocy brał udział w libacjach, dużo pił (porównaj Korboński, str. 296, nowe wydanie str. 274), lubił grać w bridża, chociaż był marnym brydżystą, przegranych nie płacił, a mimo to był takim postrachem, przynajmniej za czasów gen. Sikorskiego, że nie śmiano odmówić mu partii, lub upomnieć się o wygrane należności. Podobno za życia gen. Sikorskiego zarządzenia wychodzące od Retingera przyjmowano tak jakby pochodziły one od samego Generała.

Stanisław Stroński (*Wiadomości* Nr 229/1950) określił działalność Retingera przy Sikorskim jako „stałą i wszędzie sięgającą”; „zajmował się wszystkim co szło do rozstrzygnięć gen. Sikorskiego, dosłownie wszystkim, szczególnie wszystkim; był przy Sikorskim przez trzy lata „stale, nieodłącznie, wszędzie; towarzyszył mu w latach 1941-43 we wszystkich podróżach — z wyjątkiem jednej, ostatniej, na Bliski Wschód”. (Pobóg-Malinowski, str. 148).

Następująca anegdota sugeruje duży stopień poufałości jaki istniał pomiędzy gen. Sikorskim i Retingerem. Podobno Retinger często spóźniał się na posiedzenia i zjawiał się zdyszany, kiedy już wszyscy z gen. Sikorskim włącznie byli obecni. Generał witał go tymi słowami: — „A, nareszcie jesteś kuzynku diabła!”.

Stanisław Kot (str. 536) pisze, że na jego sugestię, żeby Retingera wysłać do Rosji w lipcu 1941 r. gen. Sikorski odpowiedział w ten sposób:

„Ostrzegam cię jak najbardziej stanowczo przed tym włóczęgą. Ja nie wiem, dla kogo on pracuje. Ja go tam na swoją odpowiedzialność nie wyszlę. Ile on tam z kim naintryguje nie mogę przewidzieć.

Gen. Sikorski był chyba jedyną osobą, do której dr Retinger był naprawdę szczerze przywiązany. Opowiadano mi, iż należał on do komisji, która przeprowadzała identyfikację zwłok gen.

* Ta sprawa wymaga wyjaśnienia. Według naszych informacji Retinger nie był mianowany przez Rząd Polski a Anglicy stworzyli *fait accompli*. (Red.)

Sikorskiego na dworcu Victoria, po przywiezieniu ich z Gibraltaru do Londynu w stanie niezabezpieczonym przed rozkładem. I oto Retinger, który, jak już wiemy, z niejednego pieca chleb jadł, płakał i nie mógł się pozbierać do kupy podczas całej tej tragicznej ceremonii.

Adam Pragier odmalowuje rolę Retingera na nieco szerszym tle (str. 851):

„Z Ministerstwem Informacji utrzymywało stosunki jeszcze za czasów moich poprzedników, kilkoro Anglików. Nie byli urzędnikami i nie mieli żadnych określonych czynności i przeznaczeń; byli 'przyjaciółmi Polski', którzy chcieli nam służyć swoim doświadczeniem i znajomością miejscowych stosunków. Rozumiałem, że zostali oni wśród nas pomieszczeni, jako źródło inspiracji brytyjskiej dla nas i źródło wiadomości dla swoich przełożonych o nas. W zasadzie nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby ich inspiracje, często podawane w formie pogłosek czy poufnych wiadomości, były przez czynniki polskie przyjmowane jako to, czym rzeczywiście były; jako obce inspiracje. Nie każda przecie obca inspiracja musi być z natury zła. Trzeba ją jednak jako taką przyjmować i odpowiednio traktować. A tego właśnie nieraz brakło. ... Byli to zresztą ludzie o dobrym, a w paru wypadkach o wysokim poziomie, więc rozmowy nie były same w sobie niemiłe. Jedynym warunkiem było, żeby tych Anglików uważać za 'przyjaciół Wielkiej Brytanii', a nie za 'przyjaciół Polski'. Byli oni dogodni także w kierunku odwrotnym od zamierzonego. Można było podawać przez nich, w nieobowiązującej formie nasze własne inspiracje, a raczej wiadomości, co gotowi jesteśmy zrobić, a czego za żadną cenę świata nie zrobimy. ...

Wyjątek z tej pogodnej i dobrotliwej na ogół reguły, stanowiła niezwykle postać — Józef Retinger. Był to rodzaj awanturnika, w dobrym znaczeniu tego słowa, czyli człowieka szukającego i umiającego znajdować przygody na całym świecie. Syn krakowskiego adwokata, który osiedla się w Londynie, przyjaźni się z premierem Asquithem, jest przyjacielem Conrada, mężem zaufania i przywódcą rewolucji w Meksyku i doradcą prezydenta Obregona, jest dobrze widziany wśród wodzów Labour Party, wpada do Warszawy we wszystkich chwilach poprzedzających ważne zdarzenia, bywa 'jako gość' na posiedzeniach Rady Naczelnej PPS, krząta się koło Witosza na wygnaniu w Czechosłowacji, przywozi gen. Sikorskiego bombowcem z Libourne do Londynu (po upadku Francji), jest polskim chargé d'affaires w Moskwie (po układzie Sikorski-Majski) dobrze po pięćdziesiątce jest zrzucony ze spadochronu do Polski w przeddzień powstania warszawskiego, mimo odniesionej przy tym kontuzji spełnia w Polsce zadanie, które mu nie wiadomo kto wyznaczył (bo nie władze polskie), towarzyszy gen. Sikorskiemu na wielu ważnych konferencjach (przy tym jest szczerze do niego przywiązany), nie wężnie udziału w śmiertelnym locie gen. Sikorskiego, także po wojnie zachowuje kontakt z Churchillem, z ks. Bernardem holenderskim i Bóg wie z kim jeszcze — to nie jest przecie figura banalna. Przypomina raczej wiek XVIII niż XX. Był przy tym niezwykle bystry, błyskotliwie inteligentny, miły towarzysko i zawsze zachowywał się jakby nie miał żadnych trosk czy kłopotów i rozmowa jaką prowadził, była dla niego rozrywką.

Całe nieporozumienie tkwiło w niewłaściwym traktowaniu go przez czynniki polskie, z którymi miał do czynienia. Dobrą rzeczą jest śledź w oliwie i dobrą rzeczą jest czekolada. Ale każdą z tych dobrych rzeczy należy spożywać oddzielnie, w różnych porach. Połączenie śledzia z czekoladą nie jest smaczne. A tak było właśnie z Retingerem”.

Szkoda, że Pragier nie sprecyzował co znaczy „śledź w oliwie”, a co „czekolada”.

Ambasador Raczyński (str. 185) notuje 10 lipca 1943 r. co następuje:

„Już w poniedziałek rano 5 lipca J.H. Retinger, któremu zażyłość ze śp. generałem dawała wyjątkową w tej chwili sytuację, dotarł do min. Edena, a późno w nocy do samego Churchilla. Wysunął kandydaturę Mikołajczyka na premiera jako najwłaściwszą i niejako postawioną przez gen. Sikorskiego. Oświadczył ponadto czynnikom polskim, że Anglicy niechętnie odnoszą się do Sosnkowskiego”.

A Grabowski (str. 130) w dniu 23 lipca 1943 r. notuje:

„Mikołajczyk jest u steru, chociaż ten ster jest coraz bardziej wątpliwy, a morze coraz to bardziej wzburzone. Kursują pogłoski, że Mikołajczyk narzucony został Prezydentowi, że poza nim stoi Retinger. Dlaczego? Chyba dlatego, że Anglia chce użyć Mikołajczyka jako ostatniego atutu? W czym? W rokowaniach chyba z Moskwą, albowiem Anglia robi wszystko, aby zmusić nas do takich rokowań”.

Ambasador Raczyński (str. 270) pisze o stosunkach pomiędzy Mikołajczykiem i Retingerem w sposób następujący:

„Retinger, powiernik gen. Sikorskiego, nie czuł się dobrze przy Mikołajczyku. Z jego strony brakło 'afektu', a ze strony premiera chętnego ucha dla sugestii i koncepcji Retingera. Z obu zaś stron brakowało wieloletniej poufałości”.

W rozmowie ze mną w dniu 2 listopada 1966 r. gen. Kukiel stwierdził, że Retinger buntował się czasem przeciwko gen. Sikorskiemu, ale pozostawał mu wierny, natomiast mówił całkiem wyraźnie, że Mikołajczykowi „sekreতারzować” nie będzie. Swoją pracę przy gen. Sikorskim traktował Retinger jako przyjacielską pomoc, natomiast z Mikołajczykiem nic go nie łączyło i nie widział w nim męża stanu na skalę gen. Sikorskiego.

4. Tajemnica

Na podstawie „Notes” dra Retingera, Denis de Rougemont (str. 38) przedstawia następująco dalszy bieg wypadków:

„Mikołajczyk został premierem i w ciągu następnych miesięcy Retinger stopniowo doszedł do przekonania o potrzebie udania się osobiście do okupowanej Polski w celu wyjaśnienia *viva voce* polityki rządu na wygnaniu i w celu wytworzenia wyraźniejszego obrazu morale polskiego podziemia. Wreszcie namówił gen. Sir Colin Gubbins'a, szefa S.O.E., żeby dostarczył mu odpowiednich środków wykonania tej misji”. [Tłum. Z.S.]

W tym miejscu warto powtórzyć za *Tribute* (str. 38) krótką notatkę o S.O.E.:

Te tajemnicze litery oznaczały Special Operations Executive, organizację całkowicie niezależną od Intelligence Service. S.O.E. pomagała podziemnym ruchom na kontynencie. Obcjmowała ona 3.000 oficerów, 2.000 kobiet i 300 żołnierzy. W opinii J.H.R., który obserwował działalność S.O.E. w Polsce i w Londynie, organizacja ta wykonywała bardzo pożyteczną robotę (*a splendid job*). [Tłum. Z. S.]

Ostatnio zaczęły się pojawiać publikacje na temat tej organizacji (vide bibliografia). Jednak w żadnej z tych prac działalność S.O.E. na polskim terenie nie została omówiona, pomimo że gen. Gubbins stwierdził na akademii ku czci gen. Bora-Komorowskiego w Kensington Town Hall 23 listopada 1966 r., że pierwszym zadaniem jakie otrzymał jako szef S.O.E. była pomoc A.K. Warto wspomnieć, że szefem polskiej sekcji S.O.E. był mówiący biegle po polsku płk. Perkins, który zmarł w 1965 r. Po zakończeniu wojny został on brytyjskim konsulem w Czechosłowacji i na tym stanowisku oddał ogromne usługi Polakom uciekającym na Zachód.

Ale wróćmy do tematu. Z „Notes” Retingera wynika, że inicjatywa lotu do Polski wyszła od niego samego, cel został również przez niego określony (dalej zobaczymy jak to „wyjaśnianie polityki rządu na wygnaniu” wyglądało w rzeczywistości), władze angielskie w osobie gen. Gubbinsa wyraziły zgodę i zdecydowały zadanie to wykonać. Pod tym względem zaistniały pewne trudności. We Francji, Holandii, czy Belgii S.O.E. mogłoby zrzucić kogo chciało, bez wiedzy władz danego kraju, w Polsce nie było to takie proste, bo w Polsce S.O.E. nie posiadało swoich placówek i bez współpracy A.K., a nawet, jak później zobaczymy, bez współpracy polskich władz wojskowych na Zachodzie zrzucenie kuriera do kraju nie było takie proste jak to sobie początkowo wyobrażano. Na terenie Polski były jakieś komórki brytyjskie, ale bardzo słabo obsadzone. Żadnych publikacji na ten temat nie znalazłem.

Gen. Gubbins w liście do *Times*’a przedrukowanym w *Tribute* (str. 18) pisze:

„Skoro polski Premier, po wielokrotnych prośbach Retingera, wreszcie zgodził się na jego wizytę do Polski w celu zdania osobistego sprawozdania z sytuacji Rządowi Polskiemu, Special Operations Executive została obarczona wprowadzeniem w życie jego podróży w tamtą stronę i z powrotem. Wówczas znałem go już dobrze, *de facto* już dyskutował on ze mną możliwości (przelotu) lecz, biorąc pod uwagę jego słaby stan fizyczny, do końca odmawiałem go. Skoro decyzja została powzięta namawiałem go usilnie na

choć jeden próbny skok, ale on odmówił, twierdząc, że jeżeli ulegnie wypadkowi, to nie będzie mógł wykonać swojej misji, natomiast jeżeli ulegnie wypadkowi przy lądowaniu w Polsce w dalszym ciągu będzie mógł wykonać swe zadanie". [Tłum. Z. S.]

Należy przyznać, że Retinger miał determinację i odwagę nieprzeciętną.

Zwróciłem się listownie do gen. Sir Colin Gubbinsa z prośbą o wyjaśnienia. W odpowiedzi z 13 grudnia 1966 r. gen. Gubbins pisze, że Rząd Polski zwrócił się do S.O.E. o przerzucenie dra Retingera do kraju i wobec tego S.O.E. działała jedynie jako agencja transportowa. Gen. Gubbins dodaje, iż o ile było mu wiadome, misja Retingera była wyłącznie sprawą polską, chociaż ma się rozumieć, brytyjscy Chief of Staff, którym operacje S.O.E. podlegały musieli być o tej misji powiadomieni.

Początkowo o misji Retingera wiedział jedynie Premier Mikołajczyk i Min. Spraw Wewn. Banacyk. Nie został natomiast o niej poinformowany ani Prezydent, ani Rząd, ani Wódz Naczelny. Wyjaśnienie, że tego wymagało bezpieczeństwo operacji jest niewystarczające. Mogło być kilka powodów zastosowania tak wielkiej tajności. Możliwe jest, że Mikołajczyk postanowił wykorzystać właśnie misję Retingera, żeby wykazać wojsku, a w szczególności Naczelnemu Wodzowi, że jako Premier miał prawo afirmować pewne loty do kraju bez zgody Sztabu Nacz. Wodza. Możliwe jest też, że Mikołajczyk nie chciał zbyt afiszować się tym, iż został zmuszony do zgody na tę misję. W liście do Prezydenta (patrz poniżej) Retinger twierdzi, że to Anglicy „bezwzględnie żądali, by poza premierem nikt nie wiedział”. Sam Retinger z pewnością też był zwolennikiem takiej tajemniczości, bo zdawał sobie sprawę, że wojsko na Zachodzie nie pała do niego miłością i wolał lądować w kraju pod skrzydłami S.O.E., a nie Oddz. Specjalnego Sztabu N.W. Zobaczymy co z tego wyszło.

Ambasador Raczyński (str. 271) zanotował co następuje:

„Retinger oświadczył nam wszystkim, że opuszcza dotychczasowe zajęcie niezależnie formalnego szefa gabinetu w Prezydium Rady Ministrów i że odtąd będzie osobą prywatną. Dodawał przy tym, że rezygnuje z poborów i że utrzymanie zapewni mu książka o generale Sikorskim, która niebawem ukaże się w Stanach Zjednoczonych. Wkrótce po rozpuszczeniu tych wersji, obiegających polską kolonię Retinger znikł”.

Musiałoby się to dziać pod koniec 1943 r. Zapanała cisza. Z pewnością wielu Polaków w Londynie odetchnęło. Tymczasem Retinger przechodził przygotowawcze przeszkolenie pod opieką S.O.E., a potem został przerzucony przez tę organizację, w tajemnicy przed polskimi władzami wojskowymi, do Bari na połud-

niu Włoch i tam był trzymany, jak pisze gen. Gubbins (*Tribute* str. 19) „ze względu na bezpieczeństwo w kompletnym odosobnieniu przez wiele tygodni”, a Denis de Rougemont (str. 38) dodaje, że z braku innej literatury Retinger studiował Platona.

Loty nad Polskę z Anglii były utrudnione, toteż wkrótce po zdobyciu południowych Włoch zdecydowano założyć Bazę Nr 11 Oddz. Specjalnego Sztabu N.W., niedaleko Brindisi, przy szosie łączącej Latiano i Messagne. Baza ta znana była na Zachodzie jako Mewa, a w kraju jako Jutrzenka. Prace nad zorganizowaniem tej Bazy, które prowadzono na przełomie 1943/44, szły opornie. Toteż na początku stycznia młody, energiczny, i jeszcze wówczas wyznający antyugodowe poglądy, mjr. dypl. Marian Utnik (ówczesny pseudonim Orkan, późniejszy Warta), który w tym czasie był zastępcą Szefa Oddz. Spec. wyjechał do Włoch w celu przyspieszenia i zakończenia prac organizacyjnych. Jego zwierzchnikiem, czyli Szefem Oddz. Spec. był ppłk. dypl. Michał Protasewicz (pseudo. Rawa), który w literaturze powojennej określany jest jako „sikorszczyk”, a to głównie z tego powodu, iż w lipcu 1940 r. towarzyszył on płk. Klimeckiemu i płk. Krubskiemu w wywieraniu osobistej presji na Prezydenta w celu odwołania dymisji gen. Sikorskiego.

Dnia 15 stycznia 1944 r. mjr Utnik jest już we Włoszech i wysyła pierwszy telegram do Londynu (L.dz. Oddz. Spec. 362). Telegram ten, jak i większość późniejszych telegramów przekazuje Zora (kpt. Zygmunt Oranowski).

Można przypuszczać, że w Sztabie N.W. panował spokój i niczego nie podejrzewano, kiedy w piątek 28 stycznia 1944 r. mjr Utnik wysłał telegram, który jeszcze tego samego dnia wpisano do dziennika podawczego Oddz. Spec. (L.dz. 750) w następujący sposób:

„Zora do Sztabu N.W. Od Utnika Nr 4466 do rąk własnych Rawy (treść zakryptonimowana). Przerzut robią z Włoch. Listy Premiera zalecające przerzut. Z klientem przybył oficer angielski. Karamać robi trudności. Nr Zory 182”.

(Telegram ten przekazano do archiwum, ale nie zdołałem go odnaleźć).

Minął *weekend* i w poniedziałek, 31 stycznia, wysłano z Londynu odpowiedź, którą zapisano w dzienniku (L.dz. 750) następująco:

„Własna do Mewy. Zbadać sprawę w Cairo. Przyjaciele montują coś ze Stratonom. Poinformować Lepiankiewicza. Podać dokładne szczegóły”.

(Nie wiadomo czy ten telegram został przekazany do archi-

wum. Kiedy pisano w dzienniku „Własna do Mewy”, to nie wiadomo kto daną depezę podpisał, ale w pierwszym rządzie wchodzi w grę trzy osoby, ppłk. Protasewicz, gen. Kopański i gen. Sosnkowski. „Straton” to synonim Rządu pochodzący od nazwy zajmowanego przezeń budynku. Lepiankiewicz, to znany muzyk).

Następnego dnia, 1 lutego, wysłał mjr Utnik telegram, który zapisano w dzienniku (L.dz. 903) tak:

„Od Mewy do Centrali. Do N.W. Pismo Mikołajczyka z rozkazem przetrzutu Brzozy. Brzoza jest ukryty przez ang. ma być dostarczony do samolotu w masce. O pilną decyzję. Premier zakazał meldować o tym do Sztabu N.W. Nr Mewy 196”.

Wspomniany list Premiera nie mógł dostać się do Włoch polskimi kanałami. Więc musiał chyba być przywieziony z Anglii razem z Brzozą przez oficera angielskiego, o którym wspominał mjr Utnik w poprzednim telegramie. Jest to chyba rzadki wypadek w historii, żeby Premier Rządu zwracał się do oficera względnie niskiego stopnia z jakimś zarządzeniem jednocześnie nakazując mu zatrzymanie tego w tajemnicy przed swymi przełożonymi. Widać, że Mikołajczyk nie orientował się w nastrojach wojska, w 1944 r. stosunki były jeszcze na tyle zdrowe, że w 99 wypadkach na 100 oficer, który by dostał tego rodzaju zarządzenie nie zatrzymałby go w tajemnicy, lecz złożył meldunek swemu dowódcy. Tak też postąpili mjr Utnik i kpt. Oranowski.

Dnia 2 lutego 1944 r. mjr Utnik wysłał następny telegram, który zapisano w dzienniku Oddz. Spec. w sposób następujący (L.dz. 843):

„Z Mewy do Sztabu N.W. Nr Mewy 199. O wyraźną decyzję, możliwości zatrzymania widzę kilka. Por. Karamać oddany Anglikom. Co wypłacać skoczkom politycznym”.

Już przedtem mjr Utnik pisał, że Karamać robi trudności. Wiktor Karamać (pseudo. Kabel) był emisariuszem M. S. Wewn. i najwidoczniej spełniał w tym okresie funkcję „przybocznego” przy Retingerze. Formalnie mjr Utnik nie miał nad nim władzy, gdyż kurierzy cywilni, na czas przydziału do M. S. Wewn., zostawali zwolnieni ze służby wojskowej. W wojsku Karamać był podporucznikiem. Został on zrzucony do Polski 8 kwietnia 1944 r.

Tegoż samego dnia (2 lutego) wysłano ze Sztabu N.W. dwa telegramy, które zapisano w dzienniku Oddz. Spec. tak:

(L. dz. 843)

„Własna do Mewy. Nie widzę możliwości zatrzymania Brzozy. Zidentyfikować go”.

(Jak później zobaczymy telegram ten wysłał Naczelnny Wódz).

(L. dz. 872)

„Własna do Utnika (Mewa). Podać szczegóły o listach Stema”.

Pod tym zapisem notatka zresztą przekreślona: „Treść dyktowana przez kpt. Podoskiego”. (Stem = Mikołajczyk).

Telegram z 3 lutego zapisano w dzienniku Oddz. Spec. tak (L.dz. 872):

„Od Zory do Centrali. O decyzję Szefa Sztabu i N.W. Listy te same, przekazałem je d-cy Bazy. Czy Retinger jest w Londynie. Zora Nr 202”.

Po raz pierwszy w tej korespondencji pada prawdziwe nazwisko Brzozy.

Dnia 4 lutego zapisano w dzienniku co następuje (L.dz. 903):

„Własna do Mewy. Dep. 196 [z 1 lutego do N.W. — Z.S.] w załatwieniu, wyjazd grupy Gustowskiego odłożony. Czaykowski i inni wylatują samolotem”.

Według dziennika podawczego Oddz. Spec. (L.dz. 903) 4 lutego 1944 r. Nacz. Wódz zawiadamia gen. Bora-Komorowskiego o rzuceniu dra Retingera. Zapis wygląda tak:

„Własna do Lawiny. Dep. N.W. w sprawie Brzozy. Notatka w sprawie wysłania kur. polit.”.

Telegramu tego poszukiwałem ze szczególną gorliwością. Niestety nie został on przekazany przez Oddz. Specjalny do Studium Polski Podziemnej. W Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego nie ma śladów tego telegramu.

Następnego dnia, 5 lutego. Nacz. Wódz wysłał telegram do mjr. Utnika (L.dz. 924), ale w dzienniku podawczym Oddz. Spec. pod tą liczbą widnieje jedynie taki zapis: „Zajęte, Szef do Mewy”. Szef to ppłk. Protasewicz.

Odpis tego telegramu znajduje się w aktach gen. Andersa w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego. Możliwe jest, że został on przesłany gen. Andersowi jako załącznik do dokumentu „Notatka o rozdźwiękach między Premierem Mikołajczykiem a gen. Sosnkowskim na temat uzupełnienia instrukcji krajowej”, który też znajduje się w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego.

Chociaż odpis tego telegramu nie jest podpisany nie ulega wątpliwości, że jest to telegram Nacz. Wodza. Treść jest następująca:

„Utnik. 1 924.

W związku z moją depeszą Nr 843 podaję dodatkowe wyjaśnienia.

Stwierdziliśmy z całą pewnością, że Retingera i Bielaka nie ma w Londynie. Można więc przypuszczać, że przynajmniej jeden z nich osobiście jedzie jako kurier, a w każdym razie oni montują wyprawienie kuriera.

Nic można zapobiec temu drogą awantury, gdyż mogłoby to spowodować przerwanie lotów w ogóle. Dlatego zarządziłem obserwacje celem zidentyfikowania osób, a gdyby można było bez awantur — celem stwierdzenia, co kurier, czy też kurierzy polityczni wiozą ze sobą.

Do kraju więcej w tych sprawach nie depeszujcie, z wyjątkiem zasygnalizowania, na którą placówkę odbiorczą idzie podejrzany zrzut. Resztę załatwimy stąd.

Podkreślam jeszcze raz: — każdy szczegół w tej sprawie jest ważny i powinien być jak najszybciej tutaj przekazany. Najważniejsze byście jak najszybciej dali mi znać, na którą placówkę odbiorczą skierowany będzie zrzut kurierów politycznych”.

Wynika z tego telegramu, że gen. Sosnkowski uważał ekspedycję za ściśle związaną z władzami angielskimi i wbrew opinii mjr. Utnika obawiał się, że drastyczna akcja ze strony wojska może spowodować przerwanie lotów nad Polskę i dlatego nakazywał działanie „bez awantur”.

Jednocześnie 5 lutego (sobota) Szef Sztabu N.W., gen. Kopański, wysłał do mjr. Utnika telegram, który w dzienniku Oddz. Spec. zapisano tak (L.dz. 843):

„Własna do Mewy. Kurierów do kraju przerzucić. Korespondencję z krajem ograniczyć do spraw operac. zrzutów”.

Również 5 lutego mjr Utnik nadsyła telegram zapisany pod L.dz. 960 jak następuje:

„Z Mewy do Centrali. Afera Brzozy — lody ruszą z chwilą dobrego met. Przysłać Morawicza i Lorenca...”

dalszy ciąg na temat broni niemieckiej, przysłania 40 szeregowych i sprzętu.

W poniedziałek 7 lutego 1944 r. mjr Utnik wysłał dwa telegramy zapisane jak następuje:

L.dz. 961 (data podpisania telegramu podana w dzienniku omyłkowo jako 2 luty, ale data odebrania zapisana poprawnie jako 7 luty).

„Z Mewy do Centrali (do Lawiny). Grzymała objął d-wo Jutrzenki. Przerzut kur. politycznych — uprzedzenie”.

Grzymała to mjr dypl. Jan Jaźwiński, który dopiero 25 stycznia 1944 r. wyjechał z Londynu. Jako dowódca Mewy używał on pseudonimu Sopia, tego samego którego później, zajmując to samo stanowisko, używał płk. Hańcza (Dorotycz-Malewicz). Jutrzenka, to krajowy pseudonim Mewy.

L.dz. 843.

„Z Mewy do Centrali. Kwituje rozkaz Szefa Sztabu, w sprawie przetrut kur. Lawina uprzedzony”.

W ten sposób mjr Utnik wykonał rozkazy Nacz. Wodza i Szefa Sztabu z soboty 5 lutego 1944 r.

W tym czasie musiał wyjść z Londynu telegram płk. dypl. Franciszka Demela (pseudo. Heczka), dookoła którego powstało tyle zamieszania.

W aktach Oddz. Spec. w Studium Polskim Podziemnej nie natrafiłem na żaden ślad tego telegramu. Natomiast odpis znajduje się w aktach gen. Andersa w Instytucie Hist. im. gen. Sikorskiego razem z odpisem telegramu Nacz. Wodza cytowanym powyżej. Niemożliwe jest ustalić kto i kiedy przekazał ten odpis gen. Andersowi do Włoch. Treść tego odpisu jest następująca:

„Lawina do rąk własnych. Od Heczki dla Antoniego — pilnc.

W związku z równocześnie wysłaną depeszą N.W. w sprawie kurierów politycznych podaje Ci dodatkowe dane.

Montował przetrut mjr ang. Hazel bezpośrednio z Banaczykiem, Siudakiem i Bielakiem. Nie wykluczone, że kurierem jest sam Retinger. Jest pewne, że jednym z kurierów miał być Bielak, gdyż na to nazwisko były zrobione dokumenty niemieckie.

Bielak miał lecieć pod pseudonimem Brzoza. Używa on również pseudonimów Nowosielski i Wojeich. Prawdziwe jego nazwisko Drożdżik. Bielak w okresie wyjazdu z Londynu miał żółtaczkę, możliwe, że za niego poleci Młodożeniec lub Kurcusz, również sprowadzony do Włoch. Nie wykluczam również Fietowicza. Jak widzisz, same szyszki wiozące na pewno ważne rzeczy i wyposażone w daleko idące pełnomocnictwa.

Do depeszy N.W. mogę dodać, że 4 lutego Amerykanie i Anglicy definitywnie odmówili gwarancji jakiejkolwiek naszych granic. Prezydentowi R.P. nawet na jego żądanie, nie okazano dokumentów w tej sprawie.

Kurierzy idą poza plecami Prezydenta i N.W. Nikt nie wie, kto jedzie i co wiezie. Z zestawienia depeszy N.W. i mojej zrozumiesz jasno, że kręci się coś tajemniczego i bardzo niebezpiecznego dla Kraju. Uważam, iż w momencie, gdy dokoła najżywotniejszych spraw polskich zaczynają się omotywać niczne zamiary, nie pora kierować się szlachetnymi skrupułami. Jest rzeczą konieczną, by materiały wiezione przez tajemniczych kurierów znalazły się w Waszych rękach, zanim zostaną doręczone adresatom i żebyście je nam jak najszybciej zakomunikowali depeszą, a później doręczyli ich fotografie lub odpisy. Jeśli się to da zrobić bez awantury — to lepiej. Jeżeli trzeba — musicie zorganizować nawet jakiś incydent, w czasie którego gość zostanie obrany z materiału wiezionego. Podkreślam — jest rzeczą konieczną, byśmy jak najszybciej byli w posiadaniu tej ważnej poczty. Nawet w wypadku awantury, ryzyko jest minimalne, gdyż przeważa strach przed skandalem. Jest rzeczą jasną, że tego rozkazu nie możecie otrzymać, dlatego zwracam się do Ciebie, jako do człowieka zaufanego. Potwierdzenie otrzymania tej depeszy obowiązkowe. Heczka — 103”.

Telegram ten był skierowany do Szefa Oddz. Drugiego w Komendzie Głównej A.K. płk. dypl. Kazimierza Iranka-Osmeckiego (pseudo. Antoni, Heller).

W aktach Oddz. Spec. w Studium Polski Podziemnej nie znalazłem żadnych śladów ani potwierdzenia odbioru, ani meldunku o który prosi płk. Demel.

Z treści telegramu płk. Demela można wnioskować, że telegram Nacz. Wodza do Lawiny L.dz. 903, którego nie zdołałem odnaleźć, był łagodny w tonie, tzn. podobny do telegramu wysłanego do mjr. Utnika, L.dz. 924, zalecającego inwigilację, ale „bez awantur”. Płk. Demel jakby korygował swego dowódcę i zalecał postępowanie „bez szlachetnych skrupułów”.

W liście do *Kultury* (Nr 9/227) płk. Demel podał następującą motywację:

„Po otrzymaniu wiadomości, że Retinger wysyłany jest do kraju bez wiedzy Prezydenta RP i Rządu RP, a więc w jakiejś tajemniczej misji, najwidoczniej nie wynikającej z interesów polskich — postanowiłem na własną rękę uprzedzić o tym władzę podziemną w kraju, wysyłając depeszę do płk. K. Iranek-Osmieckiego”.

Autor krajowy Aleksander Skarżyński (str. 166) pisze:

„Sosnkowski pozornie tylko nie utrudniał Retingerowi wykonania jego misji. W rzeczywistości zaś zmierzał do radykalnego uniemożliwienia jej. Po przybyciu Brzozy do kraju Komenda Główna A.K. otrzymała szyfrogram podpisany przez płk. Demela, który na pewno nie działał samowolnie, nakazujący zlikwidowanie J. Retingera”.

Nie jest wcale pewne, że gen. Sosnkowski znał *a priori* treść telegramu płk. Demela, a to z następujących powodów. Primo, płk. Demel stwierdził w 22 lata później, że działał na „własną rękę” i że postępowanie zalecone przez niego było sprzeczne z zasadami etycznymi gen. Sosnkowskiego, jak pisałem w liście do *Kultury* (Nr 5/223). Secundo, cały telegram, a w szczególności zakończenie („zwracam się do Ciebie”), ma wybitnie osobisty wydźwięk, jednocześnie styl całego telegramu, z wyjątkiem słowa „awantura”, jest zupełnie inny niż styl telegramów gen. Sosnkowskiego. Tertio, w polskim Oddz. Drugim, zresztą tak samo jak i w podobnych organizacjach innych państw, oficer wywiadu (czy kontrwywiadu) załatwiał sprawy nie mieszczące się w granicach prawa (a takie sprawy są w każdym wywiadzie), na własną odpowiedzialność, nie informując o tym dowódcy oddziału, do którego był przydzielony, przynajmniej dopóty dopóki ten dowódca nie zażądał pełnego meldunku w danej sprawie. Procedurę tego rodzaju stosowało się w tym celu, że w wypadku, gdy sprawa nie udawała się i wszystko wychodziło na światło dzienne, dowódca pozostawał czysty, a jedynie oficer Oddz. Drugiego był pociągany do odpowiedzialności. Trudno by zrozumieć dlaczego by płk. Demel, z wieloletnim doświadczeniem w pracy Oddz. Drugiego, miał odstąpić od tej zasady.

Aleksander Skarżyński „według relacji osób żyjących” pisze, że „Komenda Gł. A.K. otrzymała szyfrogram podpisany przez płk. Demela... nakazujący zlikwidowanie J. Retingera”. Fakt ten został potwierdzony przez płk. Demela w rozmowie ze mną (przy świadku) w dniu 28 czerwca 1965 r., jak podałem w liście do *Kultury* (Nr 5/223), który mówił o poważnych konsekwencjach służbowych grożących mu, gdyby cała sprawa wyszła na jaw.

Tymczasem tekst telegramu podanego powyżej jest raczej łagodny. Najostrzejsze stwierdzenia są następujące. „Uważam, że w momencie, gdy dokoła najżywotniejszych spraw polskich zachynają się omotywać nieczne zamiary, nie pora kierować się szlachetnymi skrupułami”. I dalej: „Jeżeli trzeba — musicie zorganizować nawet jakiś incydent w czasie którego gość zostanie obrany z materiału wziętego”.

Dziś, kiedy się czyta taki tekst to trudno go rozumieć jako zalecenie likwidacji „gościa”. Ale może dwadzieścia kilka lat temu w czasie bezkompromisowej wojny, kiedy ginęły tysiące ludzi w wielu wypadkach nie było czasu na subtelności, zarówno ten kto pisał ten tekst, jak i ten kto go czytał, rozumiał, że sformułowania w nim zawarte oznaczają zalecenie zlikwidowania „gościa”. Poza tym należy pamiętać, że nadawca i odbiorca znali się od dawna i jako oficerowie Drugiego Oddziału, byli przyzwyczajeni do pewnego rodzaju nomenklatury. Do tej sprawy jeszcze wrócimy.

Należy podkreślić, że płk. Demel w żadnym sensie nie był przełożonym płk. Iranka. Wobec tego jego telegram może być traktowany jedynie jako osobista sugestia, a nie jako rozkaz. Również należy podkreślić, że według informacji zebranych przeze mnie, jest niemożliwe, żeby w Komendzie Gł. A.K. uważano zalecenie nadesłane przez płk. Demela za pochodzące od gen. Sosnkowskiego.

Ponieważ płk. dypl. Franciszek Demel jest osobą ściśle związaną ze sprawą dra Retingera, a pozostaje on szerszemu polskiemu gronu nieznany, pragnę przytoczyć kilka faktów z jego życia. Był on oficerem legionowym. Między wojnami skończył Wyższą Szkołę Wojenną i pracował jako oficer Oddz. Drugiego. We wrześniu 1939 r. płk. Demel należał do sztabu grupy operacyjnej gen. Sosnkowskiego działającej w rejonie Lwowa. Po klęsce wrześniowej był on jedynym towarzyszem gen. Sosnkowskiego i organizatorem przekroczenia granicy na Węgry. W Paryżu płk. Demel pracował znowu w sztabie gen. Sosnkowskiego i oddał pewne usługi przy organizowaniu przyszłej A.K. Specjalną jego zasługą było to, że Z.W.Z. nie skorzystał, wbrew naleganiom

władz cywilnych i wojskowych, z usług kuriera Mikicińskiego, który był agentem niemieckim. Z chwilą objęcia stanowiska Nacz. Wodza w 1943 r. gen. Sosnkowski powołał płk. Demela na Szefa Oddz. Operacyjnego na miejsce płk. dypl. Mareckiego, który zginął w katastrofie Gibraltarskiej. Była to jedyna nominacja sztabowa dokonana przed przybyciem gen. Kopańskiego ze Środkowego Wschodu. Płk. Demel towarzyszył gen. Sosnkowskiemu w obu podróżach do II Korpusu, w marcu i w lipcu 1944 r. Po odejściu gen. Sosnkowskiego ze stanowiska Nacz. Wodza we wrześniu 1944 roku płk. Demel pozostał na zajmowanym stanowisku przez kilka miesięcy i między innymi był wysyłany na ćwiczenia do Szkocji jako przedstawiciel Szefa Sztabu gen. Kopańskiego. Pod koniec wojny płk. Demel został przeniesiony do Włoch, gdzie dowodził świeżo utworzoną brygadą piechoty w ostatniej bitwie II Korpusu pod Bolonią. Znaczący mówią, iż dowodził dobrze.

Jak widzimy, żadne konsekwencje służbowe z powodu wysłania telegramu do płk. Iranka-Osmeckiego w sprawie dra Retingera nie zostały zastosowane, w stosunku do płk. Demela, ani za czasów gen. Sosnkowskiego, ani później, kiedy już większości wyższych wojskowych (gen. Kopański, gen. Anders, gen. Bór-Komorowski, gen. Tatar) znany był ten fakt.

Płk. Demel nie był jedynym, którego niepokoiła misja Retingera. W liście do *Kultury* (Nr 5/223) stwierdziłem, że pewni oficerowie zwracali się do Księdza katolickiego o naświetlenie, z punktu widzenia moralnego, ewentualnego zgładzenia Retingera. Ostatnio skontaktowałem się z tym Księdzem powtórnie. Zwrócił mi uwagę, że oficerowie ci nie pochodzili z otoczenia Utnika, jak podałem w liście do *Kultury*, natomiast jest bardzo możliwe, że w sprawie Retingera kontaktowali się oni z Utnikiem. W dalszym ciągu rozmowy Ksiądz podał co następuje:

„Oficerowie ci stwierdzili, że mają możność uprzedzenia pewnych kół w Warszawie o przybyciu Retingera z zamiarem wywołania powstania w Warszawie co powodowałoby straszną tragedię, a nie przyniosłoby żadnego rezultatu”.

Na moje zapytanie, jak brzmiało wyjaśnienie, którego im udzielił, Ksiądz odpowiedział:

— „Stwierdzenie faktów, że Retinger rzeczywiście jedzie, żeby wywołać powstanie warszawskie, że ewentualne powstanie warszawskie będzie bezowocne, oraz, że jedynym sposobem przeszkodzenia Retingerowi w jego zamiarze byłoby jego uśmiercenie — jest niemożliwe do osiągnięcia przez osoby lub grupy prywatne, bo te nie są w stanie znać na pewno wszystkich faktów. Poza tym nie do nich należy decyzyja co do czyjegoś życia. Biorąc pod uwagę

okoliczności, iż władze państwowe i sądownicze nie mogą działać w sposób normalny, decyzję mogłyby powziąć czynniki najwyższe, mające dostęp do faktów i to po bardzo poważnym namyśle. Wydawanie wyroków śmierci przez osoby lub grupy prywatne doprowadziłoby do wytworzenia systemu skrytobójstw z motywów politycznych”.

Teksty obu powyższych wypowiedzi zostały podyktowane przez Księdza, który nie życzy sobie ujawnienia swego nazwiska. Zwrot „powstanie warszawskie” użyty przez tych oficerów odnosił się z pewnością do planów „powstania powszechnego”, które, gdyby miało miejsce, z konieczności skoncentrowałoby się dookoła stolicy.

Zanim przejdziemy do dalszych wypadków trzeba jeszcze chwilę poświęcić aktom Oddz. Specjalnego dotyczącym sprawy dra Retingera. Jak dotychczas, z wyjątkiem dwóch odpisów telegramów z aktów gen. Andersa udostępnionych mi w listopadzie 1966 r., posłużyłem się wyłącznie wpisami telegramów do dziennika podawczego Oddz. Spec., a nie samymi telegramami. A to z następujących powodów. Mając już listę telegramów sporządzoną na podstawie dziennika podawczego wybrałem siedem najważniejszych telegramów, których oryginały chciałem obejrzeć. Okazało się, że część z nich nie została przekazana po zakończeniu wojny przez Oddz. Spec. do Studium Polski Podziemnej, a co do reszty trudno jest ustalić, bo przekazywanie odbywało się według liczb dziennych, a przynajmniej w tym okresie, po kilka telegramów wpisywano pod tę samą liczbę (można to sprawdzić powyżej). Ponieważ nie udało się odnaleźć żadnego spośród siedmiu najważniejszych telegramów, z konieczności musiałem się oprzeć na zapisach w dzienniku podawczym Oddz. Spec., które zresztą dają wystarczający obraz.

Poszukując telegramów natrafiłem na sprawę kpt. Oranowskiego (Zora). Okazało się, że sprawa ta nie miała nic wspólnego z Retingerem i dotyczyła jakichś zagadnień materiałowych. Dowódca Mewy mjr Jąźwiński pisał do mjr. Utnika 26 lutego 1944 r. (L.dz. 1588):

„4. Byłem przesłuchany w sądzie w sprawie Orana. Psuje zaufanie do nas wszystkich jego meldunek pisany do mnie. Na tym tle rodzą się podejrzenia w stosunku do Ciebie, Szefa [ppłk. Protasewicz — Z.S.] i mnie. Dalsze odwołanie jego powrotu uniemożliwi mi zupełnie zajmowanie się tą sprawą.

5. Podaj co ze sprawą Brzozy”.

Kpt. Oranowskiego ściągnięto na ostateczną rozprawę do Londynu. Również ściągnięto z Mewy ppor. Tytkę, który „jest ważnym świadkiem dowodowym, gdyż pełnił funkcję magazynie-

ra w okresie pełnienia funkcji kierownika S2 przez kpt. Morawicza i kpt. Oranowskiego. Zeznania jego wyświełtł wiele momentów z okresu pracy kpt. Oranowskiego" (L.dz. 1952).

Nie miała szczęścia ta Baza Nr 11, chociaż w kraju nazywano ją Jutrzenką. Na samym początku jej istnienia wybuchła sprawa kpt. Oranowskiego, potem pchor. Jerzy Kozicki został zabity na szosie przez amerykańską ciężarówkę, potem st. szer. Jan Tomczyk popełnił samobójstwo strzelając do siebie z pistoletu na zbiórce całej obsługi Mewy, na oczach płk. Hańczy, no i wreszcie płk. Hańczy spotkała tajemnicza śmierć.

Ale wróćmy do Retingera.

5. *Otwarte karty*

Fakt, że dr Retinger czekał w Bari na zrzut do Polski stał się powoli publiczną tajemnicą, przynajmniej w ramach Oddz. Spec. Sztabu N.W.

Dnia 16 lutego 1944 r. Szef Oddz. Spec. płk. dypl. Protasewicz wysyła do radcy Min. Spraw Wewn. Siudaka następujący list (L.dz. 1243):

„Powołując się na szereg rozmów ustnych donoszę, że istnieje ponownie możliwość lotu dwustronnego do Kraju w początku marca.

W związku z tym proszę, aby kurier Sulima był gotów do odlotu na południe poczynając od dnia 18. 2. br. godz. 12.00”.

Sulima, lub Marek Celt, to Tadeusz Chciuk.

Wynika z tego listu, że kuriera Sulimę nie próbowano już ukrywać przed wojskiem.

Gen. Sir Colin Gubbins pisze w liście do *Times'a* przedrukowanym w *Tribute* (str. 19), że Retingera zrzucano dopiero za trzecim razem, a dwa uprzednie razy latał bez skutku. O ile zdołałem ustalić dr Retinger latał tylko raz. Poprzednie dwa wypadki były jedynie przygotowaniami, ale do lotu nie doszło. Ślady tego znajdujemy w dzienniku podawczym Oddz. Spec. Dnia 25 lutego 1944 r. (L.dz. 1614) zapisano:

„Z Mewy via Centrala dla Wandy. Skoczek na Poduszkę — bekas Brzoza. Jakość zrzutu. Brzoza zamierza wrócić pierwszym 8979 (Mostem)”.

I znowu 6 marca 1944 r. (L.dz. 1864) zapisano:

„Z Mewy do Centrali. Kogo wyznaczyć na 2 Kolio. Sulima i Brzoza idą na Hala. Nr Mewy 337”.

Pod tą samą L.dz. zapisano następującą odpowiedź z 6 marca 1944 r.

„Sopia. Na 337 i 372.

Sulima ma lecieć z Salamander vel Brzoza vel Payne w pierwszej kolejce. Potem Kabel i inni. Na kolie mieli być Sulima i Kamiński od N.W. Jeśli Sulima ma iść z Brzozą, a Kamiński nie zdążył, dać według uznania. Orkan”.

(Teczka Mosty. Orkan = Utnik).

Hala, Kolie, Poduszka są to kryptonimy poszczególnych placówek w kraju odbierających rzuty powietrzne. Bekas, to skoczek.

Na oryginale tego telegramu „Payne” poprawione jest ręką gen. Tataru na „Paisley?” i przez niego zaparafowane. Jest to dowód na to, że po przybyciu do Londynu parę miesięcy później gen. Tatar interesował się sprawą dra Retingera. Podobno wkrótce po objęciu stanowiska zastępcy Szefa Sztabu do spraw krajowych gen. Tatar interweniował u Nacz. Wodza w sprawie telegramu płk. Demela do płk. Iranka. Gen. Tatar nie mógł dowiedzieć się o istnieniu tego telegramu w kraju, gdyż w tym czasie (luty-marzec 1944 r.) nie zajmował już stanowiska Szefa Operacji A.K. i nie wchodził w skład Komendy Głównej A.K. O sprawie tej dowiedział się już w Londynie, z dokumentów znajdujących się wówczas w aktach Oddz. Spec., który został mu podporządkowany.

Wreszcie zdecydowano, że należy pozyskać współpracę wojska. Możliwe, że sam Retinger w porozumieniu z S.O.E. zwrócił się w tej sprawie do Mikołajczyka. W każdym razie dnia 6 marca 1944 r. Kierownik Wydziału Społecznego w Min. Spraw Wewn. (wydział ten zajmował się sprawami krajowymi), radca Paweł Siudak (z zawodu nauczyciel szkoły powszechnej), zwrócił się z następującym listem do ppłk. Protasewicza.

„W porozumieniu z Panem Premierem proszę Pana Pułkownika o wydanie polecenia, aby kurier Rządu Polskiego Sulima skakał razem z wysłannikiem Paisley'em w jak najkrótszym czasie. Kurier Kabel winien skakać w następnej kolejności na miejsce Sulimy”.

Później ktoś dopisał na blankiecie: Paisley = Brzoza = Salamander = Józef Hieronim Retinger.

Warto tu zwrócić uwagę na określenia użyte przez Siudaka. Sulima to „kurier Rządu Polskiego”, a Paisley to po prostu „wysłannik”, czyj, nie wiadomo, ale chyba nie Rządu Polskiego, bo pocóż by było takie wyraźne rozgraniczenie.

Ten list Siudaka wpisano do dziennika podawczego Oddz. Spec. dopiero 24 maja 1944 r. pod L.dz. 4148.

Dnia 15 marca zawiadomiono oficjalnie dowódcę Mewy mjr. Jaźwińskiego, że Brzoza to Retinger.

I wreszcie 22 marca 1944 r. (L.dz. 2387) wysłano do Mewy telegram którego streszczenie w dzienniku podawczym wygląda tak:

„Na interwencję Premiera dać *priority* dla ekipy Sulima-Brzoza”.

Kto podpisał ten telegram nie wiadomo, ale z pewnością wyszedł on za aprobatą Nacz. Wodza. Co prawda już 6 marca pisał mjr Utnik że „Sulima ma lecieć z Salamandrą w pierwszej kolejce”, ale to jeszcze nie było tak kategoryczne zarządzenie jak teraz. I tak pierwsza runda lotu Retingera do Polski zakończyła się pokojowo. Wojsko miało przynajmniej tę satysfakcję, że w końcu Premier zwrócił się z prośbą o przerzucenie.

Starąłem się ustalić co właściwie wojskowi zarzucali Retingerowi. Z odpowiedzi gen. Kukieła (Zał. 1 pytanie 7) wynika, że polski kontrwywiad w Londynie nie obserwował dra Retingera. Przytoczona powyżej korespondencja Sztab N.W.-Mewa wskazuje że wojskowi nie znali krajowych zamierzeń dra Retingera, ale z powodu utrzymywania tak ścisłej przed nimi tajemnicy podejrzewali, że, zgodnie z uprzednią działalnością Retingera, ~~jest~~ to krok w kierunku ugody z Rosją kosztem ustępstw terytorialnych i ustrojowych. Jak już widzieliśmy grupa oficerów zasięgających opinii Księdza podejrzewała Retingera o namawianie do powstania. Mogło to być związane ze zmianą tzw. instrukcji październikowej 1943 r. (*Polskie Siły Zbrojne* str. 552) przez Kom. Gł. A.K., o czym Sztab N.W. dowiedział się w styczniu 1944 r.

Przytoczone powyżej dokumenty wykazują, że wojsko chciało dostać w swoje ręce materiały obciążające („fotografie lub odpisy” — pisał płk. Demel), co mogło być związane nie tylko z osobą Retingera, ale również z osobą Premiera, którego podejrzewano o ugodowe tendencje i najprawdopodobniej o dwulicowe stanowisko w sprawie stosunku A.K. do nadchodzących wojsk sowieckich.

Chyba już nie dowiemy się, czy udało się w Brindisi zrewidować „bez awantur”, jak pisał gen. Sosnkowski, bagaż Retingera. Raczej należy w to wątpić, bo przecież sam Retinger miał już poza sobą nie byle jakie doświadczenie, opiekunów w postaci S.O.E. miał też możnych (przynajmniej na terenie Włoch), a na dobitek „Karamać robił trudności” jak pisał mjr Utnik.

Na zakończenie tej pierwszej rundy warto zacytować stwierdzenia Pobóg-Malinowskiego (str. 604):

„W Archiwum Kanc. Cyw. Prezydenta jest list Retingera, datowany w Bari 31 stycznia 1944 r. — w liście tym Retinger tłumaczy się dlaczego nie mógł pożegnać się z Prezydentem Raczkiewiczem: Anglicy 'bezwarunkowo żądali, by poza premierem (Mikołajczykiem) nikt nie wiedział' o jego wyjeździe; wg zeszytu z zapiskami sekretarza osobistego Prezydenta, A. Piotrowskiego, Mikołajczyk ten list Retingera doręczył Prezydentowi dopiero 25 kwietnia, oświadczając, że jest 'on od szeregu dni w kraju'. Piotrowski notował: 'wyjazd skrzętnie ukrywany przez trzy miesiące'... 'Pan Prezydent wyraził swoje zdziwienie, że premier ukrywał fakt wyjazdu'. Na pytanie Prezydenta: 'Jakie instrukcje p. Retinger otrzymał?' — Mikołajczyk odpowiedział, że Retinger, do którego Anglicy 'mają zaufanie', miał — 'jako człowiek wtajemniczony w całokształt spraw politycznych' — 'poinformować delegata rządu i czynniki polityczne w kraju'”.

Należy przyznać, że władze polskie na Zachodzie były bezsilne. Właściwie nikt, włączając Mikołajczyka, nie życzył sobie lotu Retingera do Polski, ale mimo to Retinger poleciał.

6. Zrzut

W nocy z 3 na 4 kwietnia 1944 r. Brzoza-Salamandra i Sulima-Marek Celt wylądowali bez żadnych przeszkód (w liście do *Kultury* Nr 5/223 niesłusznie pisałem, że Retinger przy lądowaniu zwichnął nogę) na placówce odbiorczej Zegar, 26 km. na wschód od Warszawy.

W ślad za nimi w dniu 5 kwietnia 1944 r. Premier Mikołajczyk (pseudo. Stem) wysłał dwa telegramy do Delegata Rządu na kraj, inż. Jankowskiego, o następującej treści (oba w Studium Pol. Podz., Teczka 50/I, M. S. Wewn.):

L.dz. K 2303/44, Nr 82.

„Delegat. Zrzuceni zostali u Was z 3 na 4 kwietnia Celt i Salamander. Obaj zasługują na pełne zaufanie. Salamander cieszy się poza tym pełnym zaufaniem naszych gospodarzy. Jego rychły, szczęśliwy powrót może mieć dla naszej sprawy szczególne znaczenie. Proszę o niezwłoczną wiadomość o ich przybyciu. Stem”.

Premier Mikołajczyk jest konsekwentny, skoro już się zgodził na misję Retingera, to pisze, że zasługuje on na „pełne zaufanie”, ale również podkreśla i to bardzo silnie rolę jaką odgrywa on u „naszych gospodarzy”.

L.dz. K 2309/44, Nr 83.

„Delegat. Refero nasz 82. Chcielibyśmy podjąć od Was Salamandra razem z następnym wysłannikiem Waszym, którego wydelegujecie do nas.

Patrz dep. Nr 9 z dnia 22 stycznia.

Jur powiedział mi, że Pan gotów był wybrać się do nas. Gdyby Pan osobiście mógł się wybrać z Salamandrem byłoby cudownie. Nieobecność Pańska mogłaby się jednak okazać dłuższa, wobec krótkich nocy i ewent. zamknięcia Francji w międzyczasie.

Na szybkim powrocie obu wystanników bardzo mi zależy. Gdyby koncepcja podjęcia Salam. w Polsce okazała się niemożliwa, proszę wysłać go rychło drogą Jura. Celt otrzymał tu dwa warianty powrotu do nas: — dawną swoją drogą, która obecnie wydaje się niemożliwa, oraz przez północ. Tę ostatnią należy zorganizować — to jedno z jego zadań, posiada do niej wszystkie elementy. Gdyby w ocenie Pana droga północna, którą w czasie sprawozdań Celta ktoś winien przepracować, okazała się wątpliwa do zrobienia, to Celta po spełnieniu wszystkich zadań technicznych i politycznych proszę niezwłocznie wysłać śladami Jura. Stem”.

Zgadzaając się na lot Retingera do Polski Mikołajczyk przyjął na siebie odpowiedzialność za całą ekspedycję i nic dziwnego, że tak się troszczył o „rychły i szczęśliwy” powrót.

Dnia 5 kwietnia odebrano w Oddz. Spec. telegram z Mewy, w którego II części podana jest lista „Bagażu dla DR” zakończona takim zdaniem: „Na Zegar dwu kmieci jak moja jeden — Brzoza i Celt. Sopia 66, 4. 4. 44.”. Następnego dnia Oddz. Spec. wysłał pismo (L.dz. 2786) do Min. Spraw Wewn. takiej treści:

„Zawiadamiam, że w nocy z 3/4 kwietnia 44 odlecieli do Kraju kurierzy polityczni: Brzoza i Sulima.

Z raportu załogi samolotu wynika, że widziano spadochrony oba otwarte. Zrzut nastąpił na placówkę odbiorczą.

Jednocześnie tej samej nocy odeszły do Kraju następujące przesyłki DR:

pasy z pieniędzmi 105/20 i 106/20

walizy DR 107 20, 108 20, 109/20, 95/19, 96/19, 99/19 i 66/18

przesyłki DR 104 20

poczta DR 1110 111 20.

Szef Wydziału 'S' Podoski kpt.”.

Trzeba przyznać, że bagaż okazał się, siedem waliz, przesyłka, poczta i dwa pasy z pieniędzmi. Zostało już ustalone przez badaczy spraw krajowych, że w pasach przesyłanych do kraju ilość pieniędzy wahała się od 50 do 100 tysięcy dolarów w banknotach, z tym, że jako przeciętną należy przyjmować 80 tysięcy dolarów. Czyli dr Retinger zabrał ze sobą około 160 tysięcy dolarów. A do tego siedem waliz! Co one zawierały, przecież chyba nie rzeczy osobiste? W Studium Polski Podziemnej są akta pakowania bagaży wojskowych, a między nimi zdarzają się czasami akta pakowania bagaży kurierów cywilnych, wszystko to nie jest jeszcze uporządkowane, więc poszukiwania poszczególnych aktów pakowania zajmują wiele czasu. Biorąc pod uwagę bardzo niskie prawdopodobieństwo, żeby właśnie akta pakowania ba-

gaży Brzozy tam się znajdowały, jak również brak czasu, zrezygnowałem z poszukiwań.

Dnia 7 kwietnia 1944 r. nadszedł następujący telegram gen. Bora-Komorowskiego (Nr 7613/S) nadany przez Wandę 1.

„Na 66 potwierdzam odbiór na Zegar 2-9-9 dwu Kurier jak wasza 1 Sopia, jest już w Waławie, Balia 0-12-12, Wanna 0-9-12, Kufel 0-8-10 dalsze podam w miarę napływania wiadomości z terenu. Mamy awizo, że Pierzyna odebrała, Koc nie. Lawina, 612, dn. 7. 4. 44.”.

(Zegar, Balia, Wanna, Kufel, Pierzyna, Koc, to placówki odbiorcze. Waław = Warszawa).

Dnia 11 kwietnia Oddz. Spec. (L.dz. 2847) wysłał następujące pismo do radcy Siudaka z M. S. Wewn.:

„Nawiązując do mojej ustnej rozmowy z Panem Radcą potwierdzam, że D-ca Krajowy pokwitował odbiór zrztu, w którym poszli kurierzy polityczni Brzoza i Celt, zaznaczając jednocześnie, że są oni już w Warszawie. Szef wydziału 'S', Podoski kpt.”.

7. W Polsce

Zachodzi pytanie jak Komenda Gł. A.K. przywitała Retingera. Niestety najważniejsze osobistości, gen. Bór-Komorowski, gen. Pełczyński i płk. Iranek-Osmecki, nie wypowiedziały się na ten temat, a gdy zwróciłem się do nich z zapytaniami, odmówili odpowiedzi (patrz Zał. 2). Jak dotąd w pracach opublikowanych jedynie Aleksander Skarżyński (str. 166) poruszył tę sprawę przedstawiając ją w sposób następujący:

„Po przybyciu Brzozy do kraju Komenda Główna A.K. otrzymała szyfrogram podpisany przez płk. Demela ... nakazujący zlikwidowanie J. Retingera. Pewne koła w KG skłonne były wykonać to polecenie, gdyż uważały Retingera za człowieka niewygodnego politycznie. Głównym rzecznikiem 'sprzątnięcia' Retingera był szef sztabu A.K. — gen. Pełczyński. Likwidację zamierzano przeprowadzić w sposób pozorujący dokonanie jej przez Gestapo. Akcja przeprowadzona nie została. Przypuszczalnie nie zgodził się na nią Bór-Komorowski, któremu w zasadzie obce były metody używane przez 'dwójkę' (według relacji osób żyjących)”.

W czasie moich dociekań zwróciłem się listownie do płk. dypl. Janusza Bokszczanina (pseudo Sęk) zamieszkałego w Paryżu. Ponieważ płk. Bokszczanin jest mało znany szerszemu gronu czytelników pragnę przytoczyć kilka faktów z jego życia. Podobno za młodu był on oficerem gwardii w armii carskiej. Do Polski przybył w oddziałach gen. Żeligowskiego. Po wojnie bolszewickiej pozostał w wojsku jako zawodowy oficer kawalerii.

Skończył Wyższą Szkołę Wojenną. Przez dłuższy czas był Szefem Sztabu Wołyńskiej Brygady Kawalerii w Równem. Z tego okresu podaje o nim pochlebną opinię, jako sztabowcu, Kirchmayer (str. 294-295) w swoich pamiętnikach. Tuż przed kampanią wrześniową został płk. Bokszczanin dowódcą 10 Pułku Strzelców Konnych (pułk ten został zmotoryzowany parę lat przedtem) w brygadzie Maczka. Gen. Maczek wspomina o nim kilkakrotnie (str. 84, 90) w swojej książce wyrażając pochlebną opinię. Pod Zboiskami, 16 września 39 r. płk. Bokszczanin został ranny. W Kom. Gł. A.K. był on najpierw Szefem Wydziału Broni Szybkich, a potem, po odejściu gen. Tatara pod koniec 1943 r., Szefem Operacji. To stanowisko zajmował do połowy lipca 1944 r., kiedy na skutek odmiennej opinii na temat operacyjnych zadań A.K. przekazał swą funkcję gen. Okulickiemu, a sam, o ile mi wiadomo, został wyznaczony do odlotu na Zachód „czwartym mostem”, którego spodziewano się wkrótce. Jednak już nigdy nie doszedł on do skutku, chociaż dyskutowano możliwość wykonania go aż do końca 1944 r. W powstaniu warszawskim płk. Bokszczanin udziału nie brał, gdyż wybuch powstania zastał go poza Warszawą. Po kapitulacji Warszawy płk. Bokszczanin został Szefem Sztabu A.K. i na tym stanowisku pozostał aż do rozwiązania Armii Krajowej.

Dnia 1 listopada 1966 r. otrzymałem następujące odpowiedzi płk. Bokszczanina na moje pytania, których nie powtarzam, bo wynikają one jasno z odpowiedzi:

„Postaram się jak najściślej odpowiedzieć na pytania. Zaznaczam, że jako szef Operacji K. Gł. byłem z daleka od spraw i zagadnień nie wchodzących w zakres moich obowiązków i zainteresowań, a tym samym moje wiadomości ograniczają się do przypadkowo usłyszanych na odprawach urywków rozmów.

Odpowiadam kolejno na postawione mi pytania:

Ad. 1. Czy K.G. A.K. została poinformowana przez Sztab N.W. o charakterze wizyty dra Retingera w Kraju — tego nie wiem. Dużo mówiono na ten temat, robiono różne domysły i dociekania, ale misja z jaką Retinger przybył do Kraju pozostawała tajemnicą. Mam wrażenie, że jakaś korespondencja w tej sprawie między K. Gł. i Sztabem N.W. była, ale pewności co do tego nie mam.

Ad. 2. Słyszałem jak na odprawach omawiano telegram Demla do Iran-ka, ale czy telegram był szyfrowany specjalnym szyfrem, tego nie wiem. Jest zupełnie możliwe, że Iranek przed zrzućceniem go do Kraju ustalił z Demlem własny szyfr, którym posługiwał się w korespondencji ściśle poufnej.

Ad. 3. Dokładnej treści telegramu Demla nie znałem, bo nie był on przy mnie odczytywany. Byłem natomiast świadkiem bardzo gorących dyskusji na temat nie wypuszczenia z kraju Retingera i ewentualnego zgładzenia go. Była również omawiana sprawa opóźnienia odlotu Retingera i konieczność zrewidowania jego bagażu dla zdobycia kompromitujących go dokumentów. Trudno mi powiedzieć, kto był za zgładzeniem, a kto przeciwko, bo ta dysku-

sja na temat zgładzenia, co wówczas nazywano likwidacją, przeciągnęła się bardzo długo — rozważano różne możliwości i konsekwencje, wysuwano argumenty za i przeciw. Odniosłem wówczas wrażenie, że Iranek nie obstawał za zgładzeniem, lecz stawiał tylko pytanie domagając się jasnej, zdecydowanej odpowiedzi i niedwuznacznej decyzji — czy likwidować, czy nie, z tym że każdą decyzję przyjmie bez sprzeciwu. Gen. Pełczyński szeroko rozwodził się analizując wszystkie argumenty 'za' i 'przeciw', ale nie wypowiedział się w sposób zdecydowany. Bór natomiast kategorycznie sprzeciwił się likwidacji, zabronił jej i nakazał wypuszczenie Retingera z Kraju bez przeszkód. Zdecydowana postawa Bora położyła kres dalszej dyskusji. Tym samym dając odpowiedź na pytanie, dlaczego zlecenie zgładzenia Retingera, jeżeli takie było, nie zostało wykonane. Daty tej odprawy nie pamiętam, ale wydaje mi się, że to mógł być początek kwietnia 1944 r. tuż przed świętami Wielkanocnymi [w 1944 r. Wielkanoc była 9 kwietnia — Z.S.]. Pamiętam natomiast, że odbyło się to w lokalu przy ul. Nowogrodzkiej *vis-à-vis* głównego telegrafu.

Ad. 5. Kogo widywał Retinger i jaka była jego działalność, nie nie wiem. Nie potrafię też odpowiedzieć na pytanie czy miał on jakiś wpływ na decyzję walki w Warszawie.

Ad. 6. Po przyjeździe do Londynu z nikim na temat Retingera nie rozmawiałem, gdyż nie przywiązywałem większego znaczenia do tej sprawy i mało byłem w niej zorientowany. Kiedyś w rozmowie z Utnikiem coś o tym wspomniałem, ale spostrzegłem się, że Utnik uchyla się i unika rozmowy na ten temat, więc nie nalegałem i dałem spokój.

Jak zaznaczyłem to w mej odpowiedzi w punkcie ad. 3. treści telegramu Demla nie znałem, ale ze słyszanych przeze mnie wypowiedzi na odprawach było dla mnie zupełnie jasne, że nie chodziło o obserwowanie i zrewidowanie, co zresztą było wykonane, lecz wyraźnie chodziło o zgładzenie Retingera. Co do tego, to nie mam żadnych wątpliwości, bo właśnie zgładzenie było tematem wszystkich dyskusji. Wątpię by myśl o zgładzeniu, gdyby nie była poruszona w telegramie, mogła zrodzić się u Iranaka lub Pełczyńskiego, bo gdyby tak było, to dyskusje te miałyby inny charakter i, gdyby na tym zależało, znalazłoby się sposobu zlikwidowania Retingera bez w mieszania w tę sprawę Bora i poza jego plecami. Przypuszczam, że jeżeli w telegramie nie było zlecenia, to jednak musiała być sugestia.

Nie wiem na czym A. Skarżyński opiera swe twierdzenie, że głównym rzeczniczką sprzątnięcia Retingera był gen. Pełczyński — ja takiego wrażenia nie odniosłem. Nie mogę jednak obalać tego twierdzenia, ponieważ znam tylko drobny końcowy fragment sprawy, która przecież musiała być wielokrotnie i szczegółowo omawiana i niekoniecznie na odprawach, tylko na zebraniach osób zainteresowanych i to w najściślejszym gronie. Że ja coś-nie-coś o tym wiem, to jest tylko przypadek. Możliwe, że p. S. ma jakieś podstawy uzasadniające tak kategoryczne stwierdzenie”.

Po otrzymaniu tej odpowiedzi zwróciłem się ponownie do płk. Bokszczanina z zapytaniem o „zarzuty jakie wysuwano przeciwko Retingerowi w czasie odpraw K.G.”. Otrzymałem następującą odpowiedź z dnia 10 stycznia 1967 r.

„Ze względu na bezpieczeństwo i zachowanie tajemnicy, tak zwane odprawy K.G. nie były w ścisłym znaczeniu tego słowa odprawami, lecz omawianiem przez K-ta Gł. ważniejszych zagadnień z kierownikami poszczególnych działów, kolejno i osobno z każdym. Poza Szefem Sztabu i bezpośrednio zain-

teresowanymi nikt przy tym nie był obecny. Sprawa dra Retingera, łącznie z jego odlotem, nie wchodziła w zakres moich obowiązków i jako mająca charakter polityczny należała do Szefa Sztabu i bezpośrednio podległych mu organów kontr-wywiadu i bezpieczeństwa, więc nic mi o niej nie było wiadome i nie interesowałem się nią. Było zupełnym przypadkiem, że podczas mego referatu u Bora, w obecności Pełczyńskiego, zjawił się Iranek dla otrzymania decyzji dotyczącej Retingera, i że przy tej rozmowie byłem obecny nie wiedząc nawet o co chodzi. Domyslałem się tylko że dotyczyła ona osoby, jak uprzednio słyszałem, tajemniczego wysłannika podobno Premiera Mikołajczyka do jakichś nieokreślonych kół politycznych, który był rzucony jako skoczek w jakiejś specjalnej misji. Nazwisko jego nic mi nie mówiło i nie wiedziałem nawet, czy nie jest to pseudonim.

Na żadne z postawionych pytań nie mogę dać odpowiedzi. O co go oskarżano, czyje interesy reprezentował, przez kogo i do kogo był wysłany, z kim się kontaktował i jaką rozwijał działalność, nie wiem. Tego rodzaju sprawy nie mogły być omawiane na żadnej ogólnej odprawie — mogły być jedynie tematem rozmów ściśle poufnych gen. Bora z Pełczyńskim i Iranikiem i tylko im ta sprawa jest znana”.

Z uprzednich rozważań wynikało, że wojsko w Londynie najprawdopodobniej podejrzewało Retingera o namawianie do ugody w stosunku do Rosji i o propagowanie akcji powstańczej. Z punktu widzenia wojska w kraju ugoda z Rosją była również nie do przyjęcia, ale akcja powstańcza leżała jak najbardziej w zamiarach A.K. i jej propagowanie (jeżeli miało miejsce) nie mogło być oceniane w Warszawie negatywnie.

Z rzeczowych stwierdzeń płk. Bokszczanina wynika, że w pierwszej dekadzie kwietnia 1944 r. Sztab A.K. rozważał sprawę likwidacji dra Retingera i że myśl likwidacji została podsunęta z Londynu. Wydawałoby się, że wszystko się zgadza z dokumentami przytoczonymi powyżej, ale jednak są pewne luki. Po pierwsze, znany nam telegram płk. Demela, w dzisiejszym zrozumieniu tekstu, likwidacji nie sugeruje, chociaż likwidacja nie jest z nim sprzeczna. Po drugie, telegram płk. Demela był wysłany w pierwszej dekadzie lutego (najprawdopodobniej 5 lutego), natomiast likwidacja Retingera była dyskutowana w Warszawie dopiero w pierwszej dekadzie kwietnia, w czasie kiedy Retinger najprawdopodobniej był już w Warszawie.

Prawdziwa odpowiedź na te rozbieżności może być znana jedynie trzem żyjącym osobom, gen. Pełczyńskiemu, płk. Irankowi-Osmeckiemu i płk. Demelowi. Jest też możliwe, że częściowo był na ten temat poinformowany szef B.I.P. w K.G. A.K., płk. Jan Rzepecki, przebywający obecnie w Warszawie, chociaż nic na temat Retingera nie pisze.

Nam pozostaje jedynie snucie domysłów, które mogą być ujęte w następujące możliwości.

1. Znany nam telegram płk. Demela w ówczesnej interpretacji (może na skutek jakichś umów pomiędzy płk. Demelem

i płk. Irankiem przed jego powtórным odlotem do kraju w lutym 1943 r.) znaczył z punktu widzenia i nadawcy i odbiorcy zalecenie likwidacji. Natomiast o ile chodzi o czas, to K.G. A.K. odwlekała tę trudną i drażliwą decyzję aż do chwili przybycia Retingera do kraju, tzn. do początków kwietnia, kiedy była zmuszona zająć konkretne stanowisko.

2. Znany nam telegram płk. Demela K.G. A.K. rozumiała w ten sam sposób jak i my go rozumiemy, ale już po przybyciu Retingera odkryła w jego bagażach obciążające materiały (płk. Bokszczanin pisze, że bagaże zrewidowano, byłoby dziwne, gdyby tego nie dokonano, gdyż w sytuacji jaka zaistniała było to obowiązkiem kontr-wywiadu, zresztą według wszelkiego prawdopodobieństwa Nacz. Wódz kazał przeprowadzić rewizję „bez awantur”) i dopiero wówczas powstał problem ewentualnego zlikwidowania Retingera. Telegram płk. Demela likwidacji nie zalecał, ale likwidacja nie była z nim sprzeczna.

3. W czasie pisania znanego nam telegramu płk. Demel nie był jeszcze pewien, czy Retinger leci, ale w marcu nie miał już żadnych wątpliwości. Może w międzyczasie uzyskał jakieś informacje na temat celu podróży, który w jego oczach był przestępstwem i w tej sytuacji wysłał następny telegram zalecający likwidację. Z tym, że wszelki ślad tego telegramu zaginął.

Cała ta sprawa łączy się z zagadnieniem bardziej ogólnym, a mianowicie kwestią komunikowania się Szefa Drugiego Oddziału A.K. z odpowiednią komórką na Zachodzie.

Jednym z czułych punktów na wrogą infiltrację był styk pomiędzy A.K. i dowództwem na Zachodzie. Zresztą infiltracja niemiecka na tym odcinku miała już miejsce w sieci cywilnej na samym początku wojny (wspomniany wyżej Mikiciński). Bez możliwości ściślej i tajnej współpracy z odpowiednią komórką na Zachodzie Szef Oddziału Drugiego A.K. nie mógł zabezpieczyć tego odcinka.

Zdołałem ustalić, że zgodnie z polską przedwojenną organizacją Szef Oddziału Drugiego A.K. kierował zarówno wywiadem (zbieranie informacji o nieprzyjacielu) jak i kontrwywiadem (przeciwdziałanie infiltracji nieprzyjacielskiej). Natomiast z chwilą przybycia do Londynu władz polskich wprowadzono zmiany organizacyjne na wzór angielski. Wywiad w dalszym ciągu pozostał jako oddział Sztabu N.W. przyjmując nazwę Oddz. Inform.-Wywiadowczy i był kierowany przez płk. dypl. Gano, natomiast kontrwywiad został przeniesiony do Min. Obrony Narodowej, gdzie nosił nazwę Biura Ministra. Na czele tego Biura stał w 1944 r. płk. Łunkiewicz, który był odpowiedzialny przed Ministrem Obrony Narodowej gen. Kukielem.

Wywiadem na kraj zajmował się Oddz. Specjalny Sztabu N.W., a nie Oddz. Inf.-Wyw. kierowany przez płk. Gano. Biuro Min. Obr. Nar. nie utrzymywało bezpośredniego kontaktu z krajem, a w sprawach bieżących, które dotyczyły kraju, współpracowało z Oddz. Spec. (relacja gen. Kukieła). Wynika z tego, że ani w wywiadzie, ani w kontrwywiadzie nie było jednolitego kierownictwa. Sprawy krajowe zostały wyodrębnione i leżały w kompetencji Oddz. Spec. Sztabu N.W.

Możliwe, że w tej skomplikowanej sieci organizacyjnej wywiadu i kontrwywiadu płk. Demel współpracował bezpośrednio z Szefem Oddz. Drugiego A.K. nad zabezpieczeniem odcinka kraj-Londyn. Co za tym przemawia?

Primo, w czasie rozmowy w dniu 28 czerwca 1965 r. (w obecności świadka) płk. Demel stwierdził, iż miał specjalny szyfr do komunikowania się z płk. Irankiem, a jak widzieliśmy, płk. Bokszczanin uważa istnienie takiego szyfru za „zupełnie możliwe”. Secundo, liczba 103 za podpisem płk. Demela w przytoczonym telegramie nie może być jedną z kolejnych liczb dziennych Oddz. Operacyjnego, którego Szefem był płk. Demel, musiała to być liczba z jakiegoś innego szeregu używanego przez płk. Demela w jakimś innym celu. Tertio, żądanie potwierdzenia otrzymania telegramu i meldowania wyniku rewizji bagażu w znanym nam telegramie płk. Demela, po których zresztą w dokumentach nie ma ani śladu, sugerują, że płk. Demel i płk. Iranek-Osmecki komunikowali się ze sobą nie po raz pierwszy i nie ostatni. Jedno jest tylko zastanawiające, skąd się wziął zwrot „Lawina do rąk własnych” na samym początku telegramu, który całkowicie nie pasuje do wyrażnie osobistej formy całego telegramu. Może to właśnie ten dodatek przyczynił się do tego, że sprawa Retingera wyszła poza ramy Oddz. Drugiego. Czyżby ktoś w Oddz. Spec., przez który telegram ten przechodził już chyba w stanie zaszyfrowanym, zależało na tym, żeby telegram ten trafił do rąk gen. Bora-Komorowskiego? (Mjr Utnik w czasie przechodzenia tego telegramu przez Oddz. Spec. był jeszcze we Włoszech).

Na zakończenie tych domysłów należy przypomnieć, że pewne telegramy do kraju i z kraju nie były przekazywane z centrali radiowej w Barnes Lodge do Oddz. Spec. i *vice versa* dalekopisem, do którego mieli wgląd Anglicy, lecz były przewożone przez gońców motocyklowych. Czy do tych telegramów należały między innymi telegramy od i do Oddz. Drugiego w kraju, nie wiem.

Ale wróćmy od hipotetycznych domysłów do spraw bardziej konkretnych.

Dnia 24 kwietnia 1944 r. Premier Mikołajczyk otrzymał następujący telegram:

„Lena, dn. 19 kwietnia 1944 r. Przekazuję dep. Salamandry do Stema. Sobol. Mimo olbrzymich trudności jestem nad wyraz przejęty znakomitą postawą, oporem i jednością. Tezy Pańskie są właściwie podzielane tutaj. Mam nadzieję wyjechać z końcem miesiąca. Salamandra”.

(M. S. Wewn. Teczka 16, w Studium Polski Podziemnej).

Lena = Warszawa, Salamandra = Retinger, Stem = Mikołajczyk, Sobol = Delegat Jankowski.

Widać, że wizyta w kraju była dla dra Retingera rozczarowaniem. Przyznaje, że miał tam „olbrzymie trudności” i że tezy Mikołajczyka, a nie jego własne, jak później zobaczymy, były podzielane w kraju.

Przez resztę kwietnia i maj w korespondencji z krajem nie ma śladów sprawy Retingera. Istnieją jedynie skąpe wiadomości o jego poczynaniach; tylko Stefan Korboński i Z. Żaremba wspominają w swych pamiętnikach o Retingerze i obaj skarżą się na brak wyrobienia konspiracyjnego, a szczególnie na niepunktualność i na uczęszczanie do lokali (restauracja Lijewskiego), w których był on znany przed wojną. S.O.E. miało co najmniej trzy miesiące (styczeń, luty i marzec) na przygotowanie Retingera do życia konspiracyjnego, ale tego czasu nie wykorzystano i znużony samotnością Retinger studiował Platona.

Było chyba zaledwie dwóch ludzi, którzy dobrze orientowali się w poczynaniach dra Retingera w kraju, a mianowicie Szef Oddz. Drugiego Kom. Gł. A.K., płk. dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki, z tytułu swego stanowiska i dyrektor Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu na kraj, Stanisław Kauzik (pseudo. Dołęga i Modrzewski), któremu zostało powierzone kontaktowanie Retingera z osobistościami krajowymi. Płk. Iranek-Osmecki, jak dotychczas, nie wypowiedział się na ten temat. Kauzik natomiast zmarł przedwcześnie napisawszy jedynie pierwszą część swych wspomnień, odnoszącą się do początkowego okresu wojny. Pozostawił jednak krótką wypowiedź na temat Retingera, z której jeszcze skorzystamy. O ile mi wiadomo dr Retinger nie kontaktował się z nikim z Kom. Gł. A.K. poza gen. Borem-Komorowskim.

Krąży pogłoski, iż N.S.Z. wydały wyrok śmierci na Retingera i jacyś młodzi ludzie dostali polecenie wykonania tego wyroku. Czy tak naprawdę było nie zdołałem ustalić.

Ponieważ poczynania dra Retingera w kraju łączą się ściśle z celem jego misji omówimy je dopiero na końcu.

8. Paraliż

Po udanym „pierwszym moście” szykowano „drugi most”. Tym razem wykorzystano lądowisko Motyl na łąkach Przybysławskich pomiędzy rzeczką Kisieliną i Dunajcem na północno-zachód od Tarnowa. Samolot miał zabrać płk. Romana Rutkowskiego (pseudo. Rudy), który był szefem lotnictwa w A.K.; to on właśnie był odpowiedzialny za przygotowywanie lądowisk w kraju, mjr. Zbigniewa Sujkowskiego (pseudo. Leliwa), Jana Domańskiego (pseudo. Bartnicki) ze Stronnictwa Ludowego i dra J. H. Retingera.

„Drugi most” miał miejsce z 29 na 30 maja 1944 r. Jak pisze Kajetan Bieniecki w liście do *Kultury* Nr 10/228 operacja była sprawna i trwała 6 minut. Dakota zabrała wszystkich pasażerów z wyjątkiem dra Retingera. I znowu rozpoczął się ruch na falach radiowych.

Delegat Rządu na kraj wysłał następujący telegram otrzymany i odszyfrowany w M. S. Wewn. (L.dz. K 3678/44) dopiero 1 lipca 1944 r.:

„Sabina, dn. 3 maja [wyraźny błąd, powinno być 3 czerwca — Z.S.] 1944 r. Nr 52. Dzisiaj Salam. zawiadomił mnie, że samolot odleciał bez niego, gdyż odstawiono go celowo na punkt niewłaściwy, tak że spóźnił się o 2 minuty. Zwróciłem się do komend. o przeprowadzenia śledztwa. Odleciał tylko Roman z Trójkąta.

Salamandra staram się wysłać inną drogą. Rzeczy jego zabrał płk. Rudy, który otrzymał już polecenie, aby je dostarczyć Panu. Sobol”.

(Sabina, to jeden z pseudonimów Warszawy; Roman z Trójkąta, to Jan Domański ze Stronnictwa Ludowego; Komend, to gen. Bór-Komorowski).

W trzy dni później został wysłany telegram samego Retingera do Mikołajczyka. Telegram ten otrzymano i odszyfrowano w M. S. Wewn. dopiero 29 czerwca 1944 r. (L.dz. K 3615):

„Sabina, dn. 6 czerwca 1944 r. Stem. Przesyłam dep. Salamandra. Sobol. Nie wystartowałem wskutek karygodnego niedbalstwa tutejszych kierowników operacji. Proszę zatrzymać mą pocztę do mego powrotu. Proszę zainteres. [zaintervenować — Z.S.] gen. Gubbinsa o przysłanie jak najrychlej samolotu dla mnie, gdyż mój natychmiastowy powrót jest konieczny. Proszę o odpowiedź. Salamander”.

Z jednej strony widać wyraźnie, że dr Retinger całą odpowiedzialność za swoje spóźnienie składał na A.K., a z drugiej strony ton tego telegramu wskazuje, że dr Retinger miał nadzieję, iż Brytyjczycy przyjdą mu z pomocą.

Oba te telegramy, tak jak i wszystkie inne, których L.dz.

zaczyna się na K szły nie przez sieć wojskową, a przez sieć radio-wą Stronnictwa Ludowego, którą w kraju kierował Stefan Korboński. Telegramy te znajdują się w Teczce 16, M. S. Wewn. w Studium Polski Podziemnej.

Dnia 10 czerwca 1944 r. Oddz. Spec. otrzymał następujący telegram (L.dz. 4685), który odszyfrowano 11 czerwca:

„Zarządziłem dochodzenie celem ustalenia dlaczego Brzoza nie odleciał 8079. Wynik zamelduję. Lawina 1091, dnia 9. 6. 1944”.

Na blankiecie tego telegramu widnieje notatka: „Odpis S.O.E. wysłano 12. 6. 44”.

W tej sytuacji przez cały czerwiec, aż do nadejścia telegramu Salamandry, wiadomo było w Londynie tylko tyle, że Retinger nie przyleciał z powodu jakichś tajemniczych przyczyn, które doprowadziły do zarządzenia dochodzenia przez d-cę A.K., ale nie wiadomo było co się właściwie z Retingerem dzieje.

Nic dziwnego, że Ambasador Raczyński zapisał w swym pamiętniku co następuje (str. 271):

„Józef Zarański, dawny drugi radca londyńskiej ambasady, od niedawna przydzielony do Prezydium, bardzo dyskretnie podał mi wiadomość o niepokoju jaki zapanował w otoczeniu premiera Mikołajczyka o los Retingera. Samolot brytyjski, który upatrzonej nocy miał go zabrać z Polski, zabrał dwóch jego towarzyszy, o nim zaś mówiono, że się spóźnił. Przywieziono zarazem różne rzeczy do niego należące, jakiś sygnet, dokumenty... Mówiono, że słyhać było jakieś strzały kiedy samolot startował z Polski. W Prezydium zapanowało podrażnienie, szczęściem zupełnie utajone. Sprawa Recia przybrała postać bomby 'z opóźnieniem', mogącej każdej chwili wybuchnąć”.

Jak pisałem we wstępie, większość wypowiedzi na temat Retingera zawiera niedomówienie, oto typowy przykład. Co miał na myśli Ambasador Raczyński pisząc o „bombie mogącej każdej chwili wybuchnąć” trudno się domyślić.

Obszerną relację z tego co się stało na lądowisku Motyl podaje Stefan Korboński (str. 297, drugie wydanie 276):

„Co się stało? — zapytałem, naprawdę zaciekawiony. Salamandra poprawił się na poduszce i rozpoczął długą opowieść.

Pojechał na bazę A.K. i tam cierpliwie czekał na przylot samolotu, co, jak wiadomo, było operacją trudną i ryzykowną. Wreszcie, któregoś dnia został nagle zaalarmowany i wsadzony na bryczkę, która popędziła w kierunku lotniska, gdzie samolot miał lada chwila lądować i natychmiast wracać z powrotem, gdyż tego wymagały względy bezpieczeństwa. Gdy zbliżali się do miejsca przeznaczenia, oczom Salamandry ukazał się upragniony widok, ale ze zmienioną kolejnością obrazów, coś jak film, kręcony w odwrotnym kierunku. Zza drzew wychylił się samolot, ale nie do lądowania, wręcz przeciwnie, i poszybował w przestworza, niestety, bez Salamandry. Towarzyszący mu oficer A.K. był bardzo zmartwiony: — „Spóźniliśmy się!

A niech to diabli wezmą!" Bryczka zawróciła, a że złe rzeczy idą zawsze w parze, więc oddalając się jak najszybciej od lądowiska, dokąd każdej chwili mogła nadejść ekspedycja niemiecka, bryczka wywróciła się do rowu i Salamandra został skąpany w lodowatej wodzie. Ciało jego nie przyzwyczajone do tego rodzaju kontaktów z płynami, zareagowało zapaleniem nerwów i oto mieliśmy go z powrotem w Warszawie, ciężko chorego i w fatalnym nastroju.

Koniec rozmowy nie był pozbawiony momentów dramatycznych. Salamandra powątpiewał hy spóźnienie na samolot i wywrócenie się bryczki było przypadkowe i to, wraz z chorobą, było przyczyną dość czarnych myśli. Wyciągnął spod poduszki grubą kopertę i wręczając mi ją, powiedział: — „Prócz pana, nie mam w tej chwili tutaj nikogo, komu bym mógł zaufać. W tej kopercie jest list do generała Sikorskiego. Opisuję w nim wszystko, co widziałem i stwierdziłem. Jest w nim także coś w rodzaju mego testamentu. Czy może mi pan przyrzec, że go pan doręczy Generałowi, gdybym zmarł lub zginął?” Sprawa istotnie wyglądała poważnie”.

Ten wyraźny *lapsus linguae* z generałem Sikorskim, który zresztą w drugim wydaniu został zastąpiony Premierem Mikołajczykiem, posłużył Cyprianowi Odorkiewiczowi (Krybar) do wyciągnięcia fałszywego wniosku, że Retinger był dwukrotnie zrzućany do kraju w czasie wojny.

Jan Pomian w liście do *Kultury* pisze:

„W czasie całego jego pobytu w kraju [dr Retinger — Z.S.] był otaczany pełnym szacunkiem, troskliwą opieką Władz Podziemia i A.K. i doznawał jak najdalej idącej pomocy. Żyjący dziś na emigracji członkowie rządu podziemnego pp. Białas, Stypułkowski, Zaremba i Korboński, z którymi łączyła go do śmierci obopólna przyjaźń i szacunek, mogą to potwierdzić”.

Dziwnie brzmią te słowa na tle faktów omawianych w tym opracowaniu. Wspomnienie Korbońskiego zaprzeczają temu, iż Retinger był w kraju „otaczany pełnym szacunkiem, troskliwą opieką... i doznawał jak najdalej idącej pomocy”. Zaremba na ten temat nie wypowiada się, Stypułkowski w ogóle Retingera nie wspomina w swoich pamiętnikach, a Białas, o ile mi wiadomo, nic nie napisał. A zresztą po cóż świadkowie, sam Retinger pisał, że ma „olbrzymie trudności”.

Jedno z moich pytań, z którymi zwróciłem się do płk. dypl. Bokszczanina dotyczyło spóźnienia się Retingera na „drugi most”. Odpowiedź brzmiała następująco:

„Ad. 4. Sprawę spóźnienia się Retingera na lądowisko i wywrócenie bryczki do wody znam z meldunku składanego przez Iranika Borowi w mojej obecności. Wiem więc, że wypadek ten był przygotowany i planowo przeprowadzony dla uzyskania możliwości wglądu w bagaże Retingera, ale szczegółowa rewizja bagaży nie dała żadnego wyniku, bo nie znaleziono żadnych notatek i nie kompromitującego”.

W drugim liście (z 27 grudnia 1966 r.) do płk. Bokszczanina

poruszyłem znowu wypadki na lądowisku Motyl w nocy z 29 na 30 maja 1944 r. w sposób następujący: — „Czy należy rozumieć, że oba wypadki (spóźnienie się i wywrócenie bryczki) były dokonane w tym samym celu, czy też, że były jakieś inne cele, bo przecież nie tylko dokonano rewizji, ale również spowodowano, że Retinger pozostał w kraju na parę następnych miesięcy i narażono go na szwank fizyczny. Czy to wszystko było zamierzone, czy też częściowo miało miejsce przypadkowo? Czy w czasie tego meldunku płk. Iranka gen. Borowi nie było mowy o celowym zatrzymaniu Retingera w kraju?”

Odpowiedź płk. Bokszczanina z 10 stycznia brzmiała następująco:

„Z tej przypadkowo zaślyszanej rozmowy, której byłem mimowolnym świadkiem i która, jako mnie nie dotycząca, nie interesowała mnie, nie potrafię wyciągać żadnych wniosków co do tego, co było zamierzone, a co było przypadkiem. Rewizja bagażu musiała być planowana, skoro o jej wyniku Irank meldował Borowi. Wywrócenie bryczki, czy spóźnienie się na lotnisko mogło być tak samo, celowe, jak i przypadkowe, mogło być planowane, albo było dziełem wykonawców. Przypominam sobie, że podczas słyszanej przeze mnie rozmowy i dyskusji, sprawa ewentualnego zatrzymania w kraju dra Retingera była poruszona, ale kto i co mówił, tego dziś nie pamiętam”.

Ponieważ został poruszony ewentualny zamiar zatrzymania Retingera w kraju spójrzmy co pisze na ten temat Korboński, który był Kierownikiem Walki Cywilnej (str. 298, drugie wydanie 276):

„Wniósłem sprawę na najbliższe posiedzenie K.W.P. [Kierownictwo Walki Podziemnej — Z.S.]. Przedstawiliśmy wszystko od strony Salamandry, poprosiłem o wyjaśnienie. Komendant [gen. Bór — Z.S.] i inni członkowie nie mogli udzielić żadnych, poza tym, że odlot Salamandry nie udał się z powodu spóźnienia się jego na lądowisko. Postanowiłem rzecz przejasnić i powiedziałem pół serio, pół żartem: — „Jeśli dojdziemy tutaj do przekonania, że powrót Salamandry z naszego punktu widzenia nie byłby pożądanym, to raczej trzeba go tutaj gdzieś zaniknąć i trzymać do końca wojny. Ale nie ma sensu wyrabiać z nim najpierw takie hocki klocki, jak spóźnianie się na samolot lub stosowanie kuracji wodnej księdza Kneippa, a potem wysłać go do Anglii. Wyobrażam sobie, jak on nas tam obgada!” Wówczas z ust Komendanta padło oświadczenie, będące całkowitym dowodem dobrej wiary z jego strony: — „Salamandra odleci najbliższym samolotem, jaki wyląduje. Przyrzekłem już to Delegatowi”.

Jak później zobaczymy tak się i stało.

Tymczasem dnia 11 czerwca 1944 r. nadszedł do Oddz. Spec. następujący telegram (L.dz. 4686) z K.G. A.K.:

„Proszę polecić Rudemu by zgodnie z życzeniem DR przekazał Premierowi za pokwitowaniem pocztę Brzozy, którą miał przy sobie, Lawina 1092, 9. 6. 1944”.

Ppłk. Utnik (już awansował) odpowiedział 22 czerwca w sposób następujący:

„14. 6. otrzymaliśmy waszą pocztę, przywiezioną przez Rudego... Poza tym otrzymaliśmy: meld. Rudego o stanie lotnictwa, pocztę Brzozy, 7 listów które przekazaliśmy w myśl waszej 1092 Premierowi. Warta 1896”

(Teczka 3.8.3. — Protokoły przyjęcia poczty krajowej — Studium Polski Podz.).

Premier Mikołajczyk dostał listy Retingera i drobiazgi, o których wspominał Raczyński, ale w dalszym ciągu nie wiedział co się z nim stało. Z tego powodu Min. Spraw Wewn. Banaczyk wysłał 19 czerwca telegram (L.dz. K 3377) do Delegata, w którym upominał się o wiadomości o Salamandrze i sugerował wysłanie go wraz z Celtem punktami naziemnymi, trasą północną (Teczka 50 M. S. Wewn. w Studium Pol. Podz.). Dopiero 29 czerwca i 1 lipca nadeszły do M. S. Wewn. telegramy Salamandry i Delegata z pierwszych dni czerwca. Ambasador Raczyński zapisał w swoim pamiętniku w dniu 10 lipca 1944 r.: „Mikołajczyk podał wiadomość, że Retinger się odnalazł”.

Cóż się działo w tym czasie z Salamandrą? Powrócił on spod Tarnowa do Warszawy i tu niespodziewanie został sparaliżowany, diagnoza lekarska brzmiała — *polyneuritis*. Denis de Rougemont (str. 40) przypisuje to skutkom skoku spadochronowego, natomiast Korboński, jak już widzieliśmy, skutkom kąpieli w zimnej wodzie. Z powodu tej choroby dr Retinger pozostał pół-kaleką do końca swego życia.

Początkowo został on umieszczony w ekskluzywnej prywatnej klinice „Omega” w Alejach Ujazdowskich 51. Przed wojną w klinice tej praktykował między innymi chirurg Jan Kołodziejski, który został zamordowany w Katyniu. Jego brat, Henryk, bibliotekarz Sejmu i znana szara eminencja, był jedynym niekomunistycznym kandydatem Stalina na Premiera po wojnie. Nie przyjął tego zaszczytu ale w zamian zgłosił kandydaturę Bolesława Bieruta na Prezydenta (Korboński str. 295). Ze względu na zagrożenie ze strony Gestapo przeniesiono Retingera po pewnym czasie do szpitala chorób wenerycznych, jak pisze Denis de Rougemont (str. 40).

Jak pamiętamy gen. Bór-Komorowski obiecał meldować wynik dochodzenia przeprowadzonego celem ustalenia dlaczego Retinger nie odleciał. Meldunek ten nadszedł do Oddz. Spec. (L.dz. 6428) dopiero 5 sierpnia 1944 r., kiedy Retinger był już w Londynie. Brzmiał on następująco:

„Szczegółowe dochodzenia w sprawie spóźnienia na 2 Most Salamandra

ustaliły: Salam. samowolnie bez powiadomienia organizatora przesunął termin wyjazdu ze swego mp o 2 godziny, zamiast o 20-ej, jak otrzymał polecenie, wyjechał około 22, co w konsekwencji doprowadziło do dezorganizacji dalszego przekazania go na czas do miejsca startu. Lawina 1540. 1. 8. 44”.

Na blankiecie telegramu widnieje następująca notatka: „Tabor [gen. Tatar — Z. S.] przedstawia treść N.W. 7. 8. 44”.

Jak widać gen. Bór-Komorowski podpisał ten telegram 1 sierpnia 1944 r., tzn. w dniu rozpoczęcia walki w Warszawie. Robi to wrażenie oczyszczania kancelarii ze spraw zaległych w obliczu wielkiej akcji. Treść tego telegramu jest sprzeczna z telegramem Retingera z dnia 6 czerwca 1944 r. i z opisem podanym przez Korbońskiego. Już teraz nikt chyba nie dojdzie do tego, jakie wypadki w okolicy lądowiska Motyl w nocy z 29 na 30 maja 1944 r. były zamierzone przez A.K., jakie przez dra Retingera (musiał on zdawać sobie sprawę, że A.K. ma w stosunku do niego jakieś zamiary i możliwe, że starał się je pokrzyżować nie stosując się do przewidzianego programu, jakie przez wykonawców operacji, a jakie po prostu były zwykłym zbiegiem okoliczności.

Jedynie, na podstawie oświadczenia płk. Bokszczanina, można stwierdzić, że bagaż Retingera zrewidowano za wiedzą D-cy A.K., ale nic kompromitującego nie znaleziono.

Teraz już mamy dosyć danych, żeby określić sposób w jaki dr Retinger „przez prawie pół roku dzielił los swojego narodu w pracy podziemnej” jak to sformułowała pani Janta-Pończyńska w liście do *Kultury* (Nr 4/222).

9. Powrót

Po dwóch udanych „mostach” przygotowywano trzeci. Władzom brytyjskim szczególnie zależało na tym „moście”, więc przygotowania odbywały się w wielkim pośpiechu. Tym razem Dakota miała przywieźć części niemieckiej rakiety V-2, co w owym czasie było bezcennym materiałem z punktu widzenia Aliantów. Należy dodać, że akcją zdobywania części V-2 przez A.K. kierował właśnie płk. dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki jako Szef Oddz. Drugiego Kom. Gł. A.K.

W międzyczasie 5 lipca 1944 r. Oddz. Spec. otrzymał pismo S.O.E. zawierające następujący urywek:

„To: Lt. Col. Protasewicz, O.B.E. From: Major Pockles. As you know, the Ministry of the Interior is extremely anxious to bring Salamandra out, and I should be grateful if you would inform me whether it is, in fact, intended that he should return on this occasion”. [Jak Panu wiadomo

Ministerstwo Spraw Wewn. jest bardzo zainteresowane tym, żeby wywieźć Salamandrę, wobec tego byłbym wdzięczny gdyby zechciał Pan mnie poinformować, czy, *de facto*, jest zamierzony jego powrót tym razem. — Tłum. Z. S.]

(Teczka Mosty, III most — w Studium Pol. Podz.).

Chodzi tu o polskie M. S. Wewn., gdyż użyty jest zwrot The Ministry of the Interior, a nie The Home Office. Dokument godny zapamiętania, ciekawe tylko, czy naprawdę M. S. Wewn. zwracało się do S.O.E. z prośbą o interwencję w Oddz. Spec., czy też S.O.E. użyło M. S. Wewn. jako przykrywki dla przyjaciół Retingera zabiegających o jego powrót.

Należy przypomnieć, że w międzyczasie zaszły w dowództwie Oddz. Spec. poważne zmiany personalne. Gen. Tatar, po przybyciu z kraju w kwietniu 1944 r., został zastępcą Szefa Sztabu N.W. do spraw krajowych, mjr. Utnik, po awansowaniu na podpułkownika, przejął od ppłk. Protasewicza Szefostwo Oddz. Spec. Ppłk. Protasewicz był jeszcze jakiś czas w Oddz. Spec. i najprawdopodobniej w lipcu 1944 r. został przeniesiony do Włoch, gdzie, jako oficer zawodowy saperów, objął dowództwo saperów w 3 Dywizji Strzelców Karpackich. Na tym stanowisku pozostał do końca wojny. Obecnie ppłk. Protasewicz przebywa we Francji.

Przewiezienie chorego Retingera, który w dalszym ciągu nie mógł chodzić, z Warszawy do Krakowa w wagonie *Nur für Deutsche* było wyczynem nielada. Z Krakowa został Retinger przewieziony na plebanię w Zdrochcu, a stamtąd po kilku dniach, chłopskim wozem na ładowisko Motyl. Tym samym wozem jechał Tomasz Arciszewski, którego Retinger znał z przedwojennych jazdów P.P.S.

„Trzeci most”, który ze względu na pośpiech związany z dostarczaniem na Zachód V-2, miał miejsce na tym samym lądowisku co i „drugi most”, odbył się z 25 na 26 lipca 1944 r. Został on dokładnie opisany przez Marka Celta (Tadeusz Chciuk). Jan Nowak pisze, że na odprawie przed odlotem z Bazy Nr 11 por. Dybowski udzielił mu takiej instrukcji:

„Pan, Panie poruczniku, jako komendant ekipy, będzie do spółki z nawigatorem odpowiedzialny za kolejność załadowania. Na pierwszym miejscu bagaż — powiedział z naciskiem i popatrzył na mnie znacząco. Na drugim — ekspert, na trzecim — Brzoza, na czwartym — Tomasz, ostatni Celt. Jeżeli z jakichkolwiek powodów maszyna nie będzie mogła zabrać całego ładunku należy zabierać ludzi w tej kolejności”.

Jan Nowak (pseudo. Zych) myślał sobie:

„Ale kim u licha był ów Brzoza, który wprawdzie ustępował pierwszeństwa częściom V-2 i ekspertowi, lecz, zajmował w kolejności miejsce przed Tomaszem Arciszewskim”.

Jeszcze wrócimy do tej kolejności ważności.

Pomimo, że Dakota ugrzęzła na łące i jej postój przedłużył się do godziny i dwudziestu ośmiu minut operacja udała się i wszyscy pasażerowie dolecieli szczęśliwie do Włoch.

10. Po Powrocie

Na lotnisku w Brindisi „trzeci most” spotykał gen. Sir Colin Gubbins osobiście. Należy przypuszczać, że o jego przybyciu do Włoch zdecydowały w pierwszym rządzie mające przybyć części V-2, a chyba dopiero w drugim rządzie powrót dra Retingera.

W liście do *Times'a* (*Tribute*, str. 19) gen. Gubbins opisuje spotkanie z Retingerem tak:

„Spotkałem go, bezsilnego kalekę, na lotnisku w Brindisi i musiałem mu powiedzieć, że musi się on udać do Kairu, gdzie jego Premier, Mikołajczyk, w drodze z Londynu do Moskwy, w celu spotkania ze Stalinem, oczekuje go mając nadzieję zobaczenia się z nim przed tym ważnym (*fateful*) spotkaniem”. [Tłum. Ż. S.]

Z miejsca rozpoczęto podróż drogą lotniczą. Po spędzeniu nocy w koszarach w Benghazi, dnia 27 lipca dr Retinger przybył do Kairu. Tomasz Arciszewski podróżował inną trasą przez Rabat.

Zygmunt Nagórski (str. 268) przytacza następującą opowieść Arciszewskiego:

„Czy Pan wie Panie mecenasie, że przeszło godzinę czekałem na rozmowę z Mikołajczykiem, bo on przede mną przyjął Retingera i bardzo długo z nim rozmawiał, każąc mi czekać — a byłem bardzo zmęczony po tej dość trudnej podróży z kraju i myślałem, że moje relacje powinny Premiera polskiego najbardziej ze wszystkiego interesować. Nie mogłem tego zrozumieć, choć wiedziałem, że Retinger, jako powiernik Anglików, mógł być dla niego także ważnym informatorem. Ale i on wracał z kraju, więc nie mógł mieć świeżych wiadomości od Anglików. A o kraju to ja chyba nieco więcej wiedziałem i lepiej się w nim orientowałem. Kto to ten Retinger? Powiedziałem mu w oczy w Kairze, że podobno służy jednocześnie trzem wywiadam. Odpowiedział najspokojniej: — Tylko dwom — polskiemu i angielskiemu — żadnemu trzeciemu”.

Ma się rozumieć obaj rozmówcy, jako trzeci, mieli na myśli wywiad sowiecki.

Teraz już możemy domyślić się kto zdecydował kolejność załadowania podaną por. Nowakowi, a gen. Tatar tę kolejność zaakceptował.

Arciszewski nie zdawał sobie sprawy z tego, że przedwojenny Recio traktowany z pewnym lekceważeniem, urósł w oczach

Premiera Mikołajczyka do takich rozmiarów, że stał wyżej niż zasłużony socjalista i działacz niepodległościowy, kandydat kraju na następcę Prezydenta — Tomasz Arciszewski.

Rozmowa Mikołajczyk-Retinger odbyła się bez świadków.

— Po przybyciu do Londynu dr Retinger ulokował się w Dorchester Hotel, gdzie miał apartament do swojej dyspozycji (Zał. 1 pytanie 8). Jedną z pierwszych osób, które złożyły mu wizytę był Minister Spraw Zagr. W. Brytanii Anthony Eden. Retinger przywiózł mu w prezencie z Polski srebrną papierośnicę. Również między innymi odwiedzali go Premier Spaak i Ambasador Stanów Zjednoczonych Biddle. (Zał. 1 pytanie 16).

Dopiero teraz dowódca A.K. nadesłał wynik dochodzenia w sprawie spóźnienia się Retingera na „drugi most”, o którym już była mowa.

W ostatnim okresie wojny dr Retinger w dalszym ciągu był związany ze sprawami polskimi, chociaż już żadnej funkcji, nawet formalnie, nie piastował. Są tylko nieliczne ślady jego działalności w tym okresie.

Gen. Maczek zamieścił w swym pamiętniku zdjęcie z mszy polowej w Bredzie w dniu 11 listopada 1944 r. (między str. 192 i 193), na którym w pierwszym rzędzie siedzą: przedstawiciel armii kanadyjskiej, burmistrz Bredy, gen. Maczek, płk. dypl. I. Krubski i dr Retinger. W jakim charakterze i jakim celu był on „w gościnie w dywizji” pozostaje tajemnicą.

Minister Spraw Wewn. podającego się do dymisji Rządu Mikołajczyka, Władysław Banachy, wysłał 29 listopada 1944 r. do Szefa Sztabu N.W. wniosek (L.dz. K 6763) na odznaczenie Retingera Krzyżem Walecznych. Wniosek ten miał następującą treść:

„P. Józef Retinger wysłany do Kraju jako kurier Rządu R.P. w kwietniu 1944 r. i został zrzucony na teren Kraju w dniu 4 kwietnia 1944 r. Jakkolwiek stan jego zdrowia już wówczas był zły, p. Józef Retinger nie cofnął się przed spełnieniem zadania, które zostało mu powierzzone przez Rząd R.P. Misja jego miała szczególnie doniosłe znaczenie i ze zadań swych p. Józef Retinger wywiązał się doskonale. Wykazał dużą odwagę i pogardę dla grożących mu niebezpieczeństw, decydując się na skok ze spadochronem, jakkolwiek nigdy poprzednio nie przechodził żadnego przeszkolenia spadochronowego i jakkolwiek z uwagi na jego wiek, około lat 60-ciu, skok ten przedstawiał znacznie większe niebezpieczeństwo dla niego, aniżeli dla człowieka młodego. Złożony chorobą w kraju, ukrywając się 'w melinach' nadal kontynuował wypełnianie swej misji, którą doprowadził do końca. Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami powrócił do Londynu, jakkolwiek już w chwili opuszczenia Warszawy cierpiał na zupełny niedowład nóg. W tych niezwykle ciężkich warunkach, nie bacząc na własne bezpieczeństwo, dzięki swej odwadze osobistej — spełnił zleczone zadania w zupełności”.

(Oryginał w Archiwum Kancelarii Cywilnej Prezydenta R.P., zestaw Nr 23, odpis w Studium Polski Podziemnej).

W tej samej teczce znajduje się wniosek na odznaczenie orderem *Virtuti Militari* trzykrotnego emisariusza Tadeusza Chciuka. W Dziennikach Personalnych, znajdujących się w Instytucie Hist. im. gen. Sikorskiego, w których publikowano odznaczenia orderem *Virtuti Militari*, Krzyżem Walecznych i Krzyżem Zasługi z mieczami, jak również odznaczeniami zagranicznymi, nazwisko Retingera nie figuruje.

Po zakończeniu wojny Retinger wybrał się znowu do Polski razem z Tadeuszem Chciukiem. Tym razem wieźli oni dary ocenione przez samego Retingera (*Tribute*, str. 41) na 4 miliony funtów. Dary te uzyskał Retinger od Rządu brytyjskiego dzięki pomocy Sir Stafford Cripps'a i Hugh Dalton'a. (Sir Stafford był już tutaj parokrotnie wspomniany. Należy dodać, że Hugh Dalton był również związany ze sprawami polskimi przynajmniej w początku wojny, kiedy podlegało mu The Ministry of Economic Warfare w skład którego wchodziła Special Operations Executive). Warszawa nie obeszła się z gośćmi łaskawie, Retingerowi kazano opuścić stolicę, a Chciuka aresztowano w drodze powrotnej na Okęcie. Został on zwolniony na skutek interwencji dra Retingera u Mołotowa i zdołał przedostać się na Zachód.

Ta powojenna wyprawa do Warszawy, tak samo jak wiele innych przedsięwzięć Retingera, może być interpretowana w dwojaki sposób. Z jednej strony mogła to być chęć dopomożenia wyniszczonemu krajowi i hojność brytyjska, a z drugiej mogła to być próba nawiązania kontaktów w powojennej Polsce, jak to rozumiała Warszawa.

Autorzy *Tribute* powtarzają wielokrotnie, że Retinger był wielkim patriotą polskim i jednocześnie wielkim Europejczykiem. -- Tymczasem jego zainteresowanie polskimi sprawami trwało dopóty, dopóki Europa nie wyrzekła się Polski. Z chwilą kiedy Europa porzuciła Polskę (co Retinger stwierdził osobiście w czasie swej powojennej wizyty w Warszawie), Retinger też odseparował się od spraw polskich. Bardzo słusznie Denis de Rougemont zatytułował rozdział dotyczący ostatniej wizyty Retingera w Warszawie „The end of his Polish activities” (Koniec jego polskiej działalności).

Przeglądając pamiętniki znajdujemy jeszcze jeden ślad interwencji Retingera w sprawy polskie na Zachodzie. Gen. Anders (str. 420) pisze:

„Ślubowanie to [z 15 czerwca 1946 r. — Z.S.] podpisałem w imieniu żołnierzy 2-go Korpusu. Niedługo potem dr Retinger, który przyleciał z Lon-

dynu, oświadczył mi, że zrobiło ono najgorsze wrażenie w Foreign Office i w War Office i dał mi do zrozumienia, że jeżeli nadal będę się trzymał tej linii, mogę zostać pozbawiony dowództwa”.

Ostatnie 15 lat swego życia poświęcił dr Retinger jedności Europy i jedności europejsko-amerykańskiej. Podobno nigdy się on nie naturalizował i do końca życia pozostał bezpaństwowcem.

Retinger zmarł 12 czerwca 1960 r. na raka płuc w Westminster Hospital, w Londynie, samotny i chyba biedniejszy niż na początku swej kariery. Przed śmiercią pojednał się on z Kościołem katolickim przyjmując ostatnie namaszczenie (*Tribute*, str. 50).

11. *Cel*

Skoro już mamy całość obrazu na tyle dokładną, na ile pozwalają osiągalne dokumenty i relacje, należy zadać zasadnicze pytanie, jaki był cel misji dra Retingera do Polski w 1944 r.

Jak już wiemy, w rozmowie z Prezydentem w dniu 25 kwietnia 1944 r. Mikołajczyk określił ten cel w sposób bardzo ogólnikowy, a mianowicie: „jako człowiek wtajemniczony w całokształt spraw politycznych” miał „poinformować delegata rządu i czynniki polityczne w kraju”. Natomiast Denis de Rougemont, na podstawie *Notes* samego Retingera stwierdził, że udał się on do „okupowanej Polski w celu wyjaśnienia *viva voce* polityki rządu na wygnaniu i w celu wytworzenia wyraźniejszego obrazu morale polskiego podziemia”.

Te dwa określenia celu nie są zgodne. Spójrzmy więc na ten problem z innego punktu widzenia. Zdołałem ustalić, że będąc w Polsce Retinger interesował się między innymi następującymi zagadnieniami:

- Możliwość porozumienia między podziemiem i komunistami.
- Akcja dywersyjna A.K.

- Wkład A.K. do wspólnego wysiłku Aliantów.

- Możliwość utrzymania państwa podziemnego pod okupacją sowiecką.

O ile chodzi o zainteresowania Retingera sposobem wykonywania Burzy i planami powstania powszechnego, to sytuacja nie jest jasna. Jak wynika z podanej powyżej relacji Księdza, pewne środowiska w Londynie uważały namawianie do akcji powstańczej za główny cel misji Retingera, natomiast wśród nielicznych zresztą relacji osób, które w owym czasie przebywały w kraju sprawa ta nie jest wcale poruszona. Nie jest wykluczone, że

kwestię akcji powstańczej dr Retinger poruszył w czasie spotkania z gen. Borem-Komorowskim i z przedstawicielami stronnictw, którzy nie pozostawili po sobie żadnych relacji.

Nie znalazłem żadnych śladów, żeby Retinger miał bezpośredni wpływ na decyzję „walki w Warszawie” (Zał. 1, pytanie 15), szczególnie, że w czasie, kiedy koncepcja ta powstawała i dojrzewała w Warszawie, między 21 i 25 lipca 1944 r., obłożnie chory Retinger był już prawdopodobnie w drodze z Warszawy pod Tarnów.

O ile chodzi o cel misji Retingera należy zacytować następującą wypowiedź.

Zygmunt Zaremba (str. 212) pisze co następuje:

„Z kilku rozmów, jakie przeprowadziłem z najstarszym chyba skoczkiem świata, wywnioskowałem, że najbardziej interesuje go możliwość znalezienia jakiegoś kompromisu między Podziemiem i komunistami lub Rosją sowiecką. Do tych tematów wciąż nawracał i szczegółowo dyskutował każdy argument, wysuwany przeze mnie dla poparcia tezy, że nie da się ich rozwiązać w kraju, gdyż sprawa leży wyłącznie w sferze międzynarodowych oddziaływań na Sowiety. Dla mnie, jak dla nas wszystkich, wydawało się wyraźne, że problem naszej przyszłości znajduje się więcej niż kiedykolwiek w rękach sojuszników zachodnich, którzy jedynie rozporządzają środkami ograniczenia sowieckich apetytów. Retinger nie sugerował niczego, tylko wyraźnie chciał jak gdyby wgryźć się w sposób naszego rozumowania i oceny sytuacji”.

Wypowiedź ta jest nieco bałamutna, bo jakże można „szczegółowo dyskutować każdy argument”, a jednocześnie nic nie sugerować, a tylko „wgryzać się w sposób rozumowania” rozmówcy.

Instytut J. Piłsudskiego w Londynie organizował po wojnie zebrania relacyjne, w których brali udział świadkowie wypadków, zarówno wojskowi jak i cywilni, jak również historycy wojskowości.

„Protokół z czwartego zebrania relacyjno-historycznego, zwołanego przez Wydział Studiów Instytutu J. Piłsudskiego dla osób specjalnie zaproszonych, w dniu 18 kwietnia 1951 r. w siedzibie Instytutu”, na którym było obecnych 13 osób, stwierdza (str. 9), iż jeden z obecnych historyków wojskowości zadał następujące pytanie:

„— Jeśli można, chciałem prosić o wyjaśnienie, jaki był wpływ Retingera na akcję powstania (wprawdzie on już 1 sierpnia był w Kairze)? I jaki był wpływ osób reprezentujących Mikołajczyka na sprawę powstania? Te rzecz niektórzy łączą z Retingerem”.

Następny zabrakł głos Stanisław Kauzik (Dołęga-Modrzewski), którego wypowiedź zaprotokółowana jest tak (str. 9):

„— Niestety Delegat Rządu mnie powierzył opiekę nad Retingerem. (Wesołość). To groziło śmiercią, gdyby komuniści podali to do Gestapo. Jego rola w stosunku do Delegata Rządu polegała na chęci przekonania go o konieczności porozumienia się z komunistami. Wnioskować można, że Mikołajczyk już wtedy, jak Retinger sugerował, tę linię prowadził.

Zetknąłem go z kim należy, aby wybił sobie z głowy plany porozumienia z komunistami, gdyż przeciwko temu wypowiada się Polska Podziemna.

Czy jego misja była poleceniem Mikołajczyka, czy nie — tego nie wiem.

Retinger usiłował na własną rękę porozumiewać się z grupami komunistycznymi i pro-komunistycznymi. Misja jego całkowicie się nie udała.

Ostatnio jeszcze chciał sprawdzić, jak wygląda nasza akcja dywersyjna. Gen. Bór uławił mu udział w jednej z akcji koło Celestynowa, ale Retinger w ostatniej chwili wycofał się. Chciał też mieć dane, jaki jest wkład Armii Krajowej do wspólnej walki Aliantów przeciwko Niemcom”.

Jedna kopia tego protokołu znajduje się w Studium Polski Podziemnej, a druga w Instytucie J. Piłsudskiego. W kopii ze Studium Pol. Podz. dopisana jest odręcznie notatka: „Słowa, jak Retinger sugerował”, zostały skreślone w porozumieniu z p. Dołęgą”.

Potwierdzenie zainteresowania dra Retingera akcją dywersyjną A.K. znajdujemy również u Korbońskiego (str. 295 i 296).

Właściwie Kauzik nie odpowiedział na postawione pytanie. Z dalszego ciągu protokołu (str. 10) wynika, że płk. Iranek-Osmecki powrócił do tego pytania, stwierdzając, że Retinger nie miał żadnego wpływu na decyzję „walki w Warszawie”.

Wypowiedzi Kauzika i Zaremby wskazują, że Retinger przekonywał o konieczności współpracy z komunistami, ale spotkał się ze sprzeciwem ze strony przywódców krajowych. Jak już wiemy Retinger pisał do Mikołajczyka w dniu 19 kwietnia 1944 r.: „Tezy Pańskie są właściwie podzielane tutaj”. Wynika z tego, że w tym czasie Mikołajczyk, tak samo jak i przywódcy krajowi, był przeciwny ugodzie z komunistami. Zresztą wiemy skąd inąd, że dopiero w jesieni 1944 r. opór Mikołajczyka został ostatecznie przełamany i poszedł on na współpracę z komunistami. Warto przypomnieć, że głównym celem oficjalnej misji wojskowej brytyjskiej zrzuconej do Polski w grudniu 1944 r., jak stwierdził Józef Garliński (str. 114), było również doprowadzenie do zgody między podziemiem i komunistami.

Zainteresowania Retingera dywersją i wkładem A.K. do wspólnego wysiłku wojennego wynikają chyba stąd, że właśnie w początkach 1944 r. na skutek zabiegów Sztabu N.W., Alianci rozważali możliwość skoordynowania akcji sabotażowych A.K. z ogólnymi planami strategicznymi. Mając na uwadze nadchodzącą inwazję sztab gen. Eisenhower’a był tą sprawą poważnie zainteresowany, ale ze względów na postulaty polityki Stanów

Zjednoczonych musiał zrezygnować z włączenia działań A.K. do ogólnych planów.

Jednocześnie Retinger starał się wy badać, czy jest możliwość utrzymania się państwa podziemnego pod okupacją sowiecką. Wrócił do Londynu z przekonaniem, że nie da się utrzymać państwowych organów i A.K. w konspiracji pod nową okupacją, bo naród w walce z Niemcami tak był zjednoczony, że ludzie zbyt wiele o sobie wiedzieli mimo politycznych przedziałów. Podobny pogląd przywieźli wysłannicy z kraju przybyli „pierwszym mostem” (Załącznik 1 pytanie 17 oraz relacja ustna gen. Kukieła). Jak się później okazało ocena ta była słuszna.

Można snuć przypuszczenia, że zainteresowania Retingera akcją dywersyjną A.K. wpływały nie tylko z punktu widzenia walki z Niemcami, ale również z punktu widzenia działań na zapleczu armii sowieckiej. Wiąże się to z zainteresowaniem możliwością utrzymania podziemia pod okupacją sowiecką.

Wynika z tych rozważań, że Retinger, z jednej strony, namawiał działaczy podziemia do współpracy z komunistami, a z drugiej, prawdopodobnie badał możliwości przeciwdziałania Rosji. W tym miejscu warto jeszcze raz zacytować Zbigniewa Grabowskiego (str. 135), który 21 kwietnia 1945 r. zanotował w swym pamiętniku:

„Jakby nie było już dawno wyroku i jakby władza nie przeniosła się już dawno gdzie indziej. Wszelkie próby via Retinger. skoki spadochronowe do Polski, przywiezienie Arciszewskiego, to tragicznie spóźnione poczynania. Jest za późno. Anglii nie uda się stworzenie żadnego przyczółka mostowego w Polsce”.

Zachodzi pytanie do jakiego stopnia cel misji Retingera był zgodny z polityką brytyjską. Przypomnijmy ówczesne posunięcia. W lutym 1944 r. ma miejsce oficjalne oświadczenie, iż W. Brytania nie gwarantuje wschodnich granic Polski, o czym pisał płk. Demel w swoim telegramie. Wywierano niesłabnącą presję na Mikołajczyka w kierunku ustępstw w stosunku do Rosji. Presja ta doszła do szczytu w Moskwie w październiku 1944 r., kiedy to Churchill w najostrejszy sposób nakłaniał Mikołajczyka do ugody, a jednocześnie obiecywał mu brytyjską opiekę (Mikołajczyk, str. 108-111).

W pierwszych dniach sierpnia 1944 r., już po powrocie Retingera, marszałek Wilson złożył gen. Sosnkowskiemu propozycję przeniesienia II Korpusu na teren Polski (Sosnkowski, str. XIX i XX). Propozycję tę można interpretować dwojako. Albo chodziło o zlikwidowanie polskiego problemu na Zachodzie, albo, co jest bardziej prawdopodobne, chodziło o wzmocnienie sił niepod-

ległościowych na terenie Polski. Propozycja ta była tak fantastyczna, że nie mogła przejść przez sztab marszałka Sir Alan Brooke'a, tak jak go znamy z pamiętników, i mogła się zrodzić jedynie w umyśle Churchilla, płodnym w różnego rodzaju koncepcje. Nie jest wykluczone, że Retinger był konsultowany w sprawie tej propozycji.

W swoich pamiętnikach osobisty lekarz Churchilla Lord Moran pisze, że Churchill nie należał do ludzi, których można było skłonić do rozmowy na tematy, które go nie interesowały. Jednocześnie pisze, że w czasie wizyty Churchilla we Włoszech, w sierpniu 1944 r., marszałek Alexander przedstawiał Churchillowi tych ludzi, którzy mogli sprawić mu przyjemność (str. 171). I oto właśnie wówczas, 26 sierpnia, Churchill odwiedza II Korpus i przeprowadza z gen. Andersem rozmowę o charakterze wybitnie antyrosyjskim (Anders, str. 284-288).

Wahania Churchilla w kwestii rosyjskiej są chyba najlepiej przedstawione w pamiętnikach Lorda Morana, według których, z jednej strony zabiegał Churchill o przyjaźń Stalina, a z drugiej ubolewał nad zalewem Europy przez Rosję i w miarę możliwości starał się temu zapobiec.

Parę przykładów. Dnia 3 (lub 4) grudnia 1943 r. Lord Moran (str. 144) zapisał taką wypowiedź Churchilla:

„Ty nie rozumiesz. Ty nie nie wiesz o tych sprawach. Nie jadę zobaczyć się z Alexandrem na żarty (*for fun*). On może jest naszą ostatnią nadzieją. Musimy coś zrobić z tymi przekłętymi (*bloody*) Rosjanami”. [Tłum. — Z. S.]

Znowu 4 sierpnia 1944 r. Churchill strofuje swego lekarza (str. 161):

„Mój Boże, czyż ty nie widzisz, że Rosjanie rozprzestrzeniają się po Europie jak przyptyw morski; najechali Polskę i nie nie może ich zatrzymać przed marszem do Turcji i do Grecji!” [Tłum. — Z. S.]

A 21 sierpnia 1944 r. Lord Moran pisze od siebie (str. 173):

„Ostatnimi czasy Winston nigdy nie mówi o Hitlerze; mówi stale o niebezpieczeństwach komunizmu. Śni mu się Armia Czerwona rozprzestrzeniająca się po Europie jak zaraza (*cancer*) z jednego kraju do drugiego. Stało się to jego obsesją i wydaje się że nie myśli o niczym innym”. [Tłum. — Z. S.]

Churchill dążył do stworzenia takiej sytuacji, w której Amerykanie zostaliby zmuszeni do wzięcia udziału w akcji zapobiegającej rozprzestrzenianiu się Rosji w Europie. Kolejne etapy tej taktyki były następujące. Churchill siłą swej perswazji przeko-

nywuje, co prawda z dużym opóźnieniem, o konieczności otwarcia frontu włoskiego. Jednak siły na tym froncie są zbyt słabe, żeby w krótkim czasie przejść przez Alpy w kierunku na Wiedeń i Budapeszt. Zaraz po konferencji teherańskiej Churchill osobiście stara się skłonić Turcję do wypowiedzenia wojny. Gdyby to się udało front aliancki znalazłby się na Bałkanach, ale Turcy odmawiają. W sierpniu 1944 r. Churchill sprowadza do Włoch Titę i konferuje z nim na temat ścisłej współpracy i rozszerzenia frontu włoskiego na Jugosławię, ale Tito odmawia. Kiedy i ta koncepcja odpada Churchill koncentruje się na sprawie polskiej. Wywiera presję na Mikołajczyka w kierunku ustępstw w stosunku do Rosji, a z drugiej strony bada możliwości wzmocnienia sił niepodległościowych w Polsce i nie wstrzymuje zrzutów broni, pieniędzy i ludzi po upadku powstania warszawskiego. Ale i ta kombinacja zawodzi. Wreszcie, przy akompaniamencie silnej krytyki amerykańskiej i pewnej opozycji we własnym kraju Churchill siłą nie dopuszcza do rządów komunistycznych w Grecji.

Wahania Churchilla pomiędzy poszukiwaniem przyjaźni Stalina i akcją zmierzającą do ograniczenia wpływów sowieckich spowodowane są tym, że ośrodkiem decyzji jest Washington a nie Londyn. W tej sytuacji premier W. Brytanii jest skrupowany i nie może prowadzić takiej polityki jaką by chciał.

Widzimy, że jest poważna zbieżność pomiędzy polityką brytyjską w stosunku do Polski i celami misji Retingera, wśród których występuje namawianie Polaków do ugody i dociekania na temat przeciwdziałania Rosji. Pozostaje niewyjaśniona sprawa namawiania do akcji powstańczej. Dotychczas nikt jeszcze nie rozpracował stosunku Foreign Office, War Office i S.O.E. do powstańczych zamierzeń Armii Krajowej.

Przez cały czas wojny dr Retinger starał się wprowadzić w życie tę samą koncepcję polityczną ugody z Rosją, a w zamian za to zachowania niezależnej wewnętrznej struktury i utrzymania wpływów brytyjskich w Polsce. Koncepcja ta przebiegała przez memorandum gen. Sikorskiego z czerwca 1940 r., pakt lipcowy 1941 r., poparcie udzielone Mikołajczykowi w 1943 r., który bardziej nadawał się do wyznaczonej roli niż inni kandydaci, przez skok do Polski w 1944 r. i wreszcie powojenną wizytę w Warszawie.

Jakie mogły być motywy działania dra Retingera? Albo, mówiąc ogólnie, był on entuzjastą *Pax Britannica*. Albo, jak to sugerują autorzy *Tribute*, był on idealistą, usiłującym wprowadzić w życie swoją wizję lepszego świata, która w tym wypadku mogła polegać na próbie tworzenia przy pomocy Polski pomostu między Wschodem i Zachodem. Wizja taka, jeżeli ją Retinger

posiadał, była co najmniej o dziesiątki lat przedwczesna i w warunkach drugiej wojny światowej absolutnie niewykonalna. Stalin zdawał sobie sprawę z tego, że żeby opanować wschodnią Europę należy w pierwszym rzędzie opanować Polskę. Dlatego nie chciał pozwolić na wewnętrzną odrębność w Polsce, a szczególnie nie chciał tolerować wpływów brytyjskich. Dla tych, którzy mieli powiązania z W. Brytanią, jak Mikołajczyk i jego ministrowie, 16 sądzonych w Moskwie przedstawicieli podziemia, gen. Tatar, dr Retinger etc., miejsca w Polsce nie było. Zwolennicy ugody z Rosją nie zdawali sobie z tego sprawy.

Zresztą koncepcję ugodowego nastawienia do Rosji z jednocześnie zachowaniem odrębnej wewnętrznej struktury usiłowała stosować większość narodów wschodniej Europy. Najpierw w latach 1940-41 Litwa, Łotwa i Estonia, potem w latach 1944-46 Czechosłowacja, Rumunia, Bułgaria itd. W żadnym wypadku, z wyjątkiem Finlandii, nie zdołano wprowadzić jej w życie, bo dla Moskwy była ona nie do przyjęcia. O ile chodzi o Finlandię, to znajdowała się ona w odrębnej sytuacji, gdyż wojska sowieckie nigdy na jej terytorium nie wkroczyły.

Koncepcja, z którą przybył dr Retinger do kraju w 1944 r. była zbieżna z polityką brytyjską. Żądała ona od Polaków odstąpienia ziem wschodnich Rosji, a jednocześnie nie precyzowała zysków terytorialnych na zachodzie. Nie dawała żadnych realnych gwarancji brytyjskich lub amerykańskich, a jedynie mgławicowe obietnice, na które Mikołajczyk (str. 111) jakże słusznie odpowiedział Churchillowi w Moskwie w dniu 14 października 1944 roku, że nie chce być potem powieszony przez Rosjan na oczach ambasadora W. Brytanii („... *be hanged later by the Russians in full view of your British Ambassador!*”). Warto nadmienić, że Lord Moran (str. 200) przytacza potwierdzenie relacji Mikołajczyka z tej rozmowy przez samego Churchilla. Próba wprowadzenia tej koncepcji w życie przyniosła Polakom jedynie straty. Powojenna działalność Mikołajczyka w Polsce nie dała nic pozytywnego, stworzyła jedynie pozory zadawalającego załatwienia sprawy polskiej i skazała na prześladowania wielu Polaków, którzy po pięciu latach okupacji byli jeszcze zdolni do jakiejś pozytywnej akcji i zalegalizowali się w partii Mikołajczyka.

12. W czym imieniu

— Jak widzieliśmy cele misji Retingera były w poważnym stopniu zbieżne z polityką brytyjską. Jednak władze brytyjskie nie nadały tej ekspedycji oblicza oficjalnego w żadnym sensie. For-

malnie rzecz biorąc władze brytyjskie nie udzieliły Retingerowi żadnych uprawnień i nie były przygotowane do zrzucenia go do Polski bez zgody Premiera R.P. Nie finansowały ekspedycji Retingera, ani też nie zaopatrzyły go w niezależne środki łączności.

Jeżeli porównamy ekspedycję Retingera ze zrzuceniem wojskowej misji brytyjskiej płk. Hudsona w grudniu 1944 r. (vide Józef Garliński) widzimy wyraźne różnice. Zadania misji płk. Hudsona zostały, przynajmniej w zasadzie, omówione z Oddz. Spec. Sztabu N.W., ekspedycja była finansowana przez Brytyjczyków, płk. Hudson został zaopatrzony z niezależne środki łączności radiowej ze swoimi przełożonymi w Londynie.

Wobec tego należy stwierdzić, iż pomimo, że Retinger znał wielu Brytyjczyków zajmujących wysokie stanowiska i pomimo że Brytyjczycy najprawdopodobniej spoglądali przyjaznym okiem na rolę jaką Retinger miał w Polsce odegrać, to jednak władze brytyjskie nie stworzyły żadnych pozorów autoryzowania jego podróży do Polski. Jedynie S.O.E. dopomogła Retingerowi zachować jego zamiar w tajemnicy przed polskimi władzami wojskowymi w początkowej fazie przygotowań.

Czy w tej sytuacji należy uważać Retingera za emisariusza Mikołajczyka? Trudno sobie wyobrazić, żeby Retinger, który nie chciał „sekretarzować” Mikołajczykowi zechciał mu „emisariuszować”, tzn. przyjąć na siebie zadania narzucone przez Mikołajczyka. Zresztą z punktu widzenia Mikołajczyka nie było powodu do wysyłania tak wpływowego emisariusza. Mikołajczyk był dobrze zorientowany w sytuacji krajowej, miał do swej dyspozycji sieć łączności radiowej Stronnictwa Ludowego, którą w kraju kierował Stefan Korboński i obustronny ruch kurierów cywilnych.

W aktach personalnych (zestaw Nr 23) Archiwum Kancelarii Cywilnej Prezydenta R.P. (odpis w Studium Polski Podziemnej) znajduje się wykaz emisariuszy M. S. Wewn. do kraju. Lista ta pokrywa okres od 1941 r. do końca 1944 r. i zawiera 28 nazwisk z tym, że niektórzy emisariusze kursowali parokrotnie, np. Tadeusz Chciuk był wysyłany trzy razy w 1941, 43 i 44 r. Na liście tej dr Retinger nie figuruje.

Jak już wiemy, Mikołajczyk, chociaż ostatecznie zgodził się na lot Retingera, uczynił to niechętnie po parokrotnych odmowach. Przedstawiając Retingera Delegatowi Rządu na kraj Mikołajczyk stwierdził, iż jest on godzien jego własnego zaufania i jednocześnie cieszy się zaufaniem Brytyjczyków.

Zachodzi pytanie jaką rolę spełniał Retinger w czasie drugiej wojny światowej. Autorzy *Tribute* zwracają uwagę na metodę działania Retingera, która opierała się na osobistych kontaktach

z najwyżej postawionymi osobistościami. Retinger, jak widzieliśmy, miał szerokie stosunki wśród Brytyjczyków na najwyższych stanowiskach (Anthony Eden, Sir Stafford Cripps, Hugh Dalton, gen. Sir Colin Gubbins itd.), miał on również dostęp do samego Churchilla. Jednocześnie był w kontakcie z Polakami zajmującymi najwyższe stanowiska (Prezydent, gen. Sikorski, Mikołajczyk, Raczyński, Kot, gen. Kukiel, gen. Anders i td.).

W tej sytuacji był on instytucją samą w sobie i spełniał rolę nieoficjalnego, ale ruchliwego pośrednika pomiędzy wpływowymi Brytyjczykami i wpływowymi Polakami. Za życia gen. Sikorskiego był on również osobistym doradcą i powiernikiem Generała, pomimo pewnych zastrzeżeń ze strony gen. Sikorskiego w stosunku do jego osoby.

Po śmierci gen. Sikorskiego wpływ Retingera na bieg spraw polskich zmalał z powodu braku zażyłości pomiędzy nim i Premierem Mikołajczykiem. Jednocześnie Retinger nie mógł nie zauważyć, że polski ośrodek decyzji zaczął się stopniowo przenosić z Londynu do Warszawy, co stwierdził między innymi Jan Nowak (str. 209). Trudno się dziwić, że w tej sytuacji Retinger zdecydował się na osobiste skontaktowanie się z przywódcami krajowymi.

Odpowiedź na pytanie w czym imieniu leciał Retinger do kraju najściślej sformułował gen. Kukiel (Zał. 1, pytanie 1):

„Leciał z własnej inicjatywy, we własnym imieniu, za pozwoleniem Premiera [Mikołajczyka — Z.Ś.], a pomocą gen. Gubbinsa jako szefa S.O.E.”.

—Leciał on jako instytucja sama w sobie, jako dr Retinger, zgoda Premiera Mikołajczyka i pomoc gen. Gubbinsa były jedynie środkami do osobistego skontaktowania się z przywódcami podziemia w celu wywarcia wpływu na przenoszący się do Warszawy polski ośrodek decyzji politycznych.

Autorzy *Polskich Sił Zbrojnych* (str. 705) stwierdzili, że Retinger był wysłannikiem Churchilla i Mikołajczyka. Nie zdołałem ustalić na jakiej podstawie twierdzenie to jest oparte.

Nie ulega wątpliwości, że z polskiej strony przeceniano możliwość dra Retingera i przypisywano mu zbyt wielkie znaczenie. Nie miał racji Premier Mikołajczyk pisząc do Delegata: „Jego rychły szczęśliwy powrót może mieć dla naszej sprawy szczególne znaczenie”. Powrót Retingera nie był ani rychły, ani szczęśliwy, co miało minimalny wpływ na bieg spraw polskich na arenie brytyjskiej i międzynarodowej. Nie miał racji gen. Sosnkowski pisząc do mjr. Utnika: „Nie można zapobiec temu drogą awantur, gdyż mogłoby to spowodować przerwanie lotów w ogóle”.

Pobyt Retingera w kraju nie odbył się bez „awantur”, a mimo to nie można znaleźć żadnych śladów represji brytyjskich. Wręcz przeciwnie, zastanawiająca jest brytyjska obojętność pomimo posiadania przez Retingera tylu wpływowych znajomych. Oto, jak widzieliśmy, 12 czerwca 1944 r. Oddz. Spec. przekazał do S.O.E. treść telegramu gen. Bora-Komorowskiego w sprawie zarządzenia dochodzenia, czyli S.O.E. zostało poinformowane, że Retingero-
wi zdarzyło się coś złego. Mimo to żadnych śladów reakcji brytyjskiej nie ma. Dopiero w pierwszych dniach lipca, skoro Mikołajczyk z pewnością przekazał gen. Gubbinsowi apel Retingera o przysłanie samolotu, S.O.E. wysłało do Oddz. Spec. pismo z 5 lipca w sprawie przywiezienia z powrotem Retingera. Ale pismo to było bardzo łagodne w formie i powoływało się w nim na polskie M. S. Wewn.

Przeceniali też rolę Retingera ci oficerowie, którzy zwracali się do Księdza o naświetlenie etyczne ewentualnego zgładzenia Retingera, podając jako powód zamierzone propagowanie przez niego w kraju akcji powstańczej. Można zaryzykować twierdzenie, iż w roku 1944 akcja powstańcza w formie „walki o Warszawę”, czy „powstania powszechnego”, czy w jakiejś innej formie, była trudna do uniknięcia (bez względu na to co na ten temat sądził i działał Retinger), z tego powodu, że od samego początku istnienia konspiracji przygotowywano się do rozprawy z Niemcami w końcowej fazie wojny. Jedynie grupa ludzi posiadających w kraju duże wpływy, która przystąpiłaby do przeciwdziałania zamiarom powstańczym bezpośrednio po konferencji teherańskiej może zdołałaby nie dopuścić do akcji powstańczej takiego lub innego typu w 1944 r. Ale takiej grupy nie było.

Wydaje się, że bardziej trzeźwo oceniał rolę Retingera mjr Utnik, który pisał do Nacz. Wodza: „możliwości zatrzymania widzę kilka”, jak również płk. Demel, który pisał: „Nawet w wypadku awantury, ryzyko jest minimalne, gdyż przeważa strach przed skandalem”.

13. Prezydent-Premier-Naczelnny Wódz

O ile chodzi o sytuację wewnątrzno polską, to ekspedycję dra Retingera należy rozważać na tle konfliktu wśród najwyższych władz polskich. Konflikt ten był natury politycznej i personalnej. Zanim przejdziemy do krótkiego omówienia tych spraw należy przedstawić stan prawny.

W myśl przedwojennej konstytucji z kwietnia 1935 r. Nacz. Wódz, w czasie wojny, był instytucją niezależną od Rządu i od-

powiadał przed Prezydentem. Po klęsce wrześniowej została zawarta tzw. umowa paryska, w myśl której Nacz. Wódz musiał uzgadniać zasadnicze decyzje z Rządem. Dopóki gen. Sikorski był zarówno Premierem jak i Nacz. Wodzem poprawka ta nie miała praktycznego znaczenia. Gen. Sosnkowski, obejmując funkcję Nacz. Wodza w lipcu 1943 r., przyjął tę poprawkę i są dowody na to, że do niej się stosował. Jako przykład może posłużyć sprawa oddania Brygady Spadochronowej pod dowództwo brytyjskie, lub nowe instrukcje dla A.K., które gen. Sosnkowski przedłożył (za pośrednictwem gen. Kopańskiego) do aprobaty Rządu w ostatnich dniach lipca 1944 r.

W tej sytuacji Premier miał prawo do wysłania kurierów do kraju według własnego uznania bez uzgadniania tych spraw z Nacz. Wodzem. Z drugiej jednak strony utrzymywanie kurierów w tajemnicy przed Nacz. Wodzem było co najmniej nietaktem i w praktyce było właściwie niewykonalne, gdyż techniczną stronę zrzutów emisariuszy Rządu załatwiał Oddz. Spec. Sztabu N.W., jak to widzieliśmy na przykładzie Sulimy (Tadeusz Chciuk). Natomiast Premier nie miał prawa wysyłania kurierów w tajemnicy przed Prezydentem wobec którego był odpowiedzialny.

W wypadku dra Retingera Premier Mikołajczyk zgodził się na zrzucenie go w tajemnicy przed Prezydentem i Nacz. Wodzem, a z pomocą władz wojskowych innego, choć zaprzyjaźnionego, państwa. Jednocześnie zalecał on pewnym oficerom nielojalne postępowanie w stosunku do ich dowódców. W ten sposób Premier Mikołajczyk przekroczył swoje uprawnienia, czym spowodował reakcję wojskowych, jak wynika z cytowanych powyżej telegramów gen. Sosnkowskiego i płk. Demela. Reakcja wojskowych była na tyle silna, czemu zresztą trudno się dziwić, że zarówno w Londynie jak i w Warszawie wojskowi brali pod uwagę możliwość zlikwidowania dra Retingera, czyn, który odpowiednio ocenił Książd z cytowanej powyżej wypowiedzi.

Sprawa dra Retingera była jedną z szeregu spraw na tle konfliktu politycznego między Premierem i Nacz. Wodzem, który dotyczył ustosunkowania się do Rosji. Gen. Sosnkowski zajmował stanowisko antyugodowe. Natomiast w stosunku do Premiera Mikołajczyka istniały podejrzenia, iż na skutek presji brytyjskiej pójdzie on na kompromis z Rosją. Jednak w 1943 r. i pierwszej połowie 1944 r. były to tylko podejrzenia, brakowało dowodów, których poszukiwano, mniemając, że przyczyniłyby się one do obalenia Rządu Mikołajczyka i przez to uniemożliwienia zawarcia ugody z Rosją przez legalny Rząd R.P. Najprawdopodobniej stąd wynika rozkaz Nacz. Wodza zrewidowania „bez

awantur” bagażu Retingera we Włoszech i żądanie płk. Demela nadesłania z kraju dowodów obciążających.

Chociaż z opóźnieniem, przewidywania wojskowych spełniły się w jesieni 1944 r., kiedy to Mikołajczyk przystąpił do ugody z Rosją, co spowodowało upadek jego Rządu. Spełniły się również przewidywania wojskowych o ile chodzi o nieskuteczność metody ustępstw terytorialnych i ustrojowych za cenę zachowania wewnętrznej odrębności.

Angażowanie się wojskowych w sprawy polityczne jest zjawiskiem niepożądanym. Ale, z drugiej strony, trudno oczekiwać obojętności ze strony wojska w sprawach zasadniczych bytu państwowego i w sytuacji, w której autorytet Rządu ulega obniżeniu na skutek nielojalności Premiera w stosunku do Prezydenta i działania w tajnej zмовie z władzami obcego, choć zaprzysiężonego, państwa.

Należy też wspomnieć, że układ personalny najwyższych władz polskich był niefortunny. Premier Mikołajczyk i Nacz. Wódz Sosnkowski byli tak odmienni, że współpraca między nimi była poważnie utrudniona i w praktyce prawie nie istniała. Przez cały okres od lipca 1943 r. do września 1944 r. spotkali się oni zaledwie kilka razy. Niemożliwość współpracy pomiędzy Premierem i Nacz. Wodzem była szczególnie brzemenna w skutki wobec słabości i choroby Prezydenta Raczkiewicza.

Paradoksalna sytuacja polegała na tym, że człowiek o najboższej osobowości i największym doświadczeniu w sprawach państwowych, gen. Sosnkowski, był podporządkowany dwom innym, Raczkiewiczowi i Mikołajczykowi, których przerastał pod wieloma względami.

Na zakończenie tego rozdziału warto wspomnieć, że konflikt polityczno-personalny jaki zaistniał wśród najwyższych władz polskich w Londynie przyczynił się głównie do tego, że polski ośrodek decyzji przeniósł się po śmierci gen. Sikorskiego z Londynu do Warszawy. A to z kolei najprawdopodobniej doprowadziło do tego, że dr Retinger zdecydował się na skok do Polski.

14. Zakończenie

Zastanawiające jest ile wysiłku zmarnowano i na Zachodzie i w kraju, ile powstało animozji i kwasów, ile ryzyka ponieśli żołnierze A.K. i członkowie cywilnego podziemia z tego powodu, że pojedynczy człowiek, dr Retinger, który *de facto* reprezentował jedynie samego siebie postanowił odbyć podróż do Polski, która bez mała nie dała żadnych wyników.

Do polityki ustępstw za cenę wewnętrznej niezależności i utrzymania wpływów *Pax Britannica* (która zresztą nie była wykonalna) dr Retinger nie zdołał namówić przewodców podziemia.

Nawet najlepsza opinia dra Retingera o możliwościach sabotażowych A.K. i jej wkładzie do ogólnego wysiłku Aliantów nie mogła zmienić decyzji wyłączenia działalności A.K. z ogólnych planów strategicznych państw zachodnich.

Nie ma żadnych dowodów, żeby namawianie przez dra Retingera (jeżeli miało ono miejsce) do powstania wywarło jakikolwiek wpływ na decyzję „walki w Warszawie” z 25 lipca 1944 r.

Jedynie wartościową była informacja przywieziona przez dra Retingera, że państwa podziemne nie da się utrzymać pod okupacją sowiecką.

W tej sytuacji należy stwierdzić, że Premier Mikołajczyk postąpił niesłusznie zgadzając się na ekspedycję dra Retingera. A skoro, na skutek przesadnej oceny roli dra Retingera, zgodził się na ekspedycję, to niesłusznie zachowywał to w tajemnicy przed władzami wojskowymi, co nadało całej sprawie posmak ważności i tajemniczości, a to z kolei spowodowało nieporozumienia i niepotrzebne problemy.

Z. S. SIEMASZKO

Z A Ł A C Z N I K 1

Uzyskanie informacji od gen. Kukiela i gen. Kopańskiego

W lipcu 1966 r. zwróciłem się z serią prawie identycznych pytań do gen. dra Mariana Kukiela i gen. inż. Stanisława Kopańskiego. Pytania wysłane do gen. Kopańskiego posłużyły za podstawę do rozmowy, którą mnie zaszczycił w dniu 23 października 1966 r.

Poniżej przytaczam moje pytania i pisemne odpowiedzi gen. Kukiela łaskawie nadesłane w dniu 26 lipca 1966 r. Dodatkowo gen. Kukiel zaszczycił mnie rozmową w dniu 2 listopada 1966 r.

1. P. — Jaki, zdaniem Pana Generała, był cel wizyty dra Retingera w kraju w 1944 r. i w czym imieniu leciał on do kraju?

O. — Leciał z własnej inicjatywy, we własnym imieniu, za pozwoleniem Premiera, a pomocą gen. Gubbinsa jako szefa S.O.E.

2. P. — Czy Pan Generał przypuszcza, że dr Retinger przed odlotem do kraju kontaktował się z ambasadą sowiecką w Londynie?

O. — Nie wiem.

3. P. — Dlaczego wyjazd dra Retingera do kraju był otoczony aż tak wielką tajemnicą, że jedyny z Polaków premier Mikołajczyk był oficjalnie poinformowany o tym fakcie?

O. — Chyba jasne, że tajemnica musiała być gdy idzie o rzut znanej powszechnie osobistości do Polski.

4. P. — Kiedy i w jaki sposób dowiedział się Pan Generał o wyjeździe dra Retingera do kraju?

O. — Zdaje mi się, że już po jego odlocie.

5. P. — Jakie obowiązki w Sztabie N.W. spełniał płk. Demel? Czy był on jedynie szefem Oddz. Operacyjnego, czy też był łącznikiem N.W. do Oddz. Specjalnego? Czy spełniał on w latach 43-44 jakieś funkcje wywiadowcze?

O. — Zapytać Szefa Sztabu N.W.

6. P. — Czy Pan Generał zgodziłby się z następującą interpretacją? W 1944 r. Oddz. Inf.-Wyw. z płk. Gano na czele był uważany za współpracujący zbyt ściśle z władzami angielskimi i z tego względu płk. Gano miał utrudniony dostęp do N.W., a pewne prace wywiadowcze wykonywał kto inny? (Demel?)

O. — Jak wyżej.

7. P. — Czy jakaś komórka Sztabu N.W. obserwowała dra Retingera w latach 43-44? Co ona meldowała?

O. — Nie byłem przełożonym żadnej takiej komórki a na jej meldunek zareagowalbym odpowiednio.

8. P. — Czy prawdą jest, że dr Retinger miał stały apartament w Dorchester Hotel opłacany z funduszów płk. Cazaleta?

O. — Był przyjacielem płk. Cazaleta, który zginął z Gen. Sikorskim i jego siostry Lady Cazalet Keir. Cazalet był współwłaścicielem hotelu Dorchester. Miał tam apartament do swojej dyspozycji.

9. P. — Jaką opinię miał Pan Generał o płk. Demelu jako o człowieku, Polaku i oficerze sztabu?

O. — Nie byłem jego przełożonym i nie miałem o nim opinii.

10. P. — Kiedy i w jaki sposób dowiedział się Pan Generał o wysłaniu przez płk. Demela telegramu do płk. Iranka-Osmeckiego w sprawie dra Retingera? Czy mowa była o zgładeniu dra Retingera, czy jedynie o obserwowaniu lub rewidowaniu?

O. — Treść telegramu w *Kulturze* [vide mój list w *Kulturze* Nr 5/223 — Z. S.] nie wydaje się całkiem zgodna z jej dosłownym brzmieniem. Tekst musi być z posiadaniu Studium Polski Podziemnej. Dowiedziałem się o tym rozkazie po wojnie, od samego Retingera.

11. P. — Czy Pan Generał przypuszcza, że płk. Demel wysyłając ten telegram działał w osamotnieniu, czy też był on przedstawicielem pewnej grupy oficerów Sztabu N.W.? Jeżeli tak, to kto do tej grupy należał? Czy należeli tzw. „młodoturcy” lub płk. Utnik? (Płk. Utnik musiał być chyba poinformowany, bo przez jego ręce przechodził ten telegram).

O. — Nie mam danych do przypuszczeń.

12. P. — Czy Pan Generał przypuszcza, że N.W. wiedział lub zaaprobował ten telegram *a priori*, czy też dowiedział się o wysłaniu tego telegramu *post factum*?

O. — Nie mam danych do przypuszczeń.

13. P. — Jeszcze w 1944 r. (przed rezygnacją gen. Sosnkowskiego, lub po) musiała zaistnieć sytuacja taka, że naczelne władze wojskowe w Londynie (N.W., Pan Generał, gen. Kopański, gen. Tatar, ppłk. Utnik etc.) wiedziały już o wysłaniu przez płk. Demela telegramu w sprawie dra Retingera. Czy wobec tego zastosowano wobec płk. Demela jakieś sankcje służbowe? Jeżeli nie, dlaczego?

O. — Sankcje służbowe należały do Naczelnego Wodza.

14. P. — Czy gen. Tatar dowiedział się o telegramie płk. Demela w sprawie dra Retingera jeszcze w kraju, czy dopiero po przyjeździe do Lon-

dynu? Jeżeli w Londynie, to w jaki sposób? Jaką znał treść, sprzątnięcie, czy zrewidowanie dra Retingera?

O. — Zapytać trzeba gen. Tatara.

15. P. — Jak Pan Generał oceniał skutki pobytu dra Retingera w kraju? Co na ten temat meldował płk. „Rudy”, który przywiózł pocztę dra Retingera? Czy Retinger widział się w kraju z komunistami? Czy miał wpływ na późniejszą decyzję walki o Warszawę?

O. — Nie oceniałem; opóźnienie powrotu redukowało znacznie wagę zebranych spostrzeżeń i informacji. Potwierdzały na ogół przyniesione pierwszym „mostem”. Żadnego wpływu na decyzję walki o Warszawę nie mogły mieć. Zapytać gen. Bora i Pełczyńskiego.

16. P. — Skoro dr Retinger powrócił do Londynu i zamieszkał w Dorchester Hotel, czy prawdą jest, że pierwszy złożył mu wizytę Eden (parę godzin), potem Spaak?

O. — Prawdą jest, że jednym z pierwszych był min. Eden, że odwiedzał go nie jeden raz, że odwiedzali go za każdym pobytem Spaak i Biddle.

17. P. — Jakie opinie o kraju wygłaszał dr Retinger po powrocie do Londynu?

O. — Na ogół zgodne z rozwojem sytuacji wewnętrznej w kraju w okresie przed i po-jałtańskim. Bez złudzeń co do możliwości utrzymania się państwa podziemnego i A.K. pod nową okupacją.

Z A Ł A C Z N I K 2

Odmowa udzielenia informacji ze strony gen. Bora-Komorowskiego, gen. Pełczyńskiego i płk. dypl. Iranka-Osmeckiego

W lipcu 1966 r. zwróciłem się listownie z identycznymi pytaniami przytoczonymi poniżej do gen. Bora-Komorowskiego, gen. Pełczyńskiego i płk. Iranka-Osmeckiego.

1. Czy Sztab N.W. zawiadomił oficjalnie K.G. A.K. o celu przyjazdu do kraju w 1944 r. dra Retingera i poinformował czym był on przedstawicielem?

2. Czy D-ea A.K. lub Szef Sztabu omawiał z Delegatem cel wizyty Salamandry? Jeżeli tak, to w jakim sensie? Czy został ustalony sposób traktowania Salamandry?

3. Czy na posiedzeniach K.W.P. dyskutowano sprawę przyjazdu Salamandry (przed jego przyjazdem lub w początkowym okresie pobytu) i czy ustalono jak należy się do tego faktu ustosunkować?

4. Jaki był cel wizyty Salamandry i czym był on wysłannikiem w ówczesnym rozumieniu K.G. A.K.?

5. Jak należy tłumaczyć to, że telegram płk. Demela w sprawie Salamandry był skierowany do płk. Iranka-Osmeckiego, a nie do D-cy A.K.?

6. Czy istniał specjalny szyfr do korespondencji płk. Demel — płk. Irank-Osmecki? Czy właśnie tym szyfrem przesłano telegram w sprawie Salamandry? Czy możliwe jest żeby pomiędzy płk. Demelem i płk. Irankiem-Osmeckim istniał specjalnie uzgodniony kod, w którym dajmy na to „przetrząsnąć bagaż” mogło znaczyć „zlikwidować”?

7. Jaka była treść telegramu płk. Demela w sprawie Salamandry? Czy była mowa o sprzątnięciu, czy jedynie o obserwowaniu i zrewidowaniu? Kiedy ten telegram nadszedł do K.G.?

8. Czy możliwe jest, żeby treść telegramu płk. Demela została zmieniona (w Oddz. Spec. lub w ośrodku łączności w kraju) w drodze od płk. Demela do K.G. A.K.?

9. Czy płk. Demel miał prawa rozkazodawcze w stosunku do płk. Iranek-Osmeckiego? A wobec tego czy należy jego telegram uważać za rozkaz, czy też jedynie za zalecenie, sugestię? A może każdy telegram podpisany przez płk. Demela był uważany w K.G. jako pochodzący od N.W.?

10. Kiedy odbyła się odprawa K.G. A.K. na której omawiano telegram płk. Demela w sprawie Salamandry? Kto był obecny na tej odprawie? Ile prawdy jest w tym co pisze Aleksander Skarżyński w swej książce „Polityczne przyczyny powstania warszawskiego” na str. 166-7, a mianowicie: „Głównym rzecznikiem 'sprzątnięcia' Retingera był szef sztabu A.K. — gen. Pełczyński... Akcja przeprowadzona nie została! Przypuszczalnie nie zgodził się na nią Bór-Komorowski, któremu w zasadzie obce były metody używane przez „dwójkę” (według relacji osób żyjących)”?

11. Czy D-ca A.K., Szef Sztabu lub Szef Oddz. Inf.-Wyw. kontaktowali się z Salamandrą osobiście? Jeżeli tak to o czym była mowa?

12. Czy Salamandra był obserwowany przez organy podległe K.G. A.K.? Czy rewidowano jego przywieziony lub zabierany bagaż? Czy coś podejrzanego znaleziono?

13. Jakie meldunki dostawała K.G. w sprawie działalności Salamandry w kraju? Z kim się widywał, do czego namawiał? Czy widywał się z komunistami?

14. Czy K.G. przekazywała przez swoją sieć radiową telegramy Salamandry do Londynu? Jeżeli tak, to o czym była w nich mowa?

15. Czy należy uważać, że spóźnienie się Salamandry na lądowisko i wywrócenie się bryczki razem z Salamandrą do wody były zupełnie przypadkowe? Czy też należy uważać, że pewnej grupie ludzi zależało na paraliżowaniu działalności Salamandry, jeżeli tak, komu i dlaczego?

16. Czy prawdą jest, że płk. Iranek-Osmecki był obarczony zapewnieniem bezpieczeństwa Salamandrze? A wobec tego, czy istniały fizyczne możliwości zlikwidowania go?

17. Czy płk. Rudy, który wioził z kraju do Londynu bagaż Salamandry dostał polecenie złożenia w Londynie meldunków w sprawie Salamandry? Jak te meldunki brzmiały i komu miał je złożyć (Nacz. Wódz, gen. Kopaniński, gen. Tatar, ppłk. Utnik?).

18. Jak należy ocenić pobyt Salamandry w kraju? Co on osiągnął? Czy zdołał zbliżyć ugrupowania niepodległościowe do komunistów? Czy miał jakiś wpływ na kontynuowanie Burzy i późniejsze decyzje w sprawie walki o Warszawę?

19. Czy po wojnie, skoro D-ca A.K., Szef Sztabu i Szef Oddz. Inf.-Wyw. znaleźli się w Londynie były prowadzone rozmowy z płk. Demelem na temat jego zleceń w sprawie Salamandry? Jeżeli płk. Demel zapytywał dlaczego dr Retinger nie został sprzątnięty, jak mu na to odpowiadano?

— — —

Płk. Iranek-Osmecki nadesłał odpowiedź z dnia 30 lipca 1966 r. o następującej treści:

„Szanowny Panie. Potwierdzam uprzejmie odebranie Pana listu z 23 bm. Brak czasu nie pozwala mi na odpowiadanie na postawione liczne pytania. Wyczerpująca odpowiedź powinna być niemal sporą książką.

Ogłoszone dotychczas publikacje nie dają zapewnienia, że wydarzenia te będą potraktowane poważnie, a ujęcie ich na 'chybeika' wywołać może

wokół nich tylko jeszcze większe zamieszanie. Nie mam więc zamiaru przy czyniać się do ich pogłębiania. Łączę wyrazy poważania, K. Iranek-Osmecki”.

Gen. Pełczyński, listem z dnia 2 sierpnia 1966 r., zawiadomił mnie, iż nie zamierza udzielić swoich osobistych informacji i naświetleń. Listu tego nie cytuję, gdyż gen. Pełczyński zawiadomił mnie później, że miał on charakter poufny.

Gen. Bór-Komorowski nadesłał odręczny list z dnia 15 sierpnia 1966 r. (był to chyba jeden z ostatnich listów gen. Bora-Komorowskiego) o następującej treści:

„Szanowny Panie. Pismo Pana otrzymałem po moim powrocie z wypożyczenia i dlatego opóźnienie w mej odpowiedzi. W pytaniach mi postawionych są zawarte tak niepoważne sugestie, że nie zamierzam na nie odpowiadać. W Studium Polski Podziemnej są, jak Pan zapewne wie, dokumenta i akta, z którymi może się Pan zapoznać w sprawach, które Pana interesują. Łączę wyrazy poważania, T. Bór-Komorowski”.

BIBLIOGRAFIA

1. Władysław Anders, *Bez ostatniego rozdziału*, Montgomeryshire Printing Co. Ltd., 1949.
2. Kajetan Bieniecki, „List do redakcji”, *Kultura* Nr 10/228, październik 1966.
3. Marek Celt (Tadeusz Chciuk), Trzeci „most”, Na Antonie (*Wiadomości*) Nr 1091, luty 1967.
4. Franciszek Demel, „List do Redakcji”, *Kultura* Nr 9/227, wrzesień 1966.
5. Stanisław Dołęga-Modrzewski (Kauzik), *Polskie państwo podziemne*, Londyn, 1959.
6. Józef Garliński, *Między Londynem i Warszawą*, Gryf Publications Ltd., Londyn 1966.
7. Zbigniew Grabowski, „Notatki z czasów wojny”, *Kultura* Nr 11/181, listopad 1962.
8. Sir Colin Gubbins, List do redakcji *Times'a*, *Tribute* — patrz poz. 39.
9. K. A. Jeleński, „An Anachronical Forerunner”, *Tribute* — patrz poz. 39.
10. Jerzy Kirchmayer, *Pamiętniki*, Książka i Wiedza, Warszawa, 1962.
11. Tadeusz Bór-Komorowski, *Armia podziemna*, K.O.W. Veritas, Londyn, 1952.
12. Stanisław Kopański, *Wspomnienia wojenne*, K.O.W. Veritas, Londyn, 1961.
13. Stefan Korboński, *W imieniu Rzeczypospolitej*, Instytut Literacki, Paryż 1954, Wydanie drugie przejrane i uzupełnione, Gryf, Londyn, 1961.
14. Stanisław Kot, *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego*, Londyn, 1955.
15. Stanisław Mackiewicz, *Zielone oczy*, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa, 1959.
16. Stanisław Maczek, *Od podwody do czołga*, Tomar Publishers, Edinburgh, 1961.
17. Władysław Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski, okres 1939-1945*, tom III, Londyn, 1960.
18. Lord Moran, *Winston Churchill, The struggle for survival*, Constable, London 1966.

19. Stanisław Mikołajczyk, *The pattern of Soviet domination*, Sampson Low, Marston and Co. Ltd., London, 1948.
20. Zygmunt Nagórski, Senior, „Wojna w Londynie”, *Wspomnienia 1939-1945*, Księgarnia Polska w Paryżu, 1966.
21. Jan Nowak, „Operacja 'Whitehorn'”, *Kultura* Nr 4/21-5/22, 1949.
22. Cyprian Odorkiewicz (Krybar), „Zagadka niedawnej przeszłości”, *Wiadomości*, Nr 756, wrzesień 1960.
23. Witold Olszewski, „Niezwyczajna przygoda Retingera”, *Horyzonty*, Nr 130, marzec 1967.
24. *Polskie Siły Zbrojne, Armia Krajowa*, tom III, Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, Londyn, 1960.
25. Jan Pomian, „List do Redakcji”, *Kultura*, Nr 7-8/226, sierpień 1966.
26. W. Janta-Pończyńska, „List do Redakcji”, *Kultura*, Nr 4/222, kwiecień 1966.
27. Adam Pragier, *Czas przeszły dokonany*, Londyn, 1966.
28. Pietro Quaroni, „Did we really know him?”, *Tribute* — patrz poz. 39.
29. Edward Raczynski, *W sojusznym Londynie*, Polish Research Centre, London, 1960.
30. Joseph H. Retinger, *Conrad and his Contemporaries*, Roy Publishers, New York, 1943.
31. Denis de Rougemont, „A Biographical Sketch”, *Tribute* — patrz poz. 39.
32. Jan Rzepecki, *Wspomnienia i przyczynki historyczne*, Czytelnik, Warszawa, 1966.
33. Z. S. Siemaszko, „Listy do Redakcji”, *Kultura*, Nr 5/223 i 9/227, maj i wrzesień 1966.
34. Aleksander Skarżyński, *Polityczne przyczyny powstania warszawskiego*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1964.
35. Kazimierz Sosnkowski, Słowo wstępne do S. Sosabowski, *Najkrótszą drogą*, Komitet Wydawniczy Polskich Spadochroniarzy, Londyn, 1957.
36. Stanisław Stroński, „Amnestia”, *Wiadomości*, Nr 229, 1950.
37. Zbigniew Stypułkowski, *W zawierusze wojennej*, Wspomnienia 1939-1945, Gryf Publications Ltd., Londyn, 1951.
38. Feliks Topolski, Recio, *Tribute* — patrz poz. 39, polskie tłumaczenie, *Wiadomości*, Nr 750, 1960.
39. *Tribute to a Great European J. H. Retinger*, praca zbiorowa, biuletyn Centre Européen de la Culture, Genève, 1961 (tytuł francuskiego wydania Hommage a un grand Européen J. H. Retinger 1888-1960).
40. Ks. Józef Warszawski, *Akcja antypapieska w Polsce podczas II wojny światowej*, K.O.W. Veritas, Londyn, 1966.
41. Eugene Witt, „List do Redakcji”, *Kultura*, Nr 9/227, wrzesień 1966.
42. Zygmunt Zaremba, *Wojna i konspiracja*, Londyn, 1957.
43. W. A. Zbyszewski, „Stanisław Mackiewicz”, *Kultura*, Nr 6/224, czerwiec 1966.
44. Michael R. D. Foot, *S.O.E. in France*, Her Majesty's Stationary Office, London, 1966.
45. E. H. Cookridge, *Inside S.O.E.*, Arthur Baker Ltd., London, 1966.
46. Brickham Sweet-Escott, *Baker Street Irregular*, Methuen and Co. Ltd., London, 1965.

SAMODZIELNA BRYGADA KARPACKA (DOK.)

„Crusader”

W listopadzie zakończono po stronie brytyjskiej przygotowania do ofensywy. Przedłużono kolej do Bir Misheifa (ok. 110 km na zach. od Mersa Matruh), z Aleksandrii przeprowadzono rurociąg wodny prawie do tego samego punktu. W przewidywaniu, że rozstrzygającym czynnikiem w nadchodzących walkach będzie broń pancerna, włożono wiele wysiłku, by doprowadzić jednostki pancerne do możliwie najwyższych stanów. Dowodzenie w Zachodniej Pustyni przejęła utworzona we wrześniu 8 armia (gen. Alan Cunningham) złożona z dwóch korpusów: 13 (gen. A. R. Godwin-Austen) i 30 (gen. C. W. M. Norrie)¹. Również po stronie „Osi” przeprowadzona została reorganizacja dowodzenia².

1. W skład 13 korpusu wchodziły: 2 dyw.n.z. (gen. B. Freyberg), 4 dyw. hind. (gen. F. Messervy) i 1 bryg. czołgów piech. (bryg. H. R. Watkins). W skład 30 korpusu: 7 d.panc. (gen. W. H. Gott), 4 panc. grupa bryg. (bryg. A. H. Gatehouse), 1 dyw. poł. afr. (gen. G. L. Brink) i 22 bryg. gwardii (bryg. J. C. Marriot). Załoga Tobruku składała się z 70 dyw. piech. (gen. R. M. Scobie) z brygadami 14, 16 i 23, sam. bryg. strz. karp. (gen. S. Kopański) i 32 bryg. czołgów piech. (bryg. A. C. Willison). W odwodzie 8 armii była 2 poł. afr. dyw. a w rej. oazy Dżarabub operowała 29 bryg. hinduska.

2. Naczelnym dcą w półn. Afryce był gen. Ettore Bastico. Podlegały mu: 20 korpus manewrowy (corpo d'armata di manovra — gen. Gastone Garbara), z dywizjami Ariete (132, panc.), i Trieste (101, zmot.), oraz Panzergruppe Afrika (gen. E. Rommel), w skład której wchodziły: Deutsches Afrika Korps (gen. L. Crüwell) z dywizjami 15 panc. (gen. W. Neumann-Silkow), 21 panc. (gen. J. v. Ravenstein) i Afrikadivision, przemianowana 30. 11. na 90 dyw. lek. (gen. M. Sümmermann) oraz 21 korpus (gen. Enea Navarrini) z dywizjami Trento (102), Bologna (25), Breseia (27) i Pavia (17). Dywizja Savona (55) na pograniczu również była podporządkowana Rommlowi.

Obie strony posiadały informacje o ruchach wojsk. Niemcy mieli swoich informatorów w Palestynie, Włochy w Egipcie³. Niemniej Rommel sądził, że ewentualna ofensywa brytyjska będzie miała tylko ograniczony cel. Rewelacjom żołnierza (z 4 d. hind.) wziętego do niewoli w dniu 17. 11. w rejonie Sidi Sulejman nie dano w sztabie niemieckim wiary — były zbyt dokładne. Ciska radiowa po stronie brytyjskiej pozbawiła Niemców tego ważnego źródła informacji jakim było radio. Rozmokłe wskutek ulewy w dniach 16/17 lotniska uniemożliwiły loty wywiadowcze. W rezultacie rozpoczęcie ofensywy całkowicie zaskoczyło Niemców. Lecz 8 armia nie wykorzystała tego elementu zaskoczenia, czekając trzy dni na reakcję npla, której nie było.

Siły jakie wprowadzono do walki były mniej więcej równe: 118.000 Brytyjczyków i 119.000 „Oś”, ze znaczną przewagą broni pancernej po stronie brytyjskiej — 723 czołgów wobec 244 niemieckich i 146 włoskich (a właściwie 558)⁴. Poza tym było jeszcze 200 czołgów w rezerwie, podczas gdy Niemcy nie mieli prawie żadnych, ale ich czołgi były lepsze, załogi lepiej wyszkolone, a użycie tej broni w walce, dzięki taktyce opartej na doświadczeniu, było skuteczniejsze („zawodowcy przeciwko amatorom”, jak się wyraził jeden z dowódców brytyjskich). Również lotnictwo brytyjskie było liczniejsze 1.311 samolotów z tego 1.072 zdolnych do walki, wobec niemieckich zdolnych do walki 120 i włoskich 200.

W przeddzień rozpoczęcia ofensywy siły nieprzyjaciela ugrupowane były następująco:

Włosi: 21 korpus (dowództwo w El Adem) — dywizje Brescia, Trento i Bologna na perymetrze Tobruku z dywizją Pavia w odwodzie między El Adem a Sidi Rezegh, osłanianie przez 20 korpus z dywizjami Trieste w rejonie Bir Hacheim i Ariete w Bir el Gubi; wysunięte nacz. dowództwo w rej. Ain el Gazala;

Niemcy: Panzergrupe Afrika (dow. w Gambut) — D.A.K.

3. Niemcy byli jednak w położeniu korzystniejszym — mieli w Kairze nieświadomego swej roli informatora w osobie am. attaché płk. F. Bonner Fellers'a. To częściowo wyjaśnia dlaczego Rommel zwykle robił właściwie rzeczy we właściwym czasie. Kod szyfrowy, którym posługiwał się płk. Fellers był znany Niemcom. Płk. F. był bardzo sumiennym i — wciśbiskim obserwatorem. W czasie ofensywy uwijał się po polu walki, zbierał informacje, których mu nie odmawiano, po czym przekazywał je radiem do Waszyngtonu. Dwie niemieckie stacje przejmowały depesze, przekazywały je do Berlina, gdzie je deszyfrowano i odsyłało do Rommla. Cała operacja odbywała się w ciągu kilku godzin. Skończyło się to nagle 29 czerwca 1942 r. po absurdalnej audycji radia berlińskiego z dnia 27 czerwca, w której opisano całą procedurę, kiedy Amerykanie zmienili kod.

4. Różne źródła podają różne, choć zbliżone cyfry. Wymienione w tej pracy podane są za Churchilllem T. III., str. 496 7.

(dow. w Bardii) — Afrika division (90) i 15 Panzerdiw. między Tobrukiem a Gambut, 21 Panzerdiw. między Gambut a Sidi Azeiz. Na pograniczu między Sollum a Sidi Omar dywizja Savona, wreszcie na przełęczy Halfaya oddziały niemieckie.

Według dyspozycji dcy 8 armii 13 korpus miał związać i odciąć siły nieprzyjaciela na pograniczu, czekać na rezultat bitwy czołgów a następnie posuwać się ku zachodowi, zaś korpus 30 miał uderzyć od południa na Bir el Gubi i Sidi Rezegh. Na konferencji w Kairze (15. 10.) z udziałem gen. Scobie ustalono, że załoga Tobruku wykona wypad na Ed Duda po zniszczeniu broni pancernej nieprzyjaciela, a w dalszej fazie weźmie udział w pościgu.

W nocy z 16/17 wśród gwałtownej ulewy cała pustynia była w ruchu. Oddziały obu stron kończyły zajmowanie swych pozycji.

Bitwa — a raczej kilkanaście bitew i potyczek stoczonych między 18 listopada a 7 grudnia — rozgrywała się w terenie otwartym, zupełnie pustym na obszarze kilku tysięcy km kwadr. Nie było żadnego frontu. Nieprzyjaciel mógł każdej chwili uderzyć — i uderzał — z każdego kierunku. Taktyka niemiecka uderzania masą czołgów, za którymi posuwały się działa ppanc., artyleria i piechota na samochodach, była skuteczniejsza od brytyjskiej, która operowała jednostkami pancernymi, osłabiając w ten sposób siłę ich uderzenia. Ponieważ oddziały własne zwykle przemieszane były z oddziałami nieprzyjaciela — lotnictwo rzadko tylko mogło interweniować, a zdarzało się — po obu stronach — że interwencje były we własne wojska. Często nikt nie wiedział co się dzieje, środki łączności zawodziły, a gdy działały, korzystał z tego nieprzyjaciel przejmując rozkazy nadawane radiem. Decyzje były podejmowane na podstawie zupełnie fałszywego obrazu położenia. Uzupełnianie paliwa, żywności, amunicji często musiało odbywać się na oczach nieprzyjaciela.

Najostrzejsze i decydujące walki rozegrały się o trójkąt Ed Duda-Belhamed-Sidi Rezegh.

Pierwsza bitwa o Sidi Rezegh.

Sidi Rezegh, wzniesienie na drugiej skarpie choć nieznaczne, ale panujące nad szlakiem pustynnym Trigh Capuzzo i drogą okrężną wybudowaną przez wojska „Osi” w czasie oblężenia w odległości 17 km. na płd. wschód od perymetru Tobruku, było kluczowym punktem, o który stoczono w tej ofensywie dwie krwawe bitwy (a w 6 miesięcy później jeszcze jedną).

Po dwóch dniach niezdecydowanych działań, popołudniu 19, siódma bryg. panc. zajęła lotnisko w rejonie S. Rezegh. Z początku jednak nie doceniano tego sukcesu. Następnego dnia popołudniu 7 bryg. panc. została wycofana, a jej zadanie przejęła grupa wsparcia 7 dyw. panc., która miała nawiązać styczność z wypadem z Tobruku na Ed Duda. Wypad, zgodnie z rozkazem dcy 30 korpusu (a niezgodnie z poprzednio ustalonym planem), wydanym o godz. 4 popoł. miał być wykonany o świcie 21-go. Jednocześnie 5 brygada południowo-afrykańska (bryg. B. Armstrong) otrzymała rozkaz przejścia z rejonu Bir el Gubi do Sidi Rezegh (według planu miała iść cała 1 dyw. południowo-afrykańska), ale nigdy nie doszła. Brygada połudn. afr. i 7 bryg. panc. miały połączyć się z wypadem z Tobruku i przeciąć nieprzyjacielowi drogę na zachód, a dwie pozostałe brygady panc. miały „wykończyć” Afrika Korps koło Gabr Saleh. Jednak nic z tego nie wyszło.

Wypad z Tobruku był starannie przygotowany. Wykonały go oddziały 14, 16 bryg. piech. i 32 bryg. czołgów piech. Dla zmylenia nieprzyjaciela poprzedzony był silnym — i udanym — wypadem wzmocnionej pieszym plutonem obsługi carrierów (por. W. Drelicharz) 4 komp. 1 baonu SBSK. (kpt. Stan. Jandzis) na zachodnim odcinku perymetru, oraz podobnym wypadem 23 bryg. panc. na odcinku południowym. Celem wypadu na Ed Duda miało być zdobycie tego wzniesienia (158 m.) na szczybie północnej, około 4 km. na zachód od Sidi Rezegh i utrzymanie go do czasu zlurowania przez 1 dyw. południowo-afrykańską.

Teren między perymetrem a Ed Duda był gęsto zaminowany i wyposażony w kilkanaście gniazd oporu, które należało zdobyć, aby sobie otworzyć drogę do szczytu. Wypad rozpoczął się o godz. 6.30 rano, lecz mimo, iż zdobyto kilka gniazd oporu, celu nie osiągnął. Dwa z nich zdobył w walce na bagnety, przy dźwiękach marsza pułkowego granego przez dwóch kobziarzy, baon szkocki Black Watch. Jedna z kompanii tego baonu podlegała przez krótki czas rozkazom brygady karpackiej. W natarciu tym baon stracił 24 oficerów i 440 szeregowych. Popołudniu, otrzymawszy wiadomość, że zapowiedziane wsparcie przez 7 bryg. panc. i 5 bryg. połudn. afr. nie dojdzie do skutku, gen. Scobie przerwał dalsze działania. Zatrzymanie wypadu i opanowanie paniki, jaka powstała wśród oddziałów włoskich było osobistą zasługą Rommla, który sam poprowadził zebrane na pędce oddziały niemieckie do przeciwnatarcia.

Wieczorem tego dnia sytuacja na polu walki była zupełnie fantastyczna. Oddziały brytyjskie, niemieckie i włoskie przeplatały się ze sobą w różnych kombinacjach. „Jak warstwy neapolitańskich lodów” — pisze oficjalny historyk tej bitwy.

W ciągu dnia następnego (22-go) panujący dotychczas optymistyczny nastrój w dowództwie 8 armii został poważnie zachwiany. Popołudniu 21 dyw. panc. zajęła lotnisko Sidi Rezegh, a 4 bryg. panc. zaskoczona przez 15 dyw. panc. została rozbita. Wieczorem kwatera główna Panzergruppe z Gambut przeszła do El Adem.

„Tottensonntag”

Niedziela 23 poświęcona była u Niemców, jak corocznie, pamięci poległych w pierwszej wojnie światowej. Brytyjczykom przyniosła dalsze niepowodzenia. W dowództwie armii oceniano, że pozostało już tylko 44 czołgów, wobec niemieckich 120 (w rzeczywistości 173). Wieczorem rozgromiona została całkowicie 5 bryg. połudn. afr., a 22 bryg. panc., która pośpieszyła jej z pomocą, straciła 1/3 z tych 34 czołgów, jakie jeszcze rano posiadała.

Tylko 6 brygadzie nowozelandzkiej sprzyjało tego dnia szczęście. W myśl poprzednio wydanych rozkazów 2 dyw. nowozelandzka (gen. B. Freyberg) wyruszyła z rejonu Bardii dwoma brygadami (4 i 6), wraz z 1 bryg. czołgów piech. w kierunku Tobruku, pozostawiając 5 bryg. w rejonie Bardia-Sollum-Sidi Azeiz. Przez przypadek 6 bryg. natknęła się rankiem na kwaterę główną Afriki Korps w rejonie Bir el Giaser, którą rozbiła i wzięła jeńców. Gen. Crüwell ze swym szefem sztabu płk. F. Bayerleinem zaledwie na pół godziny przedtem opuścili ten rejon. Wieczorem 6 bryg. zdobyła i utrzymała wzgórze 175 (10 km. na wschód od Sidi Rezegh).

Popołudniu przyleciał z Kaira do dowództwa 8 armii (fort Maddalena) gen. Auchinleck. Po zapoznaniu się z sytuacją nakażał dalsze prowadzenie ofensywy „do ostatniego czołga”.

Stosownie do otrzymanych dyspozycji dca armii nakazał 30 korpusowi przejść — od północy z 23/24 — od 30 korpusu wszystkie operacje w rejonie Tobruku z zadaniem zajęcia Sidi Rezegh i Ed Duda „za wszelką cenę”. Pod dowództwo 13 korpusu przechodzi również załoga Tobruku.

Zagon D.A.K. na pogranicze

Przed północą 23 Rommel wydał rozkazy na dzień następny, które całkowicie zmieniły sytuację w pobliżu Tobruku. Nazajutrz rano o godz. 11-ej cała niemiecka broń pancerna z Rommlem

i jego szefem sztabu gen. A. Gause na czele, wyruszyła spod Sidi Rezegh w kierunku Sidi Omar. Rozciągnięta na 30 km. kolumna czołgów wzniciła popłoch wśród napotkanych po drodze jednostek brytyjskich. „Było dużo wiania — powiada historyk brytyjski — niektóre ciężkie wozy nigdy nie podróżowały tak szybko”. Gen. Cunningham, który bawił właśnie w kwaterze głównej 30 korpusu, został ostrzelany, gdy samolot jego startował. Zaalarmowane lotnictwo szybko przeniosło się z przepełnionych lotnisk koło Maddalena o 50 km. na wschód.

Dowództwo w rejonie Sidi Rezegh przejął gen. K. Böttcher, dca art. Panzergruppe, mając do dyspozycji trzy baony piechoty i baon saperów.

W myśl rozkazu 13 korpusu dywizja nowozelandzka miała zdobyć Belhamed, Sidi Rezegh i Ed Duda. Wieczorem 25-go czwarta brygada nowozelandzka zajęła z trudem Belhamed, a szósta osiągnęła Sidi Rezegh (lotnisko), lecz nie zdołała już opanować Ed Duda.

Walki przedpołudniem 26 nie przyniosły decydującego rezultatu. Popołudniu gen. Scobie przejął inicjatywę. W ciągu trzech godzin 32 bryg. czołgów, baon Essex i komp. k.m. Northumberland Fusiliers pod dowództwem bryg. A. Willisona zdobyły Ed Duda. Tej samej nocy (26/27) szósta bryg. nowozelandzka w ciężkiej walce zajęła Sidi Rezegh. Część 19 baonu nowozeland. i szwadron 44 Tank Rgt. przeszły przed północą z Belhamed na Ed Duda pod dowództwo bryg. Willisona. Łącznie z załogą Tobruku, choć bardzo wątpliwa, została nawiązana.

Pod wpływem tych wydarzeń i alarmów szefa operacji Panzergruppe (ppłk. S. Westphal) Rommel zarządza odwrót z pogranicza dla obrony Sidi Rezegh. Po drodze spod Bardii 15 dyw. panc. „zawadziła” o 5 bryg. nowozelandzką w rejonie Sidi Azeiz i wzięła 800 jeńców wraz z dcą brygady.

Druga bitwa o Sidi Rezegh

Gdy dnia 28 czołgi niemieckie były już niedaleko Sidi Rezegh dca 8 armii (od 26-go dcą 8 armii był gen. N. M. Ritchie) skierował dla wsparcia 6 bryg. nowozelandzkiej 1 brygadę połudn. afrykańską z rejonu Taieb el Esem pod Sidi Rezegh. Powtórzyła się historia sprzed kilku dni. Brygada po przebyciu połowy drogi stanęła. Do osłony tej brygady i dla powstrzymania niemieckiej dywizji panc. dca armii skierował 4 i 22 bryg. panc., które po przejęciu czołgów od 7 bryg. panc. (odesłanej do Egiptu) miały ich obecnie około setki.

W nocy z 28/29 kwatery główna 13 korpusu i drugi rzut kwatery głównej dywizji nowozelandzkiej zagrożone przez 15 dyw. panc. przeszły z rejonu Carmuset en-Nbeidat do Tobruku. 29-go po poł. 15 dyw. panc. zaatakowała od zachodu Ed Duda i pod wieczór opanowała zachodni kraniec tej pozycji — resztę trzymał baon Essex. Po północy 2/13 baon australijski (zluzowany 25-go przez 1 baon karpacki) przeszedł do natarcia i odebrał stracony odcinek. Popołudniu Ariete zajęła punkt 175.

30 przedpołudniem Rommel przegrupował swoje siły. O godz. 15 rozpoczęło się silne natarcie grupy ppłk. Mickl'a (gen. Bötcher po wziętym do niewoli w dniu 29 gen. v. Ravensteinie dowodził obecnie 21 dywizją) na Sidi Rezegh, które wieczorem zostało zajęte. Baony 24 i 26 nowozelandzkie niemal w całości poszły do niewoli.

1-go popołudniu afryk. brygada (bryg. D. Pienaar), prowadzona osobiście przez dcę korpusu, miała odebrać od Włochów pkt 175, o świcie 1 grudnia wciąż jeszcze była o prawie 2 km. od tego miejsca, utknęła, po czym wróciła skąd przyszła tj. do Taieb el Esem.

Tego dnia rano (1. 12) 15 dyw. panc. zaatakowała od południa 4 bryg. nowozelandzką na szkarpie Belhamed i o godz. 8.30 zajęła ten punkt. Połączenie z Tobrukiem zostało przerwane. Pozbawiona osłony wskutek nieporadności taktycznej broni pancernej, dywizja nowozel. została przepołowiona i poniosła duże straty. Część połączyła się z oddziałami z Tobruku, a resztę gen. Freyberg wycofał do Zaafran, stąd na pogranicze, a wreszcie do Bagush. 5 brygada nowozel. przeszła pod rozkazy 2 połudn. afr. dywizji, która właśnie luzowała 4 dyw. hinduską na pograniczu.

Wobec nagłego pogorszenia się sytuacji w rejonie Ed Duda-Belhamed-Sidi Rezegh dca twierdzy zarządził uzupełnienie obrony „korytarza”, obecnie już tylko „wyłomu”. Brygada karpacka otrzymała rozkaz wysłania na zagrożone punkty swych dział przeciwpancernych. Dca brygady wyznaczył baterie 1 i 4, które wyruszyły 30-go o godz. 16 w kierunku Belhamed, pod dowództwem ppłk. A. Dołęga-Cieszkowskiego. Dnia następnego doszła bateria 2. Baterie polskie zajęły stanowiska po północnej stronie szkarpy Belhamed dla wzmocnienia obrony pozycji 1 baonu Bedford's and Hertford's. Kilka dni przedtem (26. 11.) odszedł do „korytarza” kombinowany dyon art. karpackiej (powrócił 5. 12.)⁵. W ciągu 9 dni dyon ppanc. stracił 2 zabitych i 8 rannych (z tego

5. Dyon składał się z dwóch baterii pod dow. kpt. Z. Tułodzieckiego. Szczegółowy opis akcji pod Belhamed w „Ku W.P.” Nr 29 (447) z r. 1955.

dwóch zatoneło na storpedowanym statku szpitalnym 5 grudnia).

W dniu 1 grudnia przybył do Tobruku dca armii. Ustalono plany do nowej fazy ofensywy. W planach tych przewidziano również działania dywersyjne, jakie miała wykonać brygada polska na swym odcinku, który w miarę jak odchodziły do „korytarza” oddziały 14 i 23 brygady, wydłużał się i obejmował obecnie prawie 2/3 perymetru.

Mimo znacznych sukcesów w kwaterze głównej Rommla trzeźwo oceniano sytuację. Zdawano sobie sprawę z tego, że Brytyjczycy wprowadzają do walki nowe siły, zaś ani wojska niemieckie ani włoskie na żadne rychłe uzupełnienia nie mogą liczyć. Po wieczornej rozmowie Rommla z gen. Bastico (1. 12.) wysłano naglące wezwanie do Rzymu o posiłki.

Przygotowania 30 korpusu do dalszej ofensywy zagroziły siłom Rommla w rejonie Bir el Gubi (ok. 30 km. na południe od Ed Duda), co zmusiło go do przerywania ataków na Ed Duda (4. 12.) i przesunięcia dywizji pancernych na południe. Jednocześnie Rommel po otrzymaniu z Rzymu wiadomości, że w ciągu grudnia żadne większe posiłki do Afryki nie będą wysłane, decyduje się zwinąć oblężenie na wschodnim odcinku Tobruku. W ciągu nocy z 4/5 dyw. Bologna odeszła ze swych stanowisk a 90 dyw. chwilowo objęła dozorowanie na linii Bir Salem-Ed Duda-Belhamed.

5 grudnia Afrika Korps, nie czekając na Włochów, uderza na Gubi i rozbija 11 bryg. hinduską, której w nocy udaje się wysliznąć na południe za przesłonę 22 bryg. gwardii. Dnia następnego trwały jeszcze walki w tym rejonie, w czasie których został śmiertelnie ranny dca 15 dyw. panc. gen. Neumann-Silkow.

Popołudniu (6-go) patrole 30 korpusu nawiązały łączność z oddziałami z Tobruku w rejonie Sidi Rezegh.

7 rano Afrika Korps otrzymał rozkaz oderwania się od nieprzyjaciela i wycofania się o 30-35 km. w kierunku półn. zach. z zadaniem krycia dalszego odwrotu.

Wieczorem do nowej kwatery głównej Rommla w casa cantoniera o 5 km. od zatoki Gazali przybył gen. Kesselring. Zgodnie z intencją Commando Supremo, że Cyrenajka musi być broniona — dywizje Brescia i Trento otrzymały rozkaz utrzymania przez pewien czas oblężenia Tobruku na odcinku zachodnim, a Pavia obsadzenia linii umocnień w rejonie Ain el Gazala. W tym czasie 90 dyw., art. i elementy niezmotoryzowane dyw. włoskiej były już poza tą linią, oraz otrzymały rozkaz obsadzenia przesmyku w Agedabia (w czasie marszu w dniu 9 zginął podczas nalotu dca dyw. gen. Sümmermann).

W ciągu dnia 8 grudnia 7 dyw. panc.⁶ została skierowana na skrzyżowanie szlaków Acroma/Bir Hacheim-Trigh el Abd (w późniejszych walkach znane jako „Knightsbridge”), a 4 dyw. hinduska wzdłuż szkarpy ciągnącej się w kierunku zachodnim od El Adem z zadaniem nawiązania łączności z oddziałami 13 korpusu.

W nocy z 9/10 grudnia dywizje Brescia i Trento wycofały się z zachodniego odcinka perymetru. Tobruk był wolny. Ale walka nie była jeszcze skończona. Opuszczając swe stanowiska dywizje te pozostawiły małe oddziały, które broniąc się do ostatka miały przesłaniać odwrót. Te stanowiska musiały być zdobyte.

Dnia 8 i 9 grudnia dca brygady wydał odpowiednie rozkazy. Wzgórze Medauar ma być zdobyte przez baony 2 i 3. Baon 1 ma opanować stanowiska w pobliżu szosy Tobruk-Derna („White Knoll”). Pułk ułanów przejdzie do pościgu w kierunku na Acroma. Wszystkie działania będzie wspierać pułk artylerii.

W ciągu nocy z 9/10 po krótkich walkach wyznaczone cele zostały osiągnięte. Na złowrogim Medauarze 3 baon zatknął flagę polską. Pułk ułanów osiągnął Acroma 10 w południe i nawiązał łączność z 7 dyw. panc., a popołudniu przekazał ją 16 brygadzie i powrócił do Tobruku.

W tych działaniach wzięto około setki jeńców.

Nadzieje, że po 4 miesiącach pobytu w ciężkich warunkach obłężenia brygada otrzyma zasłużony odpoczynek nie spełniły się.

Dnia 11 grudnia brygada otrzymała rozkaz pogotowia marszowego na dzień następny godz 12. Miała przejść pod dowództwo 13 korpusu i wziąć udział w dalszych walkach. Pułk ułanów miał pozostać w twierdzy⁷.

W dniu 12 grudnia dywizje niemieckie i włoskie znajdowały się na linii Gazala. Dyrektywa gen. Bastico („Bombastico”, jak go nazywał Rommel) nakazywała „zdecydowaną” obronę Cyrenajki na tej linii. Pozycja gazalska, którą zaczęto budować wczesnym latem biegła 20-kilometrowym łukiem od szkarpy nad zatoką tej samej nazwy do Alem Hamza pasmem wzniesień niezbyt wysokich, ale dających daleki wgląd w kierunku południowo-wschodnim, gdzie teren był płaski i otwarty. Obsadzały ją dy-

6. Obecnie 7 d. panc. po odejściu 7 bryg. do Egiptu składała się z dwóch brygad 4 i 22 i posiadała przeważnie lekkie czołgi, których zbiorniki musiały być napełniane co 36 km. To głównie zaważyło na niepowodzeniach w dniach następnych.

7. 19 grudnia pułk opuścił Tobruk i wyruszył do Egiptu, gdzie w myśl dawniejszych planów miał przejść przeszkolenie i otrzymać wyposażenie w sprzęt motorowy — w obozie Mena pod Piramidami. W okresie ponownego zagrożenia Egiptu w lipcu 1942 wziął udział w obronie Deltę Nilu w rej. Delta Barrage.

wizje Brescia na szkarpie, Pavia w centrum i Trieste w Alem Hamza. Trento była w odwodzie. Flankę południową osłaniała Ariete, a dalej na południe dywizje pancerne 21 i 15.

Dca 13 korpusu gen. Godwin-Austen miał nadzieję stoczyć tu decydującą bitwę. Dyspozycje jakie wydał były następujące:

5 bryg. nowozelandzka, która podeszła z pogranicza, miała związać nieprzyjaciela na szkarpie i na północ od niej⁸;

brygada polska miała działać frontalnie na południe od szkarpy, przejść na tyły nieprzyjaciela luką między dywizjami Brescia i Pavia i przeciąć drogę nadmorską (ani zamiary dcy korpusu, ani jego dyspozycje nie były w tym dniu znane w brygadzie, o zadaniu jakie przypało brygadzie dowiedziano się dopiero w dniu 14);

4 dyw. hinduska (bez 11 bryg.) miała zaatakować Alem Hamza;

grupa wsparcia 7 dyw. panc. miała działać na flance południowej dyw. hinduskiej, a

4 bryg. panc. (z 90 czołgami) dla osłony lewego skrzydła 4 dyw. hinduskiej miała wykonać daleki ruch oskrzydłający od południa w kierunku Bir Halegh el Haleba i od zachodu zagrozić pozycjom pod Gazalą nie później jak w dniu 15 grudnia o godz. 11.

Zgodnie z rozkazem brygada wyruszyła 12 o godz. 4 popołudniu, pozostawiając w Tobruku pułk ułanów, oraz baon Czechosłowacki i przeszła do rejonu El Adem⁹.

Pierwsze wiadomości o położeniu otrzymano w brygadzie dopiero dnia następnego (13-go) wraz z rozkazem 13 korpusu przejścia popołudniu do rejonu Eluet et-Tamar-Bir et-Tmer-Cuscia, około 12 km. na południowy zachód od Acroma, dla osłony dowództwa korpusu i jako odwód oddziałów, walczących pod Gazalą.

Dnia 14-go o godz. 9 rano brygada otrzymała rozkaz przejścia do rejonu Got el Moatared i Guetat Mnesi. Zadaniem jej będzie przedostać się na tyły nieprzyjaciela w rejonie Ain el Gazalą i przeciąć mu drogę odwrotu na szosie Gazalą-Derna w rejonie Scegheig na zachód zatoki¹⁰. Do przejścia brygada ma wy-

8. Aktywność tej brygady była ograniczona rozkazem dcy dyw., by nie atakowała bez dostatecznego wsparcia artylerii.

9. Oprócz p.uł. pozostały w T. — ciężki warsztat naprawczy, drugi rzut kwat. gł. i, chwilowo, oddział sł. transp. Po odliczeniu tych oddziałów stan brygady w chwili wymarszu wynosił 229 oficerów i 3240 szeregowych.

10. Rozk. 13 korpusu z 14. 12. g. 9. (L. 369).

korzystać przerwę między rozdzielonymi przez grupę płk. Wilsona siłami nieprzyjaciela¹¹.

Na podstawie otrzymanych z korpusu dyspozycji dca brygady wydał własny rozkaz operacyjny (Nr 17).

Bitwa pod Ain el Gazala

O godz. 12 (14. 12.) wyruszył oddział wydzielony (komp. piech., pół bat. art., pół bat. ppanc. i pluton carrier'ów).

Po stwierdzeniu obecności nieprzyjaciela i nawiązaniu łączności z 22 baonem nowozelandzkim oddział wydzielony powrócił dnia 15-go o godz. 10.30 do swego baonu.

W ciągu popołudnia 14-go została nawiązana łączność z dowództwem 5 bryg. nowozelandzkiej, która trzema baonami (28 Maori na skrzydle północnym, 24 na skraju szkarpy — punkt 181 i 22 na lewym skrzydle w rejonie Bir el Geff) pozostawała w styczności z nieprzyjacielem. O położeniu na Alem Hamza, gdzie walczyła brygada hinduska (5) nie było dokładnych wiadomości, istniała natomiast pewność, że nie ma żadnej przerwy w silnie obsadzonej linii obrony nieprzyjaciela od zatoki do Alem Hamza.

W tej sytuacji gen. Kopański postanawia nie czekać na nowe rozkazy, lecz własnymi siłami brygady otworzyć sobie drogę na tyły nieprzyjaciela, uderzając dwoma baonami przerwą między baonami nowozelandzkimi 22 i 24. Uderzyć miały 1 baon prawoskrzydłowy na wzgórze 187 Carmuset er Regem i 3 na wzgórze 183. Baon 2 miał stanowić odwód.

Baony nacierające wyruszyły z podstaw wyjściowych o godz. 3.30 popołudniu. Brak środków transportowych uniemożliwił dowieszenie dostatecznej ilości amunicji, wobec czego nie było dłuższego przygotowania artyleryjskiego. Było tylko po 130 pocisków na działo, wskutek czego na 10-minutowe przygotowanie artyleryjskie można było przydzielić tylko 40 pocisków na działo. Amunicja została dowieziona dopiero o świcie dnia następnego. Wsparcie ogniowe własnej artylerii wzmacniał jeden dyon Royal Horse Art.

O godz. 5.30 1 baon zdobył wzgórze 187, baon 3 w tym samym czasie osiągnął wzgórze pośrednie, a następnego dnia właściwy cel natarcia.

11. Płk. Wilson dowodził jedną z lotnych kolumn wydzielonych przez grupę wsparcia 7 d. panc. w czasie walk o S. Rezegh. Na podstawie dokumentów które są do dyspozycji, oraz ogłoszonych opracowań, nie można stwierdzić, gdzie znajdowała się w tym czasie kolumna płk. Wilsona.

Natarcie rozwijało się w terenie otwartym i płaskim pod ciężkim ogniem broni maszynowej i artylerii. Mimo, że oddziały nacierające miały do przebycia w tych warunkach drogę, która wynosiła około dwa km. przebyły ją bez załamania i bez zatrzymania¹². Brawurowa szarża carrier'ów w końcowej fazie natarcia okazała się bardzo skuteczna. Na skrzydle północnym współdziałała brygada nowozelandzka przedłużając działania brygady karpackiej.

O świcie 17-go własne patrole rozpoznawcze stwierdziły, że nieprzyjaciel się wycofał. Wyслany do pościgu 2 baon o godz. 11.30 osiągnął szosę nadmorską na zachód od zatoki Gazala.

W bitwie tej brygada straciła 31 zabitych i zmarłych z ran, 108 rannych i 3 zaginionych.

Do niewoli wzięto 1667 Włochów (w tym 59 oficerów) i 26 Niemców (w tym 2 oficerów).

Zdobyto 7 dział polowych, 43 działa ppanc., 9 dział plot., 78 c.k.m., 38 moździerzy i wiele innego sprzętu wojennego.

W dalszych działaniach brygada na razie udziału brać nie miała. Od dcy korpusu, który w południe przybył do dowództwa brygady, otrzymała zadanie osłony lotniska przy zatoce Gazali.

Oskrzydlenie pozycji włoskich pod Gazalą nie udało się. 5 bryg. hinduska natrafiła w rejonie Alem Hamza na silny opór dyw. Trieste, a 7 na jej lewym skrzydle na Afrika Korps. Natarcia w dniach 13 i 14 nie powiodły się. Planowane na dzień 15 ogólne natarcie przy oskrzydlającym ruchu 4 bryg. czołgów zakończyło się katastrofalnie na Alem Hamza a fiaskiem dla brygady pancernej.

Samodzielna akcja SBSK. nie mogła zastąpić działania, które było rozłożone na cztery brygady piechoty, dwie brygady pancerne i grupę wsparcia. Nie mniej dca korpusu ocenił je jako operacyjnie ważne.

Te niepowodzenia umożliwiły Rommlowi zręczne i sprawne oderwanie się od nieprzyjaciela w nocy 16/17 grudnia.

Decyzję Rommla (słuszną) poprzedziły burzliwe narady w jego kwaterze głównej w dniach 15 i 16, na które przybyli z Rzymu marsz. Ugo Cavallero, szef sztabu głównego i marsz. Kesselring z Sycylii, oraz gen. Bastico ze swym szefem sztabu gen. Gambarą. Włosi obawiali się skutków politycznych utraty Cyrenajki. Ale rozkazy do odwrotu były już wydane — 21 korpus przez Tmimi na Derne, a 20 i Afrika Korps na Mechili.

12. Opis tego natarcia dał naoczny świadek, korespondent wojenny i autor wielu książek Alan Moorhead w swej „African Trilogy”.

Czołgi (45) i artyleria, które w dniu 19 zostały wyładowane w portach Benghazi i Tripoli, przybyły za późno. Dalsze 45 czołgów z tego samego konwoju zostało zatopionych 13 grudnia. Mimo poparcia Kesselringa, który pragnął utrzymać lotniska w rejonie Derna, Rommel pozostał nieugięty.

Jeszcze jedna próba odcięcia części sił Rommla na południe od Benghazi (24) nie powiodła się. Benghazi zostało zajęte 24 grudnia. Rommel nawet w odwrocie pozostawał groźny. W dwóch akcjach (28 i 30 grudnia) 22 bryg. panc. straciła 2/3 (przeszło 60) czołgów, co do reszty przekreśliło wszelkie szanse. 6 stycznia, korzystając z burzy piaskowej Rommel wycofał swe siły spod Agedabia do dogodniejszego dla siebie rejonu Mersa Brega.

Zajęcie Bardii

Tym, czym dla Rommla był Tobruk, tym dla gen. Auchinlecka była obecnie Bardia i Halfaya. Blokując szosę nadmorską i Trigh Capuzzo zmuszały konwoje z zaopatrzeniem do odbywania dalekiej drogi okrzędną szlakami pustynnymi. Chociaż port w Tobruku przyjmował już (pod koniec grudnia) około 600 ton ładunku dziennie, była to tylko część dziennego zapotrzebowania wojsk w Cyrenajce, które wynosiło około 1.400 ton. Odkorkowanie drogi nadmorskiej stawało się nagłą koniecznością.

16 grudnia 2 połudn. afrykańska dywizja (gen. I. P. de Villiers) jedną brygadą zaatakowała Bardię, lecz po dwu dniach dca dywizji nakazał przerwanie akcji, umocnienia i siła załogi przekraczały możliwości jednej brygady.

W ciągu dwu tygodni przygotowano nowe natarcie, tym razem całą dywizją połudn. afrykańską, dwoma pułkami artylerii, wśród których był również karpacki pułk artylerii (ppłk dypl. St. Gliwicz) skierowany pod Bardię w dniu 25 grudnia spod Gazali. 28 pułk zajął stanowiska ogniowe. 31-go rozpoczęło się natarcie na Bardię, które nie przyniosło decyzji. Dopiero w wyniku drugiego natarcia w nocy z 1/2 stycznia 1942 Bardia poddała się. W akcji tej pułk wystrzelił około 15.000 pocisków, wziął 102 jeńców, stracił 6 rannych. W działaniach brał udział cały pułk (cztery dywizjony, 28 dział).

W dniu 5 stycznia pułk wrócił pod Gazalę.

Dnia 12 stycznia poddały się oddziały w Sollum, a 17 w pozostałych punktach oporu na pograniczu.

W czasie dwumiesięcznych walk nieprzyjacieli stracił: 2.300 zabitych, 6.100 rannych i 29.000 zaginionych, około 340 samo-

lotów i 360 czołgów. Straty własne wyniosły: 2.900 zabitych, 7.300 rannych i 7.500 zaginionych, około 300 samolotów i 800 czołgów.

Na okupacji Cyrenajki

Od 18 grudnia do 8 stycznia 1942 brygada pozostawała w odwodzie korpusu nad morzem w rejonie zatoki Gazala. Tu odwiedzili ją dca armii gen. Ritchie (25. 12.) i dca W.P.S.W. gen. Zajac (21/22. 12.)¹³.

W dniu 1 stycznia brygada otrzymała nowe zadanie — okupacji Cyrenajki. Obejmowało ono sprawy bezpieczeństwa, osłony etapów, lotnisk, obrony przeciw desantom i pacyfikacji kraju. W dniach 5-8 stycznia brygada przeszła do nowych rejonów. Dowództwo brygady stanęło w m. Giovanni Berta, bataliony w Luigi Razza (1), Cirene (2) i Derna (3), inne oddziały w różnych miejscowościach.

Po ciężkich miesiącach w Tobruku i po przeżyciach Gazali był to pożądany okres odprężenia. Zarysowała się nawet możliwość wycofania brygady do Egiptu. 22 stycznia przybyli kwaterunkowi brygady Wolnych Francuzów, która miała złuzować Polaków. Tymczasem...

Popołudniu dnia 25 brygada otrzymała rozkaz przejścia śpiesznym marszem do fortu pustynnego Mechili (ok. 70 km. na południe od Giovanni Berta) i zorganizowania tam od dnia następnego obrony. Zastępujący nieobecnego gen. Kopańskiego, który został wezwany do Kairu, płk. Peszek przezornie już przedtem wydał rozkazy zebrania rozproszonych mniejszych oddziałów w zgrupowaniach baonowych. Problem zorganizowania przemarszu w tak krótkim terminie przy notorycznym braku samochodów, kierowców — połowa kompanii transportowej oddana była do obsługi oddziałów brytyjskich — nawet benzyny, nie był łatwy. Ale o świcie dnia następnego kompania 3 baonu (kpt. A. Raciński) i dyon art. były już w Mechili. Całość brygady ściągnęła w ciągu dnia¹⁴.

13. Rozkazem N. W. z dn. 27. 9. 1941 dcą W.P.S.W. został wyznaczony gen. dr Józef Zajac, który po przybyciu z W.B. dnia 1 grudnia objął swoje obowiązki.

14. Gen. Achinleck, który bawił w dow. 8 a. (w Tmimi) z ulgą pisze (26. 1.) do swego szefa sztabu gen. A. Smitha w Kairze, że bryg. polska jest już w drodze do Mechili i będzie tam dziś popołudniu „with luck”. Dca armii telefonicznie gratulował brygadzie sprawnego wykonania rozkazu.

Jasne perspektywy, jakie — w oczach Londynu — otwierały się w miarę postępów ofensywy w Libii, zostały nagle zamącone wydarzeniami na Dalekim Wschodzie. 7 grudnia Japończycy zaatakowali Syjam, Malaje i Hawaje (Pearl Harbour). Błyskawiczne sukcesy japońskie natychmiast odbiły się na położeniu na Śr. Wschodzie. Decyzje, jakie w sprawach wielkiej strategii zapadły (1. 1. 1942) w Londynie i Waszyngtonie przesunęły potrzeby Śr. Wschodu na trzecie miejsce. Uzupełnienia, jakie były przewidziane, lub już były w drodze na Śr. Wschód zostały skierowane tam, gdzie niebezpieczeństwo wydawało się najgroźniejsze. Rozpoczął się drenaż miejscowych zasobów na rzecz Malajów, Burmy, Cejlonu, Indii Holenderskich itd., przy równoczesnym rozszerzeniu odpowiedzialności Kairu za bezpieczeństwo Persji i Iraku (12. 1. 1942).

Wskutek osłabienia działalności lotnictwa brytyjskiego na morzu Śródziemnym poprawiły się dostawy dla wojsk „Osi” w Afryce. Gdy w listopadzie wyładowano tylko 30 tysięcy ton zaopatrzenia, przy stracie 62%, w kwietniu było 150 tysięcy ton i tylko 1% strat. Natomiast zaopatrzenie wojsk brytyjskich w Cyrenajce napotykało na różne trudności, co było dodatkowym powodem, że siły przesłaniające były nieliczne. W strefie przyfrontowej znajdowały się tylko — w dużym rozproszeniu — niekompletna 1 dyw. panc., 22 (przemianowana na 200) brygada gwardii i kilka drobniejszych jednostek. Mimo lekcji z roku poprzedniego „dyspozycje brytyjskie były tego rodzaju — stwierdza oficjalny historyk — że zapraszały do ataku”. Rommel nie był człowiekiem, który by nie skorzystał z zaproszenia, tym bardziej, że o wielu rzeczach dowiadywał się z przejmowanych depesz. Tak więc, gdy w dow. 8 armii obmyślano — pod naciskiem Londynu — plany nowej ofensywy na Trypolitanie („Acrobat”), Rommel, podniesiony na duchu posiłkami, które nareszcie otrzymał, w tajemnicy przed dowództwem włoskim 18 stycznia wydał rozkazy do rozpoczęcia działań w dniu 21 o godz. 8 rano.

Deszcze i burze piaskowe sprawiły, że pierwsze ruchy wojsk nie zostały zauważone. Podejrzewając jednak niebezpieczeństwo, gen. Godwin-Austen przeniósł kwaterę główną korpusu z Antelat do Msus, gdzie był główny ośrodek zaopatrzenia oraz skierował 7 bryg. hinduską pod Benghazi, gdzie miała kryć ewentualną ewakuację portu. 1 dyw. panc. otrzymała rozkaz zamknięcia dróg na Msus. W dowództwie armii nie przewidywano poważniejszych działań ze strony nieprzyjaciela.

W nocy z 22/23 pancerne dywizje niemieckie były już w poło-

wie drogi z Agedabia do Msus¹⁵. W starciu, które nastąpiło 23-go pierwsza dyw. panc. z posiadanych 150 czołgów straciła 70.

24 stycznia był pewien zastój w działaniach. Poprzedniego dnia przybyli do kwatery głównej Rommla z Włoch Cavallero i Kesselring z protestami. Spotkali się z odpowiedzią Rommla, że „pójdzie tak daleko jak się da i jak zapasy starczą”.

Dnia 24 gen. Godwin-Austen przedstawił dcy armii prawdziwy obraz sytuacji i prosił o upoważnienie do generalnego wycofania korpusu w kierunku Mechili i zorganizowania obrony na linii Gazali. Upoważnienie jakie otrzymał było dyskrecyjne, ale uwarunkowane — tylko gdy zaistnieje rzeczywista potrzeba. Lotnictwo już przeniosło się do Mechili.

25 Afrika Korps zepchnął 1 dywizję panc. w kierunku Charuba, zadając jej dalsze straty. Popołudniu dca korpusu zarządził wycofanie 4 dyw. hind. (spod Benghazi) i 1 dyw. panc. do Mechili. W nocy dca armii unieważnił ten rozkaz i z ominięciem dowództwa korpusu wydał tym dywizjom własne rozkazy. Nie uwzględniając sprzeciwu dcy korpusu wyjął spod jego rozkazów 4 dyw. hinduską i podporządkował ją bezpośrednio dowództwu armii. Następnego dnia dcy obu dywizji poparł stanowisko dcy korpusu — bez skutku.

Te nieporozumienia znane były Rommlowi z przejętych rozmów radiowych. Stosownie do tego wydał (26-go) nowe rozkazy. Jedna grupa została skierowana na Benina celem odcięcia Benghazi od północy, 20 korpus włoski i 90 dywizja na wysokość Soluch-Msus, a dywizje pancerne Afrika Korps miały tak manewrować, aby wywołać wrażenie, że następne główne uderzenie pójdzie na Mechili. Aby uprzedzić operacje 13 korpusu, które były przewidziane na 29-go — atak miał się rozpocząć 28-go. Manewr Rommla na Benghazi jest zrozumiały, nie mógł pozo-
stawić na swoich tyłach dość znacznych sił nieprzyjaciela.

26 i 27-go szalały burze piaskowe i obserwacja ruchów nieprzyjaciela była utrudniona — tylko ruch Afrika Korps na Mechili został zauważony przez dwa samoloty. Na tej podstawie wieczorem 27 dca armii nakazał 1 dyw. panc. uderzyć na tyły sił pancernych, ciągnących na Mechili, a 4 dyw. hinduskiej na oddziały idące na Benghazi. Według oceny dcy korpusu 1 dyw. panc. miała już tylko około 40 czołgów.

15. W tym dniu Panzergruppe została przemianowana na Panzerarmee Afrika. W skład jej weszły trzy korpusy włoskie. 10 (Bologna, Brescia), 20 (Ariete, Trieste) i 21 (Pavia, Trento i Sabratha — 60), razem około 25.000 żołnierzy, oraz D.A.K. (dywizje 15, 21 i 90), razem około 12.500 żołnierzy.

28-go w południe dca 4 dyw. hinduskiej meldował, że od południa zbliżają się duże kolumny do Benghazi, które powinno być natychmiast ewakuowane. Gen. Ritchie zgodził się na wycofanie 7 bryg. następnego dnia. Ale Niemcy już wieczorem o godz. 6 przecięli drogę na północ od Benghazi i przychwycili kolumnę hinduską na grobli. Dca brygady (bryg. H. R. Briggs) śmiałym manewrem zdołał wyprowadzić niemal całą brygadę i przedostać się do Mechili i El Adem (4 brygada hind. znajdowała się w tym czasie w Barce — ok. 70 km. na północny wschód od Benghazi bez środków przewozowych, które oddała siódmej).

Benghazi zostało zajęte 29-go o godz. 10-ej rano.

30 stycznia dca armii przyjął odrzucony przed sześcioma dniami plan dcy korpusu. Korpus ma się wycofać i 4 lutego obsadzić linię Gazali.

2 lutego Rommel, po rozważeniu położenia i braków w zaopatrzeniu oraz przekonany, że ataku brytyjskiego nie należy się spodziewać przez co najmniej 6-8 tygodni, przyjął — częściowo — dyrektywy Mussoliniego i Bastico i postanowił nie forsować na razie dalszej ofensywy. Niewielkie oddziały zmotoryzowane miały dozorować front, Afrika Korps i 90 dyw. lek. miały pozostawać w pogotowiu w rejonie Dżebel, trzy dywizje włoskie w rejonie Benghazi, a cztery między Antelat i Mersa Brega.

Tego samego dnia gen. Godwin-Austen prosił o zwolnienie go ze stanowiska dcy korpusu. Jego następcą został (6. 2.) gen. W. H. E. Gott b. dca 7 dyw. pancernej¹⁶.

4 lutego dcy armii, lotnictwa i marynarki na Śr. Wschodzie uzgodnili plany na najbliższą przyszłość, które 7 lutego gen. Auchinleck przesłał do Londynu. Linia Gazala-Bir Hacheim ma być trzymana, w razie dalszego odwrotu Tobruk nie będzie broniony, następną linią oporu będzie pogranicze Egiptu¹⁷.

Tymczasem brygada karpacka gotowała się w Mechili do zdecydowanej obrony. W myśl rozkazu dowództwa korpusu wycofujące się przez Mechili oddziały artylerii brytyjskiej i połudn. afrykańskiej zostały podporządkowane dcy brygady tak, że dca karpackiego pułku artylerii (ppłk. dypl. St. Gliwicz) miał w końcu pod swymi rozkazami 146 dział różnego rodzaju.

Dnia 28- powrócił z Kairu gen. Kopański, a dnia następnego przybyła brygada Wolnych Francuzów pod dow. gen. E. de Lar-

16. Zginął 7 sierpnia jako desygnowany dca 8 a., zestrzelony przez niemiecki samolot.

17. Ta decyzja wywołała różnice poglądów i długą dyskusję między Londynem a Kairem, która zakończyła się odwołaniem gen. A. Dowództwo armii na Śr. W. objął 12 sierpnia gen. H. Aleksander.

minat. W atmosferze denerwującej niepewności i alarmujących a sprzecznych wiadomości — pewne były tylko te, które przynosiły własne dalekie podjazdy — brygada spędziła na tym ostatnim zorganizowanym szanču osłaniającym odwrót 8 armii, osiem dni.

Dnia 2 lutego obie brygady otrzymały rozkaz wycofania się w kierunku wschodnim. Następnego dnia o godz 10 brygada ugrupowana w pięciu kolumnach i czterech członach, z których każdy był zdolny do samodzielnej walki rozpoczęła marsz traktem pustynnym Mechili-Tmimi. Długość kolumn, które posuwały się na równej wysokości wynosiła w marszu 10 kilometrów. Składy zaopatrzenia i amunicji w Mechili zostały zniszczone. Popołudniu w czasie postoju w rejonie Bir Halegh el Eleba nadszedł drogą radiową rozkaz 13 korpusu zmieniający poprzednie dyspozycje. Brygada zamiast do Acroma pod dowództwo 4 dyw. hinduskiej została skierowana do Ain-el Gazala.

I znowu Gazala

Po nocnym marszu, o świcie dnia 4 lutego, brygada stanęła na tych samych pozycjach, które zdobywała w grudniu i wraz z 1 brygadą francuską przeszła pod dowództwo 1 dyw. połudn. afrykańskiej (gen. G. L. Brink¹⁸).

Wobec zagrożenia ze strony nieprzyjaciela, którego podjazdy zbliżyły się na odległość kilku kilometrów, mimo burzy piaskowej rozpoczęto natychmiast przygotowania do obrony. Fałda terenowa biegnąca ze wschodu na zachód przez środek sześciokilometrowego odcinka przydzielonego brygadzie, posłużyła dcy brygady do zastosowania oryginalnego rozwiązania: baony zostały ugrupowane jeden za drugim wzdłuż szkarpy Gr. er Regem-Carmuset er Regem, a więc prostopadle do frontu, tworząc zamknięte ośrodki oporu z artylerią po obu jej stronach i silnymi punktami oporu, zamykającymi przerwy między ugrupowaniem własnym i sąsiadów — baonem Royal Natal Carbineers z 1 bryg. połudn. afrykańskiej (bryg. D. Pienaar) od północy i 2 baonem legii cudzoziemskiej z 1 brygady Wolnych Francuzów (gen. E. de Larminat) od południa¹⁹. Wysunięta na odległość około 3 km.

18. Gen. Brink odszedł do szpitala, a następnie powrócił do Poł. Afryki. Dowództwo dyw. objął 10 marca gen. D. H. Pienaar (zginął w grudniu 1942 w katastrofie samolotowej).

19. W połowie lutego brygada francuska została zluzowana przez 150 brygadę z 50 dyw. p. (Tyne and Tees — gen. W. H. Ramsden), która przybyła z Cypru, i przeszła do Bir Hacheim, gdzie wkrótce miała się wstawić dzielną obronę tej pozycji.

od prawoskrzydłowego baonu (2) czata strzegła przed zaskoczeniem. Dowództwo brygady umieściło się u wejścia do wąwozu Embarech.

Od 13 lutego rozpoczęło się dalekie patrolowanie przedpola przez własne silne podjazdy motorowe. Zadaniem podjazdów było niszczyć lub odrzucać oddziały rozpoznawcze nieprzyjaciela w pasie działania brygady. Była to służba niebezpieczna i pociągała za sobą znaczne straty nie tylko z powodu starć z podjazdami nieprzyjaciela, lecz również od rozsianych po przedpolu min. Codzienne naloty, zwykle dwukrotne, i bombardowania pozycji brygady powodowały dalsze straty. W ciągu pierwszego tygodnia, bez bitwy, brygada straciła 10 zabitych i 45 rannych.

W następnych tygodniach sytuacja zaczęła się szybko pogarszać. Po ośmiu miesiącach pobytu na pustyni w ciężkich warunkach polowych i nieodpowiedniego wyżywienia żołnierze zaczęli tracić odporność fizyczną na choroby. Szkorbut, zmiany sercowe, sprawy płucne, reumatyzmy, choroby nerwowe, powodowały gwałtowne wykruszanie się stanów, których nadchodzące skromne uzupełnienia nie mogły wyrównać. Od 25 stycznia, tj. od dnia opuszczenia Cyrenajki, do 6 lutego odeszło do szpitali 22 oficerów i 179 szeregowych. Dodatkowe straty powstawały od nieprzyjacielskiego lotnictwa, które rozwinęło dużą aktywność również, poza linią frontu przy dość słabym początkowo przeciwdziałaniu własnego. Nawet pojedyncze samochody na drogach były atakowane. W ten sposób w dniu 21 lutego zginęło sześciu żołnierzy a dziesięciu było rannych w czasie jazdy do kąpieli. W tym stanie rzeczy dca brygady czynił wszelkie możliwe starania, aby brygadę wyciągnąć z frontu. 31 stycznia gen. Sikorski poruszył sprawę przeniesienia brygady do Egiptu w rozmowie z Churchilllem. Upłynęło jednak jeszcze sześć pełnych tygodni zanim do tego doszło.

Zgodnie z zapowiedzią dcy 8 armii, który wraz z dcą korpusu odwiedził brygadę w dniu 3 marca, gen. Kopański otrzymał 13 marca wiadomość, że brygada w najbliższych dniach będzie złuzowana i odejdzie do Egiptu. Zadowolenie z tej wiadomości zostało przyćmione stratami — ostatnimi w kampanii libijskiej — jakie brygada w tym dniu poniosła. Dla odwrócenia uwagi lotnictwa nieprzyjacielskiego od konwoju, który w dniu 20 marca miał wyruszyć z Aleksandrii na Maltę, oddziały frontowe 8 armii (50 dyw. piech., 1 połudn. afrykańska dyw., brygada polska i brygada francuska) miały wykonać dalekie wypadły. W czasie rozpoznawania terenu działania oddziału wydzielonego (z 3 baonu) w rejonie Bir Temrad, wylecieli na minie — dca 3 baonu (mjr.

K. Fanslau), dca oddziału wydzielonego (kpt. A. Raciński) i dca plutonu carrierów (ppor. Z. Mrugalski). Wypad został odroczone i nie został już wykonany. W ciągu ostatniego tygodnia swego pobytu pod Gazalą brygada straciła 3 zabitych i 11 rannych.

W dniach 15 do 17 marca brygada przekazała swój odcinek 2 bryg. połudn. afrykańskiej (bryg. W. H. E. Poole), która w dniu 17 o godz 10-ej przedpołudniem przejęła odpowiedzialność za jego obronę.

Nocą 17 brygada opuściła rejon koncentracji i w nocy 17/18 osiągnęła rejon El Adem-Sidi Rezegh. O świcie 18-go przed wyruszeniem w dalszą drogę brygada pożegnała swych poległych na cmentarzu tobruckim nabożeństwem, które odprawił kapelan ks. J. Joniec i honorami wojskowymi.

Dnia 19 w Capuzzo brygada wyszła spod rozkazów 13 korpusu i drogą kołową i koleją przeszła do obozu przejściowego w El Amiriya, gdzie stanęła w niedzielę 22 marca.

Powrót do Palestyny

Podczas krótkiego postoju w Egipcie, gdy wojsko zażywało zasłużonego odpoczynku i odprężenia po dziesięciu miesiącach pobytu na pustyni, sztab brygady i dowódcy oddziałów czynili ostatnie przygotowania do organizacji dywizji, w którą brygada po przybyciu oddziałów polskich z Rosji miała się rozwinąć²⁰.

20. W rozwinięciu umowy polsko-rosyjskiej z 30 lipca 1941 podpisana została w Moskwie w dniu 14 sierpnia umowa w sprawie tworzenia na terenie ZSSR polskich sił zbrojnych. W czasie rozmów gen. Sikorskiego ze Stalinem w Moskwie (3-4 grudnia 1941) ustalono, że składać się one będą z sześciu dywizji piechoty po 11 tysięcy i 30 tysięcy wojsk pozadywizyjnych — razem 96 tysięcy, oraz uzgodniono, że ponadto 25 tysięcy żołnierzy odczeka na Śr. Wschód i do W. Brytanii. Gen. Sikorski przewidywał, że z tej liczby 10 tysięcy otrzyma brygada karpacka, co umożliwi rozwinięcie jej w dywizję. Wykonanie tego układu opóźniło się, ponieważ Sowiety zastosowały interpretację, że może to nastąpić dopiero po osiągnięciu stanu 96 tysięcy. W marcu 1942 Sowiety ograniczyły tę cyfrę do 44.000, podczas gdy stan rzeczywisty wynosił już ponad 75 tysięcy.

W dzień po przybyciu brygady do El Amiriya wyruszył z ZSSR pierwszy transport żołnierzy polskich i w dniu 25 marca przybył do Pahlawi w Persji. Liczył 1.387 osób, w tym 53 oficerów, 1.309 szeregowych i stanowił pierwszy eszelon wojska, które miało wzmocnić jednostki polskie w W. Brytanii i na Śr. Wschodzie. Do 5 kwietnia przybyło 43.858 osób, w tym 1.603 oficerów i 28.427 szeregowych. Z tej liczby wysłano następnie do Palestyny 29.096 osób, w tym 1.297 oficerów i 25.404 szeregowych (Raport dcy bazy ewakuacyjnej w Teheranie z 30 czerwca 1942 — A.P.2 teka Nr 3036, tom III, 00081).

W dniu 19 kwietnia otwarta została w El Amiriya pierwsza na Śr. Wschodzie polska szkoła podchorążych rezerwy, zorganizowana przez Centrum Wyszkożenia Broni i Służb, w jakie z dniem 1 marca 1942 przemianowana została Legia Oficerska. Szkoła posiadała kursy podchorążych piechoty, kawalerii, saperów, łączności i służby zdrowia. Kadry instruktorskiej dostarczyła niemal w całości brygada karpacka. Również uczniowie — z nieznacznymi wyjątkami — pochodzili z brygady²¹.

W dniach od 29 kwietnia do 1 maja brygada (226 oficerów, 2.735 szeregowych, 648 pojazdów mechanicznych, 21 dział, 12 dział ppanc. i 32 carryery) przeszła transportami kolejowymi i samochodowymi do rejonu Qastina w Palestynie, gdzie w dniu święta narodowego 3 maja 1942 odbyło się uroczyste połączenie z oddziałami przybyłymi z Rosji. Dzień ten jest jednocześnie dniem powstania 3 dywizji strzelców karpackich, która przejęła sztandar, tradycję i styl samodzielnej brygady strzelców karpackich, utrzymała je i wzbogaciła.

Charakterystyka brygady karpackiej

Próżno jest szukać w historii wojska polskiego formacji takiej, jaką była samodzielna brygada strzelców karpackich. Może pod niektórymi względami przypomina pierwszą brygadę legionów z pierwszej wojny światowej. Jako formacja nie miała żadnej tradycji przedwojennej, tradycję tę stworzyła sama, sama też zdołała ukształtować własny, odmienny od przedwojennego, typ żołnierza, o wyraźnym poczuciu dumy narodowej i brygadowej i odpornego na wpływy zewnętrzne. Żołnierza brygady cechowało wielkie poczucie obowiązku, gotowość do poświęceń, koleżeństwo, przedsiębiorczość, junacka fantazja, niechęć do dyscypliny formalnej i zrozumienie dla dyscypliny wewnętrznej. Truizm, że „każdy żołnierz-ambasadorem Polski” nie miał wydzwiku sloganu, żołnierz brygady czuł się nim naprawdę i rozumiał, że po jego zachowaniu sędzić będą jego naród i kraj. Dlatego też wobec ludności cywilnej zachowywał się po ludzku i przyjaźnie. Z wielu nacji alianckich tylko polska zyskała na Środkowym Wschodzie przydomek „Boloni dobra”.

Brygada miała w swych szeregach poetów, pisarzy, malarzy, muzyków, artystów scenicznych i naukowców o znanych w Polsce nazwiskach, mogła więc stworzyć — i stworzyła — własną litera-

21. W połowie maja szkoła została przeniesiona do Beit Jirja w południowej Palestynie i w sierpniu zakończona. Ukończyło szkołę 455 podchorążych.

ture o charakterystycznych motywach i nastrojach wschodnich i pustynnych, teatr i wartościową, nie subwencjonowaną, prasę żołnierską. W granicach swych możliwości propagowała kulturę polską w takich dziedzinach, jak muzyka i pieśń polska, oraz sport. Brygadowa jedenastka piłkarska miała opinię najlepszej w Egipcie i przysporzyła barwom polskim niemało sympatii i chwały.

Terytorialnie brygada reprezentowała całą Polskę, przy czym największy procent ochotników (około 50%) dały województwa południowe.

Rozpiętość wieku żołnierza była ogromna, jednak najliczniejsze były roczniki 1910-1922 (prawie 75%). Narodowościowo i wyznaniowo brygada była oddziałem jednolitym. Prawie 30% żołnierzy posiadało wykształcenie średnie lub wyższe a ponad 50% ukończoną siedmioklasową szkołę powszechną. Było tylko 11 analfabetów. Niemal wszystkie główne zawody były reprezentowane, ale ilość rolników nie przekraczała 10%. Różnice społeczne nie stanowiły żadnego zagadnienia, zacierało je wielkie poczucie koleżeństwa. Nie było również żadnych tarć ani sporów politycznych mimo, że osobiste poglądy polityczne były oczywiście różne.

Brygada, reprezentując naród, który nie złożył broni, była jednocześnie jedynym walczącym na lądzie oddziałem wojska polskiego. Walcząc zaś ze szczęściem i zwycięsko zdobyła szacunek i uznanie dla swych dowódców za sprawne i umiejętne dowodzenie oraz za bitność i dzielność dla swego żołnierza.

Świadectwem jej trudów bojowych są groby na cmentarzach pustynnych, rany odniesione przez jej żołnierzy i zdobyte odznaczenia bojowe. W ciągu dwu lat swego istnienia brygada straciła ponad dwustu zabitych i zmarłych, z których 132 spoczywa na cmentarzu tobruckim a 14 na dnie Morza Śródziemnego²². Prawie 500 żołnierzy odniosło rany na polu walki. Brygada zdobyła 34 krzyży *Virtuti Militari*, 783 Krzyży Walecznych, 25 odznaczeń brytyjskich i 19 czechosłowackich.

Dnia 12 stycznia 1942 r. Rada Ministrów powzięła następującą uchwałę:

„Rada Ministrów wyraża gorące podziękowanie gen. Kopańskiemu i dowodzonym przez niego żołnierzom za ich

22. Dalszych kilkudziesięciu żołnierzy brygady zginęło lub zmarło z różnych przyczyn po przejściu do 3 dywizji strzelców karpaccich a przed rozpoczęciem kampanii we Włoszech, w której poległo 84 oficerów i podchorążych i 201 szeregowych. Ponadto w lotnictwie zginęło 5 oficerów i 30 szeregowych.

wierną i ofiarną służbę, jakiej dali dowody broniąc bohatersko Tobruku i biorąc udział w chwalebnej bitwie pod Gazelą, gdzie okryli chwałą sztandary polskie”.

Mieczysław MŁOTEK

BIBLIOGRAFIA

- Archiwum Instytutu im. gen. W. Sikorskiego*, Londyn, Akta SBSK. Teki A. VIII. 1-182 (*Archiwum Sił Zbrojnych*); A.P.1. — Teki 2945, 2946, 3037, 3460, 3631, 4117/II.; A.P.2. 3036.
- Intelligence Summary* 7. 9. 1941 - 16. 3. 1942 (Army Form C 2118).
- Bellona* 1942, zeszyt 6. Z dziennika działań SBSK.
- Bielatowicz Jan, *3 batalion strzelców karpaccich*, Londyn, 1949.
- Samodzielna brygada strzelców karpaccich*. W dziesięciolecie jej powstania. Londyn, 1951.
- Gliwicz Stanisław, płk. dypl., *Wojskowy Instytut Historyczny* (Warszawa), 2/1957 (*Tobruk*), 2/1958 (*Gazala*), 4/1961 (*Zdobycie Bardii*), 1/1963 (*Mechili-Gazala II.*).
- Kopański Stanisław, *Wspomnienia wojenne*, „Veritas”, Londyn, 1961.
- Ułani karpaccy*. Zarys historii pułku w red. Jana Bielatowicza, „Gryf”, Londyn, 1966.
- History of the Second World War*, Grand Strategy, Vol. II, Sept. 1939 - June 1941, H.M.S.O., London, 1957; Vol. III. June 1941 - August 1942, London, 1964.
- History of the Second World War*, The Mediterranean and Middle East, Vol. I, H.M.S.O., London, 1954, Vol. II, London 1956, Vol. III, London, 1960.
- History of the Second World War*, The War at Sea 1939-1945, Vol. I, H.M.S.O., London, 1954.
- Churchill Winston, *The Second World War*, Vol. III, Cassell, London, 1950.
- Agar J. A. I. - Hamilton, *Union War Histories, The Sidi Rezegh Battles 1941*, Cape Town, London, 1957.
- The 8 Army*, September 1951 - January 1943, H.M.S.O., London.
- Tuker Francis, *Approach to Battle*, a Commentary, Eight Army November 1941 to May 1943, Cassell, London, 1963.
- Wilmot Chester, *Tobruk 1941*, Capture-Siege-Relief, Angus & Robertson, London 1944.
- Heckstall-Smith Anthony, *Tobruk Story of the Siege*, Blond, London, 1959.
- Carver Michael, *Tobruk*, Batsford, London, 1964.
- Ind Allison, *A History of Modern Espionage*, Hodder & Stoughton, London, 1965.
- Kennedy John, *The Business of War*, Hutchinson, London, 1957.
- Guingand de Francis, *Generals at War*, Hodder & Stoughton, London, 1964.
- Connell John, *Wavell, Scholar and Soldier to June 1941*, Collins, London, 1964.
- Connel John, *Auchinleck, A Biography of F. M. Sir Claude Eyre Auchinleck*, Cassell, London, 1959.

- Singleton-Gates Peter, *General Lord Freyberg V.C., An Unofficial Biography*, Michael Joseph, London, 1963.
- Maule Henry, *Spearhead General* (Sir Frank Messervy), Odhams, London, 1961.
- Fergusson Bernard, *The Black Watch and the King's Enemys*, Collins, London, 1950.
- Verney G. L., *The Desert Rats*, The History of the 7 Armoured Division 1938-1945, Hutchinson, London, 1954.
- Elliot J. A., *A Roll of Honour, The Story of the Indian Army 1939-1945*, Cassell, London, 1965.
- Hitler's War Directives 1939-1945*, Edited by Trevor-Roper H. R., Sidgwick & Jackson, London, 1964.
- The Rommel Papers*, Edited by B. H. Liddell Hart, Collins, London, 1953.
- Young Desmond, *Rommel*, Collins, London, 1950.
- Wheeler-Bennett J. W., *The Nemesis of Power — the German Army in Politics 1918-1945*, Macmillan, London, 1963.
- Ciano's Diary, 1939-1943*. Edited by Malcolm Muggeridge, Heinemann, London, 1947.

WSPOMNIENIA

17 WRZEŚNIA 1939 R.
W SZTABIE NACZELNEGO WODZA

Kartki z dziennika wojennego

15 września — Kołomyja.

1. — *Przedmoście rumuńskie*

Przerwanie się nieprzyjaciela z Gródka na Lwów i posuwanie się jego na Sokal, bombardowanie linii kolejowych, niemożność nawiązania łączności z gen. Sosnkowskim, brak pewności czy dotarły do niego rozkazy wysłane z Włodzimierza i Młynowa, niepokoiły Naczelne Dowództwo i napawały troską, czy zdąży zorganizować i obsadzić przedmoście rumuńskie.

Szpecially groźną wydawała się sytuacja pod Lwowem i ewentualne uwięzienie sił, które miały spłynąć na przedmoście. Jednostki nieprzyjaciela posuwające się na Sokal uważano raczej jako rozpoznawczo-osłonowe.

Pierwszą czynnością sztabu Naczelnego Wodza, po przybyciu do Kołomyi, było więc ubezpieczenie przedmościa.

Zarys pozycji. Koncepcja 1-sza, zdecydowana we Włodzimierzu 13 września.

Oparcie prawego skrzydła na Dniestrze o granicę rumuńską w rejonie m. Horodnica — rz. Dniestr poprzez Nizniów, Halicz i Żydaczów, skąd przejście na rz. Stryj do m. Synowódzko, oparcie lewego skrzydła na Karpatach.

Koncepcja 2-ga (tzw. przedmoście zmniejszone), rozważane 14. 9. w Młynowie, polegało na skróceniu lewego skrzydła:

— rz. Dniestr do m. Halicz bez zmian, następnie lizjera zach. Czarnego Lasu — m. Perehińsko — oparcie lew. skrzydła o Gorgany.

Przyjęcie 1-szej względnie 2-giej koncepcji, uzależniano od rozpoznania warunków terenowych i ogólnego położenia. W Mły-

nowie przychyłano się raczej, przynajmniej prowizorycznie, do 2-giej koncepcji.

Na przedpolu przewidywano, zależnie od nacisku nieprzyjaciela i spływania wojsk, możliwie długą osłonę rejonów:

— na północy: masyw górski Gołogóry, łącznie z bramą Złoczów,

masyw leśny Bóbrka,

— na zachodzie: rejon Drohobycz — Borysław.

Z Włodzimierza skierowano do Stanisławowa gen. Dąbkowskiego z ekipą fort., celem rozpoznania pozycji i rozpoczęcia prac.

W Kołomyi przystąpiono do organizacji przedmościa.

Bezpośrednio uchwytłą siłą, którą mogło rozporządzać Nacz. Dowództwo dla zabezpieczenia przedmościa, była grupa gen. Dembińskiego w składzie 6 baonów bez artylerii, w rejonie Stryja, w następującej dyslokacji:

Stryj — 2 baony

Drohobycz — 1 baon

Synowódzko Wyżne — 1 baon

Bereźnica — 2 baony.

Grupa ta stanowiła ubezpieczenie płnc.-zach. odcinka.

Ponadto w Niżniowie znajdował się 1 baon.

Organizacja Dowództwa przedmościa.

Dca całości: początkowo gen. Paszkiewicz, m.p. Stanisławów, następnie gen. Fabrycy, m.p. Kołomyja;

Dcy odcinków: płnc.-zach, gen. Dembiński;

na Dniestrze, gen. Kamski;

Kwatermistrz: płk. dypl. Rudka.

Gen. Paszkiewicz otrzymał rozkaz natychmiastowego stworzenia „korków” na tych dwóch odcinkach.

Płk. Rudka otrzymał pełnomocnictwo dla ściągania oddziałów, żywności, amunicji, materiałów pędnych z rejonu na płnc Dniestru (DOK VI). Praca jego została zorganizowana według następujących wytycznych:

a) Do wszystkich garnizonów wojsk, znajdujących się na płnc Dniestru, należy wysłać rozkaz (tel. lub przez of.) odsyłania niezwłocznie wszystkich oddziałów, żywności i td., na przejścia na Dniestrze, między Haliczem a Uściczkiem, skąd będą kierowane:

— oddziały zdolne do natychmiastowej walki, do rejonów Tłumacz - Horodenka, gdzie przechodzą pod rozkazy gen. Paszkiewicza. Niektóre z tych oddziałów będą odsyłane głębiej, do odwołu Dcy Armii, w rejon Kołomyi. Wykaz przechodzących oddziałów, przedstawia płk. Rudka do Kwatery Głównej Nacz. Wodza,

— oddziały nieuzbrojone, należy uporządkować prowizorycznie i odsyłać do rejonu Zabłotów.

b) Żywność i amunicję rozdzielić między zasadnicze 3 ośrodki: Stanisławów, Horodenka, Kołomyja.

Kierownictwo tych składów, jak również zaopatrzenia wojsk, znajdujących się w rejonie Dniestr - Kałusz, obejmuje płk. Rudka. Tyczy się to również Wlk. Jedn. gen. Sosnkowskiego, które będą spływały do wymienionego rejonu.

c) Płk. Rudka podlega, aż do dalszych rozkazów, bezpośrednio Szefowi Sztabu Nacz. Wodza, współpracuje ściśle z gen. Paszkiewiczem i gen. Fabrycem.

d) Obsada granicy (KOP) pozostaje na miejscu.

M.P.: Stanisławów.

2. — Rozkazy dla lotnictwa

a) poszukiwanie własnych wojsk:

gen. Piskora w rejonach: Lublin - Parczew - Zamość - Krasnostaw,

gen. Sosnkowskiego: na zachód Lwowa,

gen. Kutrzeby: na przedpolu Wisły,

b) wojsk npla: na płnc od linii: Gródek - Lwów, szukać jednostek panc., które mogłyby pójść na odcięcie gen. Piskora. Te wojska stanowią główne zadanie dla bombardowania.

3. — Łączność zasadnicza

juzowa: Stanisławów - Stryj - Lwów - na Dubno,

radiowa: Brześć - Pińsk - Warszawa.

16 września — ważniejsze wydarzenia.

a) Popołudniu przybył do Sztabu Marszałek i wydał w mojej obecności instrukcje mjr. Galinatowi. Nie była to, w wojskowym tego słowa znaczeniu odprawa, gdyż nikt z obecnych (4-5 of.), prócz może mjr. Galinata nie został na nią wezwany. Nieobecny był Szef Sztabu gen. Stachiewicz.

Instrukcje dla Galinata były ogólne i niezupełnie dla mnie jasne. Przypuszczam dlatego, że nie znałem przewidywań Marszałka, ponadto sądzę, że Galinat, do tej włożonej na niego misji w dn. 16. 9., był już uprzednio przygotowany.

Treść instrukcji była mniej więcej następująca:

Za kilka dni spłyną wojska na przedmoście. Wnętrze kraju

opustoszeje wojennie. Wróci pan do tego wnętrza, przystąpi do organizowania P.O.W. w moim imieniu i stanie na jej czele. Organizację oprócz przede wszystkim na młodzieży. Zależnie od możliwości i sprzyjających okoliczności działać na tyłach niemieckich.

Szczególnie silnie było podkreślone słowo „wnętrze”, lecz nie obejmowało ono ani Warszawy, ani żadnych kontaktów z mogącymi jeszcze istnieć ośrodkami oporu wojennego.

W moim zrozumieniu była to misja na dalszą metę, misja przyszłości, która rozpocznie swą działalność czynną wtedy, gdy kraj zostanie całkowicie przez Niemców opanowany. Miał to być jak gdyby zarodek przyszłej organizacji podziemnej.

Po tej „odprawie” rozmawiałem na jej temat z gen. Malinowskim. Co mnie szczególnie uderzyło, to powierzenie tak poważnego zadania ideowemu, zdolnemu i energicznemu oficerowi, lecz którego wiek i powaga nazwiska nie odpowiadały jego doniosłości. Jakkolwiek Marszałek nie mianował mjr. Galinata swoim przedstawicielem czy zastępcą na kraj, niemniej w sensie jego wypowiedzenia, element ten był silnie podkreślony.

Podobno w dniu 17. 9., gdy sytuacja się zmieniła na skutek wkroczenia Sowieców, odbyła się druga odprawa z Galinatem, lecz w niej udziału nie brałem. Mogła mieć miejsce tylko przedpołudniem.

b) Późnym południem przybyli z objazdu przedmościa gen. Dąbkowski i jego zca ppłk. Wańkowicz. Odbyłem z nimi konferencję na temat terenowych przygotowań obronnych. Niestrudzenie energiczny, zadziwiająco młody, mimo swego wieku, zdolny entuzjastycznie podporządkować się rozkazom kapitana, jeżeli dostrzeże w nim błysk twórczej myśli operacyjnej, gen. Dąbkowski był optymistycznie nastrojony. Zarządził pobór ludności cywilnej do prac fort. Przewidywał, że jeśli będzie miał do dyspozycji 8-10 dni, przedmoście zostanie, jako tako, obronnie przygotowane.

c) Wieczorem odbyłem rozmowę luzową z ppłk. dypl. Leopoldem Goeblem ze Stryja. Położenie poprawiło się znacznie. Meldunek Goebela tchnął optymizmem na skutek, jak się wyraził, „zwycięskich działań gen. Sosnkowskiego pod Lwowem”.

Do późnej nocy pracowałem nad zestawieniem ilości sił, które mogą spłynąć na przedmoście.

Armia gen. Szylinga: ostatnie wiadomości umiejscawiały ją w lasach biłgorajskich, z tym że npl przerwał się przez San.

Armia gen. Piskora: nastawiana na kierunki: Zamość - Sokal.

Przewidywałem, że armie te się połączą i spływać będą razem na zachód Lwowa, na Przemyślanę.

Liczyłem, że z tych dwóch armii będzie można wyciągnąć wartość: 3-4 DP i 2 BK.

Armia gen. Sosnkowskiego: spływa bezpośrednio na półdzie, w przewidywaniu obsadzenia pozycji od rz. Dniestr w rejonie Halicza - Karpaty (instrukcje przesłane z Młynowa 13. 9.). Wartość 2 DP (z 24. 11. i 38. DP), Bgda Moto, ponadto to, co pozostanie z Bgd Górskich.

Grupa Oper. „Narew”: skierowana poprzednimi rozkazami na Brześć, nie miała żadnych szans dotarcia na przedmoście. Mogła wzmocnić obronę Polesia, odsyłając na Pokucie kawalerię.

Zgrupowanie „Grodno”: w transportach kol. znajdowały się następujące jednostki:

35. DP, 3. pułk KOP, 7 baonów marszowych.

Artyleria ciężka: 2 dyony 220 m/m (3-ci pozostał w Warszawie), 1 dyon 120 m/m (mobilizowany w Stryju).

Czołgi: Baon czołgów 35-R, którego dca mjr. Łucki otrzymał oświadczenie ode mnie rozkaz, w czasie przejazdu z Młynowa, skierowania się na przedmoście.

Uwaga: mjr Łucki miał z tego powodu poważne zarzuty ze strony „Regine’y”. Wydałem mu potwierdzenie mego rozkazu.

Ośrodki zapasowe: wszystkie ośrodki zapasowe z Wołynia i Małopolski.

Razem obliczyłem wartość ok. 8 Dyw. Piech., 3 dyony art. ciężkiej, Baon czołgów R-35, nie wliczając grupy gen. Dembińskiego, oraz ośrodków zapasowych, które mogły stanąć do dyspozycji w okresie późniejszym.

Pozostawało zagadnienie amunicji, materiałów pędnych, żywienia, które mogło być oparte jedynie o Rumunię.

Wyciągnąłem wniosek, że mimo groźnej sytuacji, Nacz. Wódz potrafi opanować położenie i stawia zdecydowany opór na przedmościu do czasu ujawnienia skutków ofensywy Gamelin’a.

17 września

Ok. godz. 6-7 zbudził mnie płk. dypl. Kopański, szef III Oddz. Oper., meldując o wkroczeniu Sowietów. Początkowo, przejęty obawą dnia poprzedniego, aby jedna z dyw. panc. niemieckich nie przedarła się na Tarnopol, przecinając drogi, mającym spływać na przedmoście oddziałom, byłem przekonany, że płk. Kopański melduje o przedarciu się tej dywizji. Po usunięciu

nieporozumienia, udałem się z gen. Malinowskim (dzieliłem z nim kwaterę), do Szefa Sztabu.

Przybył tam wkrótce biskup Gawlina z obandażowaną głową, ranny w czasie bombardowania. Od nas otrzymał złowrogą wiadomość.

Zaczęły napływać meldunki. Bolszewicy przekroczyli granicę wojskami panc. i motorowymi. Czołgi jadą otwarte z białymi chorągwiami. Bolszewicy twierdzą, że przychodzą nam z pomocą.

Wojsko jest zdeorientowane. Poszczególne oddziały K.O.P. działają zależnie od indywidualności dców. Jedne stawiają zacięty opór, inne przepuszczają wojska bolszewickie, które wymijają je i jadą dalej.

Przedpołudniem przybyli do Sztabu szefowie misji; francuski gen. Faury i angielski gen. Carton de Wiart. Pod nieobecność Szefa Sztabu, który udał się do Marszałka, dotrzymywałem im towarzystwa, przyjmując równocześnie telefony i przekazując rozkazy.

Z licznych telefonów, dwa zasługują na uwagę:

1-szy, od mjr. Gurbskiego (of. Oddz. II). Meldował, że bolszewicy podchodzą pod Dniestr. Zapytywałem, czy może dać rozkaz wysadzenia mostu pod Uściczkiem.

Poleciłem mu czekać na decyzję. Połączyłem się z gen. Stachiewiczem, który miał mi za chwilę przekazać decyzję Marszałka. Trwało to dosyć długo.

Nim otrzymałem tę decyzję, mjr Gurbski zatelefonował po raz drugi — bolszewicy przeszli przez most.

Za chwilę telefonuje gen. Stachiewicz, przekazując decyzję Marszałka wysadzenia mostu. Za późno — odpowiedziałem.

Nawiasowo podkreślam, że w czasie mej pracy, gen. Carton de Wiart spokojnie czekał na powrót Szefa sztabu. Nie zadawał żadnych pytań. Gen Faury żywo interesował się wszystkimi meldunkami i wyrażał swoją opinię.

Stacja telefoniczna znajdowała się w sąsiednim pokoju. Gdy wróciłem do generałów i odmierzałem odległość Uściczka do Kołomyi, gen. Faury zapytał o treść ostatniego meldunku. Następnie oświadczył, „należy przyspieszyć decyzję przejścia do Rumunii”.

2-gi, Kpt. dypl. Chocianowicz (of. Oddz. III) melduje: znajduję się przy moście Uściczko. Po drugiej stronie Dniestru widzę kolumnę moto bolszewicką. Przerwałem — jakto przecież bolszewicy przeszli już przez most. Nic podobnego, jestem tutaj od

przeszło godziny, nie mogłem wcześniej uzyskać połączenia. Mam doskonały punkt obserwacyjny na most i szosę prowadzącą do Dniestru (istotnie znałem dobrze tę okolicę szosa schodzi z m. Uścieczko w dół, do jaru Dniestra i biegnie na pewnej przestrzeni doliną Dniestru). Most jest zaminowany, czy mogę go wysadzić i kiedy? — Co robią bolszewicy i czy przez most przeszły jakieś polskie oddziały — zapytałem. Kpt. Chocianowicz odpowiada: polskie oddziały przechodziły przez most przed jego przybyciem, obecnie bolszewicy jak gdyby odpoczywali, oddziały polskie są razem z nimi zmieszane, lecz wygląda na to, że bolszewicy nie wykazują względem nich wrogich zamiarów.

Posiadając już decyzję Marszałka, dałem kpt. Chocianowiczowi dyspozycję wysadzenia mostu. Odnośnie wyboru momentu, pozostawiłem to jego ocenie, który znajdując się na miejscu lepiej się orientuje w sytuacji. Podkreśliłem, że Nacz. Wodzowi zależy na jak późniejszym wysadzeniu mostu, celem opóźnienia zagrozenia.

Kpt. Chocianowicza spotkałem kilka dni później na terenie Rumunii. Dzielny ten oficer zameldował mi, że do zmroku nikt mostu nie przekroczył, bolszewicy przeszli podobno Dniestr w innym miejscu, w bród. O zmroku kpt. Chocianowicz wysadził most, po czym dołączył do ekipy Szefa Sztabu w Kołomyi.

Od płk. Smoleńskiego otrzymałem wiadomość, że mjr Gurski został przez niego wysłany, wczesnym rankiem dn. 17 września, z ekipą oficerską do Horodenki, z zadaniem obserwacji. Posiadał więc wiadomości tylko pośrednie.



Między godz. 12-13 przybył do nas Szef Sztabu, gen. Stachiewicz.

Poinformował szefów misji brytyjskiej i francuskiej ogólnie, po ich wyjeździe, mnie osobiście szczegółowo, o decyzjach Marszałka.

Ogólną myślą przewodnią Marszałka jest kontynuowanie wojny z Niemcami przez oddziały zaangażowane w głębi kraju, równocześnie wyprowadzenie maksimum sił niezaangażowanych lub nawet zaangażowanych, lecz znajdujących się w pobliżu granicy rumuńsko-węgierskiej, przez Rumunię i Węgry do Francji.

Pragnieniem Marszałka jest odtworzenie wojska polskiego we Francji, aby umożliwić mu dalszą wojnę przy boku aliantów.

W wyniku tej myśli przewodniej, Marszałek powziął następujące decyzje:

a) *natury operacyjnej.*

Front niemiecki. Wojna z Niemcami trwa. Armie gen. Kutrzeby i Bortnowskiego kontynuują przebijanie się na Warszawę, która otrzymuje rozkaz obrony do końca.

Garnizony wewnątrz kraju, przygotowane do obrony, walczą do wyczerpania amunicji.

Oddziały lądowe, które otrzymały uprzednio rozkaz spłynięcia na przedmoście rumuńskie, przebijają się najkrótszą drogą na Rumunię i Węgry. To samo dotyczy i w pierwszym rzędzie, wszystkich wojsk niezaangażowanych.

Oddziały lotnicze koncentrują się drogą powietrzną względnie lądową w Rumunii.

Front bolszewicki. Walka z bolszewikami może mieć miejsce tylko w wypadku ich agresywnego zachowania się. Nie wolno dopuścić do rozbrojenia własnych oddziałów. Wszystkie oddziały, znajdujące się na terenie zajmowanym przez bolszewików, w pobliżu granicy rumuńskiej, obowiązuje rozkaz przejścia do Rumunii. W wypadku gdyby bolszewicy się temu sprzeciwiali, należy przejście to wywalczyć.

b) *natury polityczno-wojskowej.*

Rząd rumuński zostaje zwolniony ze sojuszniczego obowiązku wypowiedzenia wojny Sowietaom.

Negocjacje z władzami rumuńskimi, o przepuszczenie rządu i wojska przez terytorium rumuńskie, oraz z władzami francuskimi o przyjęcie ich do Francji, dla odtworzenia armii polskiej i kontynuowania dalszej wojny, przeprowadzi Minister Spraw Zagranicznych.

c) *Sztab Główny przechodzi natychmiast do Kosowa.*

Gen. Stachiewicz z kilkoma oficerami pozostaje w Kołomyi, dla zapewnienia łączności z wojskami w kraju i przekazania im rozkazów. W szczególności, ma nawiązać łączność z gen. Sosnkowskim i przesłać mu decyzję Marszałka przerwania walki i skierowania się na Węgry lub do Rumunii. Następnie, przyspieszać odchodzenie wojsk na granicę.

Gdy zadania te zostaną wykonane, dołączy do Marszałka w Kosowie.



Przed opuszczeniem Sztabu, gen. Faury oświadczył mi, że oczekiwał z niecierpliwością na tę właśnie decyzję Marszałka, która jego zdaniem jest jedyną w wytworzonej sytuacji, pozwalającą Polsce na dalsze prowadzenie wojny. Był dobrej myśli, że wszystkie trudności na terenie Rumunii zostaną, ewentualnie z

pomocą rządu francuskiego, pokonane, wkrótce będziemy nadal, wspólnie pracowali we Francji nad odbudową Armii Polskiej.



Wydałem rozkaz Szefowi Oddz. III przejazdu do Kosowa, polecając, aby oczekiwał na mnie przed wjazdem do tej miejscowości. Następnie, przez dłuższą chwilę, omawiałem z gen. Stachiewiczem sytuację.

Koło myję opuściłem po godzinie 14-tej. Na kilka klm. przed Kosowem oczekiwali mnie oficerowie Oddz. III. Płk Kopański łącznie z płk. Klimeckim zwrócili się do mnie przedstawiając psychiczny nastrój oficerów Oddziału, zgnębionych i w najwyższym stopniu zaniepokojonych sytuacją. Wojska w kraju, mówił do mnie płk. Kopański, kontynuują walkę, natomiast Sztab Główny zbliża się do granicy rumuńskiej. To zbliżanie wskazuje na jego cel, którym jest przejście Nacz. Dowództwa na terytorium Rumunii. Oficerowie Oddziału uważają, że honor wojskowy nakazuje im przedostać się do walczących oddziałów gen. Sosnkowskiego, nie zaś, w tym tragicznie przełomowym momencie, chronić się na obce terytorium.

W odpowiedzi podkreśliłem szczególnie dwa elementy.

1-szy, jak długo nosimy mundur wojskowy, służąc w kadrze Sztabu Głównego, winniśmy bezwzględny posłuch Nacz. Wodzowi i Szefowi Sztabu, którzy wybierając nas do pracy w Oddziale Operacyjnym, obdarzyli nas swym najwyższym zaufaniem.

2-gi, w umyśle Nacz. Wodza, Rumunia jest tylko etapem, celem jest Francja. Tam nastąpi odbudowa Armii Polskiej, aby w dalszym ciągu walczyć przy boku Aliantów. Na pracę oficerów Oddz. III, w tej odbudowie liczy Szef Sztabu.

Poleciłem zająć miejsca w samochodach i jechać za mną do Kosowa.

Po przybyciu do Kosowa (godz. 16-17), zainstalowałem Oddział III w zajeździe (rodzaj karczmy), na skrzyżowaniu głównych dróg: Kołomyja - Rożnów - Kut, wyznaczając go na prowizoryczne m.p. ścisłego sztabu.

Otrzymawszy wiadomość, że Marszałek wrócił z Kut, zameldowałem się u niego celem uzyskania dalszych rozkazów.

Skrót dyspozycji Marszałka:

— do czasu przybycia z Kołomyi gen. Stachewicza, mam objąć w jego zastępstwie Szefostwo Sztabu i jestem za jego funkcjonowanie i wewnętrzną dyscyplinę odpowiedzialny,

— zapytał mnie następnie, czy znam jego decyzje przedpołudniowe, dotyczące przejścia do Rumunii. Na moją odpowiedź po-

twierdzącą, podkreślił, że przejście Sztabu może nastąpić tylko na jego osobisty rozkaz. Dążeniem Marszałka będzie, aby nastąpiło ono jak najpóźniej, dopiero w momencie bezpośredniego zagrożenia,

— sztab ma pozostawać w stałym pogotowiu marszowym,

— nawiązanie z kim należy łączności i ubezpieczenie Kosowa, pozostawia mojej odpowiedzialności,

— wezwie mnie jeszcze dzisiaj wieczorem. Gdyby to nie nastąpiło, mam się zameldować u niego ok. godz. 22-giej.

Do mojej propozycji odesłania możliwie szybko do Rumunii ciężkich i zbędnych, w obecnej sytuacji, elementów sztabu, aby go uczynić lżejszym i zwolnić przeładowaną drogę na Kut, odniósł się Marszałek niechętnie. Powtórnie podkreślił, że pragnie aby Nacz. Dowództwo przekroczyło granicę w ostatnim momencie. Przede wszystkim musi nastąpić ewakuacja władz cywilnych, ostatnim elementem przekraczającym Czeremosz ma być Sztab.

Wyszedłem po tym pierwszym raporcie u Marszałka w dniu 17 września, pod silnym wrażeniem. Był jak zwykle, spokojny i opanowany. Wyczuwałem jednak, że przeżywa ten tragiczny dzień i pobraną decyzję opuszczenia Polski, z wewnętrznym buntem.

Gdy wracałem do m. p. Sztabu zapadł już zmierzch.

Pierwsze moje zarządzenia dotyczyły łączności. Poleciałem wysłać na pocztę ekipę celem pilnowania połączeń, w szczególności z Szefem Sztabu w Kołomyi.

Na podstawie wiadomości z dn. 17 o ruchach wojsk bolszewickich, doszedłem do wniosku, że posuwają się wyłącznie jednostkami zmotoryzowanymi. Ruch ten kanalizuje się więc do szos i mostów.

Bezpośrednie zagrożenie Kosowa, a pośrednie Kut, mogło nastąpić po przekroczeniu przez bolszewików rzeki Prut (ok. 40 klm.), na którym znajdowały się 3 mosty: Kołomyja, Zabłótów, Śniatyn. Wszystkie drogi z tych 3 kierunków zbiegały się w Kosowie.

Dwa kierunki wydawały się groźne: Kołomyja - Kosów i Śniatyn - Kosów. Kierunek z Zabłótowa uważałem za drugorzędny.

O wiadomości z Kołomyi byłem spokojny do czasu przebywania w niej gen. Stachiewicza.

Do Śniatynia i Zabłótowa zamierzałem wysłać patrole of. na samochodach, ponadto 3-ci do Rożnowa jako łącznikowy (w Rożnowie zbiegały się szosy z Zabłótowa i Śniatynia).

Brak komp. sztabowej i jednostek saperskich w Kosowie, kazał zrezygnować z bezpośredniego ubezpieczenia, oraz wykonać zawrzał na szosach.

W związku z decyzją Marszałka, przewidywałem przekraczanie granicy zależnie od momentu opanowania Prutu przez bolszewików, najwcześniej 18-go przedpołudniem, a może w nocy z 18 na 19 września.

Wszystkie te zagadnienia, w szczególności uregulowanie ruchu na szosie do Kut i rozładowanie Kosowa, miałem omówić na odprawie z Szefami Oddziałów, Szefem Łączności i Kwatermistrzem, którą zarządziłem bezpośrednio po powrocie od Marszałka.

Gdy, oczekując na zebranie się wezwanych oficerów, przygotowywałem dyspozycję odprawy, zostałem zawiadomiony, że przed zajazdem oczekuje gen. Sikorski i pragnie rozmawiać z najstarszym oficerem Sztabu.

Wyszedłem i zastałem go przed małym Fiatem.

Rozmowa moja z gen. Sikorskim potoczyła się w następujący sposób:

Generał poinformował mnie, że w porozumieniu i z upoważnienia (dosłownie) gen. Sosnkowskiego, pragnie się zameldować u Marszałka.

Będąc przekonany, że gen. Sikorski może mi podać ostatnie wiadomości z terenu Lwowa, prosiłem go o bliższe dane, dotyczące osoby gen. Sosnkowskiego i sytuacji wojsk pod Lwowem. Wszak byliśmy całkowicie pozbawieni łączności z gen. Sosnkowskim. Okazało się jednak, że osobisty kontakt między tymi dwoma generałami ograniczył się do rozmowy telefonicznej, jeszcze przed wyłotem gen. Sosnkowskiego do wojsk pod Gródek Jagielloński. Tak więc żadnych wiadomości o położeniu pod Lwowem nie otrzymałem.

Gen. Sikorski oświadczył mi następnie, że pragnie się zameldować u Marszałka, aby oddać się do jego dyspozycji.

Jakież przydział może otrzymać Pan Generał dzisiaj — zapytałem — skoro już wszystko skończone.

Gen. Sikorski roztoczył wtedy przede mną przyszłość. Przechodzimy do Rumunii, skąd Marszałek uda się do Francji. Gen. Sikorski posiada tam licznych przyjaciół, zarówno w najwyższych sferach wojskowych (wymienił gen. Gamelin'a i Georges'a) jak i sferach politycznych. Jest przekonany, że będzie mógł być bardzo pomocny Marszałkowi dzięki tym stosunkom i ułatwi mu odtwarzanie wojska polskiego we Francji.

Powróciłem do zajazdu, wydałem najniezbędniejsze zarządzenia i poleciłem oczekiwać z odprawą na mój powrót.

Z oszklonej werendy, w której oczekiwałem na przyjęcie, widziałem Marszałka rozmawiającego z gen. Berbeckim. Zdawał się wydawać mu instrukcje.

W międzyczasie przyszedł do mnie gen. Sławoj-Składkowski, wzburzony, zaprosił do jednego z pokoi i zawiadomił mnie o decyzji Marszałka pozostania w Polsce i dołączenia do batalionów w Stryju. Zaklinał mnie (dosłownie), abym odwiódł Marszałka od tej decyzji. Wobec rozruchów ukraińskich, które wybuchły w Małopolsce Wschodniej w dniu dzisiejszym w związku z wejściem Sowietów, uważa tę decyzję za szaleńczą (dosłownie). Jako Min. Spraw Wewnętrznych i premier, nie może dopuścić, aby Marszałek zginął z rąk Ukraińców.

Podzielałem pogląd gen. Składkowskiego, lecz z innego punktu widzenia.

Zostałem wezwany do Marszałka. Nie pytając o powód mego przybycia, dał mi następujący rozkaz:

Pozostaję w Polsce. Wybierz pan sześciu, uzbrojonych w karabin oficerów, łącznie z nimi wracam do Stryja, aby dołączyć do walczących wojsk.

Zameldowałem: wybiorę najlepszych oficerów Oddz. III, stanę na ich czele, aby towarzyszyć Panu Marszałkowi. Lecz równocześnie melduję:

— jako uzbrojenie posiadamy jedynie broń boczną, nie sądzę abym mógł znaleźć w sztabie karabiny, kompania ochrony nie istnieje, po czym wyjąwszy mapę,

— do Kołomyi dojedziemy bez trudności, stamtąd najkrótszą drogą przez Nadworną i Dolinę do Stryja, w warunkach nieznanych. Nie jest wykluczone, że biorąc pod uwagę meldowany początek rozruchów ukraińskich, będziemy zmuszeni opuścić samochody i maszerować piechotą. Odległość z Kołomyi do Stryja wynosi ok. 200 klm. Jeżeli nie napotkamy na żadne trudności, biorąc pod uwagę noc i boczne szosy, przybędziemy do Stryja najwcześniej jutro przedpołudniem,

— według wczorajszego, wieczorowego meldunku, w rejonie Stryja znajdowały się 3 bataliony. Gdzie znajdować się będą jutro rano — nie wiadomo. Jeżeli dotarł do nich rozkaz marszu na granicę, w tej chwili są już w drodze. W Kołomyi będę się starał nawiązać łączność ze Stryjem, aby uzyskać wiadomości.

Marszałek nie przerywając mi, patrzył na rozwiniętą mapę. Kontynuowałem:

— rozumiałem osobiście dzisiejszą przedpołudniową decyzję i tak ją rozumiał Sztab, że Rumunia jest tylko etapem, celem jest

Francja. Tam będzie odtwarzane wojsko polskie, celem dalszego prowadzenia wojny przy boku aliantów. Kto będzie organizował, a następnie dowodził tym wojskiem, gdy Pana Marszałka braknie. Gen. Sosnkowski bije się gdzieś pod Lwowem, brak z nim wszelkiej łączności. Nie wiadomo, czy dotarł do niego rozkaz marszu na granicę.

Pragnąłem dalej rozwijać tę myśl z punktu widzenia umowy i rozmów z Gamelin'em, w których przecież brałem bezpośredni udział w maju 1939 r., gdy wszedł gen. Składkowski i zaraportował:

Starosta ze Śniatynia melduje, że miasto zajmują bolszewicy. Ze Śniatynia prowadzi szosa prosto na Kosów. Odległość niespełna 40 klm.

Nastąpiła chwila ciszy, która zdawała mi się trwać bez końca. Przerwał ją wreszcie Marszałek, zwracając się do gen. Składkowskiego: proszę o połączenie z gen. Stachiewiczem.

Po wyjściu gen. Składkowskiego, Marszałek milczał jeszcze długo. Wążył prawdopodobnie ostateczną decyzję. Następnie odezwał się do mnie w słowach, których odtworzyć nie potrafiłem dokładnie, nawet w pierwszych dniach pobytu w Rumunii, lecz których myśl była następująca:

Nieuchronna godzina nadeszła. Pragnąłem ją odsunąć możliwie najdalej. Przedłużać jej już nie mogę. Nie wiadomą jest przyszłość, obowiązek muszę wypełnić do końca.

Granice przekroczyć tej nocy. Sztab ma ruszyć natychmiast. Pan z III Oddziałem oczekuje mnie, bezpośrednio przed wjazdem na most. Gdyby się okazało, że przybędę wcześniej, oczekiwać będę na was. Pragnę przekraczać granicę łącznie z III Oddziałem Sztabu.

Z kolei zapytałem co mam zrobić z Konwencją wojskową polsko-francuską, protokołami rozmów z gen. Gamelin'em, oraz protokołami rozmów misji brytyjskiej gen. Clayton'a w Warszawie (czerwiec 1939 r.), za których przechowanie byłem osobiście odpowiedzialny przed Szefem Sztabu.

Marszałek polecił je zniszczyć. Obawiał się, że mogą podlegać rewizji w Rumunii. Nie mógł dopuścić myśli, aby tak cenne dokumenty, mogły wpaść w ręce Rumunów, a może nawet wydane Niemcom. Ujawnienie, z naszej winy, zobowiązań franc. i bryt. wobec Polski, ponadto ujawnienie sił franc. (do protokołów było dołączone *Ordre de Bataille* mobilizacyjne Armii franc.), byłoby z naszej strony karygodnym błędem. Dodał na końcu: przecież te

wszystkie dokumenty znajdziemy w Sztabie Generalnym franc. w Paryżu¹.

Teraz dopiero mogłem przystąpić do raportu gen. Sikorskiego, który mnie przywiódł do Marszałka.

Marszałek wysłuchał, a gdy skończyłem polecił przedstawić mu obecne położenie, z którego wynika, że przyjąć go w tej chwili nie może. Natomiast poleca gen. Sikorskiemu udać się za nim do Rumunii. Prawdopodobnie skieruje się najprzód na Czerniowce, następnie do Bukaresztu. Na terenie Rumunii przyjmie gen. Sikorskiego i będzie mógł spokojnie omówić całokształt położenia.

Raport mój był skończony. Odmeldowałem się, aby już więcej Marszałka nie spotkać. Bezpośrednio przed wyjazdem usłyszałem z oddala jego głos. Zatrzymałem się. Domyślałem się, że rozmawia telefonicznie z gen. Stachiewiczem.

Wróciłem do sztabu i wydałem polecenie przygotowania się do drogi. Równocześnie skierowałem dwa patrole oficerów na samochodach, jeden do Śniatynia, zalecając szczególną ostrożność przy zbliżaniu się do Prutu, drugi do Zabłotowa. Oficer skierowany do Śniatynia (niestety nie zanotowałem jego nazwiska) zameldował mi już na terenie Rumunii, że dotarł do Śniatynia, który okazał się wolny. Tak więc była to już druga fałszywa wiadomość o postępach bolszewickich w ciągu dnia 17 września (pierwsza przedpołudniowa, tycząca przekroczenia mostu w Uściczku).

Następnie złożyłem sprawozdanie gen. Sikorskiemu, z włożonego przez niego na mnie poselstwa. Gdy kończyłem, przejechał koło nas (rozmowa toczyła się przy drodze przed zajazdem) krótki orszak wozów. Poznałem samochód Marszałka, po specjalnym dźwięku syreny wozu, który go stale eskortował. Marszałek zdążył na most na Czeremoszu.

18 września

Niezmiernie mozolna była nasza jazda w kierunku Kut, często krok za krokiem, wobec nadmiernej ilości wozów, stłoczonych na wąskiej szosie. Mimo dobrej dyscypliny marszu, utrzymanie

1. Tego ostatniego rozkazu Marszałka nie wykonałem. Wszystkie dokumenty (oryginały) przewiozłem w kieszeniach frenca, przypuszczając, że jako komandor odznaczenia rumuńskiego i z racji mej funkcji, nie podlegnę osobistej rewizji względnie, że zdążę, przynajmniej najważniejsze, zniszczyć na czas. Liczyłem się z tym, że mogą być potrzebne Marszałkowi, jako atut, w rozmowach w Paryżu. Trudno byłoby wtedy dopiero, prosić Francuzów o duplikaty. Przewiozłem je następnie do Paryża, gdzie wręczyłem gen. Sikorskiemu.

porządku w kolumnie okazało się nad wyraz trudne. Co chwilę, poprzez kolumnę przedzierał się jakiś samochód cywilnego dygnitarza.

Padał deszcz. Pierwszy od początku wojny. Deszcz, który mógł jeszcze kilka dni temu zwolnić tempo gąsienic niemieckich. Jechałem łącznie z gen. Malinowskim. Gdy zatrzymaliśmy się przed mostem, okazało się, że Marszałek znajduje się już po drugiej stronie granicy. Wyznaczone mi zresztą spotkanie, nie było terenowo możliwe. Wąska droga do mostu prowadziła przez wysoki nasyp, brakowało miejsca na oczekiwanie.

Na most na Czeremoszu wjechaliśmy 18 września, dokładnie o godz. 2-giej minut 26 po północy.

Po drugiej stronie Czeremosza przywitał nas attaché rumuński w Warszawie. Od niego dowiedzieliśmy się, że Marszałek znajduje się tuż obok. Gen. Malinowski poszedł się zameldować, ja miałem dołączyć. Lecz nim skończyłem rozmowę z attaché rumuńskim, który informował mnie, że Rząd ma się kierować na Czerniowce, Sztab Główny na Vatra Dornei, Minister Spraw Wojskowych na Kalimanesti, powrócił gen. Malinowski.

Marszałek zmęczony, odpoczywał w samochodzie. Miał prosić, aby go nie niepokoić. Po przejeździe przez most stwierdził, że warty rumuńskie rozbrajają naszych wojskowych. Interweniował gwałtownie, zaprzestano rozbrajania.

Ruszyliśmy na Starożyniec, do którego przybyliśmy w godzinach przedpołudniowych. Na rynku zastaliśmy stłoczone dziesiątki samochodów, których pasażerowie nie orientowali się dokąd się kierować. W porozumieniu z miejscowymi władzami i przybyłym wkrótce z Bukaresztu, niezwykle nam życzliwym senatorem, który potwierdził mi znane już instrukcje kierowania wozów, rozładowywaliśmy Starożyniec.

Mniej więcej do godz. 14 wszystko szło składnie i spokojnie. Lecz popołudniu zjawiał się oddział żandarmerii z oficerem rumuńskim. Otrzymaliśmy polecenie składania na miejscu sprzętu wojskowego. Żandarmeria zaczęła rozbrajać oficerów i żołnierzy. Gdy szukaliśmy senatora, okazało się, że nagle gdzieś znikł. Dzięki naszej interwencji, uzyskaliśmy pozostawienie oficerom broni bocznej, żołnierzom pasów. Cały sprzęt składany był początkowo w najbliższych domach, następnie, gdy brakło tam miejsca, wprost na rynku. Odbierano kompaniom telegraficznym aparaty telefoniczne, juzy, aparaty radiowe. Zdejmowano z wozów motocykle, nawet rowery. Nie odbywało się to jednak spokojnie. Żołnierze z wściekłością rozbijali sprzęt. Wobec stałego, liczego napływu wozów, rozbrajanie początkowo dokładne, stawało się coraz wię-

cej powierzchniowe i większość sprzętu jechała dalej. Około godz. 17 znudziło się żandarmerii szczegółowe sprawdzanie samochodów, operacja stawała się formalnością.

W ciągu dnia 18-go napływały do Starożyńca, liczne, sprzeczne wiadomości:

— król rumuński wysłał do Czerniowiec swego delegata do Marszałka, oddając do jego dyspozycji specjalny pociąg i zapraszając go do swej rezydencji, do Sinaja.

— Marszałek po przybyciu do Czerniowiec, skierowany został do pałacu biskupiego, gdzie miał oczekiwać na dalsze decyzje. Wiadomość ta była komentowana jako jego bliskie internowanie,

— Marszałek ma się udać do Constanzy, skąd drogą morską uda się do Francji,

— członkowie Rządu, w miarę przybywania do Czerniowiec zostają internowani i oczekują na pociąg, który ma ich odwieźć wieczorem w niewiadomym kierunku,

— odnośnie osoby Prezydenta potwierdzały się pogłoski, że jest już w drodze do Bukaresztu,

— wreszcie, że Niemcy wywierają nacisk na rząd rumuński, żądając rozbrajania i internowania wojska polskiego.



Około godz. 17-tej wjechał na rynek mały Fiat, z którego wysiadł gen. Sikorski i mjr. Bogusławski. Gdy podszedłem do nich gen. Sikorski przechadzając się ze mną po rynku, wypytywał szczegółowo o sytuację. Złożyłem mu sprawozdanie od ostatniego spotkania w dniu 17 września. Szczególnie interesowało go zachowanie się Rumunów w stosunku do naszego wojska, wiadomości napływające z Czerniowiec, wreszcie jakie mamy wiadomości z Bukaresztu od naszego poselstwa i attaché'atu wojskowego. Od tych dwóch instytucji żadnych wiadomości nie miałem.

Nagle postawił mi pytanie. Co mi pan radzi czynić w obecnej sytuacji (dosłownie)?

Gen. Sikorskiego znałem dobrze z okresu wojny 1914-20 r. Byłem adiutantem 3-go pułku Legionów Polskich, gdy przez krótki okres czasu na jesieni 1916 r., gen. Sikorski tym pułkiem dowodził. W końcu listopada tegoż roku, łącznie z mjr. Zającem byliśmy jego świadkami w sprawie honorowej przeciw Sieroszewskiemu. Po rozłamie przysięgowym w 1917 r., przed przejściem Brygady gen. Hallera, gen. Sikorski, jako Dca Uzuppełnień Korpusu Posiłkowego w Bolechowie, spowodował wyciągnięcie mnie z frontu i przydzielenie na referenta wyszkolenia do swego Szta-

bu. Przez całą Kampanię Ukraińską w 1919 r., od jego przybycia pod Lwów z końcem 1918 r., dowodziłem pułkiem w jego Grupie-Dywizji. Po wojnie ukraińskiej spowodował mój przydział na szefa sztabu 9-tej Dywizji Piech., którą dowodził na Polesiu. Po wojnie spotykałem go dosyć często.

Gen. Sikorski miał więc prawo uważać mnie za oddanego mu podkomendnego-przyjaciela, który potrafi się wczuć i zrozumieć jego myśli bez ich wypowiedzania.

Lecz wyznaję, że byłem zaskoczony formą, lecz przede wszystkim treścią tego pytania. Nie rozumiałem jej wtedy i nie wczułem się w jej głębię. Odpowiedziałem: cóż mogę radzić Panu Generałowi w dzisiejszej sytuacji. Mogę tylko powtórzyć rozkaz Marszałka, polecający zameldować się Panu Generałowi u niego, na terenie Rumunii. Sprzeczne wiadomości nadchodzące z Czerniowiec wymagają, moim zdaniem, tym szybszego skomunikowania się z Marszałkiem, aby rozważyć całokształt wytworzonego położenia i dalsze możliwości działania.

Po reakcji gen. Sikorskiego stwierdziłem, że nie był zadowolony z mojej odpowiedzi. Gdy szczególnie serdecznie przywitał się ze mną w Kosowie i przy wjeździe do Starożyńca, pożegnał mnie teraz szybko i niezmiernie chłodno.

Obserwowałem go z oddala do chwili jego odjazdu. Po powrocie do samochodu rozmawiał z mjr. Bogusławskim, studiując mapę. Następnie wsiedli do samochodu. Lecz wybór drogi nie wskazywał kierunku na Czerniowce.

Podobnie jak w drodze z Kosowa na most na Czeremoszu, powtórzyłem gen. Malinowskiemu treść mego ostatniego raportu u Marszałka, tak i teraz poinformowałem go wiernie o rozmowie z gen. Sikorskim².



Na łamach prasy wojskowej i cywilnej toczyła się dyskusja na temat czasu i miejsca, powzięcia przez Marszałka decyzji przejścia do Rumunii. Dorzucam do niej mój głos.

Często, bezpośrednio po przybyciu do Rumunii, rozważałem te dwa ostatnie moje raporty u Marszałka, w dniu 17 września. Wiązałem je z jego decyzjami w Brześciu w dniu 8 września.

Dwie ostatnie jego decyzje, przedpołudniowa w Kołomyi — przejścia do Rumunii i wieczorowa — pozostania w Polsce, celem dołączenia do oddziałów walczących pod Stryjem, wymagają głęboko przemyślanego studium, zarówno wojskowo-operacyjne

2. Gen. Tadeusz Malinowski, znajduje się w Londynie. Może sprawdzić, dorzucić lub sprostować moją relację.

go, jak i psychologicznego. Każda z nich, na innych jest oparta przesłankach.

Przedstawiam moje dociekania, poszukując tych przesłanek.

Decyzja pierwsza — przejście do Rumunii

Myśl przewodnia Planu Operacyjnego wynikała z przekonania Marszałka, że armia polska stanowi straż przednią armii francuskiej.

Nie miał żadnych złudzeń co do początkowych polskich sukcesów. Przeciwnie, przewidywał twardą, niezmiernie ciężką, nierówną walkę słabej, niedostatecznie uzbrojonej armii polskiej, z doskonale wyposażonym przeciwnikiem niemieckim. Posiadamy na to liczne dowody. Oficjalne: przemówienie na grze wojennej w Wyższej Szkole Wojennej w 1938 r., przedstawianie stanu armii polskiej na Radzie Ministrów. Teoretyczna logika wojskowa, suche zestawienie porównawcze cyfry naszej armii lądowej i powietrznej, uzbrojenia i zmotoryzowania z armią niemiecką, narzucały uchylenie się przed wojną. Lecz Marszałek wojnę przyjął, gdyż taki był nakaz narodu polskiego.

Dlatego zadanie tej straży przedniej polegało na przyjęciu i wytrzymaniu na sobie całego, początkowego naporu niemieckiego celem wygrania czasu, niezbędnego dla ukończenia mobilizacji i ruszenia ofensywy francuskiej. Utwierdzenie w możliwościach wykonania tej myśli przewodniej, przynoszą mu zobowiązania konferencji francusko-polskiej i polsko-brytyjskiej, z połowy maja i początku czerwca 1939 r.

Na podstawie osobistych kontaktów pracy z Marszałkiem, zwłaszcza między 7 a 10 września, gdy wobec nieobecności Szefa Sztabu w Brześciu, stałem się jego bezpośrednim współpracownikiem, twierdzę, że Marszałek wierzył zarówno przed 1 września, jak i w okresie całej Kampanii Wrześniowej, w dotrzymanie zobowiązań francusko-brytyjskich. Liczył, w początkowym okresie Kampanii, na zachwianie równowagi niemieckiej przez bombardowanie jej tyłów, w dalszym okresie na poważne odciążenie nacisku niemieckiego na Polskę, przez ofensywę Gamelin'a.

Brak działalności lotniczej naszych sprzymierzeńców, nie osłabił w nim wiary w ich decydujące działanie lądowe. Lecz rozwój sytuacji na północy, na przedpolu Wisły, ponadto zaznaczający się od południa niemiecki ruch oskrzydlający, napawał go troską, czy potrafi utrzymać odpowiedni obszar operacyjny i odpowiednią dyspozycyjność sił, do czasu ujawnienia się skutków ofensywy francuskiej i przejścia do ofensywnego polskiego działania.

W lipcu 1939 r. opracowywałem studium dalszego działania na wypadek zaskoczenia na pierwszej, przygotowanej linii obronnej, w dalszym zaś rozwoju na wypadek niepomysłnej sytuacji na Wiśle. Do pracy tej wciągnąłem płk. dypl. Kopańskiego, Szefa Oddz. III (vide wzmiankę o tym w jego książce „Wspomnienia Wojenne 1936-1946” str. 16) i uprosiłem gen. Malinowskiego z jego zakresu.

Studium to miało objąć 3 warianty ewentualnego odwrotu:

- na pld.-wschód, z oparciem komunikacji na Rumunii,
- na wschód, w oparciu o Rosję sowiecką,
- na północ, w oparciu o państwa bałtyckie.

Kiedy przedstawiłem początkowe elementy tego studium Szefowi Sztabu zapytując, który wariant należy rozpracować, otrzymałem odpowiedź: jedynie oparcie się o Rumunię może stanowić podstawę studium. Tę decyzję gen. Stachiewicza rozumiałem jako wynik łącznych rozważań Naczelnego Wodza z Szefem Sztabu.

Tak więc, już w planie przedwojennym, ogólna myśl operacyjna, jakkolwiek nie napisana, szła w kierunku strategicznego opóźniania na pld.-wschód, na Rumunię.

Zagadnienie oparcia się na komunikacjach z Zachodem przez Rumunię, było niejednokrotnie omawiane zarówno przed, jak i w czasie Kampanii Wrześniowej.

Od dnia 8 września, myśl ta znajduje konkretny wyraz w rozkazach wykonawczych Marszałka, orientowania maksimum sił do Małopolski Wschodniej.

W tym dniu pobiera dwie zasadnicze decyzje:

— późnym południem, w obecności przybyłego z Warszawy ppłk. dypl. Mareckiego i płk. dypl. Kopańskiego, zatwierdza proponowaną przez gen. Stachiewicza organizację obrony obszaru Warszawy i jego projekt działania armii gen. Kutrzeby.

Lecz wprowadza do projektu gen. Stachiewicza poprawkę niezmiernego znaczenia operacyjnego, zmianę kierunku działania ofensywnego gen. Kutrzeby na Radom, nie zaś na Warszawę. Ta zmiana kierunku — na Radom, wskazywała na decyzję Marszałka, nie pozwolenia tej armii na wiązanie się na Wiśle w rejonie Warszawy, zbliżała ją i orientowała do przyszłego obszaru obrony, do Małopolski Wschodniej.

— w kilka godzin później, w nocy z 8 na 9 września, Marszałek przekazuje mi myśl swej zasadniczej decyzji (cytuję dosłownie z notatek wojennych):

„Punkt ciężkości przesuwam na południe, do Małopolski Wschodniej. W związku z powyższym, całokształt rozwinęcia musi ulec przegrupowaniu, a mianowicie:

— zgrupowanie „Narew” odejdzie marszem pieszym,

— 35. Dyw. Piech., załadowana na transporty kolejowe, odjedzie na Lwów,

— Wisła pozostaje w obronie,

— San musi się trzymać jak najdłużej dla osłony odejścia i winien być wzmacniany czym tylko można”.

Decyzję tę polecił rozpracować w formie instrukcji-rozkazów natychmiast.

Niepokoilo mnie zabranie 35. DP, stanowiącej jedyny rozporządzalny odwód, na wypadek nieszczęścia u gen. Młot-Fiałkowskiego. Na moje uwagę otrzymałem powtórzenie decyzji i polecenie przygotowania transportów dla załadowania dywizji.

Nazajutrz, referowałem Marszałkowi możliwości przestrzeni i czasu, w jakich, przy najbardziej sprzyjających warunkach, decyzja mogłaby być wykonana. Nie przedstawiały się one optymistycznie. Otrzymałem odpowiedź — zdaję sobie z tego sprawę, należy podwoić wysiłki, aby jednostki zdążyły na czas. Od tego zależy przyszłość wojny.

Tego dnia dowiedziałem się również, że gen. Sosnkowski został wysłany do Lwowa. Wiązałem tę wiadomość z podaną mi decyzją.

W Brześciu, wyciągnąłem z tej decyzji wniosek: Marszałek uważa zorganizowanie oporu i przyszłą bitwę w obszarze Małopolski Wschodniej, jako ostateczny i decydujący wkład polski, przed ruszeniem ofensywy francuskiej. Bitwa na przedpolu Wisły i obrona Warszawy, to niezmiernej wagi, lecz pod względem ściśle operacyjnym, już drugorzędny, pomocniczy wysiłek. Jego zadanie polega na uwieszczeniu poważnych sił niemieckich, które ułatwi koncentrację i opóźni ostateczny opór w obszarze Małopolski Wschodniej.

W Rumunii, wgłębiając się w minione wydarzenia, dopatryłem się w tej decyzji, zupełnie skryształizowanej myśli Marszałka: obszar Małopolski Wschodniej miał stanowić ostateczny kres wysiłku wojennego w Polsce. Gdy bastion ten padnie, przekroczy granicę rumuńską, aby wywalczać zwycięstwo nad Renem względnie Sekwaną.

Dlatego, jeżeli źródeł decyzji orientowania głównego wysiłku opóźniającego na pld.-wschód należy szukać w planie przedwojennym, to źródeł istoty samej decyzji przejścia do Rumunii, należy doszukiwać się nie w Kosowie ani w Kołomyi, lecz znacznie wcześniej, w moim przekonaniu w Brześciu.

W czasie całej Kampanii Wrześniowej nie słyszałem nigdy z ust Marszałka słowa „przejście do Rumunii”. Marszałek nie był skłonny do ujawniania, nawet najbliższym współpracownikom,

swych dalszych przewidywań operacyjnych, do czasu zanim dojrzeją jako wykonawcze decyzje. Ponadto — przypuszczam — samo słowo „Rumunia” w ustach Nacz. Wodza, w znaczeniu przekroczenia granicy, mogłoby osłabić wolę jego podkomendnych.

Lecz w okresie między 8 a 11 września, my oficerowie sztabu Nacz. Wodza, zdawaliśmy sobie sprawę z naszej zachwianej sytuacji wojennej. Cyrkiel, a głównie działania nieprzyjaciela, wykazywały trudności jakie napotka, pod względem czasu, przesunięcie wojsk w tak odległy obszar. Nacz. Wódz nie mógł, w tymże samym czasie, planując i opierając ostateczny system obronny o Rumunię, nie rozważać już wtedy decyzji, w jaki sposób pokieruje dalszym losem wojny, gdy braknie głębokości, umożliwiającej dalsze cofanie. Wbicie nam noża w plecy przez Sowiety, nie wchodziło wtedy w rachubę.

Decyzja ta, mimo całego związanego z nią tragizmu opuszczenia Polski, powzięta została z pełną świadomością jego odpowiedzialności za losy Państwa, z pełnym poczuciem obowiązku, ciążyącym na Nacz. Wodzu, kontynuowania wojny we Francji.

Uderzenie Sowietów w dniu 17 września przyspieszyło przekształcenie tej decyzji w formę wykonawczą, logicznego następstwa jej wcześniejszego powzięcia. Ironia losu sprawiła, że data ta zbiegła się z zapowiedzianą na ten dzień, lecz nie wykonaną, ofensywą Gamelin'a. Tym większą rolę grała walka o dotrzymanie zobowiązań sojusznicych.

Decyzja wieczorowa — pozostanie w Polsce i dołączenie do batalionów w Stryju

Można z całą pewnością przyjąć, że Marszałek był nieustraszoną żołnierzem. Dał tego dowody w okresie Legionów, następnie w czasie wojny polsko-sowieckiej 1919-1920 r. Dnia 8 września, w czasie bombardowania Brześcia, z trudem udało mi się go nakłonić, aby schronił się do wykopu, ubezpieczającego od odłamków. Ustąpił pod naciskiem argumentu — kto pokieruje losami wojny, gdy jego braknie.

Niezależnie od osobistej odwagi, cechowało go w najwyższym stopniu, poczucie odpowiedzialności za włożony na niego obowiązek. W czasie ofensywy Budiennego i mającego się rozpocząć odwrót w 1920 r., towarzyszyłem gen. Romerowi, dcy świeżo stworzonej Grupy Operacyjnej, udającemu się po instrukcje do

Dcy Frontu Południowego, gen. Listowskiego. W rozdrażnieniu informował gen. Listowski mego dcę, o dwukrotnym wysłaniu rozkazu gen. Rydz-Śmigłemu odwrotu z Kijowa, a Śmigły dwukrotnie odpowiedział, że opuści Kijów tylko na pisemny rozkaz Piłsudskiego. Dlaczego Śmigły nie wykonał rozkazu Dcy Frontu Płd., któremu podlegał? Albowiem jeszcze przed stworzeniem Frontu Południowego, otrzymał decyzję Piłsudskiego: Kijów wolno opuścić tylko na jego pisemny rozkaz. I opuścił Kijów dopiero wtedy, gdy lotnik zrzucił mu rozkaz podpisany przez Naczelnego Wodza.

Marszałek powziął decyzję wykonawczą przejścia do Rumunii w Kołomyi przedpołudniem. Potwierdził mi ją osobiście w Kosowie. Następnie, a może już uprzednio, toczył w swoim wnętrzu niedostrzegalną dla otoczenia walkę. Nie mógł się pogodzić z błyskawicznym rozwojem wypadków tego dnia, z wynikającymi z niego konsekwencjami, nie nadążał za nimi psychicznie. Pragnął ten rozwój zahamować, powstrzymać lub przynajmniej opóźnić. Zapadały się w jego umyśle i w jego duszy elementy, które przygotował, przemyślał, zdecydował, a które w wykonaniu nie przyjęły formy, jaką im nakazał. Toczył walkę między powziętą i wydaną już decyzją a osobistym jej wykonaniem.

Dowódcą kierowało szlachetne uczucie dzielenia losu walczącego jeszcze żołnierza.

Żołnierza, artystę, pociągała romantyczna śmierć na polu chwały. Lecz ta śmierć zwalniała go równocześnie ze strasliwej odpowiedzialności, jaką przyjął na siebie wobec Państwa, wobec Narodu, wobec Żołnierza.

Pod Kijowem, żołnierskie poczucie spełnienia włożonego na niego obowiązku, nakazało mu odmówić wykonania rozkazu Dcy Frontu.

W Kosowie, tęsknotę za romantyczną śmiercią na polu chwały, pokonało poczucie odpowiedzialności Nacz. Wodza, którego rola nie kończyła się na tragicznym zakończeniu Kampanii Wrześniowej w Polsce.

Czy istnieje wielkość, w najbardziej nawet bohaterskiej lecz dobrowolnej śmierci, która uchyla odpowiedzialność? Wielkość to odwaga życia, to pokonanie w sobie prawa do śmierci, w imię dalszej walki, celem wypełnienia przyjętych na siebie zobowiązań, tak wielkich jakie na nim ciążyły.

Z tej walki wewnętrznej wyszedł charakter Marszałka niezachwiany. Wkroczył w nową, nieznaną, lecz przeczuwaną jako cierniową, drogę obowiązku Naczelnego Wodza.

17 września 1939 — 27 października 1941

Tragiczny Wódz Naczelny Kampanii Wrześniowej „przed męką nie uciekł”, wypił swój kielich goryczy do ostatniej kropli.

Internowany przez sprzymierzeńców w Rumunii, plugawiony przez rodaków we Francji, pozbawiony łączności ze światem, zwolniony został z ciężących na nim obowiązków.

Odzyskuje swobodę niezależnej, osobistej decyzji.

Romantyczną niegdyś myśl, śmierci na polu chwały, urzeczywistnia w dwa lata później, przekształcając ją w nieustraszoną wolę życia, dla czynu wojennego.

Myli strażę rumuńską, uchodzi na Węgry, wraca do okupowanego kraju.

On — Marszałek Polski, Edward Śmigły-Rydz, zdobywca Kijowa, Dca zwycięskiej Armii manewrowej znad Wieprza, która zdecydowała o wojnie w 1920 r., Wódz Naczelny w 1939 r., staje się szarym żołnierzem Polski podziemnej, żołnierzem nieznanym — Adamem Zawiszą, aby walczyć o Polskę.

A 5 grudnia 1941 r., w jej stolicy,

— przed jego trumną, nie maszeruje Kompania Honorowa.

— za jego trumną, ani jednego ze świetnych dostojników tego świata. Garstka wiernych przyjaciół-żołnierzy.

To Jego Wielkość.

Józef JAKLICZ

W S P O M N I E N I A (Cz. II)

Rok, a ściślej 10 miesięcy, miałem spędzić w Sędziszowie. Ludność okoliczna mówiła po prostu: „w mieście”, unikając wysiłku nazywania trudno wymawialnego Sędziszowa, której to nazwy nie rozumiała ani nie wiedziała, że to jeszcze w głębokim średniowieczu poszła od jakiegoś sędzisa albo sędzicha. Ogólnie skracano nazwę w wymowie na: Szejsów, przy czym mimo powszechnego mazurzenia w tej właśnie nazwie zastosowano „szadzenie”. Miasteczko było bardzo stare, własność Odrowążów ze Sprowy, w XV wieku wyposażone w prawo Magdeburskie. Kościół parafialny posiadało już w XIV wieku. Z czasem przeszło do Ligęzów, którzy już w XIII wieku byli właścicielami wielu wsi okolicznych. W okresie Potopu Szwedzi i Siedmiogrodzianie spustoszyli miasteczko gruntownie, tak, że znikły zabytki dawnych wieków. Dwie wielkie budowle kościelne, klasztor Kapucynów i murowany kościół parafialny ufundowali nowi właściciele Potoccy w wieku XVII.

Miasteczko było bardzo ubogie, miało niewiele ponad 200 domków. Ludność 2 i pół tysięczna, w czym ponad 1.000 Izraelitów, ale podstawą jego dochodów były regularne jarmarki i targi piątkowe, zabezpieczone przywilejem z początku XVI wieku. Mieszczanie sędziszowscy mieli wielkie poczucie swej tradycji i pomyślniejszej przeszłości, uważali się też za coś lepszego od okolicznej ludności wiejskiej, mimo że u większości z nich mniej było włożyć do ust aniżeli w sąsiadujących od Wschodu i Południa zamożnych, urodzajnych wsiach. Nosili się po miejsku, to jest na czarno, choć w szatach brudnych i zdartych. Długie spodnie, opadające na krótkie półbuty, wyróżniały ich od chłopów, którzy wyłącznie nosili buty z cholewami i wpuszczali spod-

nie w cholewy. Właśnie wyrób masowy takich butów był jedynym masowym rzemiosłem, uprawianym przez mieszkańców Sędziszowa. Był jeden kowal, jeden ślusarz, jeden stolarz, jeden rymarz, jeden młynarz, jeden krawiec ale szewców było kilkadziesiąt. Na każdy targ i jarmark w sąsiednich miasteczkach rozwozili swoje wyroby rozwieszane parami na drążkach. W co drugim domku przez uchylone drzwi widziało się klepiących na zydełkach-warsztacikach pracowitych patrycjuszy sędziszowskich. Kilku tylko mieszkańców posiadało jakąś rolę uprawną na krańcach miasteczka i ci wyróżniali się dobrobytem, bo mieli żywność zapewnioną.

Mieszczanie sędziszowscy byli pozbawieni ducha jakiegokolwiek inicjatywy. Nic więc dziwnego, że bijący ich ruchliwością Żydzi wzięli w swoje ręce cały handel w miasteczku i okolicy; ich były stragany z wszelkim towarem na rynku, do nich znosili współwyznawcy z okolicznych wsi, cokolwiek tam można było wykupić, o ile z produktami wsi nie wędrowały do nich gospodie potrzebujące drobnej gotówki na zakup potrzebnych do domowego gospodarstwa towarów.

Ojciec umówił dla mnie tzw. stancję u znajomej rodziny na skraju miasta, tuż przy wjeździe od naszej strony. Głową jej był pan Andrzej Bielak, kowal przygarbiony latami i pracą; gospodarstwo rolne i sadownicze prowadziła energiczna jego żona, zaprzyjaźniona z moim ojcem, który w niej cenił to, że nie była związana z miejscowym klanem mieszczańskim (pochodziła z Kolbuszowej) i nie podzielała nadętych jego manier. Chętnie podjęła się ona opieki nad małym onieśmielonym przybyszem i otaczała go stałą życzliwością a za jej przykładem obie jej córki ułatwiały mu spoufalenie się z miejscowymi warunkami. Według umowy ojciec dostarczał produkty wiejskie na wyżywienie mnie, ale w praktyce karmili mnie wszystkim co sami dla siebie sporządzali. Nie obchodziła ich za to ani moja nauka ani czym się zajmuję poza domem, zostawała mi całkowita swoboda wypraw w godzinach pozaszkolnych poza miasteczko, w zarośla moczarowej rzeczki Popowiec, na gry z kolegami w piłkę ale najczęściej w guziki, na śledzenie ruchu przejazdowego na gościńcu Kraków-Lwów, lub na stacji kolejowej, podglądanie położonej obok niego cukrowni, zwłaszcza w godzinach zmiany szychty pracowniczej. Jakąś godzinę zabierało przerabianie lekcji z kolegą Krogulskim, którego matka odwdzięczała mi się za to smacznym podwieczorkiem.

Nauka szkolna odbywała się w godzinach przedpołudniowych, osobno dla chłopców osobno dla dziewcząt. Z zaciekawieniem

przypatrywaliśmy się kierownikowi szkoły który się nazywał Józef Szczepanik, albowiem było nam wiadomo, że brat jego aptekarz w Korczynie pod Krosnem razem ze swoim przyjacielem Łukasiewiczem odkryli zastosowanie nafty do użytku domowego: ich wynalazek, lampa naftowa, właśnie wprowadzana była dla zastąpienia świec. Klasa 4-ta, do której byłem przyjęty, żyła pod grozą surowych wymagań swego nauczyciela Antoniego Łasicy, który uczył wszystkich przedmiotów z wyjątkiem religii. Najtrudniej szło z językiem niemieckim, w którym pewną biegłość, zwłaszcza znajomość reguł gramatycznych, należało wynieść, aby pokonać trudny egzamin do gimnazjum. Klasa była tłumna, przeważali w niej synowie mieszczańscy, ale była i spora garstka chłopców z okolicznych wsi parafii sędziszowskiej, którzy piechotą przychodzili codziennie po kilka kilometrów. Tak się złożyło, że ci chłopcy wiejscy, jako następstwo pewnej selekcji, górowali w nauce nad kolegami miejskimi. Nie psuło to wzajemnej między nimi harmonii, ale drażniło ojców-mieszczan, którzy nieraz opryskliwie się wyrażali o tych chamach, co prześcigują ich synów w nauce i w opinii pana Łasicy, a ten lubił czynić wymówki rodzicom, że nie pilnują starannie, aby ich synowie więcej pracowali i nie dawali się zawstydząć chłopcom wiejskim. Jako sympatycznych kolegów zapamiętałem Jasia Pasternaka (syn ślusarza), Przybylskiego (syn młynarza), Lasockiego (syn krawca), Wiktora Szeblę (syn rymarza), — my chłopcy ze wsi podziwialiśmy ich piękne ubranka, kołnierze czasem nawet z krawatami, krótkie spodenki z długimi pończochami albo długie spodnie jak u dorosłych, ale także ich układność i grzeczność. Z chłopców wiejskich wybili się Jan Motyka z Wolicy Ługowej, Józef Gibała z Olchowy, Adam Bartosz i Franciszek Stręk z Wolicy Piaskowej. I z tej garstki wyborowej większość nie zdołała pokonać trudności nauki gimnazjalnej, szczęśliwie ukończyli ją Motyka, później profesor gimnazjalny (nazwisko zmienił na Mirwiński) i Gibała, późniejszy radca skarbowy (nazwisko zmienione Jeziorański).

Pan Łasica bardzo starannie przerabiał z nami cały program nauki koniecznej do przyjęcia do gimnazjum; jemu zawdzięczaliśmy biegłość w opowiadaniu i w objaśnianiu przeczytanych ustępów oraz dokładną znajomość reguł gramatycznych zdobywaną zwłaszcza przy nauce języka niemieckiego. Przy ich opanowywaniu raz omal się nie potknąłem w mojej karierze życiowej. Właśnie skończyliśmy odmiany rzeczowników żeńskich, przerabialiśmy zaimki i liczebniki. Profesor egzekwował znajomość tych zdobyczy na piśmie, polecając układać z głowy zdania, w których by występowały różne formy poszczególnych części mowy. Gdy to wypadło na siedzącego przede mną słabszego w tej dziedzinie ko-

legę, szepnął mi prośbę aby mu na kartce jakiś przykład napisać i w pośpiechu, kryjąc się przed czujnym wzrokiem profesora, skrobnałem „Du hast vier Gemahlinnen und vierundzwanzig Kinder” — uważając, że są tu i liczebniki i zaimki i odmiana najtrudniejszego rzeczownika żeńskiego, świeżo przerabianego w szkole. Karteczkę tę na następnej godzinie dostał do rąk groźny katecheta ks. Niebieszczański i gdy bez trudu odkrył autora, zgromił mnie za szerzenie niemoralności wśród niewinnych kolegów. Ani winowajca ani koledzy niebardzo się zorientowali, o co ks. katechecie chodziło. Wytoczył on swoje oskarżenie przy nadchodzącej wkrótce klasyfikacji i pomimo protestu gospodarza klasy, Łasicy i dyrektora uparł się przy postawieniu winowajcy tak niskiego stopnia z nauki religii, żeby nie dopuścić oceny ogólnej ucznia, że ukończył klasę IV „z odznaczeniem”. Jednakże upór większości uratował to „odznaczenie” powołując się i na to, że wizytujący świeżo szkołę krajowy inspektor szkolny, który sam egzaminował uczniów, właśnie winowajcę wyróżniał jako najlepszego z klasy. Przyjazd inspektora był wywołany tą okolicznością, że p. Łasica jak i kilku innych kandydatów, wniósł podanie o mianowanie go kierownikiem czteroklasowej szkoły normalnej w Nisku i władza szkolna nakazała zbadanie ich kwalifikacji. Łasica został mianowany do Niska, sam go nigdy już w życiu nie widziałem, ale ojciec, który go kilka razy spotkał w następnych latach w rozjazdach po okolicznych powiatach, opowiadał mi, że za każdym razem Łasica wypytywał go o moje postępy w gimnazjum, dodając, że właśnie moim odpowiedziami na zapytania inspektora zawdzięczał pierwszeństwo przed współkonkurentami.

Szkoła w Sędziszowie według zdania mieszczan powinna była przede wszystkim służyć potrzebom miasteczka, tymczasem jako jedyna w parafii sędziszowskiej, do której przynależało 12 wsi, musiała przyjmować i kształcić dzieci ze wsi; liczniej zjawiały się one tylko z 3 wsi sąsiednich, z odleglejszych zaś zaledwie po kilkoro dzieci odbywało do niej wędrowkę. Dwie klasy najniższe, uczące się czytać pisać i najprostszych rachunków, były przepełnione; tak że większość rodziców mieszczańskich zadowalała się dorobkiem tych dwóch klas dla swoich dzieci, wystarczających, aby uniknąć zarzutu analfabetyzmu, niepiśmienności; dwie klasy wyższe 3 i 4-ta wprowadzone przed kilku laty, wraz z nazwą „szkoła normalna”, oznaczającą w systemie autriackim szkołę podstawową dla gimnazjum, gromadziły tę młodzież, dla której przewidywano dalsze kształcenie a przynajmniej posiadanie do niego warunków formalnych, przede wszystkim elementarną znajomość języka niemieckiego. Toteż do tych klas prawie nie posy-

łano dziewcząt, pozostawiając je, jak i znaczną ilość chłopców na dodatkowy rok nauki w klasie drugiej.

Moja klasa 4-ta, jako zbieranina chłopców miejskich i wiejskich ze wsi rozrzuconych i ze sobą niezżytych, nie była zwartą społecznością. Uderzało mnie, którym nawykł w swej parafii do rozmów z rówieśnikami o wyborach, księdzu Stojałowskim, ludowcach, gazetach, i usuwaniu ich czytelników od komunii, że wśród kolegów w szkole sędziszowskiej obowiązywało o tym wszystkim milczenie. A jednak byli wśród nich przychodzący z Olchwy, Sielca, Borku Wielkiego, gdzie były ogniska ruchu ludowego i chłopi politycy, których ja sam znałem nazwiska. Powoli zrozumiałem powody tego milczenia: wszystko co było wpływowe w miasteczku, odnosiło się niechętnie, a raczej wrogo, do ruchu wsi. Głównym jego przeciwnikiem był proboszcz, z tytułem kanonika, ks. Sapecki, dyktator opinii katolickiej części miasteczka. W kazaniach swoich, wygłaszanych ostrym tonem, coraz karmił i potępiał bunt szerzący się na wsi, przeciwko ustalonemu porządkowi, nie wahał się wymieniać po nazwisku pewnych wsi, a nawet pewnych osób. Najczęściej podczas tych wywodów surowym wzrokiem obrzucał grupkę młodych chłopów, na wpół z miejska ubranych, z Borku Wielkiego z ich przywódcą nazwiskiem Dyło; spuszczała oni wzrok z zakłopotaniem, ale po wyrazie ich twarzy znać było, że nie myślą ustąpić. Natomiast ogół mieszczań skupionych w kościele, kierował ku nim spojrzenia jakby wzgardliwe, solidaryzując się z kaznodzieją. Mieszczańscy sędziszowscy odczuwali swoje znaczenie polityczne właściwie podczas różnego rodzaju wyborów, kiedy, czy to w Sędziszowie czy w miasteczku powiatowym Ropczycach, oddawali głosy na listę „pańską” a w zamian za to otrzymywali np. w Radzie powiatowej jakieś miejsce dla siebie. Ogół ich jednak mało interesował się życiem politycznym kraju, a nawet powiatu; w tym względzie podporządkowywali się przywódcom, a mianowicie ks. Sapeckiemu i doktorowi Sędzielowskiemu, który jako organizator i dyrektor Kasy Zaliczkowej umiał uzależnić od siebie wszystkich potrzebujących kredytu w miasteczku i w okolicznych wsiach. Obydwaj oni byli filarami obozu konserwatywnego rządzącego Galicją; najbardziej pewnym i karnym ich narzędziem byli wyborcy Żydzi, stanowiący większość miasteczka w ordynacji opartej o wymiar podatkowy. Na czele Żydów stał dzierżawca propinacji, w gruncie rzeczy najwplywowszy człowiek w Sędziszowie, on, jak podobni jemu propinatorowie w innych miasteczkach, stale dostarczali niezawodnej grupy głosów kandydatom rządowym przy wszystkich wyborach, prowadząc za sobą inne głosy miejskie i majoryzując głosy chłopskie. Przywódca tego obo-

zu ksiądz kanonik Sapecki przy najbliższych wyborach do Parlamentu Wiedeńskiego postawił swoją kandydaturę, okazało się jednak, iż był tak niepopularny, że otrzymał stosunkowo niewielką ilość głosów. Grupa konserwatywna w Sędziszowie została rychło całkowicie podcięta, gdy jej matador dr Sędzielowski tajemniczo znikł, jak się okazało zmarnowawszy cały kapitał Kasy Zaliczkowej, rujnując wielu jej członków i klientów; znalaziono jego zwłoki w okolicy Łańcuta, gdzie miał popełnić samobójstwo.

I ja, który wyniosłem z dzieciństwa przywiązanie do kościółka parafialnego (w Czarny) i do jego nabożeństw, jak i kilku innych kolegów ze wsi, źle czuliśmy się na nabożeństwach w kościele parafialnym w Sędziszowie celebrowanych przez ks. kan. Sapeckiego lub jego wikarego, a naszego katechetę, ks. Niebieszczańskiego. Zaraz po obowiązkowym nabożeństwie przemykaliśmy się, aby się czuć dobrze i szczerze pomodlić, na sumę do klasztoru OO. Kapucynów, gdzie i mury i dekoracja kościoła wydawały się nam piękne a księża z długimi brodami sympatyczni, tym bardziej, że pamiętaliśmy o ich życzliwej bezstronności wobec przywódców ruchu ludowego, których nie wahali się dopuszczać u siebie do konfesjonału i do stołu Pańskiego w okresie szykan po parafiach okolicznych.

Nacisk polityczny wywierany na parafian wpływał z poglądów i ambicji raczej samego księdza Sapeckiego aniżeli jego zwierzchników, inaczej niż to było w diecezji tarnowskiej, w której biskupi tradycyjnie trzymali się i C.K. Rządu i partii konserwatywnej galicyjskiej. Sędziszów był ostatnią ku Zachodowi parafią diecezji przemyskiej, której pasterze biskupi, licząc się z mieszanym składem narodowościowym i wyznaniowym diecezji, oraz żywymi w niej ruchami społecznymi, unikali wewnętrznych zażargów politycznych. Pograniczne parafie diecezji tarnowskiej obfitowały w księży polityków; do takich należał dziekan kolbuszowski ks. Ruczka, częsty kandydat przy różnych wyborach, tudzież niektórzy księża powiatu ropczyckiego. Tuż prawie przed Sędziszowem widniała Góra Ropczycka, której proboszcz zazwyczaj był narzędziem hrabskich kolatorów, a gdy ostatnio klucz górski, ongiś uposażenie kasztelanii sandomierskiej, nabyty został przez hr. Alfreda Potockiego z Krzeszowic proboszcz tamtejszy odbierał inspiracje od rządcy Potockich, który ciążył także nad mieszczanami sędziszowskimi, potrzebującymi opatu, budulca itd. Najbliższa od Zachodu parafia Witkowice, której proboszcz bywał dziekanem ropczyckim a więc także zwierzchnikiem proboszcza w Czarny, była siedzibą wpływów właściciela Witkowic i kilku wsi północnych, w tym Czarny, Cierpisha, Borku Wielkiego i innych otaczających moją rodziną Rudę; hr. Józef Mi-

chałowski, najbogatszy z osiadłych w powiecie ziemian, był stałym kandydatem sfer rządzących przy każdych wyborach do Sejmu we Lwowie i parlamentu we Wiedniu; dla jego wyboru wszystkie władze powiatowe, starostwo, wydział powiatowy, urząd podatkowy itd. wywierały dokuczliwy nacisk i na wyborców i na rozrzucone pośród nich osobistości wpływowe, księży, nauczycieli i in., komitety zaś wyborcze za pośrednictwem propinatorów i szynkarzy rozwijały niesamowitą korupcję wyborczą. Mieszczanie sędziszowscy, tak jak ropczyccy i wszyscy Żydzi stanowili zwartą armię hr. Michałowskiego. Nadużycia wyborcze, stosowane przy wszelkiego rodzaju wyborach, wywoływały rozgoryczenie i poczucie krzywdy pośród chłopów, z tym większą zaciętością gotowali się do najbliższej rozprawy, ale po każdych wyborach pozostawał osad gorczy po wsiach względem mieszczan, księży, urzędników i Żydów. Dopiero w pierwszych latach nowego stulecia zaczęły się i w miasteczkach i wśród inteligencji pokazywać jednostki, które darzyły sympatią ruch ludowy i w miarę sił śpieszyły mu z pomocą. Wkrótce doszło do tego, że sami mieszczenie, nie widząc korzyści ekonomicznych ani kulturalnych z popierania obozu konserwatywnego, a skazani na codzienne współżycie z wsią, zaczęli rozumieć i cenić program, dążenia, wytrwałość i poświęcenie chłopów w budowaniu własnego ruchu politycznego i w miarę możliwości zbliżać się do niego i szukać z nim porozumienia.

DO GIMNAZJUM W RZESZOWIE

W końcu czerwca 1896 wyjechało z Sędziszowa kilka fur, wioząc do Rzeszowa kandydatów do egzaminu wstępnego do gimnazjum. Pośród nich i mnie wioził mój ojciec, obliczywszy, że koszt przejazdu koleją (21 km.) przerasta jego możliwości. Całe grono onieśmielonych chłopców zasadzono nazajutrz w sali gimnazjalnej do egzaminu pisemnego, a potem ustnego. Szło to w tempie bardzo żywym i wieczorem, zanim wynik był znany, a miał być ogłoszony następnego dnia rano, ojciec zapytał nieśmiało profesora kierującego egzaminem, czy mógłby już ze mną odjechać ze względu na daleką drogę i czy będę przyjęty do gimnazjum. Profesor uśmiechnął się życzliwie, powiedział że tak i że można nie czekać na ogłoszenie urzędowe wyniku. Odjechalśmy i dopiero przy najbliższym targu w Sędziszowie dowiedział się ojciec, że egzamin był po prostu rzezią niewiniątek dla chłopców z Sędziszowa, egzamin pomyślnie zdali tylko niektórzy

chłopcy ze wsi (6-ciu). Żałowałem, że straciłem tylu miłych kolegów, kilku z nich miało więcej szczęścia w rok później.

Ojciec, zadowolony że egzamin poszedł łatwo, martwił się jednakże z czego będzie mógł pokryć kosztu umieszczenia mnie w Rzeszowie. Już podczas mojego egzaminu poszedł na wywiad, w jakiej dzielnicy można by znaleźć niedrogą stację. Upatrzywszy sobie pewien plan, zabrał mnie w sierpniu do Rzeszowa końmi i nie dojeżdżając do miasta, w wiosce Staroniwa, na północ od stacji kolejowej tej nazwy, zagadnął przechodzącego kolejarza, czyby tu gdzie nie można tanio chłopca umieścić. Rozmówca okazał zainteresowanie i pomyślawszy oświadczył, że on gotów jest mnie wziąć do siebie. Byłby rad, żebym mógł nauczyć jego 6-cioletnią córeczkę czytać a zarazem jego samego nauczył pisać, jako piśmienny mógłby się bowiem ubiegać o lepszą posadę na kolei aniżeli praca dotychczasowa, był mianowicie przetokowym (po galicyjsku „bremzer”). Nie żąda żadnych pieniędzy a tylko pewnej ilości wiktuałów, z których żona będzie mnie żywić: raz w miesiąc ojciec miał dowozić 2 czy 3 bochenki chleba razowego, worek ziemniaków i woreczek kaszy jęczmiennej. Bieda była z chlebem bo szybko sechł, ale największa z kaszą, gdyż codziennie nią karmiony w końcu nabrałem od niej odrazy. — „Kłuje cię kasza w zęby” — żartował sobie ze mnie ojciec. Poczciwa gospodyni żona Władysława Gosia, tak się nazywał mój gospodarz, starała się mlekiem lub omastą urozmaicać monotonię strawy, zwłaszcza gdy widziała, że córeczka chętnie uczy się czytać, gospodarz niestety zbyt rzadko miał czas na ćwiczenie pisma.

Kiedy się rozpoczął nowy rok szkolny, trzeba było dwa razy dziennie odbywać bieg dwukilometrowy od mojej stacji poprzez dworzec kolejowy Rzeszów-Staroniwa i pola karczmiska na Wygnańcu do gimnazjum. Od pierwszego dnia znalazłem kompana w koledze, który mieszkał w budynku stacyjnym Staroniwa, gdzie ojciec jego był magazynierem. Kolega Rudolf Speidel, miły chłopiec ale słabych zdolności, nie mógł sobie dać rady z nauką szkolną i rodzice zapraszali mnie, aby po drodze do nich wstępować i pomagać Rudziowi w nauce. Zrobiłem to chętnie ale wpadłem w wielkie zakłopotanie, kiedy nam podano podwieczorek. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem kawę i byłem uwiedziony jej wonią. Byłem też głodny ale opanował mnie skrupuł, czy wolno mi tej kawy i smacznego ciasta domowego dotknąć: rodzina Speidlów była wyznania augsburskiego czyli luterska. Czyż wolno katolikowi przyjmować gościnę i jedzenie od lutrów? Nie miałem wyraźnego pojęcia co to jest luter, ale wiedziałem że w oczach katolika to istota bardzo zdrożna. Gdy ktoś w mojej wsi wygła-

szął gorszące poglądy, mówiono o nim, że jest gorszy od lutra. Długie wahanie się i wymawianie pokonał głód a także bardzo serdeczne zaprosiny ze strony małej siostrzyczki Rudzia, która przyniosła kawę. Wypiłem ją i odtąd — nigdy nie pogardziłem kawą w życiu.

Tak zatem 8 lat nauki, jeśli nie znajdą jakieś przeszkody, miałem spędzić w Rzeszowie. Rzeszów, wówczas niewielkie miasto, około 13.000 ludności, cieszył się wielkim autorytetem w szerokiej polaci środkowej Galicji, od Brzozowa i Korczyny na południu po Nisko i Tarnobrzeg na północy — to był zasięg napływu uczniów do tutejszego gimnazjum. Mimo powstania w XIV wieku — w kościele farnym (sprzed 1390) były grobowce Rzeszowskich, z których jeden wybrany był przez Kazimierza Wielkiego na posła do Avignonu (1363) dla uzyskania od papieża przywileju na fundację uniwersytetu w Krakowie — długo był Rzeszów mało znaczącym miasteczkiem powiatu przeworskiego na pograniczu polsko-ruskim, przynależnym do województwa ruskiego. Podniósł go i rozbudował jako miasto handlowe możny ród ziemi sandomierskiej Spytków Ligęzów; oni to w 1629 stary drewniany kościółek z cudowną Matką Boską zamienili w wielki klasztor OO. Bernardynów, oni też wybudowali zamek. Lubomirscy, odziedziczywszy Rzeszów przez ożenek, podnieśli go wydatnie. Już w 1652 otwarli kolegium Pijarów dla kształcenia młodzieży szlacheckiej i własnych synów. Pijarzy do Rzeszowa przysłali najzdolniejsze siły, gdyż tu urządzili praktyczne kształcenie pedagogiczne swych młodych księży dla całej prowincji polskiej. Tutaj też praktykował i kilka lat uczył wielki Stanisław Konarski, tu wypróbował swój pomysł Collegium Nobilium, czyniąc z Rzeszowa centrum atrakcyjne dla małopolskiej magnaterii.

Częste najazdy i grabieże wojsk saskich, szwedzkich i rosyjskich, później i konfederatów barskich, w końcu przejścia rozbiorowe, zubożyły miasto. Szkoła ocalała pod Austriakami (od 1785) jako gimnazjum 6-cioklasowe, dopiero w połowie XIX wieku podniesione do 8-klasowego za dykcji wybitnego pedagoga Euzebiusza Czerkawskiego, wkrótce głównego inspiratora Rady Szkolnej Krajowej. Pierwsza matura odbyła się w 1860.

Gimnazjum stale było pod wpływem prądów niepodległościowo-rewolucyjnych, dostarczało starszych uczniów do wszystkich ruchów powstańczych. Także mieszczaństwo rzeszowskie oddychało tą atmosferą, chlubą jego był blacharz Marcin Borelowski, dowódca oddziału w 1863.

Gimnazjum, choć słyęło z surowych wymagań i ostrej klasyfikacji, zapeęniało się synami mieszczaństwa i urzędników,

drobnych oficjalistów, nauczycieli, czasem obszarników i ruskich księży. Największą karierę zrobili z uczniów starszego pokolenia ministrowie austriacy Stanisław Madeyski i Adam Jędrzejewicz, tudzież dyrektor Banku Krajowego we Lwowie Alfred Zgórski; z lat 1880-tych Jan Kanty Steczkowski i Jerzy Michalski ministrowie skarbu wskrzeszonej Rzplitej. Z uczniów tutejszych do katedr uniwersyteckich doszli pierwsi: Maurycy Straszewski, historyk filozofii w U.J., Józef Szpilman, twórca i rektor Akad. Weterynaryjnej we Lwowie, Kamyk-Rencki znakomity internista (rozstrzelany w 1941 przez Niemców).

Języka i literatury polskiej uczył nas przez długie lata Stanisław Babiński, radny miejski, przystojny, pogodny, dobry człowiek; nic nas nie umiał nauczyć, kazał czytać z podręcznika, powtarzać i streszczać; nie był groźny w klasyfikacji, nie się „dwójami”. Ale czasem lubił się zaciąć: kol. Józef Sperling, w V kl. przy czytaniu *Odysei* w polskim przekładzie gdy natknął się na opis, jak to w polu szeregiem stały zboża stogi, zapytany co to są stogi, zawierzył koledze, który w złym humorze odburknął: „skrócone stonogi” Sperling powtórzył to z powagą i zwichnął, a może stworzył sobie karierę. Babiński zapisał mu niedostatecznie i uparł się, aby powtarzał klasę. Sperling porzucił gimnazjum i poszedł do ojcowskiej apteki, aby stąd z czasem się przenieść do Nicei, gdzie zdobył rozgłos i majątek na produkcji mebli artystycznych. W kl. VII, przystępując do poezji romantycznej, zbuntowaliśmy się przeciwko metodzie wykuwania na pamięć podręcznika, zwłaszcza, że podręcznik S. Tarnowskiego nie był pociągający. Zaproponowaliśmy profesorowi, aby się zgodził, że kolejno jeden z nas za drugim przygotowuje się i wygłosi wykład o Mickiewiczu i td. Babiński nas rozbroił, że łzami w oczach powiedział: „Moi drodzy, nie wymagajcie żebym wykladał, nie mam do tego zdolności, ale nie zapominajcie, że ja to wszystko kiedyś umiałem i przecież egzaminy uniwersyteckie pozdawałem”. Tak, nie ucząc się właściwie literatury dociągnęliśmy do końca. Profesor świadom tego, że nas niczego nie nauczył, każdemu dał pytanie, jakie mu postawi przed komisją maturalną. Wszyscy się przygotowali i matura poszła doskonale. Profesor polskiego w drugim oddziale, Jan Karol Całczyński, starszek, miał dobry sąd i znawstwo zwłaszcza języka polskiego, w wyrażeniach lapidarny i bystry, uczniami wcale się nie interesował tak że byli przekonani, że żadnego z nich nie zauważa i nie rozpoznaje. Licząc na to, kolega Podstawski, wyrwany do odpowiedzi, wstawszy grzecznie oświadczył: nie ma go w szkole panie profesorze. Za chwilę profesor zaczyna wykladać a Podstawski z czapką w reku usiłuje wyjść na stronę, na to Całczyński najspokojnie: „Posłuchaj

wykładu, Podstawski, żebyś na drugi raz nie potrzebował mówić że cię nie ma". Po skończeniu godziny koledzy zaniepokojeni poszli go spytać, co będzie z Podstawskim, czy ma zapisaną złą notę. Na to Całczyński, który ponadto uczył logiki: „Jakżeżby? Gdy on sam stwierdza, że go nie ma, byłoby z mej strony nielogiczne twierdzić, że on jest”.

Profesor matematyki i fizyki Stanisław Zabawski i wiekiem i metodą reprezentował najstarszą szkołę. Dziwak, zawsze czymś zaniepokojony, wykładał nieźle ale nie umiał sprawdzić, czy uczeń cokolwiek umie, bowiem wszyscy wtrącali się, podpowiadali i wmawiali w profesora, że kandydat zapytany przez niego wszystko wie. Nadużywano dobroci profesora. Kol. Stanisław Gnat, który całkiem nie miał głowy do matematyki, podczas pauz, przed wyjściem profesora wypisywał na tablicy jakieś zadanie pod dyktandem biegłego kolegi, a gdy profesor wszedł, Gnat podchodził do niego z prośbą, aby sprawdził, czy zadanie wypisane na tablicy jest dobrze rozwiązane. Profesor stwierdzał i wtedy wybucha ogólne poświadczenie, że to Gnat naprawdę napisał i żądanie, aby mu za to postawił dobry stopień z matematyki. Profesor się bronił, nalegał, aby Gnat tamto zmasał i nowe zadanie odrabiał, wtedy upominano się aby mu profesor to samo podyktował, i pocziwina ustępował. Do matury oczywiście przygotowane dla wszystkich pytania w czas uczniom do wiadomości podawał. W klasie VIII, niewiele przed maturą, jedna z córek prof. Zabawskiego wychodziła za mąż. Na jej ślub w kościele parafialnym poszedł chór gimnazjalny śpiewać. *Veni Creator*. Gdy profesor z kościoła przyszedł na następną lekcję, wszyscy wstali i kol. Dutkiewicz w imieniu klasy wystąpił przed katedrę i z uroczystą powagą wygłosił profesorowi powinszowanie z powodu wydania córki. „Ależ to dopiero jedna!” z ciężkim westchnieniem przerwał mu profesor.

Staruszek, przytłoczony kłopotami rodzinnymi, nie był wcale zaniedbany w swoim przedmiocie, ale tak w domu jak i w szkole dawał sobie deptać po głowie. Cieszył się jak dziecko, gdy przy nauce fizyki w kl. VI mógł nam jakąś nowość pokazać, np. gramofon: przyniósł płyty aby nagrać, co zechcemy. Stało na tym, że na życzenie kolegów deklamowałem „Ode do młodości”, którą to pamiątkę nam po latach na zjeździe zaprezentowano.

Cały ten zespół starych profesorów traktowaliśmy pobłaźliwie, na ogół lubiliśmy ich, chociażśmy się z nich podśmiewali. Na respekt zasłużyli sobie dopiero młodszy, którzy przyszli z uniwersytetów z nowoczesną wiedzą, z uzdolnieniem i zapałem pedagogicznym. Taki był np. Bolesław Grotowski, który nas w kl. VIII uczył łaciny, tj Horacego, przerabiał ody z takim zapałem

i tyle w nas wzbudził zainteresowania, że umieliśmy w każdym szczególe wyszukiwać ich piękno, nauczyliśmy się ich na pamięć i wyszukiwaliśmy najlepsze polskie tłumaczenia. Na jednej z tych lekcji zaszło drobne wydarzenie, które miało wpływ na późniejsze moje studia. Niespodzianie zjechał na wizytację, i przyszedł do naszej klasy, inspektor Rady Szkolnej Krajowej, Emanuel Dworski, groźny starszy pan, imponujący wspaniałym wzrostem i wiedzą, przed którym wszystko drżało, gdy przewodniczył co rok egzaminom maturalnym. Biegły filolog i entuzjasta kierunku klasycznego w wychowaniu, sam wyrывał uczniów. Trafił na najsłabszego w klasie, Oskara Ingwera; chłopiec to był poczciwy ale kapryśny, psuty przez bogatego stryja, handlarza drzewem, nie lubił się w ogóle uczyć. Ja byłem od paru lat jego korepetytorem i dość miałem kłopotu, aby go przymusić do uwagi. Poprzedniego dnia, tym bardziej, że wizyta inspektora była zapowiedziana, wbiłem mu w głowę każdy szczegół z ód Horacego, któreśmy prze-rabiali. Toteż Ingwer z wielką pewnością siebie tłumaczył ode przed inspektorem. Gdy Dworski zakwestionował przekład pewnego wyrwu Ignier na to: „To na pewno tak ma być” — „Skądże tak twierdzisz?” — „Bo Kot tak powiedział!” — „A któż to taki?” — Tu wtrąca się profesor Grotowski, wskazując palcem, że ten oto kolega jest korepetytorem Ingwera i z nim ody prze-rabia. Wtedy Dworski mnie zapytuje, na jakiej podstawie ja ów wyraz tak tłumaczę. Odpowiedziałem: „Jest to *vox hybrida*, jedna część z łaciny znaczy to, druga z greckiego tamto”. Na to Ingwer skwapliwie wydobywa ogromny Słownik, który on jedyny w klasie posiadał, i podlatuje do inspektora, pokazując mu odpowiedni wyraz. Dworski na to: „Istotnie! Zgoda, chociaż moim zdaniem można by to także inaczej tłumaczyć”.

Zaraz po godzinie wezwano mnie do kancelarii dyrektora. Inspektor Dworski przywitał mnie ciepło i zapytał, jakie ja studia zamierzam sobie wybrać po maturze. Odpowiedziałem, że nie jestem jeszcze zdecydowany, ale myślę o studiach prawniczych, bo mnie interesują nauki społeczne, ekonomia i socjologia, a nadto, nie mając zapewnionych środków finansowych, mógłbym zarabiać jakąś pracą biurową, co jest u prawników praktykowane. Wtedy Dworski zaczął mnie namawiać do wpisania się na wydział filozoficzny i studiowania filologii klasycznej, obiecując wszelkie poparcie. Ja się przyznałem, że mnie literatury klasyczne bardzo pociągają, ale bardziej literatura polska, na to Dworski oświadczył, że to się da połączyć, że przy studium polonistyki dobiera się filologię klasyczną jako przedmiot dodatkowy. Gdy w czerwcu pan Dworski przyjechał na maturę, sam mnie przepytował z wszystkich przedmiotów, m.in. z „Medei” Eurypidesa, którą

zgłosiłem jako prywatną lekturę, i przykazał mi, abym zaraz po przyjeździe do Lwowa zgłosił się do niego a on poprze mnie u swego przyjaciela, kuratora fundacji Towarnickich o stypendium.

Silne piętno na naszej nauce wywarli dwaj młodzi profesoro-
wie, bezpośrednio po egzaminach w U.J., przyrodnik Wilhelm de Salomon Friedberg i matematyk-fizyk, Tadeusz Łopuszański. Friedberg uczył mnie w roku swego przybycia nauki o przyrodzie w klasie I. Jemu zawdzięczałem utwierdzenie i rozwinięcie zamiłowania do botaniki, które pod wpływem ojca wyniosłem już ze wsi rodzinnej. Zaznajomiłem się z podręcznikiem Józefa Rostafińskiego i z jego kluczem do rozpoznawania roślin, zabrałem się do poszukiwania ciekawych okazów w okolicy Rzeszowa i w każdą sobotę popołudniu, kiedy byłem wolny od korepetycji, a nieraz i częściej, wyprawiałem się do różnych lasów, zrębów, moczarów itp., we wsiach na północ a jeszcze częściej na południe od Rzeszowa. Lubiłem zawsze chodzić sam. Uzbierane okazy starałem się oznaczyć na podstawie klucza i zasuszone układać według rodzin w zielniku. Podczas wakacji mogłem na to poświęcić więcej czasu. Zapał ten był największy w kl. III i IV; później wyczerpał się, gdy mnie pochłonięły nauki społeczne i historia.

Działalność prof. Friedberga w Rzeszowie przyniosła cenne owoce. W IV kl., w bursie, w małej izdebce mieszkał ze mną o rok młodszy kolega, który, popchnięty przez Friedberga, wyrósł na wybitnego botanika, Władysław Szafer, syn inżyniera z Nielca. Studium roślin pochłaniało go do tego stopnia, że małe zainteresowanie okazywał dla przedmiotów humanistycznych, nad czym ubolewał mój kolega Jakób Szypuła, przerabiający z Szaferem języki, historię itd. do samego ukończenia gimnazjum. Uczniem Szafera będzie kiedyś Witold Kulesza, mój w dzieciństwie przyjaciel, którego zapał do motyli i robaków zdołałem przesunąć ku roślinom, szczególnie w naszej okolicy — z włośczenia się po niej wyniknie kiedyś jego rozprawa o rodzinie borówkowatych. Kulesza objął katedrę botaniki na wydziale rolniczym Uniwersytetu w Poznaniu, ale dziedziczna gruźlica przecięła jego pracę w czterdziestym roku życia. Friedberg wydobywał zamiłowanie do innych działów przyrody: sam geolog i paleontolog wychował Rogalę, prof. geologii w Uniw. Poznańskim i zoologa Jana Grochmanickiego, także profesora w Poznaniu.

Najbardziej dynamicznym z młodych profesorów był Tadeusz Łopuszański, w Polsce wskrzeszonej pierwszy minister Oświaty. W mojej klasie dopiero w kl. VII uczył fizyki, ale wszyscyśmy go znali i nim się interesowali, bo tyle o nim koledzy z wszystkich klas opowiadali. Jemu chodziło nie tylko o nauczanie swego

przedmiotu, ale o podniecenie ogólnego rozwoju umysłowego ucznia. Wywoływał dyskusje na przeróżne tematy, żądając odpowiedzi bezpośrednich, starając się hodować samodzielne rozumowanie, nie zaś powtarzanie cudzego zdania. Szybko zorientowaliśmy się jak można wyzyskać ten zapał profesora, aby skrócić wykłady mechaniki, którą rozpoczął rysując na tablicy ruch punktu. Kilka kolegów się zmówiło aby wybrać temat dyskusyjny, po cichu rozdzielić między sobą rolę oponentów i przygotować wielką dyskusję. Na pierwszy ogień poszła sprawa popierania przemysłu krajowego, wówczas aktualna; profesor nie domyślił się, że zgłaszający różne argumenty dyskutanci na zimno przygotowali się do wypełnienia dyskusją przynajmniej pół godziny. Na inną lekcję wywołano dyskusję o zaletach różnych rodzajów sportu — profesor był namiętnym tenisistą i turystą — dyskusja rozwinęła się tak żarliwa, że profesor wypożyczył następną godzinę, przypadającą na naukę innego przedmiotu, a kiedy i na tej dyskusja się nie skończyła, przeniósł ją na późniejszą lekcję fizyki. Punkt na tablicy wciąż się nie ruszał, ale myśmy byli dyskusją zachwyceni.

W końcu XIX wieku gimnazja galicyjskie przechodziły kryzys braku sił profesorskich. Ogromny, nagle zaistniały, napływ młodzieży wymagał więcej niż dwukrotnej obsady profesorskiej. Wtedy Rada Szkolna Krakowa z konieczności zdecydowała się powoływać do pracy w gimnazjach kandydatów niekwalifikowanych, bez egzaminów przepisanych a często i bez odpowiednich studiów; stworzono kategorię zastępców nauczycieli, zwanych popularnie suplentami, dopuszczano także prawników, medyków i tp. oczywiście niedokończonych. Było to zarządzenie tymczasowe, w nadziei, że z każdym rokiem zwiększy się ilość nauczycieli przygotowanych, albo że wśród suplentów okażą się jednostki zdolne, które uzupełnią przepisane wymagania. W Rzeszowie, gdzie ilość młodzieży w ciągu paru lat zwiększyła się dwukrotnie, ilość suplementów była wyjątkowo wielka. Wielu z nich nie miało uzdolnienia pedagogicznego, niejeden zaś zachowaniem się swoim wywoływał śmiechy albo i zgorszenie, nie tylko wśród uczniów ale i w mieście.

NASI WYCHOWAWCY

Ożywienie się polityczne wsi w Galicji środkowej pod koniec wieku XIX wpłynęło gwałtownie na pęd do kształcenia jej synów. Najliczniej posyłały ich zamożne wsi z powiatów rzeszowskiego, łańcuckiego, strzyżowskiego, za nimi powoli i uboższe z pow.

niskiego, ropczyckiego, kolbuszowskiego, mieleckiego, tarnobrzckiego. Z ogłoszonego w 1937 spisu maturantów gimnazjum rzeszowskiego za lata 1860-1937 okazuje się, że na 2.396 maturantów — 624 było z chłopskiej chaty. Wysokość tej cyfry zawdzięcza się głównie latom 1890-tym do pierwszej wojny światowej. Za czasów Polski wskrzeszonej ilość uczniów ze wsi spadła w Rzeszowie znacznie, a po drugiej wojnie jeszcze niżej.

Pierwsze lata nauki w naszym gimnazjum upłynęły szaro i nudno. Szkoła niebardzo miała nas czym przywiązać. Profesorowie odrabiali lekcje według programu, ale nie umieli ich ożywić ani rozbudzić prawdziwego zapału do nauki. Na ogół nie byli to źli ludzie, niektórzy okazywali młodzieży dobre serce, ale ich praca była zbyt mechaniczna.

Grono nauczycielskie w tym okresie składało się z dwóch warstw. Przeważali profesorowie starzy wiekiem, bliscy emerytury, kształceni w dawnych latach wkrótce po spolszczeniu uniwersytetów krakowskiego i lwowskiego, w atmosferze depresji po powstaniu 1863 r., na drodze pedagogicznej raczej szukający chleba aniżeli służby jakimś ideałom. Bali się okazywać uczucia narodowe, chociaż je mieli, bo to było zakazane i podejrzane. Przysięgali na wierność cesarzowi, rządowi, państwu austriackiemu i wierności tej dotrzymywali, uważając, że cesarz ich płaci i zapewnia im, jak i całemu krajowi, warunki spokojnego bytu. Byli lojalistami z przekonania. Wobec Prus i Rosji wystrzegali się jakichkolwiek aluzji krytycznych: ze względu na politykę zagraniczną c.k. monarchii było to niedopuszczalne, zwłaszcza gdy ministrem spraw zagranicznych był Polak, Gołuchowski, który tym bardziej musiał dbać o opinię lojalisty wobec sąsiadów.

O Polsce mówiło się w szkole sucho. Jej historia dopuszczona jako nadobowiązkowy przedmiot historii „kraju rodzinnego” była mało pociągająca. Dochodziło do tego, iż szeptem tylko mówiono o jednym z sędziwych profesorów, że w młodości był powstańcem, on sam nigdy nie uczynił aluzji do swej buntowniczej młodości. Julian Sutowicz, suchy mały samotny staruszek, profesor historii, ongiś uczeń Szujskiego, w wykładzie unikał najmniejszej wzmianki o swej przeszłości i poglądach wyznawanych w młodości. Wykładał rzeczowo, oszczędnie w słowach i wymagał powtarzania dokładnie tej samej treści. Kiedy zmarł, szliśmy wszyscy ze wzruszeniem za trumną powstańca, ale w przemówieniach nad grobem nie wspominano ani słowem o błędzie jego młodości i nekrolog jego w Sprawozdaniu Gimn. nie odważył się o tym napomknąć.

Drugi, sędziwy profesor historii, Filip Swistun, był Rusinem, lojalno austriackim, ale zdziwiło nas, że jego najstarszy syn, ukoń-

czywszy służbę w austriackiej marynarce wojennej jako oficer, uciekł do Rosji i tam wstąpił do marynarki. W gronie profesorskim było sporo Rusinów, dopiero w r. 1900 młody suplent Michał Kruszelnicki pierwszy przyznawał się po cichu do ukraińskości, starsi byli albo li-tylko Austriakami albo — bez tej nazwy — starorusinami, czyli moskalofilami. Z nauczycieli języka niemieckiego Julian Stefanowicz był niby Austriakiem, Onufry Geciow w kilka lat później okazał się gorliwym moskalofilem i kandydatem z ich listy w Buczaczu do Parlamentu Wiedeńskiego; trzeci, profesor niemieckiego, Emanuel de Roszka, inteligentny i życzliwy młodzieży, był bukowinczykiem, mieszaniny niemieckorumuńskiej; czwarty, Ignacy Babski, był Polakiem, ale pochodzenia z Prus Zachodnich, wychowany w Niemczech, źle mówiący po polsku. Z historyków dopiero w wyższych klasach zauważyliśmy nieco nowszej atmosfery w wykładach Jakuba Forczka: z uniwersytetu krakowskiego wyniósł on bardzo krytyczny pogląd na stanowisko ugodowe historyków szkoły krakowskiej i dawał temu wyraz na każdym kroku.

Języków klasycznych uczyli trzej ze starej szkoły: Sołtysik i Bartunek, postarzali i zużyci, nieźli ludzie ale nudni, małych zdolności a obfitych dziwactw, przez młodzież nielubiani. Respekt w nas budził tylko Jan Rygiel, z olbrzymimi wąsami, najgroźniejszy z profesorów, który bezlitośnie sypał „dwóje” (noty niedostateczne) z łaciny a zwłaszcza z greki. Wymagania miał bardzo surowe, ale uczył starannie. Oficjalnie głosił patriotyzm czarno-żółty i nie dopuszczał rozmów na tematy drażliwe, jednakże zauważyliśmy, że czynił to tylko z konieczności politycznej, obarczony liczną rodziną drżał przed jakimś oskarżeniem, ale dyskretnie dawał do zrozumienia, że patrioci polscy mają rację, tylko na razie jest się bezsilnym i nie należy się narażać. Był też zaciekłym opozycjonistą plebejskim, przeciwko wszelkim „panom”, ale zalecał ostrożność i uległość.

(c.d.n.)

Stanisław KOT

STEFAN MOSSOR

Zaczynam od wyjaśnienia. Nie piszę monografii. Mój zamiar jest o wiele skromniejszy. Chcę, tylko i jedynie, przedstawić moje wrażenia z szeregu rozmów z nim, odbytych w okresie paru lat spędzonych w obozach jenieckich. Jego osoba, mało znana szerszej publiczności, odegrała dostatecznie dużą rolę, by się nią dokładnie zainteresować. Jego poczynania, cechowane wielką ambicją, okrywała tajemnica. Kim był i do czego dążył — oto pytanie na które nie znajduję odpowiedzi. W miarę rozwoju wypadków Drugiej wojny i komplikowania się sprawy polskiej, poglądy wygłaszane przez Mossora ulegały krańcowym zmianom. Które z nich odpowiadały jego rzeczywistym przekonaniom, a które stanowiły formę wallenrodyzmu? Kiedy w jego działalności przeważał patriotyzm, a kiedy egoizm i zarozumiałość? Na te pytania nie znajduję odpowiedzi.

Z ówczesnym podpułkownikiem dyplomowanym Stefanem Mossorem nie stykałem się przed wojną. Niewątpliwie było mi znane jego nazwisko i nie wiele więcej. Nie czytałem jego książki o sztuce wojennej. Poznałem go w niewoli.

Do jenieckiego obozu w Prenzlau przybyłem w połowie października 1939 r. z transportem „warszawskich kapitulantów”. Koszary zajmowane przez obóz były wypełnione po brzegi. Głód, brak możliwości zaspakajania prymitywnych potrzeb i nastrojów wzburzenia. Myśli jeńców skupiały się na klęsce i szukały winnych. Znalazły ich w osobach generałów i oficerów sztabowych. Dla wzburzonych umysłów, każdy oficer od majora wwyż był przyczyną naszej klęski. Dyskusje, kłótnie, awantury. Życie starszych oficerów z generałami Bortnowskim i Alterem na czele nie było usłane różami. Jeżeli mieli jakikolwiek mir, to zwykle

wśród grupek swoich dawnych podkomendnych. Całość młodszych oficerów podchodziła do każdego sztabowego oficera z reguły wrogo.

Na tym tle zaskoczyło mnie ustosunkowanie się obozu do Mossora. Już w pierwszym dniu, w czasie dreptania w kółko po dziedzińcu koszarowym, wskazano mi jakiegoś oficera. Wysoki, kościsty, o szerokich barach, z wstrętne brzydką twarzą goryla. „Mossor” — powiedział mi mój rozmówca półszepem. Dalej dowiedziałem się o jego wielkich talentach wojskowych, o karnym usunięciu ze stanowiska szefa sztabu armii Poznań, o nieobliczalnej stracie jaką ponieśliśmy we wrześniowej kampanii z tego tytułu. Wyraźnie otaczał Mossora nimb. W sytuacji wyżej opisanej, tak pochlebna opinia o sztabowym oficercie (o którym, jak sądzę, większość jeńców nigdy przedtem nie słyszała) nie była naturalną; musiał ją ktoś urobić. Sądzę, że zrobił to sam Mossor. Wybiegając w przód, powiem, że jego silna indywidualność odbiła swój ślad w dalszych latach na obozach w których przebywał.

Nie pamiętam, bym się z nim zetknął osobiście w okresie pobytu w Prezlau; raczej nie. Gdzieś w pierwszych miesiącach 1940 roku zapowiedziano cykl wykładów Mossora o sztuce wojennej. Zaciekawienie obozu było ogromne. Nareszcie, prawdziwy specjalista wyjaśni powody naszej klęski i odkryje tajemnicę przyszłych wypadków. Przyszłe losy wojny — o nie chodziło. Bogiem a prawdą, tłumne stawiennictwo na wykłady nie było spowodowane żądzą pogłębienia wojskowej wiedzy. Olbrzymia większość słuchaczy interesowała się odpowiedzią na dwa pytania: jak się skończy wojna i kiedy. Wytrawny wykładowca wytrzymał ich z odpowiedzią do ostatniego wykładu.

Nie będę opisywał treści wykładów. Musiałbym fantazjować, powtarzając ich treść po dwudziestu siedmiu latach. Pozostało mi jedynie najbardziej ogólne wrażenie. Zaczął od wyjaśnienia znaczenia słowa strategia. Zaznaczył, że wśród uprawiających sztukę wojenną jest wielu dobrych taktyków, sporo operatorów, ale bardzo niewiele strategów. Do tej najwyższej grupy wyraźnie zaliczył siebie. W dalszym ciągu wykładów była mowa o wysokiej wartości armii i doktryny francuskiej, o sile i znaczeniu umocnień (linia Maginot), o stosunku sił obrony do natarcia przy łamaniu umocnień, o ciężkiej artylerii i wielkim zużyciu amunicji itp. Słowem, z małymi zmianami uwzględniającymi świeżo przez nas odczuty *Blitzkrieg* — przedwojenna doktryna francuska. Zakończył cykl dobrze dobranymi mocnymi słowami o niezwykłym genjuszu francuskim, który na pewno weźmie górę. Zastrzegł się przeciwko przewidywaniom zbyt prędkiego zakończenia wojny.

Najwyższa wyrocznia orzekła. Cóż, kiedy w parę miesięcy później Francja, z jej niezwykłym geniuszem, leżała u stóp Hitlera. Zaufanie do wiedzy Mossora przechodziło ostry kryzys. Mimo powszechnego przygnębienia, dowcipy na temat jego zdolności przewidywania były powszechne. Pamiętam, w dobry rok potem, żalił mi się Mossor jak niewdzięcznych miał słuchaczy. Nie zapomniał i odciął się na długo od życia obozowego.

Zmiana przyszła z przeniesieniem naszego obozu do Neu Brandenburg. Tutaj nastąpił podział na dwie grupy. Jedna, starszych panów (niekoniecznie z tytułu wieku), osiadła w obozie barakowym. Druga, w położonych o kilkaset metrów, garażach, prowizorycznie zamienionych na pomieszczenia ludzkie. Mossor zgodził się na objęcie dowództwa „garaży” na czas organizacji obozu. Wykazał wtedy duży zmysł kierowniczy i organizacyjny. Sprawiedliwie rozdzielił stan obozu na poszczególne garaże. Jeden z garaży przeznaczył na pocztę i skład paczek; jeden na teatr i inne imprezy. Wtedy też w jednym z garaży nastąpiło zgrupowanie nauczycieli szkół powszechnych, którzy pod kierunkiem obecnych w obozie przedstawicieli ministerstwa i Związku Nauczycieli, mieli prowadzić zawodowe studia. W przyszłości miało to zgrupowanie odegrać ważną i znaczącą rolę w życiu obozu i Mossora w szczególności.

Zagrzani przez Mossora, zabrali się oficerowie do pracy i wkrótce mieliśmy możliwie znośne warunki bytu. Po zorganizowaniu obozu, pułkownik znowu odsunął się w zacisze. Organizowanie obozu dało mu jedną korzyść — zarezerwował dla siebie pokoik w garażu teatralnym. Mieszkał w nim z podporucznikiem Bąkowskim, swoim dawnym oficerem ordynansowym z 6 pułku strzelców konnych, w niewoli spełniającym rolę przyjaciela-famulusa. Tym sposobem, po wieczornym capstrzyku, kiedy jeńcom nie wolno było opuszczać pomieszczeń, był całkowicie odcięty od reszty obozu na całą noc. Jak zobaczymy, w przyszłości ułatwi mu to odosobnienie spotykanie Niemców.

W tym okresie cieszyłem się jego sympatią i pewną dozą zaufania. Wyrażnie lubił pogawędki ze mną. Sądzę, że złożyło się na to szereg przyczyn. Pierwszą były moje zainteresowania wiedzą wojskową. Pozwalało to pułkownikowi na wypowiedzanie swoich teorii do kogoś mającego z nim wspólny język, z jednoczesnym zachowaniem (tak zgodnego z jego usposobieniem) dystansu mistrza do ucznia. Ponieważ zbierałem i zestawiałem wszystkie dostępne dane o lotnictwie, przemyśle lotniczym i t.d., byłem mu pomocny w zakresie jakichś prac o charakterze mi nieznanym. Wiem jedynie, że często zwracał się do mnie o wyjaśnienia problemów lotniczych. W ciasnych możliwościach jenieckiego obozu,

podobne kreowanie mnie na eksperta stawało się smutną koniecznością. W niewoli wielu takich specjalistów rozmaitych dziedzin wyrastało ponad własne spodziewanie.

Jakkolwiek było, ceniłem sobie ogromnie te rozmowy. Były zawsze ciekawe i pouczające. W tym okresie, pułkownik był całkowicie prołondyński. Jasno widział trudności pokonania Niemiec, ale wierzył w końcowy szczęśliwy rezultat wojny. Ciekawe, że przyszłe losy naszego narodu widział i wtedy i później, jakby przez pryzmat własnej osoby. Mówiąc o sprawach ogólnych, często dodawał: mam na zachodzie trzech przyjaciół, którzy będą pamiętać o mnie — Klimeckiego, Romeykę i Kopańskiego. (Powtarzam w kolejności jakiej zawsze używał).

Nasze rozmowy i zdarzenia, o których mówię poniżej, zaczęły mi nasuwać wątpliwości, czy rzeczywiście Mossor jest tak postępowy w poglądach na wojnę za jakiego chce uchodzić. Pod jego patronatem i nadzorem, został wygłoszony cykl odczytów wojskowych. Poszczególni „specjaliści” charakteryzowali swoje bronie. Mossor w jednym, czy dwu wykładach omówił całość. O artylerii mówił kapitan dyplomowany Witold Kopytyński, ja o lotnictwie. Bez wielkiej ceremonii włączył Witold do swojego tematu lotnictwo bombowe jako „przedłużenie ognia artylerii”. Takie postawienie sprawy, w czasie kiedy lotnictwo strategiczne działało już w całej pełni, uważałem za całkowicie błędne i wprowadzające słuchaczy w błąd. Kopytyński nie chciał ustąpić i sprawa oparła się o Mossora. Ku memu zdziwieniu i oburzeniu — przysłał rację Kopytyńskiemu.

Pułkownik mówił wiele o swojej książce napisanej przed wojną o sztuce wojennej. Jego zdaniem, miała się jej treść pokrywać z przebiegiem toczących się walk. Wreszcie, po długich staraniach, udało mu się sprowadzić jej egzemplarz. Byłem jednym z nielicznych, którym dał ją do przeczytania. Zawiodła moje oczekiwania. Ani Fuller, ani Liddell Hart, ani de Gaulle z jego „Vers l’armée de métier”. W kilkuset stronicowym tomie mówiło się o broni pancernej na jednej stronicy; podobnie o lotnictwie. Lotnictwo widział autor jako pomocniczą broń służącą w pierwszym rzędzie do rozpoznania. W rozmowie z autorem zwróciłem uwagę, że rzeczywistość obecna daje zupełnie inny obraz od przedstawionego w książce. Moja uwaga nie przypadła Mossorowi do smaku. Wyjaśnił mi, że musiał ograniczać swoje opinie, bo „inaczej książki by nie wydali”. Oportunizm, czy wykręt — nie umiałem zdać sobie sprawy. Raczej myślę, że jego umysł nie był zdolny wyzwolić się z ram narzuconych mu w paryskiej Ecole Supérieure.

Wreszcie, mimo rzeczywistości wojennej zaprzeczającej jego

opiniom, wracał ciągle w rozmowach do twierdzenia, że zaistnieją takie warunki terenowe i pola walki w których czołgi będą musiały ustąpić miejsca kawalerii.

Niemcy zaatakowali Rosję. Zaistniało położenie, które wydawało się wymarzone dla polskiej sprawy. W kilka miesięcy potem, po alianckiej stronie stanęła ekonomiczna potęga Stanów Zjednoczonych. Mossor podzielał entuzjazm całego obozu, ale już wkrótce miały go najść refleksje. W miarę oszałamiających zwycięstw niemieckich w Rosji — tracił wiarę w zwycięstwo. Kiedyś, było to latem 1942 roku, spotkałem go w obozowej bibliotece. Zwrócił się do mnie: „Cóż kapitanie, przegraliśmy wojnę!” Odpowiedziałem w sensie, że na razie przegrana jest następna kampania, co nie przesądza o przegraniu wojny. Zachnął się: „Ciągle się pan łudzi”. Dodał, że przegrana wojna nie znaczy końca istnienia narodu, ale wojnę wygrały Niemcy.

W tym czasie pojawiła się w obozie dziwna postać. Niemiecki major, wygląd pocziwego grubaska, zawsze jakby z lekka podpity. Postać całkowicie odbiegająca od typu naszych „opiekunów”. Włączył się po obozie, zaczepiając oficerów i podając się za przedstawiciela wojskowego biura historycznego, proponował im pisanie wspomnień z kampanii wrześniowej. Obiecywał wszelkie ułatwienia z mapami włącznie. Jak pisałem wyżej, mieszkał Mossor w pokoiku, pustego w nocy, garażu teatralnego. Wierny Bąkowski dostał rozkaz przeniesienia się na kilka dni do innego garażu. Mossor spędzał noce bez świadków. Ale pozostały okna. Mieszkańcy sąsiednich pomieszczeń stwierdzili nocne wizyty owego majora u Mossora. Tajemnicze konferencje trwały długo w noc. Ich przypuszczalny temat wyjaśnia, przynajmniej częściowo, list Mossora przesłany tajną drogą do Londynu, datowany: 23 sierpnia 1943 r., a cytowany przez generała Stanisława Kopańskiego (*Wspomnienia Wojenne 1939-1946*; Veritas, kwiecień 1961, str. 311). Możemy przypuścić, że konferencje miały za temat memoriały Mossora dla niemieckich władz.

Nie bez kozery wysłali go Niemcy na czele delegacji jenieckiej na inspekcję grobów katyńskich. Również, nie bez powodu, przenieśli go do Oflagu VIII, gdzie próbowali urobić polskich oficerów na swoich przyjaciół. Tyle, że z typową dla nich niezdarnością polityczną, zrobili to za późno. W 1943 roku szala zwycięstwa przechyliła się wyraźnie na ich niekorzyść. Nie potrafili przytrzymać Mossora po swojej stronie. Widocznie był dostatecznie sprytny, by nie zostawić im kompromitujących dowodów. Wrócił do naszego obozu pełen oburzenia na posądzenie go o jakąkolwiek chęć kolaboracji.

Gdybym widział list (cytowany przez gen. Kopańskiego) w

1943 roku — powiedziałbym bez wahania: asekuruje się na obie strony.

Wiem z własnych ust pułkownika, jak wielkie wrażenie wywarła na nim śmierć w Gibraltarze generała Klimeckiego. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że z osobą Klimeckiego, jako szefa sztabu polskich sił zbrojnych na Zachodzie, Mossor wiązał swoje osobiste plany.

Rok 1943 był dla Mossora przełomowy. Zerwał kontakty z Niemcami, stracił w osobie zmarłego przyjaciela główne oparcie na Zachodzie. Zaczął szukać nowych dróg.

Jest rok 1944, jesteśmy w następnym obozie — Gross Born (obecne polskie Borne). Mossor szuka zbliżenia z poradzieckimi elementami w obozie.

Jak pisałem wyżej, była w obozie dobrze zorganizowana grupa nauczycieli szkół powszechnych. Jak każda zawodowa grupa łączyła ona różnorodne i o różnych politycznych przekonaniach elementy. Spajały je wspólne potrzeby profesjonalne. Natomiast ich kierownictwo było jednolite, charakterystyczne dla przedwojennego związku nauczycielstwa. Od początku zaistnienia grupy, jej kierownictwo zwano w obozie „jaczeką”. W jakim duchu odbywały się wykłady w ich garażu po wieczornym odseparowaniu — można się było jedynie domyślać. Nauczyciele zachowywali milczenie, bez różnicy ich politycznych przekonań. Kierownicy zachowywali się bardzo poprawnie z zachowaniem całej wojskowej etykiety. Szerszą działalność zaczęli przejawiać po zdecydowanym przechyleniu się losów wojny na korzyść Rosji. Mieli także niewątpliwe kontakty z sąsiadującymi z nami jeńcami sowieckimi.

Do tego odłamu zbliżył się Mossor.

Istniała w obozach inna organizacja o ściśle tajnym charakterze. W Gross Born jej rozwój datuje się na 1944 rok. Powiązana z Armią Krajową, miała dwa główne cele: opanowanie broni i działanie na tyłach rozpadających się armii niemieckich, oraz samoobrona w wypadku, gdyby Niemcy chcieli „likwidować” obóz. Jakkolwiek obecnie podobne plany wydają się nam koszmarem, w 1944 roku były rozpracowywane całkiem poważnie. Zapłacił za nie życiem inny wybitny oficer pułkownik dypl. Witold Morawski, nasz komendant obozu, i paru oficerów.

Tworzyłem z podpułkownikiem dypl. Aleksandrowiczem i kpt. dypl. Zientkowskim „oddział operacyjny” sztabu organizacji. Na kwaterze Morawskiego składaliśmy przy świecach specjalną przysięgę na krucyfiks. Mossor zajmował w organizacji czynną pozycję. Bodaj był szefem sztabu, lub zastępcą komendanta — nie mogę sobie przypomnieć. Po pewnym czasie dano mi znać, że Mossor do organizacji już nie należy.

W międzyczasie zadał mi konkretne pytanie, które w poprzedzających latach zadawał mi często w formie sondowania opinii. Mianowicie, jeżeli zajmiemy pobliskie lotnisko, czy możliwy jest start na znalezionych tam samolotach i ile czasu będą wymagać przygotowania. Po radzie z kolegami, zameldowałem mu, że mam kolegów pilotów, którzy nawet obecnie po kilku latach nie latania, potrafią opanować nowy i nieznany sprzęt. Że zapoznanie się z instalacjami samolotu, sprawdzenie jego gotowości do lotu (jak zbiorniki etc.), zapuszczenie silników — wymagać będzie paru, może kilku godzin. Wreszcie podkreśliłem, że podobna eskapada będzie połączona z dużym ryzykiem. Pułkownik, w imieniu organizacji, zastrzegł do swojej dyspozycji dwa miejsca w pierwszym odlatującym samolocie (on i Bąkowski?).

W Gross Born istniała grupa dwudziestu, czy trzydziestu młodych oficerów pracujących od miesięcy przy budowie podkopu wyprowadzającego z obozu, pod torem kolejowym, w pola. Była to gigantyczna organizacja. O jej rozmiarach niech świadczy fakt, że dla potrzeb podkopu powstała „spółka handlu drzewem”. W obozie stale brakowało nam opału. Kilku przedsiębiorczych oficerów robiło wyprawy na wszelkiego rodzaju drewniane instalacje niemieckie. Szczytem było rozebranie jednej z bram obozowych. Drzewo było sprzedawane jeńcom, lub nawet rozdawane hojną dłońią przyjaciółom. Żyłka sportowa. Ogół nie domyślał się, że te sportowe wyczyny miały na celu zaopatrywanie tunelu w niezbędne drzewo do szalowania.

Tunel był już wykończony, zaopatrzony w światło elektryczne, pompy powietrzne i tp., kiedy Mossor położył rękę na całą sprawę. W imieniu organizacji (do której, jak mi wiadomo, już nie należał) zastrzegł użycie tunelu w czasie podanym przez niego. Bez rozkazu tunelu użyć nie wolno (oczywiście zostałby zdekonspirowany). Zastrzegł dwa miejsca w pierwszej grupie uciekinierów (on i Bąkowski?).

W końcu roku front sowiecki zbliżył się niebezpiecznie. Gross Born znalazł się w strefie przyfrontowej. Niemcy zapowiedzieli ewakuację obozu. Tym razem nie było mowy o transporcie. Zapowiedziano nam, i obietnicy ściśle dotrzymano, że ruszymy pieszo z bagażem jaki zdołamy unieść na plecach. Maszerujemy w nieznane.

W obozie nastąpił ruch. Większość była zdecydowana na marsz. Sowiecka niewola i jakiś nowy Starobielsk nie były nęcącą propozycją. Marsz na zachód obiecywał połączenie z naszymi Siłami Zbrojnymi. Szyto plecaki, budowano saneczki. Z bólem serca dzielono dobytek na dwie kupki: „zabieram”, „zostawiam”.

Inna grupa zdecydowała uniknąć marszu i zostać w nadziei

szybszego powrotu do kraju. Jak się okazało Niemcy nie sprzeciwiali się pozostaniu. Potraktowali odmowę wymarszu, bez względu na jej motywy, z całkowitą obojętnością. Kto chciał — pozostał. Do grupy zdecydowanej na pozostanie należał Mossor. Wiem, że znowu użył imienia „organizacji” nakazując szeregowi młodych oficerów-pistoletów pozostanie z nim. Czy przedstawił im jakieś konspiracyjne miraży — nie wiem.

Z takich, czy innych powodów zostało w obozie około 1200 jeńców, co stanowiło 25% całości. Pamiętam, w ostatnich dniach, w styczniu 1945 roku spotkałem Mossora. Zapytał czy zostaje. Na moją przeczącą odpowiedź machnął ręką i poszedł dalej. Zdaje mi się — była to nasza ostatnia rozmowa. Wtedy stał już całkowicie po stronie Ludowej.

Dalsze losy Mossora doszły mnie w formie zaledwie okrucichów. Powtórzę je w skrócie. Oswobodzenie przez oddziały I-szej armii Ludowego Wojska Polskiego. Generał, zastępca szefa sztabu LWP. Dowódca ekspedycji karnej zwalczającej ukraińskich partyzantów. Z kolei — aresztowanie. Po 1956 roku zwolnienie z więzienia — powód zwolnienia szablonowy: skazany z fałszywego oskarżenia. Zrujnowane zdrowie — śmierć.

Osobistość Mossora była zbyt silna, by nie zostawić w mojej pamięci trwałego wrażenia. Często i dużo myślałem o nim. Chciałem rozplątać jego zagadkę. Zrezygnowałem. Człowiek o takiej sile charakteru nie mógł zmieniać tak często i tak krańcowo swoich przekonań. Więc w jednym wypadku był szczery, a w pozostałych grał rolę?

Może jestem bliski prawdy sądząc, że kierunki jego postępowania wytyczały cechy jego charakteru. Egoizm i szalona zarozumiałość łączyły się w jedno z patriotyzmem. Widział zbawienie polskiej sprawy jedynie tam, gdzie jego osoba miała szanse zajęcia kierowniczego stanowiska. I wierzę, że w tym pojęciu był szczery.

Istnieje jeszcze jedna możliwość: mógł Mossor działać zgodnie z instrukcjami takiego, czy innego naszego podziemia. W tej sprawie nic powiedzieć nie mogę.

Spisałem własne spostrzeżenia. Niektóre podałem w formie brutalnej. Inne, uwzględniając współczynnik konspiracji, mogą być niesprawiedliwe. Pisałem tak jak widziałem i jak widzę. Tylko zestawienie szeregu podobnych wypowiedzi może nas zbliżyć do poznania prawdy. Na razie pozostaje zagadka — tajemnica Stefana Mossora.

Tadeusz NOWACKI

Wellington, N.Z.
20 maja 1967 r.

WSPOMNIENIA OFICERA DRUGIEJ GRUPY (DOK.)

Bodaj że nazajutrz nastąpił odjazd pierwszego eszelonu z Jangi-Jul. Na stacji Wrewska ja stał długi pociąg złożony z wagonów 3-ej klasy oraz towarowych, tzw. ciepłuszek, oficjalnie przeznaczonych do przewozu do 40-stu osób każdy. Wagony 3-ej klasy były dla oficerów, szeregowych i ochotniczek z dowództwa, a towarowe dla cywilów. Załadowaniem zawiadywał rotmistrz Kiedacz. Podszedłem do niego i prosiłem o danie mi miejsca w jednym z wagonów 3-ej klasy, tłumacząc, że aczkolwiek mam dokument jako osoba cywilna, odjeżdżająca z wojskiem, ale w rzeczywistości jestem prawie już od miesiąca przyjęty do P.S.Z. Okazałem dokument Kaczkowskiego i zaświadczony wyciąg z rozkazu. Rtm. Kiedacz powiedział mi tonem apodyktycznym, że o przyjęciu mnie do wojska on, rotmistrz Kiedacz, nie był powiadomiony, że okazany mu wyciąg z rozkazu nic go nie obchodzi i że mam siadać do jednej z ciepłuszek. Na moje dalsze tłumaczenie, że jestem jednak w mundurze i przyjęty do P.S.Z., rotmistrz Kiedacz wrzasnął:

— Pan pułkownik niech odmaszeruje!

Po czym odwrócił się ode mnie i odszedł.

Dowiedziałem się, iż przełożonym grupy oficerskiej eszelonu był płk. dypl. dr Künstler. Odszukałem go na peronie i prosiłem go, po okazaniu mu tych samych dokumentów co rtm. Kiedaczowi, o pozwolenie zajęcia miejsca w wagonie z oficerami, gdzie, nawiasem mówiąc, było dość przestronno.

— Na doręczonej mi liście oficerów, jadących pod moją komendą, nie ma pana pułkownika, więc nie mogę dać mu miejsca wśród oficerów.

Byłem oburzony. To mówił młodszy ode mnie starszeństwem

pułkownik, który w Warszawie w ciągu paru lat był razem ze mną w składzie sądu honorowego dla oficerów sztabowych Ministerstwa Spraw Wojskowych. Na ponowną moją prośbę o pozwole nie na jazdę razem z oficerami płk. Künstler znowu mi odmówił i odrzekł:

— Jeżeli się panu pułkownikowi nie podoba, to może się pan na mnie skarżyć.

— Jak będę chciał się skarżyć, to zrobię to bez porady pana pułkownika — odparłem.

Tak odbijało się na moją niekorzyść niewykonanie przed około miesiącem wydanego rozkazu o przyjęciu mnie do wojska.

Z konieczności musiałem wejść do jednej z ciepłuszek. Była, jak i pozostałe, przepełniona. W ciepłuszkach nie było ani nar ani jakichś ławek. Siedzieć można było tylko na własnym bagażu. O leżeniu nie było mowy z braku miejsca. Zapełniające ciepłuszkę niewiasty wystąpiły do mnie z pretensją, że zajmuję miejsce i zwiększam i tak nieznośną ciasnotę, gdy jestem w mundurze oficerskim i powinienem jechać z oficerami. Musiałem wytłumaczyć, dlaczego zostałem zmuszony zająć miejsce w ciepłuszcze. Noc spędziłem niewygodnie siedząc i usiłując drzemać. Nazajutrz na dłuższych postojach na stacjach poczęli do ciepłuszki przychodzić oficerowie, mężowie jadących w ciepłuszcze niewiast. Zainteresowali się moją obecnością i obiecali poruszyć sprawę mojego przejścia do wagonu oficerskiego. Istotnie na jednym z dłuższych postojów przyszedł podpułkownik dyplomowany, którego nazwiska nie pamiętam, i wezwał mnie do przejścia do wagonu oficerskiego.

— A co powie na to płk Künstler wobec jego kategorycznej odmowy wpuszczenia mnie do wagonu oficerskiego? — zapytałem.

— Z płk. Künstlerem sprawa jest załatwiona. Obiecał, że nie będzie zwracał uwagi na pańską jazdę w wagonie oficerskim — odpowiedział podpułkownik.

Przeszedłem do wagonu oficerskiego. Przyjęto mnie tam serdecznie. Dano mi dolną ławkę (miejsce leżące), zaopatrzone mnie obficie w konserwy. Mieszczący się na przeciwległej ławce pułkownik saperów Gorczyński powiedział mi:

— Byliśmy wszyscy oburzeni stosunkiem do pana pułkownika.

Celem naszej jazdy był Krasnowodsk na brzegu morza Kaspijskiego, skąd okrętem mieliśmy popłynąć do Iranu. Jazda pociągiem trwała, zdaje mi się, cztery dni. W pociągu jechał też członek grupy aktorskiej Konrad Tom. Opowiedział mi o przeżyciach w Rosji. W czasie okupacji Lwowa przez bolszewików grupie aktorów i aktorek rewiowych, którzy się tam znaleźli, a w której mieli być, oprócz Toma, Lawiński, Krukowski, Ordonówna,

Terne i inni, bolszewicy zaproponowali przyjęcie paszportów sowieckich i występy teatralne w Sowietach. W razie braku zgody aktorom groziło zesłanie lub może nawet zamknięcie w łagrach. Wedle opowiadania Toma ktoś z grupy udał się do znanego adwokata lwowskiego dr. Lejba Landaua o poradę, jak się zachować względem otrzymanej propozycji. Adwokat miał powiedzieć, że należy skorzystać z propozycji, bo jeżeli po wojnie państwo polskie będzie istniało, to z pewnością dla aktorów będzie możliwy powrót do swoich domów, a jeżeli Polski, jako państwa, nie będzie, to aktorzy będą mieli sprawę swojego dalszego bytowania już uregulowaną. Ale aby uniknąć jakichś trudności w razie istnienia po wojnie państwa polskiego. Landau radził, żeby aktorzy w swych przyszłych występach unikali wyszydzania Polski. Aktorka brać usłuchała rady adwokata i uzyskała możliwość wygodnego objazdu miast rosyjskich i dawania tam przedstawień rewiowych, które cieszyły się powodzeniem. Po układzie polsko-rosyjskim w 1941 r. i po dowiedzeniu się, iż tworzy się w Związku Sowieckim wojsko polskie, aktorzy i aktorki pojechali do miejscowości, gdzie odbywało się przyjmowanie Polaków do wojska polskiego, zgłosili się u majora Serafina, który był na czele komendy uzupełnień, złożyli mu swoje sowieckie paszporty i wstąpili do wojska polskiego. Tam zorganizowali trupę i dawali przedstawienia dla wojska. Wówczas w wojsku polskim wprowadzono instytucję urzędników wojskowych i Tom został odpowiednikiem majora, nosząc ustanowione dla urzędników dystynkcje.

W taki to sposób ultra oportunistyczne stanowisko w stosunku do przyjęcia obywatelstwa sowieckiego dało możliwość owej braci aktorskiej znośnego przetrwania ciężkiego okresu po inwazji bolszewickiej do Polski i aż do układu polsko-sowieckiego w 1941 r. i szczęśliwego powrotu do swoich rodaków.

Zbliżaliśmy się do Krasnowodska. Jako nie figurujący na liście oficerów musiałem wrócić do ciepłuszki, aby wysiąść w Krasnowodsku jako osoba cywilna, aczkolwiek w mundur odziana. Po ciąg zatrzymano w odległości około 5 kilometrów od stacji Krasnowodsk i kazano nam wysiadać na polu. Opuściliśmy wagony i sowieccy funkcjonariusze poczęli przeglądać nasze bagaże. Przed opuszczeniem Jangi-Jul czytaliśmy wywieszone w dowództwie ostrzeżenie, że zabrania się wyjeżdżającym do Iranu wywozić walutę sowiecką i jakiekolwiek dokumenty wydane przez władze sowieckie. Za naruszenie tego zakazu grożono wyłączeniem z pośród wyjeżdżających i 10-letnim zamknięciem w sowieckim więzieniu. Toteż sowieccy funkcjonariusze, rewidujący nasze bagaże, żądali oddawania im sowieckiej waluty i sowieckich dokumentów. Obawiając się tak dobrze nam znanej sowieckiej rewizji

osobistej, oddawaliśmy sowiecką walutę i sowieckie dokumenty. Oddawane pieniądze (były to przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, banknoty) wprost wrzucano do worka, nie licząc ich i nie wydając żadnych pokwitowań. Ja oddałem około 2000 rubli, mając niewiele wydane z 1500 rubli, przysłanych mi do Konguru przez Kota i z 500 rubli wypłaconych mi na zlecenie gen. Andersa. Oddałem także dokumenty, jak zaświadczenie o zastosowaniu do mnie amnestii i pokwitowanie na odebrany ode mnie jeszcze w smoleńskim więzieniu srebrny zegarek firmy H. Moser z chromową bransoletą.

Wojskowi i cywilni usadowili się na polu obok linii kolejowej. Z początku mieli nadzieję, że przybędą wagony kolejowe i zabiorą ich do stacji kolejowej Krasnowodsk. Ale nadzieja zawiodła. Wówczas wojskowi i cywile, grupami po kilka lub kilkanaście osób, niosąc tyle ze swego bagażu, ile mieli siły unieść, pomaszzerowali w stronę stacji. Sporo bagażu musiano po prostu pozostawić na polu. Ale dążenie do wydostania się ze Związku Sowieckiego było tak mocnie, że godzono się z utratą części swego mienia.

Byłem tak wyczerpany, iż nie próbowałem pieszej wycieczki na stację. W pobliżu linii kolejowej było kilka domów. Do jednego z nich, mieszczącego jakieś biuro, przyjeżdżał od strony stacji ciężarowy samochód z kierowcami polskimi żołnierzami, którzy zabierali jakieś paki, i wracali do Krasnowodska, aby ponownie przybyć po dalsze paki. Rozmówiłem się z kierowcami i prosiłem ich o zabranie mnie do Krasnowodska. Chętnie zgodzili się i wkrótce z nimi pojechałem. Dowieźli mnie w Krasnowodsku do przystani, której teren otaczały kraty oddzielające przystań od ulicy. Załadowanie na statek miało nastąpić dopiero nazajutrz i dopiero nazajutrz miała być otwarta brama i umożliwione wejście na teren przystani. Na asfaltowym chodniku obok bramy do portu przespałem noc. Rankiem po otwarciu bramy dostałem się na obszerny plac przystani. Tam w jednej części placu zgrupowali się wojskowi, w drugiej cywile. Ja musiałem stanąć w grupie cywilów, bo byłem na ich liście. Po dłuższym oczekiwaniu rozpoczęło się przepuszczanie na pokład statku „Zdanow”, na którym mieliśmy popłynąć do Iranu. Gdy wraz z cywilami wszedłem na pomost, prowadzący na pokład statku, podbiegł do mnie oficer NKWD i powiedział, że ja, jako oficer, mogę wejść na statek tylko razem z oficerami. Począłem wyjaśniać enkawudziście, że jestem w mundurze jako oficer w stanie spoczynku, że nie jestem w wojsku i wyjeżdżam jako osoba cywilna. Mimo to enkawudzista chciał mnie zatrzymać. W tej krytycznej chwili zbliżył się major polskiej żandarmerii polowej i zaczął coś

klarować enkawudziście. Ostatecznie pozwolono mi wejść na pokład statku. Można sobie wyobrazić, z jaką ulgą odetchnąłem.

Parostatek „Żdanow” był to stary kalosz, krążący pomiędzy portami morza Kaspijskiego. Nie przypominam sobie, czy były na nim kajuty dla pasażerów, ale wiem, że my wszyscy byliśmy umieszczeni na dwóch pokładach — dolnym i górnym, siedząc na bagażach i śpiąc — jedną noc — na podłodze pokładowej. Ja znalazłem sobie miejsce pod schodami, prowadzącymi na górny pokład. To miejsce było uprzywilejowane, bo miałem nad sobą przykrycie w razie deszczu. Szczególnie źle było na „Żdanowie” z ustępami. Istniały one w postaci budek wysuniętych poza burtę statku, aby ułatwiać się wprost do morza. Do tych budek prowadziły kładki. Takich budek było kilka i ciągle stały przed nimi długie kolejki osób. Wyżywienia było dosyć w postaci konserw. Podróż trwała około doby. Pogoda nam sprzyjała — nie było ani deszczu, ani wiatru, ani kołysania.

Kiedy zbliżyliśmy się do irańskiej przystani w Pahlewi, było to 18 sierpnia 1942 r., powitała nas orkiestra, która odegrała hymny sowiecki i perski. Wyładowywano nas nie od razu na brzeg, lecz na przycumowaną do brzegu ogromną barkę, posiadającą pokład i pod nim dolne pomieszczenie, do którego schodziło się po schodach. Cywilów, a z nimi mnie, skierowano do owej podpokładowej części barki. Było tam ciasno i duszno. Ale już po kilku minutach zgłosił się jakiś polski oficer i wezwał mnie do wyjścia na górę. Tam usiadłem na długiej ławie, stojącej na brzegu przystani i zajętej przez oficerów. Wdałem się w rozmowę z moim sąsiadem, młodym podporucznikiem czy porucznikiem. Opowiedziałem mu o mojej dziwnej sytuacji oficera, którego oddział — rezerwa oficerska — ma przybyć z Guzaru dopiero za parę dni, i że to czyni mnie wiszącym organizacyjnie jakby w powietrzu. Młody oficer oświadczył mi, iż jest dowódcą pułkowej komendy chemicznej (tak, zdaje mi się, miała się nazywać) i że miał on w kraju wiele do czynienia ze sprawą obrony przeciwlotniczo-gazowej. Dowiedziawszy się ode mnie, iż byłem wiceprezesem warszawskiego okręgu stołecznego i członkiem zarządu głównego Ligi Obrony Przeciwgazowej i Przeciwlotniczej, oficer bardzo serdecznie ustosunkował się do mnie i zaproponował mi, abym do czasu przybycia do Pahlewi rezerwy oficerskiej przyłączył się do jego oddziału, gdzie będę miał zapewnione wszystkie możliwe wygody. Oczywiście skwapliwie zgodziłem się.

Wyszliśmy poza obręb przedmieścia, szliśmy brzegiem morza Kaspijskiego. Kilka kilometrów za miastem zaczęły się położone blisko brzegu morskiego obozy dla nas. Obozy składały się z ma-

łych namiotów. Było obozów cztery czy nawet sześć. Pierwsze dwa obozy były „brudne”, następne — „czyste”. Brudne obozy były przeznaczone do przebycia parodniowej jakby kwarantanny. W następnych rozmieszczono oddzielnie cywilów i oddzielnie wojskowych.

Komenda chemiczna otrzymała parę namiotów i w jednym z nich razem z dowódcą i podoficerami ja się ulokowałem. Po paru dniach przybyła rezerwa oficerska z komendantem pułkownikiem Safarem na czele. Zameldowałem się u płk. Safara i zostałem wcielony do rezerwy oficerskiej. Rezerwa składała się z kilkunastu oficerów. Zajmowaliśmy kilkumetrowy pas w przedniej linii obozu. Namiotów nie mieliśmy. Siedzieliśmy i nocowaliśmy na piasku wybrzeża. Było wtedy bardzo ciepło. O jakieś 30-40 metrów od nas był brzeg morza.

Codziennie otrzymywaliśmy racje chleba, sera i daktyli. Poza tym w obozie była kuchnia, w której gotowano dla nas ciepłą strawę. Kucharzami byli nasi szeregowi. Dla uproszczenia sobie pracy gotowali codziennie zupę, w której pływały kawałki baraniny z obfitym tłuszczem. Uprzykrzyło się nam to jedzenie szybko i, o ile to było możliwe, unikaliśmy korzystania z owej zupy. Dla siebie i dla paru podoficerów z komendy obozu kucharze gotowali oddzielnie zupę i oddzielnie danie mięsne. Na czele obozu stał komendant, który miał do pomocy paru oficerów. Wkrótce po przybyciu do obozu my, oficerowie rezerwy oficerskiej, zaczęliśmy dostawać co dekadę zaliczkę na pobory w walucie perskiej, mniej więcej równoważącą paru funtów.

W obozie zapytywano nas, dokąd chcielibyśmy jechać, dając do wyboru Teheran, Palestynę lub Aleksandrię w Egipcie.

Po sześciotygodniowym pobycie w obozie w Pahlewi wyjechałem ciężarowym samochodem z tą częścią członków rezerwy oficerskiej, która podobnie jak ja, wybrała Palestynę. Ponieważ płk. Safar zdecydował się na Teheran, więc w grupie oficerów, jadących do Palestyny ja, jako najstarszy, objąłem obowiązki komendanta tej grupy. Jechaliśmy przez Iran do Iraku.

Po przejechaniu Iranu wkroczyliśmy na teren Iraku i znaleźliśmy się w bliskim od granicy irano-irackiej miasteczku Khanakinie. W pobliżu miasteczka był obóz wojskowy. Przybyliśmy tam wieczorem. Obóz nie miał oświetlenia. Znaleźliśmy komendanta placu mjr. Kijowskiego i poprosili o zakwaterowanie nas. Mjr. Kijowski powiedział, iż po ciemku trudno mu dać nam namiot, ale że właśnie wyjechał na urlop płk. dypl. Morozewicz, więc będziemy mogli przenoćować w jego namiocie, a jutro nas ulokuje inaczej. Wskazał nam drogę i dokładnie podał, jak mamy trafić do namiotu. Poszliśmy wedle wskazówek mjr. Kijowskiego,

od którego dowiedzieliśmy się, że komendantem obozu jest płk. dypl. Koc. Ktoś z kolegów zakomunikował nam, że jest tu, według jego wiadomości, zastępca komendanta, podpułkownik, znany ze swej surowości. Po drodze do namiotu płk. Morozewicza byliśmy zatrzymani przez podpułkownika i ktoś z kolegów szepnął, że to jest właśnie zastępca komendanta.

— Kto panowie są i dokąd idą? — zapytał podpułkownik.

Zameldowałem mu się jako przybyły z Pahlewi p. o. komendanta rezerwy oficerskiej, wymienilem swoje nazwisko i stopień i dodałem, iż rezerwa składa się z 7 oficerów sztabowych i 11 oficerów młodszych, oraz wyjaśniłem, że na polecenie mjr. Kijowskiego idziemy na nocleg do namiotu płk. dypl. Morozewicza.

— Namiotu płk. Morozewicza nie można zajmować, bo tam są jego rzeczy, mogłoby co zginąć i miałby pretensję.

Oburzyło mnie takie oświadczenie podpułkownika i myśląc, że może niedość uważnie wysłuchał mojego meldunku i w ciemności nie rozeznał moich i kolegów stopni, które były widoczne tylko z naramienników, bo na głowie mieliśmy przydzielone wtedy wojsku kapelusze, powtórzyłem bardzo głośno mój meldunek i z taką intonacją, żeby podpułkownik zrozumiał, że jego obawa o rzeczy płk. Morowicza była wypowiedziana nie pod właściwym adresem. Przy tym podsunąłem mu jedno ramię tak, aby dobrze widział dystynkcje pułkownika. Podpułkownik widocznie się zreflektował, lecz oznajmił, że wyda zarządzenie o przydzielenie nam namiotu i że mamy zaczekać. Wkrótce dano nam mały namiot, nie oficerski, gdzie po dwóch stronach, po dziewięciu na każdej stronie, położyliśmy się na nocleg. Po upływie paru dni przeniesiono nas do dużych oficerskich namiotów z łózkami. W obozie w Khanakinie spędziliśmy parę tygodni. Otrzymaliśmy tam resztę należnych nam poborów, na które poprzednio dostawaliśmy zaliczki. Stałem się posiadaczem kilkunastu funtów. W promieniu kilkunastu kilometrów od naszego obozu były obozy innych oddziałów wojska przybyłych ze Związku Sowieckiego oraz obóz batalionu saperów z Palestyny pod dowództwem płk. Ciborowskiego.

Komendant obozu płk. dypl. Koc ogłosił nam, to jest rezerwie oficerskiej, było to w październiku 1942 r., że zostaniemy wkrótce zredukowani, przy czym oficerowie, którzy przekroczyli 60 lat wieku, będą zwolnieni z wojska i oddani pod opiekę delegatów Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, co nastąpi z dniem 1 grudnia 1942 r. Perspektywa dla takich, jak ja, przedstawiała się niewesoła, bo groziło przejście na zasiłek uchodźczy, który wynosił 8 funtów miesięcznie. Ci z uchodźców, którzy już jakiś czas byli na takim zasiłku, myślę tu o uchodźcach, przeby-

wających w Palestynie, zdołali jakoś się urządzić, uzyskawszy lokale po niskiej cenie, która nie ulegała podwyżce. Teraz zaś, jak doszły nas wiadomości, w Tel-Aviv'ie bardzo trudno znaleźć pokój umeblowany i cena samego tylko pokoju wynosi od sześciu funtów miesięcznie wzwyż. Trzeba było działać. Udało mi się wyjaśnić, że rozkaz o zwolnieniu z wojska oficerów w wieku ponad 60 lat był oparty na przepisie o granicy wieku do pozostawania w wojsku, a z całkowitym przeoczeniem późniejszego przepisu, który zniósł to ograniczenie. Wniosłem odpowiedni meldunek na piśmie do dowództwa armii polskiej na Wschodzie i pojechałem do sztabu tej armii w Kizil-Ribat. Tam zameldowałem się u szefa oddziału personalnego płk. Dzwonkowskiego i ustnie starałem się poprzeć mój meldunek. Płk. Dzwonkowski oświadczył mi, że wydaje mu się, iż słuszność jest po mojej stronie, że istotnie przeoczono przepis, na który ja się powołałem i że cała ta sprawa została odesłana do Londynu z prośbą o rozstrzygnięcie.

Wkrótce wyjechałem z szeregiem kolegów z rezerwy oficerskiej z Khanakinu do Tel-Aviv'u. W kancelarii obozu w Khana-kinie wydano nam odpowiednie dokumenty.

10 listopada 1942 r. przybyłem do Tel-Aviv'u. Zatrzymałem się w małym hoteliku „Eden” i nazajutrz rano pojechałem do rzymsko-katolickiego kościoła w Jaffie, gdzie, jak mnie poinformowano, odbywają się dla Polaków w dniu ich uroczystości nabożeństwa. Przed kościołem spotkałem dwóch znajomych z Warszawy — gen. dr. Jakuba Krzemieńskiego i wojewodę Bronisława Nakoniecznikow-Klukowskiego.

Okazało się, że w Tel-Aviv'ie ceny na pokoje umeblowane i wyżywienie są niewspółmiernie wysokie w stosunku do zapomóg 8-funtowych, jakie wypłacano miesięcznie polskim uchodźcom. Z takiej zapomogi miałem korzystać od 1 grudnia 1942 r. Zdawałem sobie sprawę, że mój niewielki kapitalik, który posiadałem wskutek wypłaty w Iraku poprzednio tylko zaliczkowanych poborów, szybko się wyczerpie, skoro przejdę na zasiłek 8-funtowy. Nie mając wiadomości o losie wszczętej przeze mnie i moich kolegów sprawy zwolnienia nas z wojska, w dniu 23 listopada 1942 r. wniosłem do przełożonej władzy wojskowej memoriał.

Sprawa przeze mnie dwukrotnie poruszona została w Londynie nader szybko dla mnie i moich kolegów, którzy o całej mojej akcji nawet nie wiedzieli, rozstrzygnięta i to przed jeszcze otrzymaniem mojego powyższego memoriału, a na skutek mojego pierwszego meldunku i skierowania przez dowództwo armii polskiej na Wschodzie wynikłego zagadnienia do Londynu.

Oto rozkaz personalny Nr 13 dowództwa armii polskiej na

Bliskim Wschodzie z dnia 28 listopada 1942 r., punkt IV, głosił: Na podstawie zarządzenia telegraficznego Naczelnego Wodza 1.9132 z dnia 19 listopada 1942 r. zmienia się rozkazy przekazujące oficerów pod opiekę Delegata Min. Pracy i Opieki Społecznej o tyle, że niżej wymienieni oficerowie zostają przeniesieni w stan nieczynny na 3 lata:

2. płk. w st. sp. aud. Lubodziecki Stanisław 1879 z dn. 1. XII. 1942.

Wymienionym wyżej oficerom należy się od daty przeniesienia ich w stan nieczynny uposażenie zmniejszone”.

W ten sposób zostałem oficerem tak zwanej drugiej grupy i pozostawałem w tym stanie, przedłużanym kilkakrotnie po upływie każdych trzech lat do przejścia w 1948 r. do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia w Londynie.

W hotelu „Eden” mieszkalem niedługo. Przy pomocy płk. Nakoniecznikowa-Klukowskiego znalazłem pokój w tym samym mieszkaniu, gdzie państwo Klukowscy od dawna byli lokatorami. Płk. Nakoniecznikow-Klukowski, podobnie jak generał Krzemieński, major Dziadosz i inni, nie byli przyjeźdźcami do wojska ze względów wybitnie politycznych i pozostawali w sytuacji uchodźców, otrzymując po 8 funtów miesięcznie zasiłku. W mieszkaniu państwa Granowskich, miejscowych obywateli, przy ulicy Kiryat-Sefer, gdzie rezydowali Nakoniecznikowowie, dostałem mały pokój z kuchennym stołem, jednym krzesłem i kuchenną półką za niecałe 4 funty miesięcznie. Łóżko musiałem sobie kupić i pościel mieć własną.

Oficerów II grupy było w Tel-Aviv’ie kilkuset od podporuczników do generałów. Byli oficerowie dyplomowani, oficerowie wszystkich broni i wszystkich służb. Z generałów byli: gen. dyw. Sławoj-Składkowski, generałowie brygady Kordian Żamorski, Stanisław Miller, Wacław Przeździecki, Jerzy Wołkowicki, Milan Kamski. Tych przypominam sobie. Komendantem placu był wspomniany już major dypl. Wróblewski.

Spośród grona oficerów II grupy wyszła inicjatywa, aby utworzyć organizację samokształcenia oficerów II grupy. Celem było nie dać tym oficerom zapominać nabytych wiadomości zawodowych i rozwijać je i uzupełniać w nadziei, iż jeszcze mogą być potrzebni. Organizacji zgodził się patronować mjr Wróblewski oraz z ramienia dowództwa Polskich Sił Zbrojnych na Środkowym Wschodzie ppłk. dypl. Dżugaj. W organizacji samokształcenia na czele grupy broni stanął płk. Witorzeniec z zastępcą ppłk. dypl. Radwańskim, a na czele grupy służb byłem ja z zastępcą mjr. dypl. audytorem Borawskim. Każda poszczególna broń i każda służba miały swoją sekcję. O pracach sekcji broni słyszało

się niewiele, aczkolwiek nie były te sekcje bezczynne. Z sekcji służb niezmiernie owocnie pracowała sekcja zdrowia z bardzo mocnym ilościowo i jakościowo składem członków. Sekcja ta miała często posiedzenia z fachowymi referatami, cieszyła się bardzo czynnym poparciem ze strony szefa sanitariatu w dowództwie P.S.Z. na Środkowym Wschodzie gen. prof. dr. Szareckiego i otrzymywała na jego wniosek z Polskiego Czerwonego Krzyża subwencję na wydawanie własnego miesięcznika — „Lekarza Polskiego” na Wschodzie, organu sekcji zdrowia organizacji samokształcenia oficerów ośrodka Tel-Aviv. Komitet redakcyjny „Lekarza Polskiego” tworzyli lekarze płk. dr Bałaszeskuł, por. dr Braun, mjr. dr Bujwid, dr Dąbkowska, ppłk. dr Dietrich, ppłk. docent dr Dybowski, dr chemii apt. Kohlberg, płk. dr Kończacki, prof. Minc, płk. dr Nakoniecznikow-Klukowski, ppor. docent dr Odrzywolski, por. dr Rosenblatt, kpt. dr Sas-Monasterski, kpt. dr Schwarzbart, dr Simchowicz, gen. dyw. dr Sławoj-Składkowski, płk. dr Sokołowski, por. dr Surzyński, gen. bryg. prof. dr Szarecki, por. dr Trepkowski. Redaktorem był kpt. prof. dr Laskiewicz, a sekretarzem redakcji płk. dr Orłowski.

Prace sekcji służby sprawiedliwości były o bardzo wiele skromniejsze niż sekcji zdrowia. W składzie sekcji, oprócz mnie, ppłk. Niemkiewicz i mjr. Borawskiego, starszych oficerów nie było. Robiłem, co mogłem, lecz mogłem niedużo, a to niedużo polegało na tym, że miałem kilka referatów, a w ich liczbie wygłosiłem obszernie opracowany referat pod tytułem Najwyższy Sąd Wojskowy a sądy wojenne. Ppłk. Niemkiewicz, mimo moich usilnych prośb, nie mógł się zdobyć nawet na jeden referat. Było parę referatów mjr. Borawskiego, kpt. Chigera i porucznika (w cywilu adwokata), którego nazwiska zapomniałem. Ówczesny szef sądownictwa polowego płk. aud. Rohm żadnego zainteresowania sekcją służby sprawiedliwości nie ujawnił. Inne sekcje służb nie zaznały się specjalnymi pracami. Tak więc dobre zamierzenia nie wydały oczekiwanych owoców w obfitości, aczkolwiek nie można nie doceniać tych wyników, które udało się osiągnąć, jeszcze raz tu podkreślając wydajność pracy sekcji zdrowia.

W Tel-Aviv’ie istniały wyższe kursy naukowe, na czele których stał prof. uniwersytetu Jagiellońskiego dr Rouppert. Na kursach tych, na połączonym kursie administracyjno-społecznym z ekonomiczno-prawniczym i buchalteryjnym miałem w roku akademickim 1942/43 wykłady wojskowego prawa i postępowania karnego i w 1943 r. nakładem tychże kursów wyszedł skrypt moich wykładów (120 stron). Słuchaczami moimi byli prawie wyłącznie oficerowie II grupy.

Oficerowie II grupy brali udział w komisji wydawnictw ośrodka oficerskiego w Tel-Aviv'ie. Staraniem „Samopomocy Koleżeńskiejskiej oficerów” wyszedł w postaci powielonych broszur szereg ciekawych i pożytecznych opracowań, jako to:

Dyr. I. Rytow. Spółdzielczość wytwórcza, transportowa i użyteczności publicznej w Palestynie.

Dr E. H. Luft. Spółdzielczość rolnicza.

Inż. Anzelm Reiss. Histadrut, zasady ideowe i organizacja.

Dr M. Poker. Co to jest Histadrut.

Dr Naftali Menashe. Żydowska spółdzielczość kredytowa ze szczególnym uwzględnieniem spółdzielczości robotniczej.

A. Kuszniir. Tnuwa, jej organizacja i działalność.

Mieczysław Grzymała (pod tym pseudonimem wystąpił adwokat Mieczysław Chmielewski). Ku nowym kresom zachodnim.

Dawid Horotowitcz. Rozwój gospodarczy Palestyny.

Wydano też ustawę konstytucyjną z 23 kwietnia 1935 r.

Jakoś pod koniec, o ile pamiętam, 1942 r., czy może w początku 1943 r., do Tel-Aviv'u przyjechał minister dla Środkowego Wschodu (taki zdaje się miał tytuł), były ambasador w Kujbyszewie prof. dr Kot. Konsulem generalnym w Palestynie był wtedy dr Henryk Rozmaryn, a przy nim urzędował konsul Jenicz. Otóż ten ostatni powiadomił mnie, że minister Kot pragnie mnie zobaczyć i wyznacza mi audiencję nazajutrz. W wyznaczonym czasie stawilem się w jednym z eleganckich hoteli przy ulicy Jarkon, w pobliżu nadmorskiego bulwaru. W hotelu był konsul Jenicz, który zaprowadził mnie do pokoju, zajmowanego przez Kota. Po wprowadzeniu mnie do pokoju Jenicz wyszedł. Przywitawszy się ze mną, Kot tonem nieco ostrym powiedział mi:

— Panie pułkowniku! Niech pan powie swoim kolegom, aby przestali krytykować i babrać generała Sikorskiego, bo inaczej jeden podpis gen. Sikorskiego pod właściwym rozkazem skasuje całą II grupę oficerów i wszyscy oni przejdą do kategorii uchodźców.

— Panie ministrze! — odpowiedziałem też energicznym tonem — pan minister zwraca się nie pod właściwym adresem. Ja tu jestem niedawno, z kolegami rozmów o generale Sikorskim nie prowadzę i takich, o jakich pan wspomniał, rozmów świadkiem nie byłem. Może pan minister zechce się zwrócić do tych, co to czynili, jeżeli tacy są.

Tu Kot od razu udobruchał się i przemawiał już dosyć łaskawie.

— Jakiej wysokości pobory pan pułkownik otrzymuje — zapytał Kot.

— 28 funtów miesięcznie — odparłem.

— O to mało, bardzo mało — powiedział Kot, jakoś znacząco wpatrując się we mnie.

— Dla mnie to jest więcej, niż mi na moje wydatki potrzeba. Kot zmienił temat rozmowy.

— A co pan robi, panie pułkowniku?

— Po troszę pracuję nad wspomnieniami o pobycie w Sowietach.

— To dla mnie bardzo ciekawe. Ja to zbieram. Musi mi pan pułkownik dać swoją pracę.

— Dobrze, panie ministrze, ale wpierw muszę ją napisać, do czego robię przygotowania.

— Jak tylko pan pułkownik napisze, to proszę mi przysłać.

Tu pożegnaliśmy się i to było moje ostatnie spotkanie się z Kotem.

W czasie późniejszym konsul Jenicz zakomunikował mi, że odprowadzał ministra Kota, gdy tenże odjeżdżał do Londynu, i Kot wtedy polecił mu, aby pilnował wykonania przeze mnie obietnicy przesłania Kotowi mojej pracy o pobycie w Sowietach. Jak wspomniałem już, praca nad spisaniem wspomnień o pobycie w Sowietach trwała do lipca 1943 r. Kierownikiem organu ministra Kota w Jerozolimie, który to organ miał nazwę „Centrum informacji” (po angielsku nazywał się *Polish Information Centre*, skrót PIC, co Polacy wymawiali po polsku, uważając, że ten organ dużo „picuje”) był Jan Tabaczyński. Miał on jechać do Londynu i, przed jego wyjazdem, w dniu 16 listopada 1943 r. doręczyłem mu dwa egzemplarze maszynopisu mojej pracy, przy czym p. Tabaczyński w imieniu Centrum Informacji na Wschód pisemnie wyraził swą zgodę na warunki, na jakich dałem mu moją pracę. Wśród tych warunków były następujące:

Praca była napisana pod pseudonimem (wojna jeszcze trwała), ujawnienie zaś nazwiska autora mogło nastąpić tylko za jego, to jest moją, zgodą. Zgodziłem się na ewentualne wykorzystanie treści mojej pracy przez rząd Rzeczypospolitej Polskiej w sprawach państwowych, wynikać mogących wewnątrz rządu, jako też w stosunkach rządu z rządami innych państw i w takich razach zgodziłem się na nieroszczenie sobie przeze mnie jakichkolwiek materialnych pretensji. W razie wydrukowania lub w inny sposób powielenia mej pracy dla publicznego rozpowszechnienia, zastrzegłem sobie, iż jakiegokolwiek opuszczenia, dodatki lub modyfikacje tekstu mej pracy mogłyby nastąpić tylko za moją pisemną zgodą, tudzież zastrzegłem sobie honorarium autorskie według mającej być w takim przypadku zawartej ze mną umowy.

Pan Tabaczyński zawiózł moją pracę do Londynu. W 1944 r. zapytywałem ministra Kota listami lotniczymi (*airgraphami*) o losy mojej pracy. Nigdy od ministra Kota nie dostałem odpowiedzi. Potem zapytywałem o losy mojej pracy następcę ministra Kota na jego urzędzie. Dostałem odpowiedź, iż mojej pracy w ministerstwie nie znaleziono. Do Londynu przybyłem we wrześniu 1947 r. Trafiła do mych rąk wydana na powielaczku przez rząd polski w Londynie w lutym 1946 r. praca „Facts and documents concerning Polish Prisoners of War captured by the U.S.S.R. during the 1939 Campaign”. W tej pracy na stronach 22, 31, 38, 40, 41, 44, 56-64 przytoczono szereg tekstów z mojej pracy, o której wyżej była mowa, przy czym na str. 59 wymieniono moje nazwisko jako autora. Teksty te trafiły następnie do materiałów ogłoszonych do użytku specjalnej amerykańskiej komisji kongresowej prowadzącej śledztwo w sprawie masakry w lesie Katyńskim (patrz „Hearings before the Select Committee to conduct an investigation of the facts, evidence and circumstances of the Katyn Forest Massacre”, part 6, str. 1649, 1649-1652, 1657-1660, United States Government Printing Office, Washington, 1952). A więc moja praca była w ministerstwie, ale następcę ministra Kota mylnie informowano, że tej pracy nie znaleziono — widocznie była w rękach osób, które pracowały nad wyłuszczeniem wyżej powołanych faktów i dokumentów. W całości moja praca o przeżyciach w Sowietach nie była wydana, aczkolwiek co do czasu jej napisania była ona jedną z pierwszych tego rodzaju opracowań i mogła być nader aktualną, a może okazałaby się taką i obecnie. Praca ta pod tytułem „W kraju-więzieniu” pozostaje dotąd „w szufladzie”.

Do Tel-Aviv'u przybył z Jerozolimy dowódca rejonu terytorialnego Palestyna płk. Ostrowski i zarządził odprawę oficerów II grupy, z wyjątkiem generałów. Po zagajeniu płk. Ostrowski powołał mnie, jako najstarszego, do przewodniczenia i oznajmił, że chodzi o wykonanie rozkazu dowódcy P.S.Z. na Środkowym Wschodzie co do sporządzenia przez oficerów II grupy, którzy byli w Związku Sowieckim, opisów ich tam przeżyć. Opisy te mają być sporządzone w lokalu komendy placu w Tel-Aviv'ie pod nadzorem wyznaczonego w tym celu oficera, przy czym mają być pisane każdy w jednym tylko egzemplarzu, bez pozostawiania sobie przez autorów jakichkolwiek notatek. Płk. Ostrowski poprosił mnie o przyjęcie na siebie roli kierownika całej tej akcji. Płk. Ostrowski „poprosił” mnie, a nie dał rozkazu, jak mógłby to uczynić, lecz nie uczynił, bo istniał przepis, że w razie nałożenia na oficera II grupy jakiegokolwiek zadania należy tego oficera na czas wykonania przezeń zleconego mu zadania powołać

go do służby czynnej, czyli płacić mu pełne pobory. Oczywiście przychyliłem się do „prośby” płk. Ostrowskiego i przystąpiłem niezwłocznie do wykonania. U komendanta placu mjr. Wróblewskiego wyjaśniłem, że jest przeszło 200 oficerów II grupy, którzy byli w Sowietach, i dostałem ich listę. Sala w komendzie placu, która miała być użyta do usadowienia w niej oficerów dla dokonania opisów, mogła pomieścić około 20 oficerów naraz przy stołach i stolikach. Ułożyłem się z mjr. Wróblewskim, iż będę mu dawał na parę dni naprzód wykazy oficerów, którym mjr. Wróblewski wysyłać będzie rozkazy, zywające ich do zgłoszenia się w komendzie placu w oznaczonym terminie. Dobrałem sobie spośród oficerów II grupy sześciu pomocników. W ich liczbie byli byli poseł na Sejm adwokat por. Ćwiakowski i ppor. Trip-penbach. Codziennie około godziny 10-ej rano przychodziłem do komendy placu i w przemówieniu do zebranych w tym dniu oficerów wyjaśniałem ich zadanie i warunki jego wykonania. Razem z moimi pomocnikami pilnowałem, aby piszący oficerowie, przy chwilowych opuszczeniach sali i po ukończeniu zadania, nie zabierali ze sobą jakichkolwiek notatek, zbierałem dokonane opisy i następnie doręczałem mjr. Wróblewskiemu. Taka praca trwała przeszło dwa tygodnie. Ponad 200 opisów, zawierających obfite i bardzo ciekawe materiały martyrologii polskich żołnierzy w Sowietach, mjr. Wróblewski odesłał do dowództwa P.S.Z. na Środkowym Wschodzie.

Szukając wciąż stałej pracy, chciałem ją znaleźć na nieobcym mi terenie pedagogicznym.

Po ukończeniu wydziału prawnego uniwersytetu w Warszawie, korzystając z tej okoliczności, że na prawie była wykładana również historia powszechna i że w dyplomie był także stopień z tego przedmiotu, zwróciłem się do ówczesnego kuratorium okręgu szkolnego w Warszawie o dopuszczenie mnie, do czego mój dyplom dawał mi prawo, do odbycia lekcji próbnej i w razie pomyślnego wyniku o wydanie mi dyplomu wyższego nauczyciela domowego historii powszechnej z prawem wykładów we wszystkich klasach prywatnych średnich zakładów naukowych. Miałem próbną lekcję w siódmej klasie trzeciego rządowego gimnazjum w Warszawie i dyplom otrzymałem. Na podstawie tego dyplomu Ministerstwo Oświaty w Polsce niepodległej wydało mi dyplom nauczyciela historii powszechnej w szkołach średnich. Z dyplomu tego faktycznie w Polsce nie korzystałem. Wykładałem zaś, co było dodatkowe do mojej służby w sądownictwie wojskowym, tak zwany zarys prawa w ciągu kilku lat w szkołach podchorążych w Warszawie — piechoty, inżynierii i sanitarnej. Z powołaniem się na ów dyplom zwróciłem się w lipcu 1943 r. do dele-

gata urzędu oświaty i spraw szkolnych w Jerozolimie o danie mi posady nauczyciela. Pismem z 29 lipca 1943 r. 1. dz. 554/43 rzeczony delegat, p. J. Follprecht, zakomunikował mi, że zostałem zarejestrowany jako rezerwowo nauczyciel historii powszechnej w szkołach średnich i że, o ile utworzy się odpowiedni wakans, to będę zawiadomiony.

Dowiedziawszy się, że kierownictwo szkół wojskowych w Barbarze, w Palestynie, poszukuje wykładowcy, posłałem tam pisemne zgłoszenie się.

Po pewnym czasie przybył do Tel-Aviv'u inspektor szkolny z Barbary, podporucznik, nazwiska jego nie pamiętam, i wezwał mnie do komendy placu w celu porozumienia się. Powiedział mi, że dla dowództwa szkół wojskowych byłbym bardzo pożądany ze względu na moje kwalifikacje nauczycielskie oraz prawnicze, ale że poza moimi poborami oficera II grupy mógłbym jedynie otrzymać bezpłatne zakwaterowanie i wyżywienie. Oświadczyłem, że nie chodzi mi o większe wynagrodzenie, a tylko o pracę, wobec czego zgadzam się na proponowane warunki. Wtedy podporucznik powiedział, że jest inna przeszkoda, a mianowicie kierownik szkół wojskowych jest tylko podpułkownikiem, więc byłoby mu bardzo niezręcznie mieć bądź co bądź podwładnego mu nauczyciela w stopniu wyższym. Oznajmiłem, że mnie to wcale nie krępowałoby; że będąc pułkownikiem i zajmując w sądownictwie wojskowym wysokie stanowisko, miałem wykłady prawa w szkole podchorążych piechoty, gdy dowódcą tej szkoły był podpułkownik Młodzianowski, a dyrektorem nauk major, i mój stopień w niczym nie przeszkadzał. Podporucznik powiedział, że zreferuje tę rzecz kierownikowi szkół i że o wyniku będę zawiadomiony.

Nigdy zawiadomienia nie dostałem.

Powstał, zdaje się że w Londynie, nowy projekt. Zakładano, że po zwycięstwie nad Niemcami i przywróceniu niepodległości Polski i to z rozszerzonymi granicami okaże się brak dostatecznej liczby osób, przygotowanych do objęcia stanowisk w administracji kraju, i że w drugiej grupie oficerów można będzie znaleźć na takie stanowiska odpowiednich kandydatów — po właściwym doszkoleniu. Postanowiono utworzyć specjalny kurs w Tel-Aviv'ie. Oficjalnej nazwy tego kursu nie pamiętam, ale, nieco drwiąco, nazywano go kursem wojewodów. Komendantem tego kursu mianowano generała Wolikowskiego, który, po odwołaniu go ze stanowiska attaché wojskowego w Kujbyszewie, pozostawał w czynnej służbie, ale bez przydziału. Na dyrektora nauk Londyn postanowił powołać ppłk. audytora Kamińskiego, który, będąc sędzią w wojskowym Sądzie Okręgowym w Lublinie, wykładał

na uniwersytecie lubelskim historię polskiego prawa wojskowego. Ale w Londynie nie wiadano, że stan zdrowia pozostającego w Jerozolimie w II grupie ppłk. Kamińskiego jest taki, że nie może być mowy o pełnieniu przez niego obowiązków dyrektora nauk. Po dowiedzeniu się o tym Londyn zdecydował, że dyrektorem nauk ma być zwolniony przed wojną w stan spoczynku kapitan audytor Adamus, który ostatnio przed wojną miał być docentem uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Następnie zaczęło się na miejscu, w Tel-Aviv'ie, angażowanie wykładowców i dobieranie słuchaczy. Na dobór słuchaczy miał decydujący wpływ przybyły w tym celu z Londynu ppłk. dypl. Przędziecki. Dobór w niektórych przypadkach był zadziwiający. Na przykład, jak mówiono, zaproponowano kpt. Jaszczółtowi wstąpienie na kurs w charakterze słuchacza. Prawnik, były wiceprokurator Sądu Okręgowego, potem dyrektor departamentu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, potem wojewoda w Łodzi i w Wilnie, miał iść na kurs, aby uczyć się tego, co powinien umieć urzędnik administracyjny. Obok słuchaczy, posiadających wyższe wykształcenie, obok dyplomowanych prawników, na kursie byli oficerowie, którzy w cywilu zajmowali stanowiska w kolejowej służbie ruchu (np. zawiadowca stacji), oficerowie z wykształceniem wyłącznie wojskowym i td. Początkowo główne kryterium przy doborze słuchaczy miało charakter polityczny — kwestia stosunku do gen. Sikorskiego i stosunku do sanacji, potem to upadło, bo w toku organizowania kursu nastąpiła tragiczna śmierć gen. Sikorskiego. Z doborem wykładowców także było rozmaicie. Gen. Wolikowski proponował mi objęcie kilkunastu godzin wykładów o jakimś fragmencie z dziedziny prawa administracyjnego. Propozycji nie przyjąłem z szeregu względów. Natomiast poradziłem Wolikowskiemu, aby do wykładów prawa karnego zaangażował taką pierwszorzewną siłę prawniczą, jaka była w Palestynie w osobie pierwszego prokuratora Sądu Najwyższego Witolda de Michelisa. W tym Wolikowski mnie posłuchał i ten przedmiot był na kursie doskonale obsadzony. Kapitan Adamus, z wyglądu zewnętrznego zupełny abnegat, wyładał wysokim administratorom *in spe* fragmenty z filozofii prawa.

Słuchaczom, aby ich zachęcić do nauki, wypłacano po parę funtów dodatku miesięcznie; karmiono przyszłych administratorów przypadkowymi zagadnieniami, lecz nie wytworzono programu, w którym teoria spletałaby się z odpowiednio obmyślonymi praktycznymi ćwiczeniami.

Kurs skończył się. Potrzeba kandydatów na stanowiska administracyjne, niestety, nie powstała.

Starania moje o uzyskanie stałej pracy dały w końcu pozytyw-

ny wynik. W jednym z ostatnich dni września 1943 r. otrzymałem od ministra Pracy i Opieki Społecznej, Stańczyka, telegram następującej treści:

„Stanisław Lubodziecki przez konsula polskiego w Jerozolimie. Wyznaczamy pana członkiem Delegatury Opieki Społecznej nad Uchodźcami w Nairobi. Zwracamy się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych o wizy do Afryki Wschodniej. Zawiadomimy, kiedy sprawa będzie załatwiona. Uważamy, że pan zna angielski. Stańczyk 160”.

Wynikło przede wszystkim pytanie, na jakie stanowisko byłem mianowany. Według posiadanych wiadomości delegatem Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w Nairobi był wtedy inż. Kaźmierczak. Zastępcą delegata był niedawno mianowany, i wyjechał z Teheranu do Nairobi, ppłk. Staszewski, specjalista w dziedzinie księgowości, który w kraju, po przejściu z wojska w stan spoczynku, pracował w Banku Gospodarstwa Krajowego jako rzeczoznawca w zakresie bilansów przedsiębiorstw, w których Bank był zainteresowany. Sekretarką delegatury była pani Kopciowa. Poza tym było w delegaturze sporo pracowników.

Generał Krzemiński uważał, że nie powinienem zgodzić się na niewłaściwą dla siebie rolę i że należało odmówić przyjęcia pracy w delegaturze. Byłem jednak zdania, że w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, każda praca dla rządu polskiego jest potrzebna i nawet słuszne w innych warunkach ambicje należy tłumić, a wobec tego przyjmę pracę w delegaturze i starać się będę być tam pożytecznym. Ponieważ nie przestawałem być oficerem II grupy, więc żadne wizy do jazdy do Afryki Wschodniej nie były mi potrzebne, a tylko musiała być uzyskana zgoda mojej przełożonej władzy wojskowej na „wypożyczenie” mnie do pracy cywilnej i konieczne było otrzymanie właściwych papierów na przejazd do Nairobi. Zwróciłem się o to do mojej przełożonej władzy i czekałem na wynik. Czekać wypadło długo, mimo ponaśleń z mojej strony wobec pism z Nairobi, abym śpieszył z przyjazdem. Upłynął październik, listopad i grudzień 1943 r., przyszedł styczeń 1944 r. i dopiero w dniu 27 stycznia 1944 r. został sporządzony dla mnie w dowództwie rejonu terytorialnego Palestyna rozkaz wyjazdu z Tel-Aviv'u do Kairu w sprawie służbowej.

Oficerowie II grupy chodzili w mundurach wojskowych tak jak oficerowie czynnej służby. W dniu 27 stycznia 1944 r. dowództwo armii polskiej na Wschodzie wydało rozkaz I. dz. 500/Pers. Og. Tjn. 44, który ogłaszał, iż na podstawie rozkazu Ministerstwa Obrony Narodowej 1. d. 4500 tjn. org. i zgodnie z postulatem władz brytyjskich obowiązuje oficerów stanu

nieczynnego i na długoterminowym urlopie zakaz noszenia na codzień munduru wojskowego. Dodano, iż generałowie mogą otrzymać zezwolenie noszenia munduru na skutek indywidualnych próśb, a pozostali oficerowie mogą być w mundurze wojskowym w dni świąt narodowych, na odprawach, przy raportach i służbowych wystąpieniach.

Następnie dowództwo armii polskiej na Wschodzie w dniu 29 kwietnia 1944 r. wydało rozkaz Oddz. Pers. 1. dz. 1415/ Pers. Og./tjn., w którym ogłoszono, iż nie stosujący się do zakazu noszenia munduru i do dyscypliny obozowej będą oddawani pod opiekę delegata Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej z równorzędnym odebraniem prawa do uposażenia zmniejszonego.

Ten rozkaz był ogłoszony przez szefa wydziału wojskowego z dodaniem, że zarówno P. Generałowi, Zastępcy Dowódcy APW, jak i P. Ministrowi Delegatowi Rządu wiadomo, że konieczność wydania powyższych zarządzeń spowodowana została wyłącznie postępowaniem nielicznych jednostek, za które ogół oficerów II grupy, przebywających na terenie Egiptu, Afryki Wschodniej i Południowej, nie ponosi odpowiedzialności. Jednakże zarządzenia Zastępcy Dowódcy APW muszą mieć z konieczności charakter generalny.

Wracam do mojej podróży.

W Kairze zjechałem do pensjonatu państwa Sokulskich. Nie było u nich wolnego pokoju, ale mieli oni umowę z właścicielkami pensjonatu o piętro wyżej i tam dostałem pokój z dwoma łózkami pod warunkiem, że może się jeszcze ewentualnie wprowadzić drugi lokator.

Zgłosiłem się w dowództwie rejonu terytorialnego Egiptu i tam skierowano mnie do urzędującego przedstawiciela dowódcy P.S.Z. na Środkowym Wschodzie. Przedstawicielem tym był ppłk. dypl. Giełgud, używający z jakichś względów tego nazwiska, aczkolwiek był synem znanego malarza Axentowicza. Ppłk. Giełgud zapisał mnie na wyjazd do Nairobi i powiedział, że musi zwrócić się o to do sztabu brytyjskiego, gdyż wypadnie popłynąć statkiem z Suezu do portu Mombassa. Polecił mi codziennie przychodzić do jego kancelarii i dowiadywać się co do wyjazdu.

Codziennie spacerowałem do kancelarii ppłk. Giełguda i dowiadywałem się, że nic jeszcze w sprawie mojego wyjazdu do Mombassy nie wiadomo. Po kilku takich wizytach ppłk. Giełgud powiedział mi, że ma wątpliwości, czy załatwienie mojego wyjazdu należy do wojska, skoro jadę na stanowisko cywilne. Odpowiedziałem, że wszakże pozostaję w wojsku i że wojsko, moim

zaniem, ma obowiązek załatwić moją podróż. Przypadkowo obecny przy tej rozmowie, generał Tokarzewski, zastępca gen. Andersa, powiedział ppłk. Giełgudowi:

— Urządź pan podróż płk. Lubodzieckiemu, przecież to nasz oficer.

To oświadczenie widocznie usunęło wątpliwości kompetencyjne ppłk. Giełguda. I znowu codziennie przychodziłem do jego kancelarii — bez jakiegokolwiek rezultatu pozytywnego.

W tym czasie do mego pokoju wprowadził się jako ten drugi lokator mjr. dypl. Weiss, który załatwiał sprawy transportu polskich oddziałów z Palestyny do Włoch. Władał on doskonale językiem angielskim. Wieczorem, leżąc w łóżkach, prowadziliśmy rozmowy. Dowiedziawszy się o moich codziennych wizytach w kancelarii ppłk. Giełguda i stałej tam formuły: „nie ma nic ze sztabu angielskiego w sprawie podróży pana pułkownika”, mjr. Weiss wywnioskował, że coś musi być nie w porządku i samorzutnie ofiarował się sprawdzić w sztabie angielskim, w jakim stanie jest sprawa mojego wyjazdu do Mombassy. Już następnego dnia wieczorem mjr. Weiss oznajmił mi, że ppłk. Giełgud zwrócił się do niewłaściwego oddziału w sztabie angielskim, że moja sprawa leżała tam „pod sukmem” i że długo mógłbym jeszcze spacerować codziennie do kancelarii ppłk. Giełguda bez rezultatu, gdyby on nie spowodował przekazania sprawy do właściwych rąk. Mjr. Weiss powiedział, że teraz mój wyjazd nastąpi bardzo szybko i zaproponował mi wycieczkę z nim, jego samochodem służbowym, do Suez, gdzie zapewne uda mu się dowiedzieć, kiedy będzie płynął z północy na południe najbliższy statek. Ruch statków wzdłuż wschodniego brzegu Afryki, zresztą jak i gdzie indziej, był trzymany w wielkiej tajemnicy z uwagi na pływające po oceanie Indyjskim japońskie statki podwodne. Pojechaliśmy przez pustynię i zatrzymaliśmy się na skraju miasta Suez przed budynkiem, gdzie było jakieś brytyjskie biuro wojskowe. Mjr. Weiss poszedł do tego biura i po kilku minutach wrócił.

— Możemy, panie pułkowniku, jechać z powrotem. To, co powiem, proszę trzymać w zupełnej tajemnicy. Udało mi się dowiedzieć, że za parę dni będzie płynął statek z Londynu do Mombassy i dalszych portów afrykańskich. Jutro będę w sztabie brytyjskim w Kairze i przez swoje tam stosunki zrobię, aby pan pułkownik tym statkiem popłynął.

Rzeczywiście już następnego dnia wieczorem mjr. Weiss powiedział mi:

— Wszystko zrobione. Jutro albo pojutrze będzie pan pułkownik wezwany do sztabu brytyjskiego. Do Giełguda już nie

ma po co chodzić. Proszę do południa z domu nie oddalać się i czekać na wezwanie do sztabu brytyjskiego. W sztabie robią panu potrzebne szczepienia — ospy, tyfusu, żółtej febry. Powinien był to zarządzić ppłk. Giełgud, ale ze słów pana pułkownika widzę, że nie był pan szczepiony. Właściwie szczepienia powinny być dokonane na 2 tygodnie przed wyjazdem, ale ja już to załatwiłem — w stosunku do pana ta kwestia nie będzie podnoszona.

Mjr. Weiss powiedział prawdę. Wezwano mnie do sztabu brytyjskiego. Zrobiono mi tam szczepienia, zapisano szczegóły, dotyczące mojej osoby, i uprzedzono mnie, abym oczekiwał w domu zawiadomienia mnie o dniu i godzinie wyjazdu koleją z Kairu do Suez.

Serdecznie podziękowałem mjr. Weissowi wieczorem. Niemal błyskawicznie osiągnął on to, na co tygodnie bez skutku czekałem z powodu biurokratycznego i niedbałego, jeżeli wprost nie niechętnego, potraktowania mnie przez ppłk. Giełguda. Mjr. Weiss działał jedynie z pobudek koleżeńskich i życzliwości w stosunku do świeżo poznanego starszego towarzysza broni, a jak ppłk. Giełgud wykonał to, co było jego obowiązkiem, — lepiej nie mówić...

Po upływie dnia czy dwóch dostałem polecenie wyjazdu. Było to w pierwszej połowie marca 1944 r. Przyjechałem pociągiem do Suez. Po zatrzymaniu się na stacji w tym mieście, pociąg pojechał dalej za miasto ku wybrzeżu morskemu zatoki sueskiej. Wyszedłem z wagonu. Wagon opuściło jeszcze paru brytyjskich wojskowych i parę osób cywilnych. Zbliżyli się do nas oficerowie brytyjscy, którzy oczekiwali przyjścia pociągu.

— Pan pułkownik Lubodziecki? — zapytał mnie jeden z tych oficerów.

Po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi skierował mnie do stojącej na brzegu barki. Popłynęliśmy do stojącego na kotwicy w zatoce statku. Początkowo ulokowano mnie w niewielkiej dwuosobowej kajucie. Dolne miejsce w tej kajucie zajmował pływający z Anglii jakiś stary pułkownik. Był widocznie niezadowolony, iż do kajuty przybywa drugi pasażer i to w dodatku cudzoziemiec. Wyszedł z kajuty i wkrótce powrócił. Po kilkunastu minutach zjawił się steward i powiedział mi, że otrzymuję inne miejsce. Zabrał mój bagaż i przeniósł go do większej, 4-osobowej, kajuty z przylegającą do tej kajuty łazienką, przeznaczoną do użytku tylko przez pasażerów danej kajuty. Pasażerów poza mną w owej kajucie jeszcze nie było i dopiero później, w Adenie, wsiadło na statek dwóch oficerów, których umieszczono w mojej kajucie. Oficerowie byli młodzi, bardzo grzeczni i sympatyczni. Czwarte miejsce pozostało niezajęte.

W dużej jadalni dostałem miejsce przy sześćoosobowym stole. Siadali do tego stołu sami wojskowi. Posiłki były bardzo dobre — jadalnia była dla pasażerów I klasy. Na statku płynęli przeważnie wojskowi angielscy — oficerowie, szeregowi i sporo ochotniczek z tak zwanego A.T.S., *Auxiliary Territorial Service*, odpowiednikiem którego była w P.S.Z. Pomocnicza Służba Kobiet, P.S.K., tak zwane pestki. Było także nieco wojskowych pielęgniarek (*nurses*). Te miały stopień poruczników. Wreszcie płynęło na statku kilka osób cywilnych. Część wojskowych płynęła do Mombassy, reszta i cywile — do południowej Afryki. Każdy pasażer dostawał pas ratunkowy, z którym nie wolno mu było się rozstawać. Kładł go obok siebie w jadalni, w nocy przy łóżku, musiał brać go nawet do łazienki i do ustępu.

Płynęliśmy w składzie konwoju, który składał się z trzech statków pasażerskich, ochraniających z przodu i z tyłu przez torpedowce. Pogoda stale nam sprzyjała. Na morzu Czerwonym płynęliśmy czasami tak blisko brzegu, że widzieliśmy idące na lądzie karawany wielbłądów. W Adenie mieliśmy postój około dwóch dni. Na brzeg nikomu z pasażerów naszego statku nie dozwolono wychodzić. Dokuczał tu już wielki upał. W Adenie konwój był podzielony. Na południe popłynął tylko nasz statek i jeden torpedowiec, a reszta konwoju odeszła w kierunku wschodnim — do Indii i dalej. Żeglowaliśmy po oceanie Indyjskim wzdłuż brzegów francuskiego, brytyjskiego i włoskiego Somali, a potem Kenii.

Do portu Mombassa przyплыliśmy wczesnym rankiem. Angielski kapitan oznajmił mi, że przepustki nie może mi wydać, że pojadę specjalnym wojskowym pociągami, który zabierze do Nairobi przybyłych statkiem wojskowych i że do czasu odjazdu muszę przebywać w wojskowym obozie oddalonym od Mombassy o 10 mil, dokąd odwiezie mnie wojskowy samochód. Pojechałem do obozu pod Mombassą. Komendantem obozu był major. Przydzielił mi porucznika z komendy obozu, który miał mi towarzyszyć i bawić mnie do czasu wyjazdu z obozu na dworzec kolejowy. Angielski porucznik był rodem z wyspy św. Maurycego. Zapoznał mnie z kolegą-oficerem, pochodzącym z tejże wyspy, i w toku rozmowy przyznał się, że w duchu czuje się Francuzem, że z kolegami, pochodzącymi z wyspy św. Maurycego, która od 1721 do 1810 r. była w posiadaniu Francji, rozmawia poza służbą tylko po francusku.

Około godziny czwartej po południu kolumna samochodów ciężarowych zabrała z obozu wojskowych jadących do Kenii. Mnie, z uwagi na mój stopień, umieszczono w kabinie obok kierowcy pierwszego w kolejności samochodu. Po przybyciu na sta-

cję kolejową dostałem miejsce w wagonie pierwszej klasy w przedziale z dwoma kapitanami, z których jeden był komendantem transportu. Na drogę obficie nas zaopatrzone w puszki z konserwami mięsnymi i owocowymi. Pojechaliliśmy po czarnym kontynencie. Na stacjach spotykały nas tłumy Murzynów, których obdarzailiśmy łączywie chwytanymi puszkami konserw. Pociąg jechał po rzadko zadrzewionym buszu. Po kilkunastu godzinach jazdy przybyliśmy do Nairobi. Z kancelarii wojskowego komendanta stacji zatelefonowałem do delegatury Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Przysłano po mnie samochód, który odwiózł mnie do delegatury.

Tam rozpoczęła się moja służba cywilna, o której przebiegu tutaj opowiadać nie będę, wspominając tylko o wydarzeniach, które wiązały się ze mną jako z oficerem II grupy.

Władze wojskowe na Środkowym Wschodzie w 1944 r. wprowadziły instytucję „starszych” zespołów oficerów II grupy w poszczególnych miejscowościach. Były to stanowiska honorowe, czyli bez osobnego za ich sprawowanie uposażenia, i należało te stanowiska przyjmować stosownie do ustalonej przez wojsko zasady, iż „obowiązki starszego przyjmują oficerowie II grupy dobrowolnie i pełnią je w imię koleżeństwa i dobra służby dla Ojczyzny”. Obowiązki starszego polegały na obserwowaniu życia zbiorowego i indywidualnego oficerów, na meldowaniu władzy przełożonej o poziomie moralnym ogółu w danej miejscowości oficerów II grupy, o wykroczeniach lub nieodpowiednim zachowaniu się jednostek, wreszcie polegały na wykonywaniu drobnych zleceń władzy przełożonej, zleceń o charakterze administracyjnym.

Całkowicie dla siebie niespodziewanie, rozkazem Dowództwa Jednostek Terytorialnych na Środkowym Wschodzie z 24 listopada 1944 r. 1. dz. 1114/44 pers. II Tjn. zostałem mianowany starszym zespołu oficerów II grupy, przebywających w Kenii i Tanganyice. W Nairobi było około 10 oficerów II grupy i kilkunastu w innych miejscowościach Kenii oraz Tanganyiki. Stanowisko starszego tak nielicznego zespołu oficerów niewiele mi dawało pracy, i to sporadycznie. Wyrobiłem, między innymi, u władz wojskowych w Nairobi wydanie polskim oficerom II grupy w tymże mieście legitymacji, uprawniających do wyjazdu z Kenii do innych krajów Afryki, jak Tanganyika, Uganda i td., bez potrzeby uzyskiwania wiz. i do nabywania w sklepach Naafi różnych przedmiotów, z których pewne były dla osób cywilnych wtedy niedostępne (whisky, gin, wino, piwo, umundurowanie itp.).

Przez dowódców 2 (we Włoszech) i 3 (późniejsze Jednostki Terytorialne na Środkowym Wschodzie) korpusów P.S.Z. (pis-

mo z 21 października 1944 r.) przekazana mi została kwota 1500 funtów jako fundusz dla udzielania drobnych, do wysokości 5 funtów jednorazowo, zapomóg rodzinom żołnierzy, zamieszkającym w poszczególnych afrykańskich osiedlach. Zapomogi miały być przeze mnie udzielane według mojego uznania, w przypadkach wyjątkowej potrzeby, jak np. okradzenia, ciężkiej choroby i tp.

Wypada tu nadmienić, że wtedy osiedla uchodźców polskich, wśród których było wiele rodzin żołnierzy, istniały w Afryce w krajach — Kenya, Tanganyika, Uganda, Rodezja Północna i Rodezja Południowa. W szczególności w następujących miejscowościach były osiedla: Makindu, Rongai (Kenya), Ifunda, Kidugala, Kondoa, Morogoro, Tengeru (Tanganyika), Koja, Masindi (Uganda), Lusaka, Bwana M’Kubwa, Abercorn, Fort Jameson (Rodezja Północna), Rusape, Marandellas i Digglefold (Rodezja Południowa).

Wymieniłem tu te miejscowości, w których były uchodźcze rodziny żołnierzy polskich. Natomiast pomijam inne miejscowości w południowej Afryce, gdzie byli uchodźcy, ale nie było wśród nich owych rodzin.

Chodziło mi o to, aby akcja zapomogowa obejmowała prawdziwie potrzebujących. Utworzyłem przeto w osiedlach specjalne komisje, złożone z solidnych mieszkańców osiedli, ze zleceniem przyjmowania przez te komisje próśb o zapomogi, badania zasadności tych próśb i przedstawiania mi swych opinii i wniosków. Przyznając zapomogę, pisałem w każdym przypadku krótkie motywowane postanowienie i zestawienia przyznanych zapomóg przysyłałem okresowo do dowództwa Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie.

Zarządzeniem z dnia 16 maja 1945 r. dowódca Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie, znowu całkiem niespodziewanie, zwolnił mnie z obowiązków starszego zespołu oficerów stanu nieczynnego i na długoterminowym urlopie (to była właśnie tak zwana II grupa), wyznaczając jednocześnie starszych oddzielnie na Kenię i oddzielnie na Tanganyikę.

Czując się moralnie dotknięty i pokrzywdzony formą mojego zwolnienia z obowiązków starszego, które nastąpiło bez jakichkolwiek znanych mi wówczas powodów, to zwolnienie uzasadniających, w dniu 28 maja 1945 r. wystosowałem do dowódcy Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie meldunek, określając moje zwolnienie jako wyrażenie utraty do mnie zaufania, mimo że wykonywanie przeze mnie moich obowiązków nigdy przez władzę przełożoną w niczym nie było kwestionowane, a pełnienie tych obowiązków było całkowicie bezinteresowne. Na

ten moment „honorowego” wypełniania obowiązków wskazałem dlatego, że przy przejeździe przez Nairobi z podróży do Rodezji z powrotem do dowództwa Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie jeden oficer z tego dowództwa, po rozmowie z jednym z przedstawicieli władz polskich w Nairobi, zapytywał mnie, czy za pracę jako „starszy” pobieram wynagrodzenie. W konsekwencji utraty do mnie, jak to sobie wywnioskowałem, zaufania wnosiłem o przekazanie również akcji zapomogowej innej osobie.

Już po wysłaniu przez mnie powyższego meldunku z 28 maja 1945 r. otrzymałem od dowódcy Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie, generała Wiatra, pismo z 25 maja 1945 r., powierzające mi koordynację działalności starszych zespołów oficerów II grupy na Kenię i Tanganykę z przyznaniem mi prawa kontroli i nadzoru nad działalnością tych starszych.

Pismem z 22 czerwca 1945 r. dowódca rejonu terytorialnego Egipt, płk. dypl. dr Künstler, z polecenia dowódcy jednostek wojska na Środkowym Wschodzie gen. Wiatra z 14 czerwca 1945 r. podziękował mi za wyczerpujące naświetlenie stosunków między oficerami stanu nieczynnego i na długoterminowym urlopie, przebywającymi w Afryce Wschodniej.

W odpowiedzi na mój meldunek z 28 maja 1945 r. otrzymałem od dowódcy jednostek wojska na Środkowym Wschodzie, gen. Wiatra pismo z 27 czerwca 1945 r., w którym prosił mnie o przyjęcie zapewnienia, że darzy mnie pełnym zaufaniem i wysoce sobie cenił moją pracę zarówno wśród oficerów przebywających w Afryce Wschodniej jak i w zakresie akcji zapomogowej dla rodzin wojskowych. Dalej gen. Wiatr stwierdził, że wyrażenie mi podziękowania za działalność zapomogową i za pracę w charakterze starszego nie było formą grzecznościową, lecz rzeczywistą oceną mojej działalności. Zwolnienie mnie nastąpiło na skutek polecenia Ministerstwa Obrony Narodowej z 8 marca 1945 r. opartego na interwencji Ministerstwa Spraw Zagranicznych, spowodowanej przez przedstawiciela tego ministerstwa, który zarzucił kumulację w moim ręku kilku stanowisk.

Zestawiając rozmowę ze wspomnianym wyżej oficerem, który pytał mnie, czy za czynności starszego pobieram wynagrodzenie, mogłem przypuszczać, że troską owego przedstawiciela M.S.Z. było, abym nie brał kilku uposażeń. Troska taka była, jeżeli w ogóle była, oczywiście nieuzasadniona, bo czynności starszego pełniłem bezinteresownie, ponosząc nadto koszty korespondencji z własnej kieszeni. Gen. Wiatr w swym piśmie dodał, iż powierzył mi funkcję nadrzędnego nad starszymi, przyjmując, iż ta funkcja nie będzie wymagała ode mnie takiego, jak dotąd, nakładu pracy i czasu i nie będzie mogła służyć za podstawę do sta-

wiania zarzutu kumulacji stanowisk w stosunku do mnie jako delegata Najwyższej Izby Kontroli (byłem wtedy zastępcą delegata Najwyższej Izby Kontroli w Nairobi). Wypada tu zauważyć, że Najwyższa Izba Kontroli i jej pracownicy nie podlegają rządowi (art. 77 konstytucji stanowi, że Najwyższa Izba Kontroli jest niezależna od Rządu) i nie jest rzeczą rządu wtrącanie się do działalności tych pracowników.

Wreszcie gen. Wiatr prosił mnie o zatrzymanie wybitnie opartej na zaufaniu funkcji zapomogowej.

Pismem z 7 lipca 1945 r. serdecznie podziękowałem gen. Wiatrowi za jego pismo z 25 maja 1945 r., stwierdzając, iż dało mi ono całkowitą satysfakcję. W tymże piśmie oświadczyłem, iż w związku z cofnięciem uznania rządowi polskiemu w Londynie nie mam co w Nairobi robić, zamierzam wyjechać i proszę o powołanie mnie przez gen. Wiatra do Egiptu. Dysponowanie dalsze funduszem dla rodzin wojskowych, z którego pozostawało wtedy 959 funtów, 15 szylingów i 4 pensy, proponowałem przekazać ppłk. Staszewskiemu lub kpt. J. Hoffmanowi.

Przychylając się do mojej prośby gen. Wiatr wezwał mnie do zameldowania mu się w Egipcie.

Brytyjska władza wojskowa włączyła mnie do transportu, który miał wyjechać z Nairobi 13 sierpnia 1945 r. w składzie 5-ciu oficerów brytyjskich i mnie.

W początku września przyjechaliśmy do Kairu, skąd udałem się do obozu w El-Quassasin, gdzie było miejsce postoju dowództwa Jednostek Wojska na Środkowym Wschodzie. Przy zameldowaniu się gen. Wiatrowi wyraziłem chęć prowadzenia jakiejś pracy dla wojska bezinteresownie, to jest z pozostawaniem w II grupie. Zaproponowałem, iż będę wygłaszał w miejscach postoju wojska, szkół wojskowych i w skupiskach Polaków w Egipcie, Palestynie i Libanie odczyty na aktualne tematy. Generał Wiatr zgodził się. Stanęło, iż będę uzgadniał z wydziałem kultury i prasy J.W.S.W., na którego czele stał kapitan Mieczysław Chmielewski, a w którym referentem była komendantka dr J. Baranowska, tematy, miejsca i terminy wygłoszenia odczytów, zaś wydział będzie wydawał właściwe zarządzenia, a mnie dostarczał rozkazy wyjazdu. Zamieszkałem z zezwolenia gen. Wiatra w Kairze i dostałem powolenie na noszenie munduru, co było niezbędne przy rozjazdach. W okresie czasu od końca 1945 do lipca 1947 r. wygłosiłem kilkadziesiąt razy odczyty w Kairze, Aleksandrii, Tel-Awivie, Jerozolimie, Rehovocie, El-Kantara, El-Quasassinie, Nazarecie, Kefar-Bilu, Bejrucie, Gezhirze, Zouku i Ismailii. Tematami odczytów, między innymi, były: sprawa uchodźców polskich w Afryce, sprawa mordu oficerów polskich w Katyniu, sprawa

16-tu w Moskwie, konstytucja kwietniowa 1935 r. Odczyty miały dużą frekwencję. Szczególnie odczyty o mordzie w Katyniu gromadziły tylu słuchaczy, że nie zawsze mogli pomieścić się w lokalu, gdzie odczyt odbywał się.

Początkowo część mieszkających w okresie ostatniej wojny w Egipcie Polaków zorganizowała się w miejscowym oddziale Związku Ziem Wschodnich. Dopiero w dniu 7 kwietnia 1946 r. na zebraniu organizacyjnym Polaków w Kairze uchwalono utworzyć Związek Polaków w Egipcie, przyjęto deklarację ideową i statut tego Związku oraz wybrano zarząd w osobach Józefa Gryki, Romana Kędzińskiego, Stanisława Lubodzieckiego, Stanisława Machowicza, Juliana Maliniaka, Czesławy Modlińskiej, Wacława Przeździeckiego, Konstantego Rdułtowskiego i Władysława Sokulskiego. Przewodniczącym zarządu został K. Rdułtowski, zastępcą przewodniczącego W. Przeździecki, skarbnikiem S. Machowicz i sekretarzem S. Lubodziecki. Związek miał za zadanie obronę interesów prawnych, moralnych i materialnych Polaków mieszkających w Egipcie, którzy na skutek wypadków wojennych i swojego stosunku do sytuacji w Polsce zostali pozbawieni uznawanego przez siebie przedstawicielstwa R.P. na terenie Egiptu. Związek liczył do 250 członków. Można było twierdzić, że Związek zrzeszał prawie cały ogół mieszkających w Egipcie Polaków — z wyjątkiem wojskowych w służbie czynnej, nie mogących ze względów formalnych należeć do organizacji.

Staraniem Związku odbył się w Kairze szereg odczytów, a mianowicie: dr. E. Kostki — „Oksfordzka historia o Dmowskim i Piłsudskim”, J. Suskiego — „O Anglii i Anglikach”, W. Rajkowskiego — „Panislamizm i Panarabizm”, S. Lubodzieckiego — „O wymiarze sprawiedliwości w Polsce dzisiejszej”.

W związku ze zmianą stosunków pomiędzy W. Brytanią a Egiptem i opuszczeniem przez oddziały angielskie miasta Kairu musieli to miasto opuścić i wojskowi polscy. Dowództwo rejonu terytorialnego Egipt zostało zwinięte, a pełniący służbę w tym dowództwie byli przeniesieni do miejsca postoju jednostek wojska na Środkowym Wschodzie — w El-Quassasin'ie, położonym w pobliżu stacji kolejowej tejże nazwy, pomiędzy Kairem a Ismailiǎ. W El-Quassasin'ie był obóz wojska angielskiego i trzy obozy polskie — przejściowy, rezerwy personalnej i dowództwa. Obozy były na pustyni, o parę kilometrów jeden od drugiego.

Od pewnego czasu w razie pozbawienia oficera jego przydziału przenoszono go do rezerwy personalnej, nowej odmiany II grupy, z tym samym zmniejszonym uposażeniem, jakie mieli oficerowie II grupy. Oficerowie rezerwy personalnej wraz z oficerami II grupy mieścili się w obozie położonym pomiędzy obozem

dowództwa a obozem przejściowym. Obóz rezerwy personalnej nazywano obozem leśnych dziadków, obóz zaś dowództwa — obozem wesołych jednostek.

Stosunek do oficerów II grupy, mieszczących się w obozie rezerwy personalnej uległ takiej zmianie, że zakaz noszenia munduru nie był faktycznie stosowany i wszyscy mieszkańcy obozu rezerwy personalnej chodzili w mundurach. Była i inna zmiana, a mianowicie, gdy zamieszkałym w Kairze nielicznym oficerom II grupy dowództwo rejonu terytorialnego Egipt odmawiało wydawania książeczek mundurowych, uprawniających do zakupów w Naafi, wszystkim oficerom w obozie rezerwy personalnej takie książeczki wydawano. Osobliwością było, że oficerowie w obozie rezerwy personalnej mieli potrącane z poborów pewne kwoty jako komórne za mieszkanie w namiotach i pewne kwoty za racje żywnościowe, wydawane przez Anglików. Te potrącenia były za to, za co wojsko Anglikom nie płaciło, a wynosiły ponad 6 funtów miesięcznie na głowę. Latem 1947 r. oficerowie II grupy, intendentzi dyplomowani, opracowali tekst skargi do dowództwa, opierając się na właściwych, dobranych przez nich z mnóstwa istniejących, przepisach. Skargi według powyżej wspomnianego wzoru wnieśli wszyscy zainteresowani oficerowie. W skargach żądano zniesienia potrąceń i zwrotu sum poprzednio potrąconych. Pierwsze żądanie było uwzględnione i dalszych potrąceń zaniechano. Drugie żądanie dowództwo odrzuciło. Zainteresowani wnieśli co do odmowy odwołanie do ministerstwa obrony narodowej w Londynie. Odpowiedzi na to odwołanie nie było.

W końcu pragnąłbym nieco wypowiedzieć się o nowej, przed 1939 rokiem nieznanej instytucji — o tak zwanej II grupie oficerów, tyle razy już przeze mnie wymienionej.

W zasadzie ustanowienie w czasie ostatniej wojny II grupy oficerów miało charakter bardzo humanitarny. Zagranicą okazało się znacznie więcej oficerów, niż było potrzeba do obsadzenia etatów w wojsku. Dzięki II grupie nadwyżka oficerów miała materialnie ułatwione życie poza krajem przez otrzymywanie zmniejszonego, nieco więcej niż o połowę, uposażenia. Było to szczególnie istotne dla powołanych do służby czynnej oficerów rezerwy, nie posiadających nabytych praw emerytalnych.

Ale kryteria do zaliczenia oficera do II grupy były w praktyce różne.

A zatem kwalifikowała do zaliczenia do II grupy chwilowa lub stała nieużyteczność, niezdolność, podeszły wiek. Lecz na tym nie poprzestawano. W ogromnej liczbie wypadków decydowało kryterium *par excellence* polityczne. Przynależność do sfer rządzących w Polsce przed wojną z pozytywnym nastawieniem

do rządów tak zwanej sanacji, pochodzenie legionowe, piłsudczyzm — to były kryteria ujemne za czasu rządów generała Sikorskiego. Do II grupy zaliczano także oficerów z ujemną reputacją co do ich uczciwości lub mających charakter wykolejenców albo zboczeńców. Taka mieszanina wytwarzała ze strony oficerów czynnej służby stosunek do oficerów II grupy lekceważący ich, czasem nawet pogardliwy.

Masowość i długotrwałość istnienia II grupy, obfite perypetie jej sytuacji, wielorakość motywów przenoszenia do tej grupy, osobowość i charakter jej członków — wszystko to domaga się specjalnej monografii, która byłaby poważnym wkładem do historii wojska polskiego, do jego blasków i nędz.

Stanisław LUBODZIECKI

WSPOMNIENIE O PŁK. IGNACYM OZIEWICZU

Po klęsce wrześniewej całe odium odruchowej reakcji społeczeństwa spadło na oficerów złe dowodzących wojskiem, gdy każdy na sobie mógł odczuć tężącą niewolę.

Zaczęły powstawać coraz to inne organizacje, pretendujące do osiągnięcia zwycięstwa, które kilka miesięcy temu było niemożliwością dla organizmu całego państwa. Paradoksem tej działalności było, że na gorąco potępiani oficerowie znów wypływali na kierowników i dowódców różnych „Wici”, „KOP”, „TAB”, „Konfederacji”, czy „Mieczów i Pługów”.

Pogrom armii francuskiej, bezużyteczność fortyfikacji, Dunkierka, otworzyły oczy przedwczesnych krytyków. Smutek płynący z oczywistości przedłużenia wojny i okupacji był zrównoważony poczuciem — „nie byliśmy tak bardzo źli w polu”.

Postępujące porządkowanie podziemia przez dyrektywy Rządu z Paryża a potem z Londynu doprowadziły do wchłonięcia przez Związek Walki Zbrojnej (późniejsza A.K.) wielu ze wspomnianych organizacji.

Stronnictwo Narodowe (S.N.) na swej politycznej siatce organizacyjnej związało Narodową Organizację Wojskową (NOW). Więcej w niej było elementu politycznego niż wojskowego. Młodszy oficerowie, głównie z rzerwy — a więc w życiu cywilnym czasem parający się polityką, społeczeństwu znani, obejmowali komendę powiatowych czy rejonowych zespołów. Broni było bardzo mało, głównie zakopanej we wrześniu, nie zawsze zakonserwowanej, lub niewystarczająco oznaczonej.

Stronnictwo Narodowe było w opozycji do rządów pomajowych i konsekwentnie zachowało ten sam kierunek w podziemiu, gdy na czołowych stanowiskach w ZWZ uplasowali się „ci sami”.

Ówczesny prezes S.N. w kraju, p. Stefan Sacha, nie życzył sobie nawiązania współpracy z ZWZ. On i jemu najbliżsi nie bardzo wiedząc jak to wykonać byli za niezależnością NOW, aż do przygotowania i wykonania powstania włącznie.

Te arealia, aczkolwiek często wyznawane, spowodowały p. Sachę do szukania starszych oficerów zawodowych dla objęcia pracy kierowniczej. Płk. Ignacy Oziewicz, we wrześniu dowodzący 29. dyw. piechoty, ranny dwukrotnie w kampanii, po wyjściu ze szpitala na Litwie i z obozu gdzie był internowany, przybył do Warszawy jako 95 procentowy inwalida (fikcja) i tu zetknął się z Prezesem. NOW, a to była już jesień 1940 r., miała dowódcę

w osobie ppłk. „Michała” i załazek sztabu. Płk. Oziewicz rangą, funkcją i doświadczeniem starszy, pozostał w charakterze obserwatora i doradcy wojskowego prezesa. Mnie pułkownik wezwał ze wsi, gdzie przebywałem po trzech nieudanych próbach przedostania się na Węgry. Pułkownik, który przyjął pseudonim „Czesław” uważał, że jego obowiązkiem jest zająć się NOW i — wierzył, że doprowadzi do współpracy ZWZ i organizacji narodowej jako całości. Mnie zaproponował objęcie oddziału operacyjnego Dowództwa. Zgodziłem się na to. Pan Czesław nie chciał sam wejść do ZWZ, mówiąc wielokrotnie, że góra organizacji jest kontynuatorem naszego dowództwa z września. Nie wierzył, by ci sami ludzie poprowadzili lepiej robotę organizacyjną w podziemiu. Mnie konspiracja nigdy nie ciągnęła, ale po nieudanych próbach wyjścia z kraju nie mogłem stać na uboczu i nie nie robić.

Praca w NOW rozwijała się coraz lepiej, ale brak oficerów, broni i picinichy hamował rozwój organizacji. Jeździłem na inspekcję w teren, a po powrocie meldowałem wyniki panu Czesławowi i relacjonowałem je Prezesowi. Kontakty z Prezesem były denerwujące. Nie chciał rozumieć niebezpieczeństwa niekonspirowania się w podziemiu. W ulubionej kawiarni, przy zbiegu Filtrowej i Pl. Narutowicza, był jego gabinet pracy. W marcu 1942 r. rozmawiałem tam z nim po raz ostatni namawiając do scalenia z ZWZ na rozsądnych warunkach. Wpadł we wściekłość i podniesionym głosem odrzucił moje sugestie, zaśnaniając się wolą mas. Ludzie zaczęli się gapić. Wyszedłem.

Jednak już w czerwcu na odprawę sztabu p. Michał przyniósł decyzję Prezesa o bezwarunkowym połączeniu się z ZWZ. Wola mas przestała się liczyć. Nie wiem co wpłynęło na tak nagłą zmianę. Przypuszczam, że były to dyrektywy od prez. Bieleckiego z Londynu.

Okazało się jednak, że wola mas, przynajmniej w terenie, istnieje i nie pozwalała się lekceważyć. Ponieważ praca polityczna S.N. była kontynuacją roboty przedwrześniowej, nastawienie było antysanacyjne, co w układzie wojskowym było co najmniej nieprzychylnie dla ZWZ.

Zbyt nagły skręt dokonany przez Prezesa, bez przygotowania terenu, bez podania uzasadnień okręgom i powiatom, doprowadził do rozłamu w NOW. — Nie było jasne jakie okręgi idą z Prezesem, a jakie utrzymują dawną linię. Nadszedł nagły rozłam, trudny do natychmiastowego rozszyfrowania w warunkach podziemia. — Jedno było pewne, że praca zatrzymuje się do wyjaśnienia sytuacji.

O co chodziło?

ZWZ żądał rozwiązania oddziałów i wcielenia żołnierzy, a więc zniszczenia dokonanej już pracy. Pan Czesław, starsi oficerowie NOW i część polityków dążyła do współpracy z ZWZ przy zachowaniu oddziałów, inkorporowaniu sztabów i połączeniu służb i zapasów.

Z wojskowego punktu widzenia nic nie powinno było stać na przeszłości takim połączeniu wysiłków.

Politycznie było to jednak co najmniej niewygodne dla sanacji, która starała się zachować kierownictwo podziemnego państwa i utrzymać się wyłączną w swoich rękach, a więc ZWZ.

Politycy wszystkich kierunków w tym czasie marzyli i mówili w swych kołach o chwili „gdy władza będzie leżeć na ulicach”. Jedenasty Listopada miał odżyć, któregoś dnia po załamaniu Niemiec. Rosja miała mieć przetrzącony kręgosłup działaniami Hitlera. W tak powtórzonym schemacie z pierwszej wojny należało nie dopuścić do głosu adwersarzy.

W rozłamie z Prezesem poszły do ZWZ okręgi: Radomski, Częstochowski, Krakowski. COP i częściowo Kielecki. Inne Okręgi wypowiedziały posłuszeństwo — na ich czele stanął pan Czesław.

Ponieważ nie cierpiełem godzinami ciągnących się rozmów politycznych z ludźmi jeszcze bardziej zaciętrzewionymi sytuacją, i byłbym nieprzydatny w Warszawie, wyjechałem w teren.

W lipcu doszło do połączenia części NOW ze Związkiem Jaszczureczym. Biorąc nazwę z historycznego Związku szlachty i miast pruskich dla uwolnienia się od elektora, Obóz Narodowo-Radykalny przestawił się na organizację wojskową już od 1939 r. Związek Jaszczureczy miał w swych szeregach sporo oficerów, dużo inteligencji z wolnych zawodów i reprezentował wydaną, pełną energii sieć, która nie prowadziła niekończących się dyskusji o podziale narodowego włosa. Byli to ludzie młodzi, zapalni, zdyscyplinowani bez stawiania na baczność i bezinteresowni.

Prezydium ONR i frondująca część działaczy politycznych S.N. zawarli porozumienie i proklamowali powstanie Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ). W ten sposób osiągnięto bardzo wiele. Po rozłamie S.N. groziło opowanie części pozostałej przy starym programie przez skrajnych, szowinistycznych działaczy. Przestrzegając skrupulatnie zasad konspiracyjnych nie znałem i teraz nie mogę przytoczyć ich nazwisk. Pamiętam jako głównych reprezentantów Romana i Adama. Nie odstępując od pism Dinowskiego ani na krok, w jego tomach upatrywali lekarstw na każdą ewentualność. Nie chcieli się godzić na współpracę z innymi kierunkami politycznymi. Nie aprobowali odłożenia spraw wewnętrznych do okresu „po zwycięskiej wojnie”. Nie byli to ludzie wielkiej klasy — po trzech latach okupacji i niezliczonych aresztach i morderstwach niemieckich, popełnianych na czołowych działaczach każdego kierunku politycznego, był to już czwarty, czy piąty „garnitur”, jak się wówczas mawiało.

Pan Czesław słusznie uważał, że NSZ skupiając w swych szeregach wszystko, co pozostało poza ZWZ-em i komunistami, będzie mieć większą wagę w rozmowach o współpracy z Grottem (gen. Rowecki).

Nazwa NSZ łączyła odtąd w sobie zarówno określenie kierunku politycznego, jak i organizację zbrojną. Deklaracja polityczna, ogłoszona w podziemiu, opierała się na chrześcijańskiej nauce społecznej. Przeważająca część myśli była powtórzeniem deklaracji ogłoszonej w 1934 r. przy powstaniu ONR.

ONR występując o sprawiedliwość społeczną, o podźwignięcie z nędzy robotnika i rolnika z karłowatych gospodarstw, w najbardziej niefortunny sposób rozpoczęło walkę o odzyskanie państwa z elementu, który częściowo tylko asymilował się, a w masie pozostawał obcy, często wrogi i niejednokrotnie promujący komunę w nasze życie.

Najślusznniejsze idee i porywy zostały zapomniane temu kierunkowi, gdy rozpoczynając walkę o sprawiedliwość społeczną, rozpoczął od niesprawiedliwości wobec części współobywateli.

Dla młodszych od naszego pokolenia, wikłających się w zagadkach tamtego okresu w Polsce należy dać wskazówkę odczytywania zamazanych przez szybki czas znaków. — Najbardziej skrajni z prawicy podejmowali hasła dotychczas lewicowców. Rzeczywista sprawiedliwość płynąca z miłości chrześcijańskiej, podniesienia wydziedziczonych, zrozumienia koniecznej przebudowy społecznej. Lewica komunistyczna propagująca nienawiść i walkę klasową przechodziła na pozycje skrajnego radykalizmu przez zagrożenie prawom jednostki, pozbawienie mas głosu dla wyniesienia jednej partii uprzywilejowanych.

Ten kontredans, w którym, zachowując dawne nazwy, brano nową treść leżącą poprzednio u ideowych podstaw istnienia przeciwnika, dotąd trwa w świecie. Stojący wzdłuż ścian sali nie umieją w pełnym świetle rozpoznać mijających się par.

O ileż trudniej było to czynić w podziemiu. Mimo to jakiś dodatkowy zmysł, powstający w niebezpieczeństwie pozwalał masom orientować się. NSZ okrzepł szybko i zyskiwał w terenie. „Szaniec” był pismem wyjaśniającym podłoże gry politycznej, ponieważ „Walka” odeszła z p. Sachą. „Naród i Wojsko” objęło wojskowe informowanie organizacji.

Powstała „Rada Sześciu” do której wchodził trzech przedstawiciele S.N. (jednym był mecenas Stypułkowski) i trzech przedstawiciele ONR. Siódmym członkiem Rady był pan Czesław. Rada Sześciu powołała „Cywilną Służbę Narodu” dla cywilnej organizacji terenu, informacji, przygotowywania zapatrzenia i administracyjnej gotowości na okres przełomowy.

Rada Sześciu nawiązała kontakt z Delegaturą Rządu i starała się o wejście do Krajowej Reprezentacji Politycznej. Nie było to łatwe i przy połączonych wysiłkach ludowców, socjalistów i prez. Sachy nie doszło do skutku. Im bardziej przedłużała się okupacja, a w D-wie ZWZ zyskiwał na znaczeniu kierunek skrajnie lewy (gen. Tabor-Tatar, płk. dypl. Jan Rzepecki) tym bardziej trudno było osiągnąć jedność.

Dowództwo A.K. *de facto* miało w swej dyspozycji Delegaturę i Kraj. Repr. Pol. Ono otrzymywało z Londynu pieniądze, miało łączność i szyfry. Dowództwo to, zachowując pozory podporządkowania się władzom cywilnym, było władzą, która chciała być jedyną.

NSZ jako kierunek polityczny, a bardziej jeszcze jako niezależna organizacja wojskowa, była kamieniem obrazy dla sanacji, która chciała — kraj obejmując w podziemiu w niepodzielne władanie — kontynuować rządy objęte w maju 1926 r.

Dłatego dążność do likwidacji NSZ przez wchłonięcie członków, a rozwiązanie oddziałów była manewrem politycznym, pokrywanym względami wojskowymi.

Miało to i dobrą dla NSZ stronę. A.K. była mocno prześwietlona przez wywiad komunistyczny. Ułatwiło to masowe areszty i zsyłki po opanowaniu Polski przez Rosjan. Siatka cywilna NSZ była nie ujawniona i pozostała nie spenetrowana.

NSZ objęły organizacją cały obszar Polski i posiadały placówki dla swej działalności, głównie zresztą wywiadu i łączności, w Berlinie, na Litwie, na Węgrzech i w Rumunii.

Stan na 1 października 1943 r. wynosił ponad 72.000 ludzi, źle uzbrojonych, słabo wyszkolonych i niedostatecznie dowodzonych, przy braku oficerów starszych stopni. Były prowadzone szkoły podchorążych w Warszawie, Łodzi i Lwowie. Szkoły podoficerskie były w siedzibach okręgów. Dowodzenie było bardzo utrudnione. Polegało na odprawach, inspekcjach w terenie i rozkazach pisemnych, wysyłanych przez łączników. Nie posiadano sieci radiowej.

NSZ nie przewidywał sytuacji prowadzenia własnej walki. Pan Czesław liczył wciąż na porozumienie z A.K., włączenie się do jej wysiłku, a więc działania w ramach jednego planu powstania.

Dla walki z okupantem, zaprawienia oddziałów i zdobywania pieniędzy na Niemcach Pułkownik polecił uruchomić „Akcję Specjalną Nr 1”. Kiedy okupant rozpoczął planowe wysiedlanie ludności z Zamojskiego i przekazywanie gospodarstw osadnictwu niemieckiemu „Akcja Specjalna Nr 2” zajęła się pomocą ludności. Kadry oddziałów wchłaniały wysiedlonych chłopów i nękały Niemców.

W terenie spotkania N.S.Z. z A.K. nie stwarzały nieporozumień. Natomiast nieliczne oddziały komunistyczne, często dowodzone przez sowieckich sztyków, traktowano jak bandytów, gdyż rabowali zarówno chłopów i dwory, i likwidowano.

Odbiło to się w czerwonej prasie podziemnej, która atakowała NSZ z fu-

rią. Przeszło to potem w mordowanie naszych żołnierzy z nakazu i pod osłoną Rosjan.

Aresztowanie pana Czesława, który zamieszkał w mieszkaniu przyjaciela na Bielanych, pozbawiło NSZ dowódcy. Było to w pierwszej połowie lipca 1943 r.

Byłem w tym czasie na wsi. Przysłano łączniczkę z zawiadomieniem i wezwaniem do objęcia dowództwa NSZ. Byłem pierwszym zastępcą Dowódcy i szefem sztabu.

Ponieważ rozmowy z A.K. nie rokowały porozumienia, mój stopień wojskowy był zbyt mały dla zastąpienia Pułkownika — a dowodzenie razem z pracą polityczną w Radzie Sześciu byłoby ponad czas i siły jednego człowieka — ucieszyłem się, gdy po mojej rezygnacji płk. dypl. Kureyusz objął dowództwo.

W czerwcu 1943 r., gdy przyjechałem wezwany przez Pułkownika do Warszawy, łącznika złapała mnie w drodze na Bielany. Pułkownik został aresztowany na kwaterze, którą sobie sam znalazł. Wywieziony do Oświęcimia na długą gehennę.

Dopiero w końcu 1945 r. odwiedziłem Pułkownika w Murnau. Był bardzo zmieniony, miał pretensje, że o nim zapomniano. Nie chciał mówić o ostatnich dwóch latach. Nie zgodził się na moją propozycję przyjazdu do Włoch. Uważał, że nie może jechać w charakterze petenta. Powinien być zaproszony lub wezwany.

Wiem, że potem wyjechał do Francji, gdzie chorował. Do mnie, już w Australii, w r. 1952 przyszła wiadomość, że umarł. Prawdopodobnie pomyłono to z Jego skierowaniem do sanatorium, gdzie długo przebywał.

Zmarł 11 stycznia 1966 r. w Gdyni.

Stanisław ŻOCHOWSKI

RECENZJE I POLEMIKI

WYPADKI MAJOWE W POLSCE W 1926 R.

Jak to się zdarza, pierwsze źródłowe opracowanie tematu o wypadkach majowych w Polsce w 1926 roku wyszło spod pióra nie Polaka, lecz Amerykanina*.

Józef Rothschild jest młodym profesorem uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku. Urodzony w Niemczech, w Fuldzie w 1931 r. zdołał jako ośmioletni chłopak wyjechać z Niemiec dramatycznego 3 września 1939 r. ostatnim pociągami idącym z Kolonii do Hoek van Holland, na parę godzin przed wypowiedzeniem wojny Niemcom przez Francję. Inni członkowie rodziny Rothschildów już nie zdołali uratować się. Po krótkim pobycie w Holandii, bo już w 1940 r. państwo Rothschildowie znaleźli się w Nowym Jorku, gdzie chłopiec kształcił się w szkole amerykańskiej. Stopień magisterski uzyskał na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, doktorat zaś w Oxfordzie. Od 1955 r. jest wykładowcą w Columbii jako Associate Professor of Government. Napisał, poza szeregiem artykułów, książkę „The Communist Party of Bulgaria: Origins, and Development, 1883-1936”.

Zainteresowawszy się sprawami polskimi, zaczął uczęszczać na kurs języka polskiego, wykładany przez prof. Ludwika Krzyżanowskiego w Columbii. Język ten opanował całkowicie, czyta bardzo biegle, mówi dobrze, choć ostrożnie, bywał na moich odczytach po polsku i wszystko rozumiał.

Książka jego o wypadkach majowych, która ukazała się w listopadzie, wydana jest niezwykle starannie. Piękny papier i druk, doskonała czarno-czerwona obwoluta z podobizną głowy Piłsudskiego (rzeźba Laszczki), właściwa pisownia polskich nazwisk i słów, setki ścisłych przypisów, dwie mapy — czynią niezwykle dodatnie wrażenie.

* Rothschild, Joseph. *Piłsudski's coup d'état*. New York and London, Columbia University Press, 1966. XII, 435 stron, dwie mapy. Wykaz biograficzny, bibliografia, indeks. Cena 10 dol.

Książka dzieli się na pięć części. W pierwszej autor podaje ideologiczne, polityczne, ekonomiczne i wojskowe podłoże wypadków majowych. Na 50 prawie stronach omawiane są te elementy w sposób jasny, wykazując przekonywająco źródłowe argumenty o katastrofalnym stanie Polski przed majem 1926 r. Duża część tych rozważań dotyczy zagadnień organizacji naczelnych władz wojskowych, tematu niezwykle trudnego i złożonego. Autor przedstawił projekty organizacji tych władz (Piłsudskiego, Szeptyckiego, Sosnkowskiego, Sikorskiego i Żeligowskiego) w sposób przejrzysty i dostatecznie szczegółowy, dając wyraźny obraz różnic, jakie dzieliły autorów poszczególnych projektów.

Część druga książki obejmuje okres wypadków majowych od 5 do 15 maja.

Część trzecia ma tytuł „Usiłowania konsolidacji i legalizacji władzy” i zawiera sprawę wyborów prezydenta, zmian konstytucji i powstanie BBWR.

Część czwarta dotyczy roli wypadków w życiu ekonomicznym kraju i jego polityce zagranicznej. Ostatnia część pod znaczącym tytułem „Znowu kryzys” omawia wybory do sejmu 1928 r., kongres Centrolewu w Krakowie w 1930 r., osadzenie w więzieniu w Brześciu jego przywódców i sąd nad nimi.

Wśród załączników znajduje się ciekawe opracowanie stosunku Polskiej Partii Komunistycznej do wypadków majowych i rejestr biograficzny, obejmujący 63 nazwiska. Ten ostatni jest o tyle ważny, że w polskiej literaturze ciągle brakuje *Who's Who?* z dokładnymi danymi o wybitniejszych osobistościach. W rejestrze prof. Rothschilda są pewne błędy, np. informacja o śmierci ks. Janusza Radziwiłła w 1945 r. (str. 267). Może okolicznością łagodzącą dla autora jest to, że fakt ten został tak właśnie podany w „Liście strąt kultury polskiej” (Warszawa 1947). Juliusz Poniatowski nigdy nie był po wojnie w Stanach Zjednoczonych (str. 396). Nieścisłą jest informacja, że Jan Dąbski umarł z powodu ran zadanych mu przez „*unknown culprits in officers' uniforms*” (str. 352). W rzeczywistości umarł na raka, na którego długo cierpiał. Kazimierz Bagiński „*a pioneer hero of the Polish air force in 1920*” (str. 355) nigdy nie służył w lotnictwie, natomiast będąc członkiem P.O.W. na tyłach rosyjskich w 1914-15 roku był wybitnym żołnierzem oddziałów lotnych P.O.W. i brał udział w akcjach terrorystycznych przeciwko armii rosyjskiej, za co otrzymał *Virtuti Militari*. Pracowałem z nim w tym czasie. Może autor przetłumaczył polskie wyrażenie „oddział lotny” na „*air force*”.

Generałowie St. Haller i Skierski zginęli nie w Katyniu, lecz wraz z innymi oficerami przebywającymi w obozie w Starobielsku (str. 90).

Brak jest oddzielnej biografii Józefa Piłsudskiego.

Bardzo bogata bibliografia (18 tytułów aktów i prac nieogłoszonych, a 379 opublikowanych) i wzorowy indeks nazwiskowy,

rzeczowy i geograficzny są cennymi dodatkami pracy prof. Rothschilda.

Opis wypadków autor rozpoczyna od 5 maja 1926 r., tj. od dymisji gabinetu Aleksandra Skrzyńskiego, podając usiłowania prezydenta Wojciechowskiego utworzenia rządu w oparciu o większość sejmową prawo-centrową lub lewo-centrową, potem rządu ponad-partyjnego Władysława Grabskiego, a gdy i to się nie udało, prezydent 9 maja powierzył formowanie rządu Witosowi, opartemu o świeżo skleconą w sejmie większość prawicowo-centrową. Autor zaznacza, że prezydent nie wykorzystał właśnie wtedy powstałej możliwości utworzenia rządu Skrzyńskiego z Piłsudskim, Moraczewskim, Ziemięckim i Bartlem, na co Piłsudski wyraził swą zgodę. Wojciechowski obawiał się, że taki rząd nie ma szans uzyskania votum zaufania, poza tym uważał się za związanego obietnicą w stosunku do Witosu. Prof. Rothschild twierdzi, że rząd Witosu, a zwłaszcza udział w nim gen. Malczewskiego, był wyraźną prowokacją w stosunku do Piłsudskiego i zarzuca Witosowi, że pozorna większość parlamentarna, która miała go poprzeć, nie była istotnym odbiciem układu sił w kraju, gdyż sejm już nie odzwierciedlał właściwej opinii społeczeństwa (str. 53).

Gdy 12 maja zaczął się ruch wojsk Marszałka ku Pradze, Witos nie uznał za właściwe powiadomić o tym prezydenta Wojciechowskiego, znajdującego się w Spale. Autor przypuszcza iż Witos, wiedząc o niezbyt życzliwym do niego stosunku prezydenta, obawiał się, że Wojciechowski, pamiętając o dawnej współpracy z Piłsudskim w PPS, stanie po jego stronie. Z drugiej strony Piłsudski popełnił taką samą pomyłkę w ocenie Wojciechowskiego, swego dawnego towarzysza, wysuniętego właśnie przez niego w 1922 r. na stanowisko prezydenta (str. 59, 61).

Przebieg dalszych wypadków prof. Rothschild podaje bardzo szczegółowo i dokładnie. Przedstawiając rozmowę na moście Poniatowskiego 12 maja podkreśla bardzo ugodowe i przyjacielskie podejście ze strony Piłsudskiego do rozwiązania konfliktu, bynajmniej nie skierowanego przeciwko osobie prezydenta. Natomiast stanowisko Wojciechowskiego było sztywne i oficjalne. Prezydent uważał, że Rzeczpospolita, którą on reprezentuje, nie podda się buntowi. Późem polecił kompanii podchorążych zapobiec wejściu Piłsudskiego i jego żołnierzy do Warszawy (str. 60-61).

Analizując sytuację, autor uważa, iż Piłsudski nie spodziewał się walki i nie był do niej przygotowany. Siły zbrojne, którymi dysponował, były bardzo słabe. Nie miał artylerii, posiadał wprawdzie kawalerię, ta jednak z natury rzeczy nie nadawała się do walki ulicznej. Już na moście Poniatowskiego, ale przed rozmową z Wojciechowskim, Piłsudski zapewniał Orlicz-Dreszera, że walki nie będzie.

Prof. Rothschild uważa, że prezydent Wojciechowski jest odpowiedzialny za krwawy przebieg wypadków. Witos, jak autor podaje, skłonny był do ustąpienia, lecz prezydent zamiast udzielić dymisji gabinetowi, wzmocnił jego opór.

Piłsudski był przybity rozmową na moście. Nie mógł, jak pisze autor, pogodzić się z tym, że przewidywania jego zawiodły. Nie mając planu walki, zaczął szukać różnych improwizowanych akcji mediacyjnych. Autor wylicza je po kolei (str. 66 i dalsze). Gdy się nie udały usiłowania ze strony lewicy, Piłsudski 13 maja użył przedstawicieli konserwatystów by tylko uniknąć wojny domowej na szerszą skalę. I to nie dało wyników.

Podając szczegółowo opis walk autor nie omieszczał zacytować rozkazu gen. Rozwadowskiego z Belwederu do płk. Modelskiego w Cytadeli w nocy 12 maja, nakazujący likwidację oddziałów Piłsudskiego zanim uzyska on posiłki. W tym celu akcja winna być przeprowadzona z całą energią i koniecznym jest ująć lub zabić Piłsudskiego i innych kierowników buntu. Oficer, przebrany po cywilnemu, starał się dostarczyć ten rozkaz do Cytadeli, lecz został po drodze przejęty przez żołnierzy gen. Orlicz-Dreszera (str. 96). Oryginał rozkazu znajduje się w archiwum Instytutu J. Piłsudskiego w Nowym Jorku.

Autor podkreśla, iż zamierzenie zamordowania Piłsudskiego zwiększyło znacznie zawziętość jego żołnierzy, zwłaszcza wobec dążenia Piłsudskiego unikania walk w ogóle, a oszczędzenia osoby Wojciechowskiego w szczególności.

Ponieważ Piłsudski nie przewidywał walki lecz, jak twierdzi autor, raczej oczekiwał osiągnięcia swego celu politycznego przez „zbrojną demonstrację”, przeto zwracał małą uwagę na zmobilizowanie posiłków. Nawet po rozmowie na moście Poniatowskiego nie Piłsudski, ani Orlicz-Dreszer, lecz raczej ówczesny płk. Stanisław Skwarczyński powziął inicjatywę ściągnięcia do Warszawy trzech pułków z Kutna, Łomży i Pułtuska.

Autor szczegółowo opisuje usiłowania obu stron zmobilizowania i przetransportowania oddziałów do Warszawy. Zwraca uwagę na stanowisko niektórych generałów, jak Rybaka, Berbeckiego, a zwłaszcza Sikorskiego, zachowanie pewnego rodzaju neutralności w wykonaniu poleceń gen. Rozwadowskiego z Belwederu.

Gen. Sikorski 13 maja tłumaczył, dlaczego ani sam nie może przybyć, ani przysłać posiłków. W swym raporcie (oryginał w Instytucie Piłsudskiego) sprecyzował to w pięciu punktach: *a)* ruch wojsk sowieckich na granicy, *b)* fermenty wśród Ukraińców, *c)* niechęć kolejarzy-socjalistów transportowania wojsk na pomoc rządowi, *d)* niechęć wśród oficerów walczenia po stronie wojsk rządowych, *e)* obecność zbyt wielu generałów w Belwederze.

Co do ostatniego punktu prof. Rothschild uważa, iż Sikorski obawiał się że nie zostanie w Warszawie odpowiedniego stanowiska.

Na swój raport gen. Sikorski otrzymał z Belwederu odpowiedź, że zwalnia się go z osobistego przybycia do Warszawy, lecz musi przysłać bezwarunkowo jeden pułk piechoty i trzy baterie. 14 maja Sikorski odpowiedział że pułk, który wysyła jest „duchowo oddany” Piłsudskiemu. Autor dziwi się, że jeśli

istotnie tak było, to dlatego Sikorski wysłał ten właśnie pułk, a nie inny. Zresztą nie dojechał on nigdy do Warszawy.

Sprawa posiłków dla obu stron walczących w Warszawie była sprawą pierwszorzędnej wagi, lecz prof. Rothschild uważa, iż decydującą rolę w zwycięstwie Piłsudskiego odegrał strajk kolejowy, proklamowany przez PPS 13 maja wieczorem. Wstrzymał on transporty wojsk rządowych, a ułatwiał przejazd oddziałów, które szły na pomoc Piłsudskiemu.

Zagadnienie roli PPS w wypadkach majowych dało okazję autorowi szerszego omówienia stosunku PPS do Piłsudskiego, czemu poświęcił cały rozdział. W tej analizie autor zaznaczył, że choć ostatecznie PPS podtrzymywała wówczas Piłsudskiego, to jednak jedna grupa (Jaworowski, Moraczewski) robiła to bez zastrzeżeń, podczas gdy inni (Perl) chcieliby mieć pewne polityczne zapewnienia. Piłsudski jednak nie chciał udzielić żadnych wiążących obietnic.

Opisując końcowy okres walk, autor raz jeszcze podkreśla, że Piłsudski unikał wszystkiego, co mogłoby wskazywać, iż akcja jest skierowana przeciwko osobie prezydenta Wojciechowskiego. W nocy z 12 na 13 maja mógł bowiem zdobyć Belweder, gdzie przebywał prezydent, jednak tego nie uczynił.

Wydaje mi się, że prof. Rothschild nie dość silnie podkreśla nastroj stolicy w owych dniach. Był on tak wyraźnie po stronie Piłsudskiego, że prezydent i rząd w Belwederze powinni to byli wcześniej wziąć pod uwagę i wyciągnąć z tego wnioski polityczne.

14 maja autor oblicza siły Piłsudskiego w Warszawie na 15 pułków, co znacznie rozszerzyło stan posiadania w mieście. To wywołało opuszczenie przez prezydenta i rząd Belwederu i przeniesienia się do Wilanowa. Wojciechowski, jak pisze prof. Rothschild, tak był zniechęcony w stosunku do starszych generałów, pełnych zawodowych zawiści, osobistych kłótni, nierozumnego optymizmu lub histeryków, jak Malczewski, że powierzył dalszą obronę stosunkowo młodemu pułk. Andersowi, wykazującemu energię i bezpośredniość (str. 138). Tymczasem rząd Witosa doznał dużego politycznego wstrząsu, gdy trzech ministrów: Józef Radwan (Reformy Rolne), Mieczysław Rybczyński (Roboty Publiczne) i Adam Chądzyński (Komunikacja) opuścili Wilanów i wrócili do Warszawy. Uprzednio dwaj ministrowie: Stefan Piechocki (Sprawiedliwość) i St. Osiecki (Przemysł i Handel) zostali wysłani do Poznania z dużymi pełnomocnictwami, do ogłoszenia mobilizacji włącznie. To oni właśnie wysłali do polskich placówek zagranicznych ową sławną depezę, napisaną przez Stefana Dąbrowskiego, ogłaszającą Piłsudskiego za wyjątego spod prawa, opatrzywszy ją nazwiskami Witosa i Kajetana Morawskiego, kierownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Prof. Rothschild nazywa tę depezę zastraszającym i obelżywym paszkwilem („blustering and abusive diatribe”, str. 144). Tu mała dygresja.

Depesza, ogłoszona w Paryżu, doszła także do prasy w Tokio,

gdzie byłem wówczas kierownikiem poselstwa. Rankiem 14 maja odwiedziło mnie w poselstwie szereg dziennikarzy japońskich, pytając o informacje. Byłem ich zupełnie pozbawiony i nic nie wiedziałem o wypadkach warszawskich. Gdy mi pokazano depeszę agencji Havasa o walkach i o tym, że Piłsudski jest „poza prawem” zrozumiałem, co się stało w Warszawie i dałem wywiad, opublikowany w prasie japońskiej, przedstawiający dotychczasową działalność Piłsudskiego, powody wypadków w Warszawie i zapewnilem, że z walk tych Polska wyjdzie wewnętrznie silniejsza.

Dopiero następnego dnia lub później dostałem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych dłuższą depeszę, podpisaną przez triumwirat: Roman Knoll, Karol Bertoni i Stefan Przeździecki, dający mi instrukcję, jak mam komentować wypadki w Warszawie. Na szczęście, nie potrzebowałem zmieniać mego poprzedniego oświadczenia do prasy. Pokrywało się ono całkowicie z instrukcją rządową.

Wróćmy jednak do książki prof. Rothschilda. Opisuje on szczegółowo posiedzenie rady ministrów w Wilanowie 14 maja wieczorem z udziałem prezydenta i decyzję zawieszenia broni. Jednocześnie nastąpiła rezygnacja rządu i prezydenta Wojciechowskiego oraz objęcie funkcji prezydenta przez marszałka sejmu, Rataja.

Autor szerzej omawia stanowisko zachodniej części Polski w stosunku do faktu zakończenia walk. Najsilniej wystąpiło Poznańskie. 16 maja 23 posłów i senatorów, podtrzymywanych przez wojewodę Bnińskiego, przyjęło uchwałę, odmawiającą uznania funkcji Rataja jako prezydenta *pro-tempore*. Następnego dnia podobne zebranie 15 posłów i senatorów w Katowicach pod przewodnictwem Korfantego uchwaliło, by Zgromadzenie Narodowe, zwołane celem wyboru nowego prezydenta, odbyło się nie w Warszawie, opanowanej przez Piłsudskiego, lecz w innym mieście. Wreszcie na Pomorzu słała akcja prasowa, zachęcana przez gen. Dowbór-Muśnickiego z Poznania, oderwania się od reszty Polski i zwołania „sejmu zachodniego” celem utworzenia ośrodka „Polski Piastów” (str. 171 i dalsze).

Akcje te, łącznie z manifestacyjnym przyjęciem pułków poznańskich, powracających 20 maja spod Warszawy, dały w rezultacie, jak twierdzi prof. Rothschild, odwrotny rezultat od zamierzzonego. Zamiast separacji — związały bardziej organicznie te części z resztą Polski. Wyszło to z dołu, głównie z szeregów Narodowej Partii Robotniczej, dzięki akcji posłów Ciszaka i Waszkiewicza, którzy wypowiedzieli się za poparciem Piłsudskiego. To stopniowo wpłynęło na uznanie *faits accomplis* w Warszawie i uspokojenie społeczeństwa.

Rozkładowe tendencje znalazły, według autora, wyraz na odcinku wojskowym także i u prezydenta Wojciechowskiego. Prof. Rothschild przypomina, że w Wilanowie w nocy 14 maja, gdy zapadła decyzja zawieszenia broni i rezygnacji prezydenta,

zgorzkniały Wojciechowski podkreślił, że każdy oficer musi teraz w swym sumieniu zdecydować, czy może dalej służyć w takiej armii, która powstanie jako rezultat zamachu (str. 182). Autor uważa, iż słowa te szły we wręcz odwrotnym stosunku do usiłowań Piłsudskiego chcącego zjednoczenia armii, czego wyrazem był jego znany rozkaz dzienny z 22 maja („eloquent and moving Order of the Day, the style of which showed him at his romantic and political and human best” — str. 185).

Mówiąc o wojsku prof. Rothschild zaznacza, że w owym czasie armia polska liczyła przeszło 300.000 żołnierzy i była w Europie czwartą armią pod względem liczebności po Francji, Włoszech i Związku Sowieckim (str. 189-190).

Na tym właściwie kończy się opis, przyczyn i przebiegu wypadków majowych, co obejmuje prawie 200 stron książki. Lecz autor kontynuuje swą pracę, szukając odpowiedzi na pytanie, jakiego rodzaju rządy nastąpiły w Polsce po wypadkach w maju 1926 r. Należy przypomnieć, iż prof. Rothschild nie jest historykiem, lecz jego zainteresowania obejmują to, co w Ameryce nazywają *Government and Politics*, czyli politykę rządzenia. To też w dalszym rozdziale autor omawia usiłowania Piłsudskiego zalegalizowania przewrotu i podkreśla umiarkowanie polityczne rządu Bartla. Nieprzyjęcie przez Piłsudskiego 31 maja wyboru na prezydenta autor uważa za godne pożałowania. *Coup d'état* i wybór na prezydenta dały Piłsudskiemu, zdaniem autora, jedyną okazję połączenia jego niezwyklej siły duchowej z władzą instytucji prezydenta by poprawić konstytucyjny system w Polsce — a Piłsudski to odrzucił (str. 209). Wydaje mi się, że autor nie zrozumiał istoty psychiki Piłsudskiego, tak jak zresztą nie rozumieli jej tegoż 31 maja najbliżsi mu ludzie. W 1926 r. Piłsudski nie był człowiekiem, który mógłby w oparciu o konstytucję marcową, nawet poprawioną w tym czasie przez sejm, stanąć na czele państwa. Poza tym element osobisty, że nie robił on zamachu po to, by samemu zostać prezydentem, na pewno grał dużą rolę w bardzo wrażliwej duszy tego człowieka.

Omówiwszy szeroko sprawę zmian konstytucyjnych prof. Rothschild opisuje usiłowania „politycznej konsolidacji” społeczeństwa. Chodziło przede wszystkim o osłabienie Narodowej Demokracji „whom Piłsudski always regarded as a cancer” (str. 236). Stąd szukanie porozumienia z konserwatystami i wyjazd Piłsudskiego do Nieświeża, co dało mu pozytywne rezultaty. W sprawie najważniejszej dla właścicieli większej własności, tj. w sprawie reformy rolnej, nie uzyskali oni żadnych koncesji. Reforma była wykonywana nadal według ustawy z 1925 r. i 200.000 ha. (294,200 akrów) ziemi było rocznie parcelowane (str. 241).

4 grudnia 1926 r. Roman Dmowski utworzył nową organizację ideologiczną pod nazwą Obóz Wielkiej Polski, zmieniając dotychczasową konwencjonalną *partię* na polityczny *ruch*. Autor uważa, że Dmowski zdecydował chwilowo oddać Piłsudskiemu *aparatus państwowy* i skoncentrować się na wychowaniu *społeczeństwa*

w myśl swojej ideologii. Prof. Rothschild odnosi się wyraźnie niechętnie do akcji Dmowskiego (str. 242-3). Natomiast podkreśla życzliwy stosunek do Piłsudskiego ze strony papieża Piusa XI, który przekazał 27 maja, a więc po wypadkach w Warszawie, przez kardynała Kakowskiego (będącego w czasie wypadków majowych w Rzymie) błogosławieństwo papieskie dla Piłsudskiego i rządu Bartla. W ogóle stosunki Polski z Watykanem były wówczas, zdaniem autora, bardzo dobre, na co wskazuje obecność Mościckiego i Piłsudskiego na ceremonii koronacji Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie 2 lipca 1927 r.

Zbliżenie Piłsudskiego z konserwatystami, mające na celu rozbięcie prawicy, przyczyniło się, zdaniem autora, do rozłamu na lewicy. Także autorytatywne tendencje rządu, ujawnione w dekretach prasowych w 1926 i 1927 r. zaniepokoiły partię lewicową i skłoniły PPS do przejścia do opozycji. Nie była to jednak wówczas opozycja przeciwko samemu Piłsudskiemu, z którym władze Centralnego Komitetu Robotniczego utrzymywały nadal stosunki.

W tych warunkach powstaje w 1927 r. Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem BBWR zorganizowany na polecenie Piłsudskiego przez Walerego Sławka. Prof. Rothschild podaje szczegółowo powstanie BBWR (str. 262 i dalsze), rozmowy Sławka z konserwatystami w Dzikowie, rozłam w PPS i przystąpienie grupy Jaworowskiego do BBWR (październik 1928).

Opisując BBWR autor uważa, że praktycznie zadaniem Bloku było po prostu podtrzymywanie Piłsudskiego. Blok był tak ubogi pod względem ideologicznym i tak nieprzygotowany do reform społecznych, że mógł on rozbić, lecz nie zastąpić partii politycznych, mógł zyskać przystąpienie do niego szukających posad, lecz nie mógł porwać młodzieży (str. 271).

W tej części swej książki i później, gdy prof. Rothschild rozwija bieg spraw wewnętrznych w Polsce do Brześcia włącznie, autor pomija, zdaniem moim, jeden z kardynalnych elementów, mający zasadnicze znaczenie w polityce Piłsudskiego. Tym elementem są dwaj sąsiedzi Polski, — Niemcy i Rosja.

Nie należy ani na chwilę zapominać, a jednak autor tego nie widzi, że stosunki polityczne Polski z obu swymi sąsiadami były w opisywanych latach 1926-30 bardzo napięte.

Z Niemcami mieliśmy długą i kosztowną wojnę celną, a od wojny faktycznej chroniła nas jedynie polska armia, której siłę autor słusznie podkreśla. W Genewie mieliśmy nieustanne kłopoty i konflikty w sprawie Gdańska i Niemców w Polsce. Z Rosją stosunki układały się bardzo trudno. W 1927 r. został w Warszawie zamordowany poseł sowiecki Wojkow, a stosunki handlowe były bardzo ograniczone.

Te zagadnienia natury międzynarodowej były główną troską Piłsudskiego, obok troski o stan armii. Sprawy wewnętrzne obchodziły go o tyle, o ile mogły wpłynąć na zapewnienie bezpieczeństwa Polski. Sejm, rozbitý na liczne partie i grupy, zwalcza-

jące się między sobą, nie dawał możliwości prowadzenia zdecydowanej polityki międzynarodowej. Siły, potrzebnej do tego, Piłsudski szukał nie w partiach politycznych, lecz w zgrupowaniu ludzi, często o bardzo różnych zapatrywaniach politycznych i społecznych, których łączy wspólna odpowiedzialność za bezpieczeństwo i losy państwa. To, że w BBWR mogli zasiadać i razem działać konserwatyści, jak książę Janusz Radziwiłł i ks. Zdzisław Lubomirski, ludowcy, jak Juliusz Poniatowski i Jakub Bojko i socjaliści, jak Jędrzej Moraczewski lub Rajmund Jaworowski — stanowiło element stabilizacyjny, na którym można było oprzeć przede wszystkim politykę zagraniczną państwa, a także i wewnętrzną.

Piłsudski wolał mieć taką formę opinii publicznej, gdyż do partii politycznych miał zdecydowany psychiczny uraz, datujący się od zamordowania prezydenta Narutowicza w grudniu 1922 r. Prof. Rothschild słusznie pisze o tym w odniesieniu do Narodowej Demokracji i innych partii prawicowych (str. 9). Tej zbrodni Piłsudski nigdy nie mógł wybaczyć i fakt ten trzeba mieć stale na uwadze, gdy mówi się o jego stosunku do Narodowej Demokracji.

Bez względu na to, czy BBWR był dobrą organizacją, czy też posiadał (i to na pewno) swe braki, odegrał on pozytywną rolę w dalszych latach, gdyż tylko dzięki temu stabilizacyjnemu elementowi można było wysunąć Polskę jako poważny czynnik na wschodzie Europy i ułożyć nareszcie stosunki z obu wielkimi, totalnymi sąsiadami przez zawarcie paktów o nieagresji i rozwiniecia stosunków gospodarczych.

Omawiając życie ekonomiczne Polski prof. Rothschild pisze, że Piłsudski wykorzystał sytuację związaną ze strajkiem węglowym w Anglii, co dało Polsce poprawę jej położenia gospodarczego. Wywołało to odzew kapitałów Anglii i Ameryki w formie pożyczek i inwestycji w Polsce. Przykładem tego była pożyczka stabilizacyjna 1927 r. (62 miliony dolarów i 2 milionów funtów). Piłsudski nie był ekonomistą i sprawami gospodarczymi nie zajmował się. Ale przypominam sobie, że osobiście czuwał nad rokowaniami o pożyczkę stabilizacyjną i był bardzo zadowolony, gdy w rozmowach z Amerykanami zdołał uzyskać pewną zniżkę w jej oprocentowaniu (które i tak było wysokie). Eksport węgla polskiego na rynki angielskie, bałtyckie i skandynawskie autor nazywa „an outstanding achievement, earned by the high quality, accurate grading and prompt delivery of the Polish coal” (str. 288).

Przedstawiając podstawy polskiej polityki zagranicznej, prof. Rothschild pomija zasadniczy element, który utrwalił egzystencję i zapewnił granice państwa, tj. zwycięską wojnę sowicką 1919-20. Wojna ta, która pierwsza od 300 lat przyniosła Polsce zwycięstwo nad Rosją, wysunęła na czoło także osobę polskiego naczelnego wodza. To, obok dawnej pracy podziemnej, dało Piłsudskiemu ten wielki autorytet, który zadecydował, że w omawianych przez autora wypadkach majowych i potem miał on tak ogromne po-

parcie społeczeństwa. Na tym przecież bazował się sojusz Polski z Francją z 1921 roku, zawarty osobiście przez Piłsudskiego. Bardzo słusznie prof. Rothschild podkreśla, że Piłsudski chciał „*strengthen and apply it* (sojusz). *But this was asking too much of France*” (str. 299). Może te słowa cudzoziemca wpłyną na tych Polaków, którzy stale głosili w kraju i we Francji, że Piłsudski, czy Beck, byli jej przeciwnikami. Zapewne, byli przeciwnikami słabości Francji, chcieli widzieć ją silną, a sojusz polsko-francuski mocny. Jeśli czasem ich odruchy były *brusque*, to w intencjach ich leżała zawsze silna Francja.

W odniesieniu do sprawy stosunków polsko-litewskich i wyjazdu Piłsudskiego do Genewy na posiedzenie Ligi Narodów (grudzień 1927 r.) pisze prof. Rothschild, że w stosunkach do Litwy „... *Poland's hands were scarcely clean...*” (str. 307). Twierdzenie to jest niesłuszne. Autor nie uwzględnia, iż swego czasu Polska proponowała Litwie różne i bardzo szerokie rozwiązania, jak np. stworzenie kantonów, które mogłyby całkowicie zaspokoić niepodległość i integralność tego państwa. Wszystkie te wysiłki poszły na marne. Litwa wołała wiązać się z Rosją lub Niemcami, niż z Polską. W tych warunkach Polska nie mogła zgodzić się na pozostawienie Wilna w rękach państwa, wrogo do niej ustosunkowanego i będącego pod wpływem Niemiec i Rosji.

Wracając do spraw wewnętrznych, a te właśnie interesują najwięcej prof. Rothschilda, omawia on szczegółowo wybory 1928 r., gdzie podkreśla: „*the active, rather than neutral, engagement of the government*” (str. 315). Autor zaznacza, że wybory przyniosły porażkę hegemonii przed-majowym partiom prawicowo-centrowym, a poparły zarówno Piłsudskiego, jak też parlamentarną lewicę, choć nie dały im większości (str. 320). W rozmowie ze Sławkiem i kierownikami BBWR (13 marca 1928) Piłsudski zaznaczył, że zaraz po maju wstrzymał się z proklamowaniem nowej konstytucji, gdyż nie jest zwolennikiem rządu za pomocą dekretów. Obecnie jednak oczekuje zasadniczej zmiany w tradycyjnych stosunkach między władzą ustawodawczą a wykonawczą. Dotąd „*dominant and arrogant Sejm must become moderate and deferential toward the president and the cabinet*” (str. 323).

Pierwszy konflikt z nowym sejmem dotyczył wyborów marszałka (Daszyński contra Bartel). Wbrew opinii Piłsudskiego, o której Daszyński był poinformowany, przyjął on wybór na marszałka. Możliwe, iż autor miał trudności w zrozumieniu stosunku Piłsudskiego do Daszyńskiego, z którym Piłsudski współpracował jeszcze z dawnych, przedwojennych czasów. Ale i wówczas miał konflikty z Daszyńskim, jak to wykazuje tokijska korespondencja Piłsudskiego z 1904 r. Daszyński był typowym parlamentarzystą. Czy to w parlamencie wiedeńskim, czy w sejmie polskim, żył on życiem walk lub sojuszków partii politycznych, tworzeniem lub rozbijaniem większości parlamentarnej, ataków

na rząd lub jego obronę. Trybun na wiecach, doskonały mówca w sejmie — Daszyński był personifikacją życia partii. A tego właśnie Piłsudski pragnął uniknąć. Stąd wypłynął konflikt o wybory marszałka sejmu, a potem inne zatargi, jak obecność oficerów w przedsiódkach sejmu w 1929 r.

Mówiąc o otwarciu sesji sejmowej w marcu 1928 r. prof. Rothschild niesłusznie uważa, iż wyprowadzenie na rozkaz Piłsudskiego demonstrujących komunistów z sali przez policję było „illegal” i „clear violation of the privileges and immunities of the Sejm” (str. 327). W danej chwili sejm nie był ukonstytuowany, postów nie byli jeszcze zaprzysiężeni, władze sejmu nie były wybrane, straż marszałkowska nie mogła działać, bo marszałka jeszcze nie było. W tych warunkach władzę porządkową w gmachu sejmu pełnił rząd, który otwierał posiedzenie i zapewnić musiał normalny wybór władz sejmowych. W innych wypadkach wyrzucaniem z sali demonstrujących posłów komunistycznych zajmowała się straż marszałkowska, jak to się zdarzało, w danej jednak chwili musiała to zrobić policja na rozkaz szefa rządu.

Prof. Rothschild kończy swą historyczną część książki rozdziałem pod tytułem „Ku Brześciowi”. Tytuł jest ścisły, gdyż autor nie przedstawia szerzej tzw. sprawy brzeskiej, ograniczając się jedynie do jej ogólnego omówienia. Za to dłużej przedstawia wypadki, które w okresie lat 1928-30 doprowadziły do aresztowania 18 osób we wrześniu 1930 r.

Omówiwszy ogólnie szereg zagadnień, poruszonych w książce prof. Rothschilda, a pomijając wiele innych, nadających się do głębszej analizy, przejdźmy do oceny całości pracy „Piłsudski's Coup d'Etat”.

Trzeba stwierdzić, iż książka ta jest poważną pracą naukową, niezbędną dla studium Polski w okresie dwudziestolecia. Jest to solidnie opracowane dzieło i podziwiać należy ilość pracy włożonej przez autora. To że autor nie jest Polakiem, daje mu wiele plusów, i sporo minusów. Plusem jest, że patrzy na opisywane wypadki z daleka, co zapewnić może obiektywny pogląd na dotąd animujące Polaków zdarzenia. Minusem jest trudność wniknięcia w specyficzną polską atmosferę, zrozumienie klimatu wypadków politycznych i charakteru ludzi, odgrywających w nich główną rolę. Specjalnie niełatwą do wniknięcia jest sama postać Piłsudskiego, niezwykle trudna i skomplikowana, i wiele jeszcze historyków będzie się biedziło nad jej rozszyfrowaniem. A właśnie bohaterem książki prof. Rothschilda jest Józef Piłsudski. Dlatego też warto jest podać uwagi, kończące to cenne dzieło, w których autor stara się ująć ogólną charakterystyką rolę Piłsudskiego w Polsce.

Prof. Rothschild stwierdza, iż jeśli europejscy mężowie stanu patrzyli na Polskę po pierwszej wojnie światowej jako na państwo *on trial*, coś w rodzaju państwa sukcesyjnego, to w rzeczywistości Polska nie była nowym, lecz odrodzonym państwem, głęboko przeświadczonym o swej przeszłej politycznej suwerenności

i tradycyjnej więzi z europejską kulturą. I tu, zdaniem autora, leżą osiągnięcia Piłsudskiego. Dzięki swej działalności przed i podczas pierwszej wojny światowej był on narzędziem w odbudowaniu tego państwa. Bez względu na to, czy wypadki majowe były jedyną możliwością rozbitego politycznie państwa, faktem jest, że one właśnie i ich rezultaty usunęły niebezpieczeństwo dla Polski stania się *Saisonstadt*. Autor uważa, że Polska była politycznie pół-dyktaturą, lecz nie totalitarnym państwem. Chociaż ograniczone, istniały jednak partie polityczne i związki zawodowe, wolna prasa, autonomiczne sądownictwo, obyczaje parlamentarne i wybory. Prof. Rothschild stwierdza, iż Piłsudskiego zasługą, którą należy mu sprawiedliwie oddać, jest to, że dzisiaj pojęcie Europy bez państwa polskiego jest już niemożliwe do wyobrażenia.

Wacław JĘDRZEJEWICZ

LEGENDA O PRAWDZIE

Pobyt Polaków na Węgrzech w latach 1939-1944 jest opisywany przez osoby które bądź to przebywały na Węgrzech jako „turyści Sikorskiego” w drodze do wojska polskiego we Francji i na Środkowym Wschodzie, bądź też przechodziły z Polski jako kurierzy polskich organizacji podziemnych. Wspomnienia swoje spisują zależnie od osobistych przeżyć i możliwości obserwacyjnych. Do ciekawych należy zaliczyć K. Koźniewskiego „Zamknięte koła”, Wł. Wnuka „Walka podziemna na szczytach” i R. Pitery „Podróżni z bronią”. Ponadto ukazało się szereg luźnych wspomnień z tego okresu.

Do takich należy zaliczyć artykuł Wacława Felczaka opublikowany w Nrze 9/66 „Więzi” w Warszawie, pt. *Powrót i Legenda. Rzecz o powrocie marszałka Śmigłego do Polski*.

Tytuł obiecuje wiele tym bardziej, że autor na wstępie podkreśla:

„nie o osobę Rydza Śmigłego i ocenę jego działalności tu chodzi, lecz i legendę i fałsz jakie wokół powrotu Śmigłego do Polski usiłovali przekazać historii faktyczni reżyserzy tego bądź co bądź niecodziennego wydarzenia. Jako naoczny świadek przejazdu Rydza Śmigłego przez Węgry do Polski pragnę sprostować to, co w tej sprawie napisali Ferdynand Goetel i Bazyli Rogowski w opublikowanych za granicą pamiątnikach”.

Cel wzniosły lecz jakie wykonanie?

Kim jest autor artykułu? Felczak sam podaje, że przybył w maju 1940 roku na Węgry razem z inż. Pawłem Zalewskim, wy-

stany przez prof. Ryszarda Świętochowskiego „dla zmontowania stałej łączności między Warszawą, Budapesztem i rządem” i że wszedł do „ścisłego aparatu wykonawczego Placówki W” w Budapeszcie.

Bazyli Rogowski w swoich wspomnieniach o Marszałku Śmigłym określa Felczaka jako dwudziestoletniego, bardzo ruchliwego i odważnego człowieka, który kilkakrotnie chodził jako kurier do Polski, mówił świetnie po węgiersku i dlatego był prawą ręką Zalewskiego. Więc same superlatywy.

Felczak po powrocie z Węgier do Polski, po Powstaniu Warszawskim znalazł się w Belgii skąd powrócił na stałe do Polski. W roku 1966 Ossolineum we Wrocławiu wydało jego „Historię Węgier”.

Skąd nienawiść Felczaka do Rogowskiego i zarzut że to co ten napisał jest kłamstwem?

Rogowski w opisie swej podróży z Budapesztu do granicy, podaje oświadczenie kuriera Staszka Fronczystego, że Zalewski zabronił mu przeprowadzać do Polski Piaseckiego i Rogowskiego i zagroził wezwaniem żandarmów węgierskich, jeśli oni nie wyśiądą na najbliższej stacji w Hatwan. Dalej Rogowski pisze:

„Konsternacja i wśród nas była poważna. Wiedzieliśmy, że Zalewski za wszelką cenę starałby się abyśmy nie wyjeżdżali do kraju, ale żeby aż do tego stopnia się posunął, iżby denuncjować nas do węgierskiej żandarmerii, tegośmy się nie spodziewali. Wyrażny jednak rozkaz jaki otrzymał Staszek oraz fakt, że na korytarzu istotnie znajdował się Felczak przy wejściu z jednej strony, a jakiś inny młodzieniec na drugim końcu wagonu, kazał nam się domyślać że Zalewski jest zdecydowany na wszystko. Widać było, że o naszym wyjeździe dowiedział się w ostatniej chwili, o Śmigłym jednak widocznie nic nie wie skoro wskazał tylko na dwóch, których osobiście znał i domyślał się, że robimy jakąś robotę „Piłsudczykowską”.

Aby obalić zarzuty Rogowskiego i Piaseckiego na temat śledzenia Marszałka na Węgrzech, Felczak z nieżyjących już dziś *personae dramatis* robi kłamców, czyniących wszystko aby sfałszować historię.

Chcąc dać swej osobie pozory autorytetu cytuje nazwiska osób, które w większości wypadków już nie żyją, oraz podaje fakty zmyślane i przekręcone. Atakuje ówczesne Poselstwo R.P. za utrudnianie kontaktów rządu z władzami w kraju oraz wymyśla historię o polskim pro-hitlerowskim rządzie na Węgrzech.

O swojej osobie Felczak skromnie pisze:

„Aby gruntownie, od podszewki, wyjaśnić polityczne zamiary Piaseckiego, zamiary których punktem centralnym była osoba Rydza Śmigłego, wejdźmy w życie polskie na Węgrzech w latach 1940-41. Czytelnik wybaczy, że od tego momentu suche rewelacje będą z konieczności przeplatane wspomnieniami osobistymi. Ostatecznie kronikarze pierwsi piszą historię”.

Osobiście daję wiarę Rogowskiemu, który był na Węgrzech, jechał z Marszałkiem w pociągu z Budapesztu do granicy i prze-

szedł z nim przez Karpaty do Polski — pod przewodnictwem Staszka, który nie uląkł się pogroźek Zalewskiego i Felczaka. Po latach, przewidując, że wypadki w których brał udział będą różnie komentowane i naginane do potrzeb chwili i jednostek, spisał możliwie dokładnie swe przeżycia, które ukazały się w roku 1962 w Nrze 2 „Zeszytów Historycznych”. Trzeba podkreślić, że Rogowski po wojnie powrócił do kraju, gdzie przed paru laty umarł. Nie mam powodu przypuszczać że pisząc swe wspomnienia celowo mijał się z prawdą, aby innych poniżyć.

Co do osoby Juliana Piaseckiego, to wspomnienia jego przekazane Ferdynandowi Goetlowi i opublikowane w „Czasach Wojny”, mają również wartość przy naświetlaniu wypadków w tym okresie.

I tym dwóm ludziom Felczak zarzuca fałszowanie historii.

Lecz Felczak zapomniał o jeszcze jednym świadku, jednym z żyjących. Przecież żyje Staszek Fronczysty, ten przewodnik napiętnowany przez Zalewskiego i Felczaka jako „dezterter”, który 9. VII. 1961 ogłosił w „Życiu Literackim” wspomnienia wojenne pt. „Byłem Kurierem”. Jasno i dobitnie pisze on:

„Na umówiony czas zesłiliśmy się na peronie; już przed wagonem czekał na nas Gall (dr Lebedowicz, p.a.). Krótkie pożegnanie w wagonie i Gall wyszedł, pociąg odjeżdżał miał za chwilę. Raptem do przedziału wpada pewien Polak którego znałem i któremu załatwiałem dużo spraw w Polsce. Był on szefem kurierów, nazwiskiem Paweł Zalewski w towarzystwie znanego mi kuriera Wacka Felczaka. Kiedy zobaczył mnie Zalewski w towarzystwie Piaseckiego i Rogowskiego, wywołał mnie na korytarz i oświadczył, że nie wolno mi tych ludzi prowadzić do Polski i on mi tego zakazuje. Ja mu tłumaczę, że obiecałem im, że ich do Polski zaprowadzę i to zrobić muszę, bez względu na to czy to jemu się podoba czy nie. Wtedy Zalewski oświadczył, że jeśli Piasecki i Rogowski nie wysiądą (Rydz Smigłego nie rozpoznali) to on da znać żandarmerii węgierskiej i ona mnie i moich towarzyszy aresztuje. Nie znałem przyczyn dla których Zalewski nie chciał dopuścić do odejścia Piaseckiego (i Rogowskiego) do Polski, myślę że były to jakieś rozgrywki polityczne. Dziś wiem, że ścierali się sikorszczaki z sanatoriami i sikorszczaki bali się żeby ich od rządu Rydz z powrotem nie odepchnął, bo zwycięstwo i klęska Niemiec już, już miały być”.

Czyżby Staszek też kłamał? Wątpię.

Felczak pisze:

„Ten to karambol zrobił historyczną karierę. Oczywiście dzięki Piaseckiemu i Rogowskiemu, którzy nie wyjaśniając jego przyczyn, bo byłoby to dla nich bardzo nieprzyjemne, wystąpili z niewybrednymi oskarżeniami pod adresem Sikorskiego i placówki rządowej w Budapeszcie”.

Piasecki powiedział do F. Goetla:

„Wówczas to siedząc już w wagonie pociągu zmierzającego do pogranicza zostałem przez naszych wywiadowców wskazany żandarmerii węgierskiej. Żandarmi puszczili mnie po krótkim przesłuchaniu, ale szpicie polscy tropili nieustannie dworzec”.

Nie myślę żeby powiedzenie Piaseckiego było bez podstaw. Byli szpicle polscy, żandarmi węgierscy, przesłuchanie i groźby. Więc możemy przyjąć, że legenda nie jest daleka od prawdy. Przejdźmy teraz do opisu „od podszewki” sytuacji na Węgrzech w roku 1939 i później.

Felczak pisze:

„Według danych polskich i danych pochodzących z oficjalnych instytucji rejestrujących polskich uchodźców, około 140.000 Polaków przeszło na Węgry w latach 1939-1940”.

Natomiast pułk. dypl. Jan Emisarski, nasz attaché wojskowy w Budapeszcie, w swoim artykule „Ewakuacja z Węgier” (*Goniec Karpacki*, Nr 2/3, 1959) pisze, że w drugiej połowie września i w początku października 1939 znalazło się na terenie Węgier około 50.000 Polaków w tym niespełna 40.000 wojskowych z czego 5.400 oficerów, przeważnie ze sztabów i starszych wiekiem.

20. 9. 1940 w obozach wojskowych pozostało 1436 oficerów, 65 chorążych, 120 podchorążych, 1560 podoficerów i 2421 szeregowych.

Z kwoty 10.000 osób cywilnych, 2.000 wyjechało do Francji a z pozostałych 6.000 było w obozach cywilnych a około 2.000 mieszkało w Budapeszcie.

Podane przeze mnie dane różnią się od cyfr Felczaka o sto tysięcy osób. Nie winię o to Felczaka, który będąc na niskim szczeblu „egzekutywy” nie miał dokładnych danych.

O ewakuacji z Węgier Felczak pisze:

„Ewakuacją kierowała specjalna instytucja powołana przez gen. Sikorskiego, tak zwana popularnie EWA. Jak odbywała się ewakuacja niesposób dziś napisać (dlaczego? p.a.) trzeba by bowiem uwzględnić ponad sto tysięcy przypadków indywidualnych przyczyn i przygód, często tragedii ludzi których najważniejszym celem było wstąpienie w szeregi wojska polskiego”.

Według relacji pułk. Emisarskiego z Węgier wyjechało półlegalnie na paszporty i wizy kolejną do Jugosławii około 6.000 osób a reszta — 20.000 — przeszła przez „zieloną granicę”.

Ewakuacją z Węgier od przybycia pierwszego wojskowego z Polski w dniu 12 września 1939, kierował attaché wojskowy, pułk. dypl. Emisarski, organizując w Konsulacie Polskim przy Vaci utca 34, Biuro Ewakuacyjne którego kierownikami byli kolejno: pułk. Adam Rudnicki, pułk. Bogoria-Zakrzewski i ppłk. dypl. J. Keller-Szeligowski, razem z majorem M. Młotek-Junackim. (Po zamknięciu biur attaché wojskowego, który opuścił Węgry 14. 9. 1940 oraz zamknięciu biur Konsulatu Polskiego 8. 8. 1940, aresztowaniu ppłk. Kellera i mjr. dr. Młotka, lipiec 1940, pracą ewakuacyjną zajmowali się Jaworski i Szczurowski, lecz na małą skalę).

Konsulat Generalny w Budapeszcie, pod kierownictwem dr. Józefa Zarańskiego, dawał niezmiennie ważną pokrywkę dla Biura

Ewakuacyjnego oraz mieszczącego się na II p. w tym samym budynku Sekretariatu, który zajmował się selekcją elementu podlegającego ewakuacji.

Łączność z Krajem zorganizowano od września 1939 r. Komórką tą kierował na początku rtm. J. Billewicz a następnie mjr. Jan Zagłoba-Mazurkiewicz, który przy pomocy osób znających dobrze pogranicze rozbudował sieć i szlaki kurierskie do Polski.

Z początkiem grudnia 1939 przybył z Paryża do Budapesztu płk. dypl. Alfred Krajewski, z mandatem Naczelnego Wodza na Kierownika Bazy Łączności z Krajem. Był on mężem zaufania gen. K. Sosnkowskiego, który wówczas przejął prowadzenie spraw krajowych.

Biurowa Bazy Z.W.Z. (nie wojskowej — jak podaje Felczak) mieściła się w budynku Poselstwa R.P. przy Orszag haz utca 13. Sekcja łączności miała swoje pomieszczenie w domu zajmowanym przez pułk. Emisarskiego, przy Donati utca 13 b. Tu przyjmowano i odprawiano kurierów do Polski. Przeważnie byli to górale, ochotnicy, którzy składali przysięgę Z.W.Z., zresztą jak wszyscy związani z pracą na Kraj.

Twierdzenie Felczaka że „z wielkim wysiłkiem została zorganizowana stała służba kurierska Placówki W i wytyczone szlaki wiodące przez Słowację do Kraju” jest mylne, gdyż oddział kurierski i szlaki zorganizował dla Bazy Zagłoba i Jasiewicz, i ich kurierzy PRZY OKAZJI zabierali pocztę placówki politycznej, która nie miała technicznych możliwości przerzucania ludzi przez granicę. Nie wykluczam, że z czasem Placówka stworzyła własną sieć kurierską, ale w czasie gdy Marszałek Śmigły i Rogowski przechodzili do Polski, kurierzy podlegali Bazie. Podkreśla to kurier Staszek w podanych wyżej wspomnieniach, podając że odpowiedzialnym za jego wysyłkę był Jasiewicz (z Bazy ZWZ).

W maju 1940 przyjechał do Budapesztu z Paryża, z paszportem dyplomatycznym, jako konsul, Edmund Fietowicz (prawdziwe nazwisko Fietz), wyznaczony na delegata rządu do spraw politycznych, który stworzył koło siebie grono współpracowników, jak Felczak nazywa „egzekutywę”. Twierdzenie Felczaka że Placówka W została powołana do życia przez rząd, ponieważ poselstwo w Budapeszcie uprawiało polityczną dywersję, jest bezpodstawną kalamnią.

Felczak pisze:

„Najbardziej jednak krzykliwą grupę stanowili zwolennicy *angien régime'u*, zwani popularnie sanatorami. W oparciu o poważne zasoby finansowe wywiezione z kraju (?) rozwinęli oni na Węgrzech energiczną akcję, która w warunkach normalnych mogłaby być uznana za opozycję w stosunku do rządu. W warunkach wojennych zaś nie zawaham się nazwać tej działalności niczym innym jak polityczną dywersją. A oto parę szczegółów zaobserwowanych na Węgrzech:

Do czasu istnienia poselstwa polskiego w Budapeszcie, łączność między krajem a rządem odbywała się za pośrednictwem tej właśnie placówki. W krótkim bardzo czasie wyszło na jaw, że pewne osoby w poselstwie

polskim dokonują cenzury poczty krajowej do rządu i poczty rządowej do kraju. Nie przepuszczano w szczególności raportów z kraju informujących o formowaniu się kierownictwa polskiego podziemia politycznego i vice versa zaleceń rządu, aby kierownictwo takie jak najszybciej się ukonstytuowało. Zdarzało się, że poczta krajowa do rządu ginęła w całości w poselstwie polskim w Budapeszcie. Intencja cenzorów budapeszteńskich na tle sytuacji politycznej na emigracji jest zbyt łatwa do odszyfrowania. Izolowanie rządu Sikorskiego od kraju było najbliższym celem sanacyjnej dywersji w pierwszym okresie wojny. Ta właśnie dywersja spowodowała śmierć wybitnego działacza ludowego prof. Ryszarda Świętochowskiego. Stał on wtedy na czele formującego się w kraju porozumienia politycznego (PKP). Nie mogąc skontaktować się z rządem — (sprawę tę relacjonuję na podstawie rozmowy odbytej ze Świętochowskim w Warszawie w kwietniu 1940) postanowił sam, mimo podeszłego wieku i wątłego zdrowia przedrzeć się na Węgry i uporządkować łączność z krajem. Niestety został aresztowany przez słowacką straż graniczną w okolicach Preszowa i wydany Gestapo. Zakończył życie w Oświęcimiu”.

Tyle Felczak. Myślę że znowu poniosła go nienawiść, aby śmierć prof. Świętochowskiego kłaść na karb „dywersji” na Węgrzech. Prof. Świętochowski wraz z Tadeuszem Szpotańskim i Marianem Borzęckim uważali się za delegatów na kraj, wyznaczonych przez gen. Skorskiego przed jego wyjazdem z Polski w r. 1939, i to jest źródłem akcji Świętochowskiego. Na Węgry wybrał się nie po to aby uporządkować sprawę łączności z krajem, lecz aby nawiązać kontakt osobisty z rządem, co z terenu Polski było trudną sprawą. Winni jego aresztowania i śmierci w Oświęcimiu są nie „sanatorzy” na Węgrzech, lecz osoby z jego otoczenia, które dopuściły do tego, że bez przygotowania i opieki wybrał się przejść Karpaty i w maju 1941 został aresztowany pod Koszycami. Na trasie zasłabł i nie mógł iść dalej, co zmusiło przewodnika do szukania dla niego schronienia u osoby która go wydała miejscowej żandarmerii.

Zarzuty o uprawianiu dywersji przez poselstwo są gołosłowne. Felczak nie podaje faktów ani osób winnych dokonywania cenzury poczty krajowej. A nazwiska łatwo ustalić.

W poselstwie przyjmowano od konsula Fietowicza czy attaché wojskowego zalakowane koperty, które włączano do poczty dyplomatycznej odchodzącej do rządu. Poczta z kraju, przynoszona przez kurierów była doręczana w Bazie, która przejmowała kurierów i delegatów z kraju. Wymysł więc znów bezpodstawny i złośliwy.

Konsul Fietowicz odbywał częste rozmowy z posłem Orłowskim i gdyby miał jakieś zarzuty na pewno by je poruszył. Tak samo gdyby miał zarzuty w stosunku do Bazy czy Attaché wojskowego — lecz tak nie było. Przypuszczam, że zarzuty te powstały w głowach członków „egzekutywy”, którzy chcąc się wykazać wynikami pracy, szukali tej „dywersji”.

Felczak pisze:

„Innym aktem dywersji, aktem mogącym mieć poważniejsze następstwa

była próba utworzenia pro-hitlerowskiego rządu polskiego. Działo się to w roku 1941. Afera ta wiąże się z nazwiskiem płk. Steifera, który w latach 1939-1941 pełnił funkcję przedstawiciela internowanego wojska polskiego w węgierskim ministerstwie Honwedów. Funkcję tę pełnił dzięki temu, iż powoływał się na zażyłe stosunki z ówczesnym ministrem Honwedów gen. Bartha. Przyjaźń ta miała się datować jeszcze od czasów c. i k. armii kiedy byli kolegami w jednym pułku”.

Przedstawicielstwo W. P. Internowanego na Węgrzech, tak nazwano oficjalnie biuro generała Stefana Dembińskiego, zostało powołane do życia w pierwszych dniach października 1939. Oficjalnym zadaniem Biura była współpraca z Oddziałem XXI Ministerstwa Honwedów. Na żądanie Ministerstwa do Oddziału XXI przydzielono polskich oficerów: pułk. Steifera, ppłk. Króla i mjr. Wilka.

25 kwietnia 1940 r. policja węgierska, łącznie z agentami kontrwywiadu, zajęła Biuro, szukając generała Dembińskiego, który się ukrył i na znak protestu opuścił Węgry. Na drugi dzień Biuro uruchomiono w zmniejszonym składzie pod kierownictwem płk. dypl. dr. Steifera.

Po aresztowaniu w czerwcu 1940 r. przedstawiciela MOS i prezesa Polskiego Komitetu Obywatelskiego — Henryka Sławika, przedstawicielem Rządu do spraw uchodźczych i prezesem Komitetu Obywatelskiego został mianowany p. Bogdan Stypiński. Dowiedział się on, że pułk. Steifer zgłosił się do Ministra Honwedów z propozycją nawiązania współpracy polsko-niemieckiej. Wówczas p. Stypiński zażądał od pułk. Steifera poddania się Sądowi Obywatelskiemu, który, pod przewodnictwem b. prokuratora wojskowego majora Bardzika-Lubelskiego, wydał orzeczenie ujemne dla płk. Steifera za przekroczenie swych kompetencji. Na tej podstawie p. Stypiński wezwał pułk. Steifera do złożenia swojej funkcji w Ministerstwie Honwedów. Równocześnie, jako przedstawiciel Rządu, wysłał odpowiednie żądanie do samego Ministra Honwedów. Płk. Steifer nie zastosował się do tego wezwania a oficerny Sąd Wojskowy, który miał rozpatrywać jego sprawę na podstawie materiałów Sądu Obywatelskiego, został rozwiązany(zarządzeniem samego Steifera, p.a.).

Sprawa znalazła się w rękach Rządu w Londynie i po pewnym czasie za pośrednictwem ambasady w Ankarze nadszedł rozkaz Naczelnego Wodza polecający płk. Steiferowi złożenie wszelkich funkcji. Steifer rozkaz wykonał, lecz spowodował ostry nacisk ze strony władz węgierskich na p. Stypińskiego w kierunku ponownego powołania Steifera do pełnienia jego dotychczasowych funkcji. Mimo gróźb p. Stypiński odmówił temu żądaniu. W trzy dni później, 12. 10. 1941, p. Stypiński został aresztowany i osadzony w twierdzy Siklos razem z Ojcem Wilk-Witosławskim, który doręczył Steiferowi rozkaz Naczelnego Wodza. Płk. Steifer nie wrócił na swe poprzednie stanowisko i zamieszkał w obozie wojskowym na przedmieściu Budapesztu. Dalszych jego losów nie znam.

Felczak wyciąga taką konkluzję z afery Steifera:

„Bazyli Rogowski w swoich wspomnieniach stara się bagatelizować aferę Steifera, nie może jednak zaprzeczyć, że opinia polska na Węgrzech właśnie koła sanacyjne obciążała tą aferą”.

Na szczęście ta opinia polska to był chyba tylko Felczak i tow.

W swym historycznym głędzeniu „od podszewki”, Felczak opisuje jeszcze akcję oficerów-agitatorów (naturalnie sanatorów), którzy przyjeżdżali do obozów wojskowych i tam nakłaniali oficerów i szeregowych, aby ci nie wyjeżdżali do armii gen. Sikorskiego. I dlatego tylu wojskowych zostało w obozach na Węgrzech.

Felczak grubo się myli, i po prostu nie wie o czym pisze.

We wrześniu 1939 przeszły na Węgry z Polski następujące jednostki: 10 Brygada Kawalerii (bryg. Maczka), część 3 Brygady K.O.P., pułk K.O.P. „Karpaty”, 1 Batalion Saperów Kolejowych, szwadrony zapasowe 6 Brygady Kawalerii, Batalion policyjny „Goleńdzinów” oraz Szpital ewakuacyjny Nr 61 na 1.000 łóżek. Ponadto około 350 osób personelu lotniczego bez samolotów i tyłowe rzuty Dowództw Korpusów Przemyśl i Lwów i Wojskowy Instytut Geograficzny.

W ewakuacji pierwsza wyjechała w całości Brygada Maczka a za nią pułk K.O.P. Następnie ewakuowano, stosownie do wytycznych z Paryża, marynarzy, lotników, oficerów z wykształceniem technicznym i szeregowych zdolnych do służby liniowej.

Po upadku Francji, Naczelny Wódz w dniu 30. 7. 1940 wydał surową instrukcję do Attachés wojskowych kierujących ewakuacją (Nr 1461) nakazując (m.in.):

„pkt. 5. Wstrzymuję zupełnie ewakuację oficerów. Dla zgrupowania oficerów wydaję oddzielne zarządzenie.

pkt. 6. Zabraniam ewakuacji rodzin wojskowych i urzędników wojskowych.

pkt. 7. Chcącym wrócić do kraju nie stawiać przeszkód i ułatwić pomagając przejściowo materialnie”.

Tak więc ci wysłannicy, którzy przyjeżdżali do obozów, tłumacząc że ewakuacja jest na razie wstrzymana, to nie byli dywersanci sanacyjni lecz oficerowie łącznikowi do obozów.

Czyli znów niewypał Felczaka.

ERKA



Paryż, dn. 27 kwietnia 1967 r.

Drogi Panie,

W związku z listem p. Krystyny Marek w Nrze 11 „Zeszytów Historycznych” proszę Pana o zamieszczenie następujących uwag:

1) Dr Krystyna Marek stawia mi zarzut, że „posłużyłem się” jej nazwis-

kiem bez porozumienia. Uważam, że np. dentystka w Sieradzu ma 99% szans na to, że o niej nie ukaże się nigdzie żadna wzmianka. Inaczej przedstawia się sprawa kierowniczkii jakiegokolwiek rozgłośni radiowej. Taka osoba szans tych nie ma i zawsze powinna liczyć się z tym, że ktokolwiek o niej wspomni, jeśli nie podda wręcz krytyce jej działalności.

2) Od p. Krystyny Marek wiedziałem wyłącznie o tym, iż między pracownikami rozgłośni „Świt” i pracowniczkami stacji kobiecej, nadającej w języku polskim z Anglii i udającej że znajduje się w okupowanej przez hitlerowców Polsce, istniały stosunki towarzyskie w postaci wzajemnych odwiedzin. I tylko o tym napomknąłem w moich wspomnieniach o „Świcie”. Za czasów, kiedy prowadziłem „Świt” nie istniały żadne — ani towarzyskie, ani urzędowe, ani inne — stosunki między pracownikami obu stacji. Dlatego o „wzajemnej sytuacji” nie piszę ani słowa.

3) Z tego, że nie piszę, p. Krystyna Marek wyciąga wniosek, że całość moich wspomnień o „Świcie” jest „produktem” mojej „wyobraźni”. Wniosek ten jest jedynie niezbyt udaną i bardzo mało logiczną złośliwością, mającą na celu podważyć całość moich wspomnień o „Świcie” w oczach Czytelników. I to na podstawie nie tego, co piszę, ale tego, o czym nie piszę.

4) A nie piszę o wielu rzeczach. M.in. o konflikcie ideologicznym, jaki powstał w kierownictwie stacji kobiecej. Nie piszę zaś tylko dlatego, że mając wyłącznie jednostronne jego naświetlenie, nie mogę być obiektywny. Napisze o tym prawdopodobnie ktoś inny. Bardziej ode mnie powołany. I z pewnością również bez porozumienia z p. Krystyną Marek.

Łączę serdeczny uścisk dłoni,

Janusz LASKOWSKI

SPIS TREŚCI

Piotr Wandycz: <i>Z zagadnień współpracy polsko-ukraińskiej w latach 1919-1920</i>	3
Tadeusz Nowacki: <i>Ludowe Wojsko Polskie</i> (Dok.)	25
Z. S. Siemaszko: <i>Retinger w Polsce w 1944 r.</i>	56
Załączniki i bibliografia	110
Mieczysław Młotek: <i>Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich</i> (Dok.)	116
Bibliografia	138

WSPOMNIENIA

Józef Jaklicz: <i>17 września 1939 r. w Sztabie Naczelnego Wodza</i>	140
Stanisław Kot: <i>Wspomnienia</i> (II)	163
Tadeusz Nowacki: <i>Stefan Mossor</i>	179
Stanisław Lubodziecki: <i>Wspomnienia oficera Drugiej Grupy</i> (Dok.)	187
Stanisław Żochowski: <i>Wstęp do wspomnienia o płk. Ignacym Oziewicz</i>	215

RECENZJE I POLEMIKI

Wacław Jędrzejewicz: <i>Wypadki majowe w Polsce w 1926 r.</i>	220
ERKA: <i>Legenda o prawdzie</i>	231



Janusz Laskowski: <i>List do Redakcji</i>	238
---	-----

ACHEVE D'IMPRIMER LE 20 JUILLET 1967 SUR LES PRESSES
DE L'IMPRIMERIE RICHARD, 24, RUE STEPHENSON, PARIS (18^e)
Dépôt légal : 3^e trimestre 1967

**KSIĄŻKI HISTORYCZNE
W „BIBLIOTECE KULTURY”**

- Józef Mackiewicz: *Kontra* (7 F)
- Tadeusz Katelbach: *Rok złych wróżb* (8 F)
- Stanisław Kot: *Jerzy Niemirycz* (7 F)
- Paweł Zaremba: *Historia Polski, Tom I* (20 F)
- Józef Czapski: *Na niehumanitarnej ziemi* (Wydanie drugie)
(15 F)
- Bernard Singer: *Od Witosa do Sławka* (18 F)
- Milovan Djilas: *Rozmowy ze Stalinem* (9 F)
- Jerzy Mond: *6 lat temu... (Kulisy polskiego
Października)* (10 F)
- Maria Czapka: *Polacy w ZSSR (1939-1942)*
Antologia (16,50 F)
- Witold Jedlicki: *Klub Krzywego Koła* (10 F)
- Stanisław Mackiewicz: *Polityka Becka* (12 F)
- Wincenty Witos: *Moje Wspomnienia, Tomy I/II/III*
(87 F)
- Wiktor Sukiennicki: *Biała księga* (12, 75 F)
- Gustaw Herling-Grudziński: *Inny świat* (13,50 F)
- Borys Lewicki: *Terror i rewolucja* (15 F)
- January Grzędziński: *Maj 1926* (9 F)
- Wacław Lednicki: *Rosyjsko-polska entente cordiale
1903-1905* (9 F)

15 F (dol. 3,-; 22/-)